

p. 5713

Gargulski

WYPISY
POLSKIE

2



WYPISY
Z PISARZÓW POLSKICH.

A. 60



WYPISY Z PISARZÓW POLSKICH,

dla szkół męzkich i żeńskich.

UŁOŻYŁ

Stanisław Gargulski

Przełożony Zakładu Naukowego.

CZEŚĆ ŚREDNIA

na pierwsze trzy klasy

Cena kop. 75.

WARSZAWA.

Nakład autora. — Skład główny w Zakładzie Naukowym,
ulica Leszno Nr. 32 nowy.

—
1880



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава 28 Мая 1880 года.

Drukiem A. Pajewskiego, Niecała Nr 12 w Warszawie.

SPIS RZECZY.

PROZA.

	Str.		Str.
I. Ustępy z pisma świętego. (przez bezimiennego).		3. Bławatki p. Kl. Hofmanową	27
1. Wybór Saula na króla.	1	4. Trzej przyjaciele p. K. Bro-	—
2. Wojna z Amonitami. Saul		dzińskiego.	—
królować zaczyna	2	5. Skowronek	28
3. Męstwo Saula i Jonaty.	4	6. Strumyk	—
4. Duma i błędy Saula	5	7. Dwie jabłonie	29
5. Dawidznaczony na króla.	6	8. Powietrze p. K. Wł. Wójci-	—
6. Bitwa Dawida z Goliatem	7	ckiego	—
7. Zwycięstwa i prześladowa-		9. Ojciec i syn p. St. Jachowi-	30
nie Dawida	9	cza	31
II. Nauki i obrazy moralne.		10. Głos sądu.	32
1. Miłość synowska p. K. Bro-		11. Kazimierz W w kumach.	35
dzińskiego	10	12. Almanzor i Rustan	35
2. O powinności uczniów wzglę-		13. Widzenie p. K. Wł. Wójcie.	39
dem nauczycieli.	12	IV Opowiadania z życia	
3. O pracy	13	społecznego.	
4. Dzień przed śmiercią	14	1. Karol Ryś p. Hen. Rzewu-	41
5. Nowy rok.	—	skiego	47
6. Boduena gorliwość i pokora.	15	2. Jaksa Pliszka	52
7. Karpiński (z własn. wspom-		3. Przykłady nadzwyczajnej si-	53
nień)	16	ły p. K. Wł. Wójcieckiego	58
8. Szlachetna oszczędność.	17	4. Bitwa morska p. T. Tryplina	58
9. O języku francuzkim.	—	5. Łowy na wilka p. K. Wł.	61
10. Sposób nauczania Sokrate-		Wójcieckiego.	61
sowego.	18	6. Głonka p. K. Wł. Wójci-	65
11. O domowych i kobiecych za-		ckiego	71
trudnieniach p. Kl. z Tań.		7. Walka z białymi niedźwie-	71
Hofmanową.	20	dziami p. T. Tryplina	75
12. List Krystyny do Anieli		8. Gawęda starego Marcina p.	71
z pism Kl. z Tań, Hofman.	23	Ig. Chodźkę.	75
III. Opowiadania moralne.		9. Zapusty p. Hen. Rzewu-	75
1. Pleban i kmiotek p. Kl. Hof-		skiego	75
manową	25	V Legendy i baśnie.	
2. Miłość prawdy, p. Paulinę		1. Wanda (z Dziejów Długo-	78
Krakowową.	26	sza)	82
		2. Twardowski p. L. Siemiń-	82
		skiego.	82

	Str.
3. Stańczyk p. L. Siemińskiego.	82
4. Pierścień Kunegundy p. B. Kamińska	84
5. Wyprawa Argonautów p. A. Poplińskiego.	86
6. Wojna Trojańska p. A. Poplińskiego.	87
7. Bitwa Horacyjusza z Kurycjuszami p. A. Poplińskiego	92
8. Bocian p. J. Ig. Kraszewskiego.	94
9. Klasztor Bernadyński p. Ig. Chodźko	95
10. Wójt i dziedzic	97
11. Bięda z Nędzą	100

VI. Rozmowy

1. Bóg wszystko widzi	104
2. Rozmowy zmarłych (z dzieł Krasickiego)	106

VII. Obrazy i opowiadania historyczne.

1. Przyjęcie Ottona III w Gnieźnie p. Ig. Krasickiego.	112
2. Osobista waleczność Bolesława Krzywoustego	113
3. Hojność Kazimierza W. p. Ad. Naruszewicza.	114
4. Elżbieta królowa p. K. Szajnochę	116
5. Koronacja Jadwigi p. K. Szajnochę	120
6. Błogosławiona Bronisława	123
7. Wjazd Osolińskiego do Rzymu p. Woj. Grochowskiego.	125
8. Wzięcie Koldyngi (z Pamiętników Paska)	128
9. Słoń Pirrusa.	130
10. Życie Ezopa.	—

VIII. Przysłowia.

1. O przysłowiach.	140
2. Przysłowia narodowe	141
3. Przysłowia polskie	144

IX. Zwyczaje.

	Str.
1. Co kraj, to obyczaj	147
2. Kalendarz zwyczajny	—
3. Koleśda	148
4. Zapusty	150
5. Popielec	152
6. Wielki post.	153
7. Wielki piątek	—
8. Rezurekcyja i Święcone	154
9. Święcone	—
10. Dyngus	155
11. Maj i Majówka	156
12. Zielone świątki	157
13. Wigilija św. Jana	—
14. Wieniec	160
15. Dzień św. Andrzeja.	161
16. Wigilija do Bożego Narodz.	162
17. Boże Narodzenie	163

X. Blizkoznaczące słowa.

(z pism Kl. z Tań. Hofmanowej).

1. Prostota i prostactwo	164
2. Odzież, ubiór, strój	—
3. Ciężki — trudny	165

XI. Wynalazki.

1. Wynalazki Fenickie.	—
2. Druk p. St. Gargulskiego.	166
3. Kompas p. tegoż	169

XII. Opisanie miejsc.

1. Powierzchnia kuli ziemskiej.	172
2. Łąd p. L. Rogalskiego.	173
3. Góry Tatry p. S. G.	175
4. Morskie oko p. S. G.	177
5. Obraz puszczy p. K. Wł. Wójcickiego.	179
6. Odkopaliska Pompei p. M. Wiszniewskiego	183
7. Odkrycie Ameryki.	187
8. Wilanów p. T. Lipińskiego	189
9. Carskie Sioło	190
10. Wybuch Wezuwiusza	191

XIII. Życiorysy.

1. Bekfark.	195
2. Jan Kochanowski p. Fr. Bohomolca.	—

	Str.		Str.
3. Skarga	198	3. Koń p. G. Zmichowską	229
4. Ignacy Krasicki p. H. Skim.	200	4. Słoń	231
5. Klementyna z Tańskich Hofmanowa.	202	5. Łapanie niedźwiedzi.	235
6. Życie mojej matki (z pism ks. bis. Hołowińskiego).	205	6. Żubr p. J. B. Wagnera.	237
7. Stanisław Jachowicz p. E. S.	208	7. Wędrowki ptaków	240
8. Sokrates	210	8. Pszczoła	243
9. Aleksander W.	216	9. Głównóg p. St. Gargulskiego.	248
10. Jakub Kuk p. Wł. L. Ancz.	219	10. Korzyści z ryb	251
XIV. Historyja naturalna.		11. Śledź	252
1. Człowiek	224	12. Kwiaty	254
2. O zwierzętach w ogólności	226	13. Sen roślin p. A. Zyskiewiczza	255

POEZYZJA.

I. Poezyje liryczne.

(pieśni i dумы).

1. Modlitwa dzieci.	257
2. O dobrodziejstwach Boga p. J. Kochanowskiego	—
3. O cnocie przez tegoż	258
4. Wielkość Boga (przez tegoż)	259
5. Treny: Żal VI i VIII (p. tegoż)	260
6. Wierszyk ucznia	262
7. Sieję proso na zagonie p. S. z Ż. Pruszkową	—
8. Piosnka gajowego.	263
9. Pieśń kominiarczyka	364
10. Dumka hetmana	—
11. Matka obywatelka	265
12. Pieśń ubogiej dziewczynki	266

II. Poezyje dydaktyczne.

Bajki

(czyli Apologi i Allegoryje).

a) Bajki Krasickiego.

1. Dwa żółwie	267
2. Ptaszki w klatce.	—

3. Furman i motyl.	—
4. Pszczołka i gołąbek	268
5. Lis i bocian.	—
6. Wilk pokutujący	269
7. Kulawy i ślepy	—
8. Jabłoń i chłopczyk	—
Bryła lodu i kryształ	270
10. Tulipan i fiołek	—
11. Człowiek i zdrowie	271
12. Dzieci i zegar	—

b) Bajki Stanisława Jachowicza.

1. Gruszka	272
2. Krzesiwo, krzemień i hubka	273
3. Wiewiórka i orzeszek	—
4. Rybak	—
5. Skowronek i słowik	274

c) Bajki rozmaitych autorów.

1. Gęś i osieł p. J. Ur. Niemcewicza.	275
2. Sknera	276
3. Chciwość osła p. Al. Fredra.	277
4. Mysz, kot i kogut p. St. Trębeckiego.	—

	Str		Str.
5. Lew i mysz p. Książnina.	278	2. Pacholę p. G. Zielińskiego.	290
6. Orzeł i orleń p. Szym. Zajączkowskiego . . .	279	3. Ś-ty Izidor p. Fr. Morawskiego	291
7. Kmiotek i wiewiórka p. J. Masalskiego.	---	4. Dziad i baba p. J. Ig. Kraśzewskiego.	294
III. Poezyje epiczne.		5. Jałmużna p. G.	296
a) <i>Obrazki i powiastki.</i>		6. Zachód słońca (z Maryi Malczewskiego).	297
1. Porównanie człowieka p. St. Trębeckiego.	280	7. Powrót na wieś p. Fr. Karpińskiego	298
2. Obrazy z poematu „Pan Tadeusz“ p. A. Mickiewicza.	281	8. O drzewach p. A. Mickiewicza	300
a) Śniadanie u p. Sędziego.	—	9. Dwór szlachecki p. A. Mickiewicza.	302
b) Polowanie na zające	—	10. Paciérze	—
3. Siórotka p. Ign. Hołowińskiego	283	11. Leszek Biały.	304
4. Sztuki piękne p. G. Zielińskiego	284	c) <i>Legendy.</i>	
5. Pożar w stepie.	—	1. Legenda wstępna p. Ig. Hołowińskiego	306
6. Paweł i Gaweł p. Al. Fredra	285	2. Prorok i chłopczyk p. St. Jachowicza	307
7. Pojedynek p. tegoż	286	3. Źródło św. Gangolfa p. A. E. Odyńca	308
8. Duch sióroty.	287	4. Sen	309
b) <i>Ballady i baśnie.</i>		5. Kruk fundator p. Wincent. Pola.	311
1. Powrót taty p. A. Mickiewicza	---		

PROZA.

I. Ustępy z Pisma świętego.

(przez bezimiennego).

I. Wybór Saula na króla.

Sprykrzywszy sobie Izraelici panowanie sędziów, zapragnęli mieć królów okazałych i bogatych, jak miały inne narody, i Bóg obiecał dogodzić ich chęciom. Był w pokoleniu Beniamina w Gaboa człowiek imieniem Cis, miał kilku synów, a między nimi Saula; ten był piękny i dobry, nie było okazalszego między Izraelitami, głową od wszystkich był wyższy. Zginęły Cisowi oślice, i powiedział do syna: „Weź sługę i idź ich szukać.“ Poszedł Saul, a naszukawszy się długo, gdy ich znaleźć nie mógł, powiedział słudze: „Wróćmy do domu; ojciec zaniecha oślic, ale o nas frasować się będzie.“ Lecz sługa inaczej mu poradził: Oto zbliżamy się do Masfy. Samuel, mąż boży, jest w tém mieście; cokolwiek on wyrzeczy, staje się; pójdźmy do niego, on nam powie o drodze naszej.“ Usłuchał Saul, a gdy chodząc po mieście zobaczyli starca, prosili go, żeby im pokazał dom proroka. Starcem tym był Samuel; objawił mu Bóg w dniu poprzednim, że nazajutrz pošle męża, który ma królować nad Izraelitami. Samuel wyglądał spełnienia słów tych i zaraz poznał wybranego króla w Saulu. „Jam jest Samuel, odpowiedział na ich prośbę, idźcie ze mną, będziecie jeść w domu moim, a jutro was odprawię; nie troszczcie się o oślice, już się znalazły.“ To mówiąc zaprowadził ich do wielkiej sali, gdzie było 30 mężczyzn zebranych na ucztę. Posadził Saula na pierwszém miejscu i rozkazał kucharzowi dać mu część najlepszą. Po uczcie Samuel posłał łożę gościowi swojemu, a skoro dzień zaczęło, obudził go i iść mu kazał. Gdy już byli na końcu miasta, rzekł do niego: „Każ słudze iść przed nami, a ty zostań ze mną, opowiem ci wolę Pana.“ Wziąwszy wtedy bańkę czystej oliwy, wylał ją na głowę Saula,

całował go i mówił: „Oto cię Bóg pomazał na książęcia nad ludem swoim, wybawisz Izraelitów z rąk nieprzyjaciół.“ Saul wierzyć nie chciał i mymawiał się w tych słowach: „Wszak ja jestem z najmniejszego pokolenia Izraela, a dom ojca mego najmniejszy między domami synów Beniamina.“ „Pan obrał cię królem, odpowiedział Samuel; jeśli nie wierzysz, te znaki ci daję. Gdy odejdiesz odemnie, u grobu Racheli zastaniesz dwóch mężów, którzy ci powiedzą: „Znalazły się oślice twego ojca; ale o ciebie bardzo się troszczy. Dalej pod dębem Tabor, spotka cię trzech mężów. Potem ujrzysz gromadę proroków, a przed nimi muzykę; oni prorokować będą, napadnie i na ciebie duch pański, będziesz prorokował z nimi, a powiedzą z zadziwieniem i wejdzie w przysłowie: „Cóż to i Saul między prorokami?“— Stało się tak wszystko jak przepowiedział Samuel. Saul wróciwszy do domu ojca, znalazł już oślice; o królestwie zaś nic nie wspominał nikomu.— Tym czasem Samuel chąc przystąpić do publicznego ogłoszenia króla, wezwał zgromadzenie ludu do Masfy i tak przemówił: „To wam oznajmia Bóg, Pan nasz: Jam wywiódł Izraelitów z Egiptu, wyrwałem was z rąk nieprzyjaciół; a wyście porzucili Boga waszego i rzekli: Inaczéj nic, króla chcemy! Będziecie go mieli; stańcie wszyscy według pokoleń i domów waszych.“ Stanęli, i Samuel przystąpił do wyboru: najprzód ciągnął pokolenie losem, i padł los na pokolenie Beniamina, ciągnął domy, i padł los na dom Cisa; ciągnął mężów, i padł los na Saula. Ale Saula znaleźć prędko nie mogli, skrył się przed godnością swoją. Gdy go przyprowadzono, przedstawił go Samuel całemu zgromadzeniu. „Widzicie kogo wam Pan obrał, powiedział: nie masz podobnego między wami, wszystkich głową przewyższa.

Zgromadzenie całe zawołało radośnie: „Niech żyje król!“ Samuel wtedy przeczytał głośno w obecności Saula i zgromadzenia, wzajemne prawa i obowiązki króla i poddanych; spisał je w osobnej księdze, i tę księgę jako drogi zakład schował do Arki przymierza.

2. Wojna z Amonitami. Saul królować zaczyna.

Po wyborze swoim, Saul wrócił jeszcze do domu ojca, do Gaboa, odprowadziła go część zgromadzenia, ci, których Bóg

serca ku niemu poruszył; ale było wielu takich co nim wzgardzili i szemrali mówiąc: „Alboż on nas z rąk nieprzyjaciół wybawić potrafi?“ Lecz Saul udał, że tych szemrań nie słyszy i czekał chwili sposobnej do okazania Izraelitom mężstwa swojego. Nadeszła wkrótce; w miesiąc po wyborze Saula, Naas król Moabitów napadł na miasto Izraelskie Jabes; przełęknięci mieszkańcy powiedzieli mu: Uczyni z nami przymierze, a będziemy ci służyć.“ — „Takie chyba uczynię przymierze, odpowiedział Naas, że każdemu z was prawe oko wylupię i wydam na pośmiewisko.“ — „Pozwól nam przynajmniej dni siedmiu odpoczynku!“ — Pozwolił; a oni tymczasem rozesłali posłów do pokoleń o pomoc, a najprzód do Saula. Gdy stanęli ci posłowie w Gaboa, właśnie Saul idąc za wołami swemi, wracał z pługiem z pola; usłyszawszy o uczynionej zniewadze, wpadł w gniew srogi; w zapalczywości swojej zrabował na 12 sztuk obadwa woły, rozesłał je przez tychże posłów do pokoleń z temi słowy: „Ktokolwiek nie pójdzie z Saulem i Samuelem, tak się stanie wołom jego.“ Na to wezwanie wyszli wszyscy zdolni do boju; policzył ich Saul i było z pokolenia Judy 30,000, z innych pokoleń 300,000. Gdy pod dowództwem Saula wpadli na Amonitów, zwyciężyli ich zupełnie i miasto Jabes ocalone zostało. Wdzięczni Izraelici za to zwycięstwo wołali: „Gdzież są ci, którzy nie chcieli, żeby Saul królował nad nimi? wydajcie nam ich, a zabijemy.“ „Nie, odrzekł Saul, dziś nikt zabity nie będzie, bo dziś Pan uczynił zbawienie w Izraelu.“ Samuel wtedy powiedział: „Idźmy do Galioli i odnowmy tam królestwo.“ Poszli, Saul został potwierdzony królem; ofiary złożono, uczty i wesele było wielkie. W końcu tego zgromadzenia sędziwy Samuel powstał i tak mówił: „Usłuchałem głosu waszego i postanowiłem nad wami króla; niechże teraz on wami rządzi: jam się już zestarzał i osiwił. Ten, który żył wśród was od dzieciństwa aż dotąd, stoi dziś przed wami; mówcie o mnie przed Bogiem i przed pomazańcem Jego, czym wziął czyjego wołu? czym spotwarzył, ucisnął kogo? czy wziąłem z czyjej ręki dar jaki? mówcie, a wzgardzę nim i wrócę go wam.“ „Nie, zawołało całe zgromadzenie, nie potwarzałeś nas, aniś ucisnął, ani wzięłeś z ręki czyjej żadnej rzeczy.“ Jestże świadkiem Bóg i pomazaniec Jego, spytał się Samuel, żeście nic nie znaleźli przeciwko mnie?“ „Jest, odpowiedziało jednogłośnie zgromadzenie. Teraz ja przeciwko wam mówię.

więc będę.“ I wyliczać zaczął dobrodziejstwa Boga i nieprawość Izraelitów, i tak mowę zakończył. „Nie odstępujcież przynajmniej teraz od Boga, bo inaczej uciśnie was ręka jego. I wy i król wasz strzeżcie prawa. Służcie Bogu z całego serca, i wyrzucajcie bałwany. Ja żegnam was, ale nigdy nie przestanę modlić się za was, a w potrzebie będę was uczył prostej i dobrej drogi.“ — To powiedziawszy, rozpuścił zgromadzenie ludu po raz ostatni, i już oddał Saul Izraelitami rządził.

3. Mężtwo Saula i Jonaty.

Saul tedy królować nad Izraelem zaczął; obrał sobie 3000 mężów, którzy już zawsze koło niego być mieli, jakby na straż, 2,000 zostawił sobie, a 1,000 oddał pod dowództwo syna swego Jonaty. Jonata był młodzieniec wyborny, waleczny i wielce do ojca i do narodu przywiązany. Filistyni zawsze górowali nad Izraelitami, w mieście Gaboa mieli twierdzę. Jonata ścierpieć nie mógł nieprzyjaciół w rodzinném miejscu, napadł więc na tę załogę i pobił ją. Ten czyn Jonaty stał się hasłem do wielkiej wojny; usłyszeli o niej Filistyni i zbierać się poczęli. Saul trąbić kazał po całym królestwie i schodzili się Izraelici do Galgali, gdzie mieszkali. Filistyni zgromadzili 30,000 wozów, 6,000 jezdnych, a pieszych jak piasku morskiego. Przeląkł się lud, Saul chciał go zaspokoić, ofiary czyniąc Panu; ale zamiast czekać na Samuela, jak miał przykazane, sam poważył się złożyć je, czem nadużył swęj władzy. Strofował go kapłan za przybyciem swoim, i tak mu powiedział: „Iżes przestąpił przykazanie Pańskie, nie będzie królować dom twój nad Izraelem, ale obierze Bóg monarchę według serca swego.“ Strapił się Saul, a tymczasem lud rozchodzić się zaczął i 600 żołnierzy zostało tylko przy królu. Jeszcze przócz niego i Jonaty, nikt miecza nie miał: strzały, proce, kije, ta była ich broń jedyna, bo Filistynowie wszystko żelazo zabrali. Nie upadło jednak serce Saula, ani serce Jonaty, rozłożyli szczupłe wojsko w górach, i czekali śmieło. Skory do bitwy Jonata przyspieszyć ją umyślił. W nocy nie powiedziawszy nic nikomu, ani ojcu, rzekł do giermka swego: „Pójdź, przejdźmy do straży Filistynów, nastraszymy ich. Nie zginie my, jeśli Bóg będzie z nami, boć nietrudno Jemu wybawić, czy

w kilku, czy w wielu.“ „Czyn co chcesz, idź, gdzie ci się podobą, ja zawsze z tobą Panie!“ odpowiedział wierny giermek.

Poszli więc, drapali się po wysokich i zębatych skałach, aż weszli do obozu Filistynów; nim się straż zmiarkowała, oni 20 mężów zabili, stało się wtedy wielkie w obozie zamieszanie, Filistyni myśleli, iż weszło mnóstwo Izraelitów, a krzycząc i własnych braci za nieprzyjaciół biorąc, zabijali się. Straż Saula usłyszała te krzyki, i dała mu znać; on wezwawszy w pomoc Boga, pospieszył na czele swoich. Całą noc i dzień cały trwała bitwa. Izraelici z okolic, widząc Filistynów uciekających, łączyli się ze swymi, i znalazło się wkrótce około Saula 10,000 żołnierzy. Gonili nieprzyjaciół, a Saul w zapale uczynił ślub i rzekł: „Przeklęty mąż, któryby jadł do wieczora.“ Nie słyszał tego ślubu Jonata, i gdy goniąc nieprzyjaciela, przez las przejeżdżał, gdzie było wiele miodu, skosztował go; przestrzegł go już zapóźno jeden z giermków o ślubie ojca; rozgniewał się Jonata i ganić postępek króla zaczął. Ale spracowało się bardzo wojsko, nadszedł wieczór, minął czas ślubowany, zabijali żołnierze bydłota zdobyte na Filistynach i jedli. Saul chciał jeszcze téjże nocy ruszyć na nieprzyjaciela; radził się Pana, lecz nie usłyszał odpowiedzi, i odkryło się, że Bóg obrażonym został. „Niech stanie przedemną lud cały, zawołał porywczy Saul, a choćby przez Jonatę stał się grzech, umrze!“ Padł los na Jonatę i Saul chciał go ukarać, ale wojsko sprzeciwiło się: „Jakto, Jonata, który sprawił zbawienie w Izraelu, miałby umierać? wołali wszyscy, nie spadnie włos z głowy jego!“ Uległ Saul woli tłumu, i już nie gonił Filistynów, bo sami uciekli do kraju swego. Wojował jeszcze Saul z innemi ludami, i gdziekolwiek się obrócił wygrywał; przez całe jego panowanie walki były tęgie i szczęśliwe, bo skoro ujrzał męża silnego i sposobnego do wojny, przyjmował go do siebie, a wkrótce cały Izrael w broń opatrzył.

4. Duma i błędy Saula.

Już Saul zaczynał nabierać powagi królewskiej i znaczenia przez zwycięstwa swoje, kiedy nieposłuszeństwo i pycha zaćmiły tę rosnącą chwałę. Właśnie zbrodnie sąsiedzkiego ludu Amalekitów doszły były do kresu, nadeszła chwila ich wyniszczenia; kazał więc Bóg Saulowi iść, pobić ich, zburzyć

wszystko, nie przepuścić nikomu, pozabijać nawet zwierzęta. Zwołał Saul ludzi zbrojnych z całego Izraela, zebrał ich z tą łatwością, z jaką pastérz owce zbiera, i z wielką siłą ruszył na nieprzyjaciela. Zupełnie odniósł zwycięstwo; co było nikczemnego w zdobyczy, spalić kazał, co lepszego zostawić; a dumny i upojony szczęściem swoim, kazał sobie łuk tryumfalny wystawić, i przejeżdżał pod nim. Na widok tego nieposłuszeństwa i téj pychy powiedział Bóg Samuelowi: „Nie godzien Saul być królem, opuść mnie i słów moich skutkiem nie wypełnia.“ Zmartwił się Samuel i modlił się za króla noc całą; rano ruszył w drogę do Galgali, gdzie był Saul. Tam przyszedłszy zastał go w przytomności mnóstwa ludu składającego ofiary Bogu, jak gdyby chciał Boga przekupić. Udawszy się z nim na osobność strofował go mocno sędziwy kapłan, wyrzucając mu pychę jego: „Czyż nie wtenczas, kiedyś był małym w oczach własnych, rzekł do niego, Bóg cię obrał głową pokoleń Izraelskich? Czegóż wynosisz się teraz, czemu nie słuchasz Pana, i czynisz źle przed oczyma Jego? Składasz Mu dary, czyż Bóg ich potrzebuje? lepsze daleko posłuszeństwo od ofiar. Jakoś ty mowę Boga odrzucił, tak On cię odrzuci, i długo królem nie będziesz.“ Złakł się Saul i powiedział: „Zgrzeszyłem, nie usłuchałem Boga, módl się za mną; wróćmy do ludu, i złoż zapokojną ofiarę.“ Nie chciał Samuel tego uczynić i już odchodził, gdy go Saul uchwycił tak silnie ręką za piaszcz iż wierzch cały się oderwał. Kapłan widząc to, rzekł: „Tak oderwie Pan królestwo od ciebie, a da je lepszemu.“ „Zgrzeszyłem, zawołał powtórnie Saul, ale uczcijże mnie przynajmniej przed ludem moim, wróć się ze mną i złoż ofiarę.“ Uczynił zadość woli jego Samuel. Spełniwszy to wszystko, Samuel wrócił do domu; już nie zobaczył więcej Saula, ale płakał nad nim i modlił się za niego.

5. Dawid naznaczony na króla.

Kiedy Samuel ciągle nad błędami Saula płakał, usłyszał głos Boga w tych słowach: „Pókiż płakać będziesz Saula? jużem go odrzucił. Napełnij oto róg oliwą, idź do Betleem, po Izajego syna Obedę, a wnuka Booza i Ruty, upatrzyłem króla między synami jego.“ „Pójdę odrzekł Samuel, ale jak

Saul się dowie, zabije mnie.“ „Nie bój się, rzekł Pan, weźmiesz cielca ze stada swego i powiesz: przyszedłem ofiarować Bogu. Wezwiesz Izajego z rodziną na ofiarę, a ja cię nauczę, co masz czynić.“ Poszedł Samuel, i tak wszystko sprawił. Gdy stanął przed nimi Izai i stawiał mu siedmiu synów swoich, najdorodniejszego Eliaba uważał kapłan i mówił w sobie: „Czyż nie ten jest pomazańcem Pana?“ Ale Bóg mu rzekł: „Nie patrz na twarz, ani na wysokość wzrostu; nie według ludzkiego oka Bóg sądzi. Człowiek widzi co się pokazuje, a Bóg widzi serce.“ Poznał Samuel, że żaden z tych młodzieńców nie był przeznaczony na króla, zapytał się więc Izajego: „Czyż to wszyscy synowie twoi?“ „Mam jeszcze jednego, na imię mu Dawid: ale to młody dzieciak, owce w polu pasie.“ „Poślij po niego, zawołał Samuel, nie zasiądziemy do uczty, nim on nie przyjdzie.“ Przyszedł młody pastérz, miał jasne włosy, lat 15, wzrost mały, ale wdzięczne spojrzenie i twarz piękną. Poznał Samuel, że tego Bóg obrał na króla; wziął więc oliwę i pomazał nią Dawida. Od téj chwili duch Pański był z młodzieńcem, lecz opuścił zupełnie Saula, miotał nim gniew tak gwałtowny, iż go czasem namiętność do szaleństwa przywodziła; szukali więc po całej ziemi Izraelskiej takiego, któryby dobrze grał na arfie. Posiadał dar ten Dawid i posłano po niego do ojca. Ojciec zezwolił chętnie, dał mu kilka chlebów, łagwicę wina i młode kozłę, żeby ofiarował królowi. Saul przyjął te ofiary, polubił bardzo Dawida i giermkiem swoim go uczynił. A ile razy gniew szalony napadał króla, Dawid brał arfę, grał na niej, ochładzał się Saul i lżej mu było.

6. Bitwa Dawida z Goliatem.

Kiedy z Saulem tak się działo, Filistyni zebrali wielkie wojsko i wydali wojnę Izraelitom. Chęć obrony kraju i ludu, przywróciła zmysły Saulowi; zebrał co tylko mógł żołnierzy, stanął na ich czele i poszedł; Dawida jako bardzo młodego odesłał do ojca, a sam z wojskiem stanął naprzeciwko Filistynów obozu; mała tylko dzieliła ich dolina, i obadwa wojska patrzyły na siebie czekając zaczepki. Wtém wystąpił z obozu Filistyńskiego człowiek, imieniem Goliat; był nadzwyczajnego wzrostu i siły niezmiernéj. Przyłbicę miedzianą miał na głowie, okry-

wał go pancerz łuszczaty, zastawiał się puklerzem, nosił miecz za pasem i ogromny oszczep w ręku. Ten człowiek straszliwy stanął w dolinie i wołał do Izraelitów: „Czemuście wyszli w tak wielkiej liczbie? Obierzcie lepiej jednego człowieka, niech wyjdzie ze mną na pojedynek, jeśli mnie pokona i zabije, będziemy niewolnikami waszymi, jeżeli ja go przemożę i zabiję, wy nam służyć musicie.“ Mówił jedynie tak dla urągania wojsku izraelskiemu, bo wiedział dobrze, że nie mają równego jemu. Wychodził tak przez dni 40, rano i wieczór i powtarzał urągania swoje, a żołnierze Saula ledwie patrzeć na niego śmieli. Lecz Bóg gotował mu zwycięzcę. Trzech braci Dawida było w wojsku: ojciec niespokojny o nich powiedział Dawidowi, który pasł trzody: „Weź 10 serów dla rotmistrza i 10 chlebów dla braci, pójdz do obozu i pytaj się, jak się dzieciom moim powodzi.“ Poszedł Dawid. Chociaż Saul obiecał był ubogacić tego, któryby Goliata zwyciężył, uwolnić dom jego od podatków, dać mu własną córkę za żonę, nikt nie chciał z olbrzymem się mierzyć, i król zniecierpliwiony już wojsko swoje szykował do bitwy. W tę właśnie chwilę przyszedł Dawid i przy nim wystąpił raz jeszcze Goliat i urągał Izraelitom. Na ten widok podniosła się dusza Dawida i zawołał: „Ja zabiję tego człowieka, ja odejmę hańbę tę od Izraela.“ Śmieli się z niego bracia; ale słowa jego doszły do króla i kazał mu stanąć przed sobą. Dawid stanął i powiedział: „Niech nie upada serce niczyje, ja pójdę i spotkam się z tym Filistynem.“ „Nie podołasz, zawołał król, tyś mały i młodzieńczyk, tamten mąż ogromny i dojrzały.“ — „Pasał sługa twój,“ odpowiedział na to Dawid, trzody ojca swego; przyszedł lew albo niedźwiedź i porwał barana, goniłem go i wydzieralem mu zdobycz z paszczęki. Rzucił się na mnie, ujmowałem go za gardło i dusiłem w ręku. Tak będzie i z tym Filistynem; Bóg który mnie wyrwał z paszczęki lwa i niedźwiedzia, z rąk jego wyrwać mnie potrafi.“ „Idź więc, zawołał król, niech Bóg będzie z tobą.“ To mówiąc obłókł go we własne suknie, włożył hełm na głowę jego, okrył go pancerzem, i miecz swój do boku mu przypasał. Tak ubrany Dawid zaczął próbować, czy będzie mógł zbrojno chodzić, bo nie miał zwyczaju takiego ubioru; ale spróbowałszy powiedział do króla: „Nie mogę.“ Zdjął więc suknie i zbroje, i został w pasterkiej odzieży; wziął kij, procę i pięć kamyków z potoka, włożył je do torby i tak wyszedł przeciw Goliatowi. Olbrzym spoj-

rzął na niego z góry i powiedział: „Czyż ja pies, że na mnie z kijem wychodzisz?“ Przeklinał go przez bogi swoje i mówił jeszcze: „Chodź sam, wydam ciało twoje ptastwu i robakom.“ — Nie uląkł się Dawid i rzekł śmiało: „Ty idziesz do mnie z mieczem, z oszczepem, z puklerzem, a ja idę do ciebie w imię Boga; wyda cię Bóg w ręce moje, zabiję cię, utnę głowę twoją, a ciała Filistynów oddam ptastwu i robactwu, żeby widziała ziemia, że jest Bóg w Izraelu!“ Usłyszawszy te słowa Filistyn zbliżył się z zajądłością ku Dawidowi; pospieszył i młodzieniec, podbiegł ku niemu, a wyjąwszy kamyk z torby, rzucił go z procy; utkwiał kamyk w skroni Goliata, wzrok mu się zaćmił, i padł olbrzym twarzą na ziemię. Widząc to Dawid, przybiegł, stanął nad nim, a nie mając miecza, własne Goliata żelazo wyjął mu z za pasa, i uciął mu głowę. Obaczywszy Filistyni, że poległ z nich najmocniejszy, uciekać zaczęli; gonili ich Izraelici wydając okrzyki radosne, zabijając wielu, i odpędzili ich aż za granice swoje, a wróciwszy zabrali obóz.

7. Zwycięstwa i prześladowanie Dawida.

Gdy Dawid, zabiwszy Goliata, stanął przed Saulem z głową jego, dziękował mu król i kazał mu już na zawsze zostać przy sobie. Był wtedy obok Saula syn jego najstarszy, waleczny Jonata, widział odwagę Dawida, podobał mu się i pokochał młodzieńca, jakby duszę swoją. Według zwyczajów tamtych wieków, uczynił z nim przyjaźni przymierze; zdjął z siebie suknie, zbroje dał Dawidowi; odtąd nieodstępni byli, i braćmi broni się zwali. Saul posyłał Dawida na różne wojny, stawiał go na czele wojsk, a on wszędzie sprawił się dzielnie i kochany był bardzo od ludu i żołnierzy. Przyszło nawet do tego, że go przekładać zaczęto nad Saula; a kiedy wjeżdżał do jakiego miasta, lud wołał i śpiewał: „Poraził Saul 1,000 nieprzyjaciół, a Dawid 10,000.“ Usłyszał to król, obudziła się w nim zazdrość i znowu duch szaleństwa i gniewu miotać nim zaczął. Niemilem okiem patrzył na młodzieńca, a gdy ten jak dawniej graniem na arfie chciał go ukołysać i złagodzić, poruszał jeszcze gorzej namiętność jego; i tak raz porwawszy oszczep, Saul chciał zabić Dawida. Uciekł Dawid, a król bojąc się samego siebie, oddalił go od swjej osoby, uczynił wodzem nad tysiącem żołnierzy, i bić mu się kazał z Filistynami. „Jak wrócisz zwycięzcą,

powiedział mu, dam ci córkę moją Merob, jakom przyrzekł uczynić pogromcy Goliata.“ Dawid poszedł na wojnę i zwyciężył, a Saul dał córkę komu innemu.

Nie zmartwił się tém młodzieniec; bo drugą córkę Saula Michol, bardzo kochał. Dowiedziawszy się o tém Saul powiedział mu: „Przynies mi sto głów filistyńskich, a dam ci Michol za żonę.“

Dawid przyniósł ich dwieście, i Saul choć niechętnie musiał go przyjmując za zięcia. Ale pomimo tego znienawidził go jeszcze mocniej; i razu jednego powiedział sługom swoim: „zabijcie Dawida.“ Usłyszał to Jonata; zląkł się o przyjaciela, namówił go, żeby się ukrył, a ojca przebłagał łagodnymi słowy. Przysiągł Saul na imię Boga, że zięciowi krzywdy nie zrobi, ale gdy Dawid wrócił, wnet złamał przysięgę. Dawid grał przed nim na arfie, on porwał oszczep i cisnął za nim; uchylił się i tym razem młodzieniec, a oszczep utkwiał w ścianie. Dawid schronił się do domu swego, Saul kazał go w nim otoczyć i zabić; ale Michol wypuściła męża oknem, i uciekł do sędziwego Samuela. I tam ścigał go Saul: dwa razy posyłał żołnierzy, żeby go zabili, lecz oni zawsze trwogą zdjęci uczynić tego nie mogli; nareszcie poszedł sam, ale i jego bojaźń wzięła i dopełnić téj zbrodni nie śmiał. Nie ufając mu jednak Dawid, umówiwszy się z Jonatą, uciekł dalej jeszcze, tułał się po różnych miejscach i u swoich i u obcych; raz szalonego udawać musiał, żeby nie być poznany, nareszcie skrył się do jednej jaskini Odolam zwanéj; tam zaczęło się schodzić do niego wielu Izraelitów, gdyż po całym kraju sławnym się uczynił; wkrótce zebrało się koło niego jakby wojsko; trzydziestu z tych żołnierzy miał zawsze Dawid koło siebie i przezwiał ich mocarzami swymi, w ich liczbie byli trzej synowie siostry jego Sarwii: Joab, Abizai, i Azael. Tém wojskiem pobił Dawid nieraz Filistynów i byłby ich gnębił częściej, gdyby sam ścigany, prześladowany od Saula, nie musiał być myśleć o sobie i coraz innego szukać schronienia.

II. Nauki i Obrazy.

I. Miłość synowska.

Matki mojej wcale nie pamiętam, miałem lat 5, gdy mnie odumarała. Jedyna scena, która z lat dziecinnych w pamięci

utkwiała, jest pogrzeb méj matki. W późniejszych latach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci matki powiadały, co najwięcej lubiłem słuchać i im jedynie winienem to przywiązanie dotąd z serca mego niewygasłe. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej młodości mojej, zawsze się do niej, jako do patronki modliłem. Po długiej chorobie już zaczęła przychodzić do siebie, a na jęj imieniny zjechali się dość liczni sąsiedzi z powinszowaniem imienin i odzyskanego zdrowia; była wesołą i trudniła się wygodą gości, a w wieczór na godzinę tylko oddaliwszy się do łóżka, nagle umarła. Miałem jeden sen o niej, który na długo pozostał mi pamiętnym. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze w ubiorze, w jakim w trumnie złożoną była, wśród tłumu podobnych jęj bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a równie jęj uściski jak niewiast ją otaczających, dziwną mnie upoiły rozkoszą, gdy nagle grzmiący głos od ołtarza. *Requiescat in pace*, który wiecznie brzmi w mych uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem w nocy przy świetle księżycy do cieniów mojej matki elegiją, którą mój brat Andrzej pochwalał. Nie wiem, czy kto choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł ode mnie, co to jest matka. Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętém. Widok moich współuczniów przy matkach napełniał mnie rzewném uczuciem. Nie mogłem utulić się w żalu, cisnącym się w moje serce, gdy widział pieśczęty macierzyńskie zlewane na mych współuczniów. Uważałem synów mających matki, choć daleko uboższych ode mnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia przeznaczone istoty, kochałem ich więcéj dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mnie kosztowało, gdy widział dzieci od matek pieśczone. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale je łatwo pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał, co to uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i czułem, że zasługuję na miłość, ale do późnych lat nie doznałem téj słodyczy. Być pozbawionym matki, która jedynie wychowanie serca dać może; nie mieć zgoła istoty, przed którą możnaby się szczerze ze swemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co mi nadało owo uczucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi.

K. Brodziński.

2. O powinnościach uczniów względem nauczycieli.

Jakiś dawny filozof wszystkie powinności ucznia względem nauczyciela, zamknął w tych krótkich wyrazach: niech go miłuje! Ja zupełnie tegoż zdania jestem; bo któż nie wie, że dług serca jedno tylko serce wypłacić potrafi? a jakież dług wyrażniej na sercu zapisanym być powinien od tego, który każdy młody zaciąga względem nauczycieli swoich? Na cóżby mu się przydały największe bogactwa, najrzadsze zdolności? Nikt moralnego światła nie kupi, a zdolności najrzadsze potrzebują uprawy. Orłowski (*) rysował węglem po ścianie, i na tej blachej igrasze byłby zmarniał talent jego, gdyby dobroczynna ręka nie była mu dała nauczycieli. Cóż jest dziecię zostawione samemu sobie obok tego, które światły mistrz prowadzi? To, czém ziemia odłogiem leżąca obok starannie uprawnej. Ale ta uprawa jakże wiele pracy kosztuje? i jakążby to było zbrodnią, niewdzięcznością ją odpłacać! Kiedyć nieczuła ziemia tak hojnie odpowiada zabiegom rolnika i rzucone w nią ziarno obfity mu plon niesie; mogłoby tkliwe dziecię same osty i ciernie podawać tej ręce, która je hoduje i strzeże? A ta pamięć, która chowa tyle słów obcych języków, tyle wypadków historycznych, tyle rozlicznych wiadomości, miałaby tylko wdzięczności miejsca odmówić? Ach nie! nie mogę o wszystkich dzieciach tak złego przypuścić mniemania: wiem, że każde z nich, jeśli tylko cokolwiek tkliwe ma serce, nauczycielom swoim jest wdzięczne, ocenić umie zabiegi ich i prace, bądź ich ma w osobie rodziców, bądź w obcych. Ale chcąc tę wdzięczność tak słuszną i tak konieczną okazać i przekonać o niej, wiecie lubie dzieci, co wam czynić wypada? Oto miłować z duszy i serca nauczycieli waszych. Dziś ich nauki, rady i napomnienia zdają się wam może nudne, zbyteczne, surowe; zmienicie zdanie, gdy was czas latami i rozsądkiem z bogaci; wtedy wspomniawszy na wiek dziecinny, na złe nałogi, którym dobroczynna ręka wkorzenił w was się nie dała, na umiejętności, których nabycie najtrudniej wam przyszło, błogosławić będziecie tych, na których narzekać macie teraz niekiedy ochotę.

(*) Sławny malarz, który długo bawił w Petersburgu, i tam umarł.

3. O pracy.

Praca jest jedną z pierwszych powinności naszych, praca konieczną dla człowieka potrzebą, praca jest przeznaczeniem naszym. Pracowita pszczołka, skrzętna mrówka, całe przyrodzenie, układ towarzystwa tej prawdy nas uczą. Nikt od pracy nie jest wolny; król na tronie, oracz przy pługu pracuje, i często niewiadomo, którego większe są trudy! W pracy jedyny jest sposób wypłacenia się Bogu, rodzicom, rządowi; do pracy zawczasu wprawiać się należy. O wy, dzieci drogie! które dopiero wstępujecie w zawód życia, wielka jest przed wami przestrzeń, ale też i wielkie czekają was obowiązki. Krótkość dni waszych, sił słabość jeszcze wam nie dozwoliły prawdziwej oddać się pracy, a już wpisane do niej jesteście samém powołaniem człowieka i samą wdzięcznością. Tak! już tyle osób dla was pracowało i pracuje! Od chwili urodzenia się waszego, matka was karmi, strzeże i pielęgnuje, ojciec wszystkich potrzeb dostarcza, żebyście miały co jeść, gdzie mieszkać, w czém chodzić; rolnik ziemię potem zlewa, rzemieślnicy rąk i zabiegów nie szczędzą; ludzie uczeni dni i nocy trawia, chcąc wam potrzebnych nauk udzielić; jesteście więc celem pilnej pracy, tysiącznych starań; a wy, cóżeście dotąd dla kogo uczyniły? Lecz nie troszczcie się, stoi dla was całe życie otworém; możecie dopełnić tej szlachetnej powinności; możecie się wypłacić hojnie z zaciągniętego długu. Wprawiajcie się tylko do pracy, miłujcie ją; dopełniajcie z upodobaniem obowiązków, jakie na was rodzice, i nauczyciele wkładają, przewycięzajcie lenistwo, unikajcie próżniactwa. Niech każde z was wstaje rano; niech się stara, ażeby żadna chwila w dniu całym marnie mu nie zesła: odbywszy zatrudnienia swoje, niech szuka wytchnienia i spoczynku w przyzwoitej zabawie, nie zaś w gnuśnej bezczynności. Żałujcie dziecka, które z przymusem do nauki idzie, a odbywszy jakąkolwiek zadaną sobie pracę, siedzi w kącie z założonemi rękami, lub wśród dnia drzymie, marnuje życie, nudzi się; nigdy prawdziwie człowiekiem nie będzie, nigdy się nie wypłaci Bogu, rodzicom, rządowi, nigdy na piękne nie zasłuży imię. Wy zaś sposobiać się już teraz do pracy, pokochajcie ją zawczasu; a skoro was lata wiekiem i siłą z bogacą, oddacie z rozkoszą serca odebrane od rodziców dary i łaski; podacie im rękę pomocną w starości,

przyczynicie się do szczęścia ogółu, a wypłaciwszy dług wasz, staniecie po zasługi przed Stwórcą.

4. Dzień przed śmiercią.

Mędrzec jeden powiada: Żałujcie za grzechy na jeden dzień przed śmiercią; ale któryżto jest dzień?

Król pewien wezwał sługi swoje na wielką ucztę; lecz nie powiedział im godziny, kiedy się ucztą zacznie. Mądrzy gotowali się i ubierali w ochędźne szaty, mówili albowiem: w domu królewskim na niczem nie zbywa, ucztą co chwila rozpoczynając się może i zawołają nas. Głupi zaś słudzy rozpierzchli się i rzekli: nie tak rychło ucztą będzie, i nim nas zawołają, będziemy mieli dosyć czasu przygotować się i ubrać przystojnie. Nagle przywołano ich: ubrani zasiedli do uczt, głupich odpędzono; z własnej winy nie dostąpili zaszczytu. Salomon mówi: niechaj suknie twe zawsze będą białe, jako i śmiertelne suknie twe białe są; bądź gotów i ubieraj się w nie co dzień. Bądź mędrce na jeden dzień przed śmiercią.

5. Nowy Rok.

Podczas zimnej nocy pierwszego dnia roku, Aleksy, starzec siedmdziesięcio letni siedział w oknie, smutne oczy raz wlepiał w niebo okryte gwiazdami, drugi raz spuszczał na ziemię. Grób jego odmykać się zaczynał; już zeszedł siedmdziesiąt stopni, a w miejscu uspokojenia i lubych wspomnień, dźwigał srogą pamięć błędów i ciężar zgryzoty. Zdrowie jego zniszczone, dusza skołatana była, serce przepełnione żalem, wiek sędziwy zatruty goryczą. Dni spłynionej młodości stanęły mu nagle przed oczyma. Wspomnił na tę ważną chwilę, kiedy mu ojciec dał do wyboru dwie drogi. Jedna z nich mówił, prowadzi do krainy szczęścia i pokoju, druga wiedzie do ciemnej i ponurzej pieczary, gdzie gady jadowite pełzają. Niestety! węże serce jego ujęły, trucizna skaziła usta, wiedział już teraz, którą obrał drogę. Wzniósł znowu oczy do nieba i zawołał z boleścią: o powróćcie dni młodości mojej. Ojcze, postaw mnie znowu na rozdrożu życia, ażebym wybrał inaczej, ale młodość już uleciała, a ojciec oddawna nie żył. Ujrzał dwa błędne ognie, powstały z bagnistej doliny i uciekły, a on rzekł:

takie były dni obłąkań moich. Zobaczył gwiazdę spadającą; leciała i znikła w przestrzeni. Tak ja z świata tego zniknę! zawołał, a wyrzutów sumienia ostrze przeszło wskroś serca jego! Wtedy ogarnął myślą wszystkich rówieśników swoich, którzy z nim razem dziećmi i młodymi byli, a teraz dobrzy obywatele, ojcowie przykładni, miłośnicy wiary i cnoty, spokojnie i bez uronienia łyż kończyli rok jeden, drugi zaczynali. Wtém odgłos dzwonów zwiastujący nowy postęp czasu obił się o jego uszy. Odgłos ten przypomniął mu rodziców, przypomniął mu prośby, które niegdyś za syna w takowej chwili nieśli do Boga, przestrogi, jakie mu dawali; prośby, których stał się niegodnym, przestrogi z których nie korzystał! Przywaloony ciężarem żalu i wstydu, nie mógł już patrzeć dłużej w to niebo, gdzie mieszkał ojciec jego: spuścił oczy, rzuciły się z nich łyż rzesiste, głuche westchnienie dobyło się z serca i zawołał raz jeszcze: Powróć, luba młodości! ach powróć!

I młodość wróciła! bo to wszystko snem było przykrym, który dręczył Aleksego pierwszej nocy Nowego Roku. Był w samym kwiecie wieku, starość była marzeniem, ale błędy istotną prawdą. Obudziwszy się, powstał z łoża, padł na kolana, podziękował Bogu, że mógł jeszcze porzucić drogę występku, wyjść z ciemnej pieczary, wrócić na drogę cnoty i dojść do krainy szczęścia i pokoju. Powrócił i doszedł. Wróćcie się wraz z nim młodzi czytelnicy, jeśliście jak on zbłądzili. Ten sen Aleksego kiedyś sędzią waszym będzie; bo gdy później przyciśnieni żalem i zgryzotą zawołacie: powróć luba młodości! ach powróć! — młodość nie powróci.

6. Boduena gorliwość i pokora.

Brzmiała Warszawa zbytiami, a wśród rozpusty głuche było jęczenie ubóstwa i sierot. Słyszał je tylko ubogi kapłan Boduę (Baudouin) i poraz pierwszy uczuł swój niedostatek, bo widział dzieci rodziców, którzy nie pomarli, ale w rozpustach zatwardzili swe serca. Dom więc jego był domem sierot, ale za możność nie odpowiadała cnotliwym chęciom. Ośmielił się więc wyjść na miasto i błagać litości. Mijał bogate pałace, bo tam tylko wesoły głos był słuchany; zebrał między uboższymi i był przyjmowany według możności. Ale widział, że ci ledwie własne dziaćki żywili. „Ci już (mówił) dopełniają miłej powin-

ności dla dzieci i płacą smutne daniny dla zbytkujących.“ Wziąwszy więc Boga na pomoc, zaczął chodzić po pałacach, znosząc pogardę i żarty dowcipnych dworzan. I widzi przed jednym gmachem pyszne pojazdy, hajduków i złotem strojnych pachołków; goreją w oknach rzęsiste światła, brzmia okrzyki i wesoła muzyka. Wchodzi, pomija tłumy zabawą zajęte i widzi na jednej sali stoliki pełne złota, które los karty z rąk do rąk przeznacza i rzekł w sercu swoim: „o biedne, biedne sieroty moje!“ I zbliża się do tego, przed którym najwięcej złota; ale nie wiedział, że karta nieszczęśliwa połowę tego złota ujęła. Ze drżeniem przemawia pokorne słowo, ale nie był słyszany. Mówi powtórę, ale widzi, że nie chciano go słyszeć. „Małą częśćkę dla sierot!“ ozwał się głośnie. Ale zapamiętały gniew ogarnął grającego i policzkiem znieważył cnotliwego kapłana! On zaś rzekł: „To dla mnie, a cóż dla sierot?“ Dopiero znieważony teraz wyższym był nad wszystkich; zdumieli się wszyscy i z miejsc powstali. Rzuca mu się na szyję ten, co go tak ciężko obraził i srebrną tacę ze wszystkim złotem oddaje; za nim wszyscy dorzucają swe złoto; ze czcią odprowadzony kapłan niesie skarb sierotom, oblewając go łzami radości. — I był Boduę w wielkiej czci u wszystkich, znosili mu dary tak liczne, że wystawił wspaśniały dom dla sierot, które co rano za duszę jego ręce wznoszą do Boga. Działo się to za panowania Augusta III.

7. Karpiński.

(z własnych wspomnień).

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii, przyjechałem na wakacje do rodziców; mieliśmy zawsze jak największe dla matki, a szczególnie dla groźnego ojca uszanowanie. Nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko, i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimś rozmawiając, wszystkie te wyżej wspomniane ostrożności względem ojca zachowałem, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi wyciął policzek, i znowu po izbie, jak przedtem, przechadzał się. Kryminałem było spytać się, za co to? W milczeniu skromnym, z oczyma w ziemię spuszczone, czekałem końca.—

Wtem ojciec mój rzucił mi się na szyję, i mówić ze łzami zaczął: „synu mój, ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof. Doświadczałem cię tylko jak też przyjmiesz policzek od ojca twego; ale kiedyś skromny i pokorny, kiedy mnie w starości szanujesz (wtem ukląkł w pośrodku izby i podniósłszy rękę do góry): o Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba, rzekł, pobłogosław to dziecko moje, niech żyje długo zdrowo i szczęśliwie!“

8. Szlachetna oszczędność.

Przypominam sobie opowiadanie jednego Anglika. Zbieraliśmy, powiada, składkę na pewien zakład dobroczynny. Koleją przychodzimy do drzwi starego krawca, który właśnie strofował swoją kucharkę, że spaliwszy jeden koniec siarczyka, drugi rzuciła do śmieci. Wysłuchawszy tych napomnień, byliśmy pewni, że stary skąpiec nie da nam szeląga. Kończąc atoli do drzwi: otworzył i uprzejmie nas prosił do izby. Była czysta, sprzęty same tylko potrzebne, karafka wody stała na stole; wszystko nam zapowiadało, że stary skąpiec uprzejmość swoją zakończy gniewem i wygnaniem gości. Jednakże odważyliśmy się podać mu plan naszego zamiaru i regestr podpisów. Nie marszcząc czoła, przejrzał papiery i z najspokojniejszą miną, wyjąwszy z kufra worek, odliczył nam 500 funtów szterlingów (1,000 dukatów w złocie). Zdumieni tą nadzwyczajną hojnością wyznaliśmy mu nasze zadziwienie tém większe, żeśmy słyszeli jak strofował służącą o jeden koniec siarczyka czyli zapałki. Widzicie, moi panowie, odpowiedział z uśmiechem, że gdybym nie dbał o wartość jednego siarczyka, nie miałbym teraz tej rozkoszy, jaką czuję w przyczynieniu się do powszechnego dobra.

9. O języku Francuzkim.

Że bez ćwiczenia się w języku ojczystym kwitnąć nauki nie mogą, dowodem tego są państwa, gdzie nauki się zaczęły, gdzie rosły, gdzie się rozmnażały i długo trwały. Do zaszczerpienia tedy nauk najpierwszą potrzebą jest doskonałość języka ojczystego, bo język do nich tak jest potrzebny, jak ręka do rzemiosła. A jako nierozsądną byłoby rzeczą, nie swoją ręką

Wypisy Polskie.



ką chcieć grać, pisać, ale cudzą lub przyprawioną; nierozsądkiem nie swojemi zębami jeść, ani swojemi nogami chodzić, ale przyprawionemi: tak równie nierozsądek, nie w swoim ale w obcym języku nauk szukać. Uczyc się języka obcego, aby rozumieć książki w tym języku wydane, nie jest rzeczą naganną: ale podłością jest mówić obcym językiem dla tego, aby nas cudzoziemcy chwalili, albo żeby się pospólstwo dziwowało. Te narody, które zaniedbawszy swego języka, chwytają się obcych i niemi między sobą gadają, podobne są do niewdzięcznych synów, którzy matkę własną wyrzuciwszy z domu, przyjęli obcą jakąś niewiastę, i tę za matkę mają. Matka własna siedzi na folwarku między czeladzią, a owa gościnną niewiasta zasiada w pokojach między nami. Ona z nami u stołu siada, z nami wyjeżdża, z nami uczęszcza na wielkie biesiady i zgromadzenia, a wszyscy ją szanują, wszyscy jęj się kłaniają, a kto jęj nie zna, za prostaka i niegodnego towarzystwa szlacheckiego poczytany bywa; a gdy my tęg cudzég nadskakujemy, gdy ją między sobą za boginią mamy, jęj krewni i rodacy z boku na nas patrząc z nierozsądku naszego się natrzęsają, płochóć naszą palcem wytykają, widząc, jak własnéj wyparliśmy się matki, w jaką wypchnęliśmy ją poniewierkę.

10. Sposób nauczania Sokratesowego.

Za czasów Sokratesa młodzi Ateńczykowie, omamieni sławą Peryklesa, Temistoklesa i pełni bezrozumnej ambicji, przysłuchawszy się przez niejaki czas mądrości sofistów, którzy im obiecywali uczynić ich wielkimi politykami, rozumieli, że już do wszystkiego sposobnymi byli i najwyższych pragnęli godności. Jeden z nich nazwiskiem Glaukus, nie mając jeszcze lat 20-cia, tak się był zapalił żądzą kierowania sprawami rzeczypospolitej i zarobienia sobie na sławę, że ani przyjaciele, ani krewni wybić mu tego z głowy nie mogli. Jednemu tylko Sokratesowi, który go dla tego, iż był bratem Platona, kochał, udało się odwieść go od nierozumnego zamysłu. Spotkawszy się z nim jednego dnia, tak go swą rozmową zajął, że Glaukus pilnie jęj się przysłuchiwał. „To wasć masz chęć, mówił Sokrates, rzadzić rzeczpospolitą.“ Tak jest, odpowiedział młodzieniec. „Nie mogłeś lepszego sobie obrać zawodu, dodał Sokrates; bo jeśli się

wasć poszczęści, będziesz mógł być pożytecznym swym przyjaciółom, dom swój wzniesiesz, granice państwa rozszerzysz. Sława waszmości rozejdzie się po całej Grecji, a może być, że zajdzie aż do barbarzyńskich narodów.“—Taki pochlebny wstęp podobał się bardzo paniczowi, chętnie więc słuchał dalej. „Ponieważ waszmość pragniesz zjednać sobie znaczenie i chwałę, tedy rzecz jawna, że chcesz się stać rzeczypospolitęj użytecznym.“ Zapewne. „Proszę, powiedzże mi wasć pierwszą usługę, którą chcesz rzeczypospolitęj wyświadczyć?“ Gdy się Glaukus tęg zapytaniem zmieszany z odpowiedzią ociągał, rzekł Sokrates: „Bez wątpienia, chcesz się przyczynić do powiększenia dochodów, w celu z bogacenia kraju.“ Właśnie to powiedzieć chciałem. „To wasć znasz zapewne dokładnie wszystkie źródła dochodów rzeczypospolitej, abyś natychmiast potrafił, gdyby jedno ustało, drugie otworzyć?“ Dalibóg! odpowie Glaukus, żem jeszcze o tem nie pomyślał. „To mi waszmość wymień przynajmniej wydatki rzeczypospolitej, ponieważ, jak wiesz, ważna to jest rzecz ograniczyć zbyteczne.“ Przyznaję się, że i w tym względzie nie lepiej jestem oświecony, jak w pierwszym. „Trzeba nam tedy na późnięj odłożyć przedsięwzięcie z bogacenia rzeczypospolitej, kiedy wasć ani dochodów, ani rozchodów nie znasz.“ Ale przecie, rzekł Glaukus, jest jeszcze inny sposób, o którymś zamilczał; można wzmódz rzeczypospolitą zniszczeniem nieprzyjaciół. „To prawda, odpowiedział Sokrates, lecz do tego trzeba czuć się na siłach, gdyż inaczej własne moglibyśmy utracić. Ten tedy, co o podniesieniu wojny zamyśla, powinien znać dokładnie siły z jednéj i z drugiéj strony. A znasz tęg wasć potęgę naszej rzeczypospolitej na morzu i na lądzie jako tęg i naszych nieprzyjaciół? Bardzo mnie wasć ukontentujesz, jeżeli mi bliższéj w tęg mierze udzielisz wiadomości.“ Jeszczem jęj nie zasięgnął, odrzekł zawstydzony Glaukus. „Widać więc, odpowiedział Sokrates, że nie tak prędko będziemy mieli wojnę, jeżeli waszmości hetmaństwo polecą, bo wasć wiele się jeszcze poprzednio nauczyć musisz, nim będziesz mógł w pole wyruszyć.“ Znalazszy go i w innych rzeczach równie nieukiem: „A bój się wasć Boga! dodał Sokrates, jakże możesz się tak dalece zaślepić i pragnąć godności, któraby cię dla niedołężności twojéj do niesławy i hańby przywiódł!“ Glaukus korzystał z tęg lekcji, wziął się szczerze do nauk i niewprzód przystąpił do służenia rzeczypospolitej, aż się w nich należycie wydoskonalil.

II. O domowych i kobiecych zatrudnieniach.

(Z dzieła „Pamiętka po dobrej matce“ p. Klementynę z Tańskich Hofmanową).

Kto chce być spokojnym, wesołym, szczęśliwym, kto chce unikać nudów i zasłużyć na imię godnej szacunku i użytecznej istoty, ten niech zawsze będzie czynnym. Do ustawicznej pracy przeznaczył nas Stwórca: powinniśmy więc zbierać wszystkie nasze siły, chwytając z ochotą wszelkie sposobności zatrudnienia się, i pracować ile tylko możemy. Ludzie nie dopełniający tego powołania, marnują życie i ciężarem są ziemi.

Szkodliwy ów przesąd, że praca dla niższych jest stanów, i że hańbi tych, którzy bez niej obejść się nie mogą, już dawno ustał. Jak niegdyś nie tylko pierwsze rodem i zamożnością niewiasty, ale nawet księżne i królowe nie gardziły gospodarstwem i pospolitemi robotami, tak i teraz najbogatsze iść zaczynają za tym pięknym przykładem, i wkrótce zwyczaj ten chwalebny powszechnym się stanie.

Cóż więc zachwyca w dobrze urządzonym domu, jak młoda i wesoła gospodyni, czynna bez ustanku? Z upodobaniem wielkiem patrzymy na nią. Nad wszystkim czuwa baczne jej oko. Jest ona duszą całego domu, wzorem dla sąsiadów i służących, rozkoszą męża, ozdobą rodziny swojej, Bogu i ludziom przyjemna.

Czynność jest prawdziwem życiem człowieka, źródłem jego szczęścia. Nudy, ta najokropniejsza choroba w świecie, bo dręcząca duszę i ciało, opanuje cię, skoro tylko lenistwu i próżniactwu się poddasz. Nie poznasz jej zaś nigdy, jeśli zawsze zatrudnioną będziesz. Kiedy cię napadnie zły jaki humor, nieukontentowanie, przykrości nieochybne w tym życiu, zajmij się czem pilnie, a zatrudnienie wypędzi je od razu. Kiedy krew w twoich żyłach pomału płynąć zacznie, nadaj jej pracę ruch nowy. Chcesz zawsze być wesołą, zdrową? pracuj usilnie i z upodobaniem. Chcesz-li wtedy gdy ostatnia nadejdzie godzina, ze spokojnością na niknące obejrzeć się życie? poświęć je już teraz użytecznej pracy. Przy końcu dni naszych żadna myśl nie jest tak miłą, tak pocieszającą, jak to wspomnienie: „Pracowałam ile tylko w mocy mojej było — nie żyłam na próżno — żaden dzień, żadna godzina nie była zmarnowana.“

Ale żeby czynne i użyteczne prowadzić życie, trzeba zawczasu nawykać do pracy i umieć jej nadawać wdzięk nowości.

Niesmak wkrótce tego opanuje, kto zna mało rodzajów zatrudnienia. Kobięta, która domowymi zatrudnieniami i igłą nigdy się nie zabawia, choćby wiele światła posiadała, nie dopełni przeznaczenia swego, i często nudna sobie, drugim nudną będzie. Im więc w tej mierze zna i umie, tém godniejsza szacunku, tém jest szczęśliwsza. Inne zupełnie kobiet, inne mężczyzn powołanie. Mężczyzna, bardziej zgłębiający rzecz każdą, w towarzystwie dostatecznie jest zajęty potoczną rozmową, albo myślami swojemi. Kiedy doznaje jakiego fizycznego lub moralnego cierpienia, wśród książek zapomina o niem. Nie potrafi tego kobięta. Same uwagi, spostrzeżenia, nie mogą zająć słabszego jej umysłu. Nie ma ona tej wyższości rozumu nad sercem, nie ma tyle mocy duszy, żeby była w stanie w zmartwieciu lub słabości myśleć z zastanowieniem o czem innem. Cóż więc pocznie jeśli nie lubi roboty? Oto w towarzystwie zbyt wiele mówić albo obmawiać będzie: a skoro cierpienie jakie lub troski odejmą jej zwyczajną swobodę, dozna melancholii, nudów i niesmaku, lub zatopi się w czytaniu niepożytecznych książek.

Najpierw powiedzieć tu trzeba o wiadomościach i zatrudnieniach, nieodzownie do każdej kobiety należących, które i w jej wychowaniu powinny być miane na pierwszym względzie.

Każda powinna posiadać dobrze rachunki, znać się na kuchni, na wszystkich szczegółach gospodarskich; umieć przykroić suknię, uszyć, zrobić rzecz każdą. Nie małej dozna radości, kiedy w potrzebie będzie mogła zrobić sobie samą to, co inne kobiety z przyczyny nieumiejętności lub dla lenistwa, drugim powierzać muszą. Życie domowe jestto zawód cały, jaki Wszechmocny przeznaczył kobiecie. Szczęście ciche i spokojne, jedyny cel do którego dążyć powinna. Nie wypada jej oddawać się zupełnie światu albo naukom — u każdej igła pierwsze miejsce mieć powinna przed piórem lub pędzlem, rejestrowa książka przed nutami muzycznymi i dziełami uczonemi. Nie zgadza się wcale z powołaniem i ułożeniem kobiety, żeby wiecznie siedziała nad książką, albo bezustannie zajmowała się przedmiotem jakowegoś talentu. Były czasy, i szczęśliwemi je dotąd zowią, kiedy niewiasty jedynie domowymi cnotami i pracą rąk słynęły. Pocziwe prababki nasze ledwie że czytać umiały; zajmowały się szczególnie robotą ręczną, a przecież kwitnęła przy nich pomysłność i szczęście domowe. Zapewne, że w wieku tak oświe-

conym jak jest nasz, w którym i kobietom przyznają wyższe zdolności, smutnoby było zejść o kilka szczebli niżej, i wrócić do dawniej, niestosownej już może niewiadomości. Jednak i dzisiaj gdybym wiedziała, że ty dla tego, że umiesz kilka języków, grasz na fortepianie, śpiewasz, malujesz, miałabyś gardzić zatrudnieniami przyzwoitemi płci twojej, i jedynie książkom i kształceniu twoich talentów się oddawać, zezwoliłabym chętnie, abyś raczej zapomniała umiejętności, a nabrała ochoty do robót domowych i gospodarstwa. Mniej byłabym troskliwą o twoje postanowienie, mniej niespokojną o szczęście twoje. Z tym skarbem daleko łatwiejby ci było, niż z wielką nauką i świetnymi talentami, zostać podobną owój dzielnej niewieście, którą Pismo Święte chwali z tego najwięcej, że się zajmowała przemysłem rąk swoich.

Lecz rozsądek we wszystkim miarę zachować umie. Na wszystko czas znaleźć umie kobieta, która rano wstawszy, nie długo się ubiorem swoim zabawia, nie oddaje i nie przyjmuje niepotrzebnych odwiedzin, a i ubiega się za zabawami, i nie czyta próżniaczych książek. Chociaż trudnić się domem rodziców albo i własnym będziesz, możesz nie zaniedbywać przy tém swoich talentów, możesz pisać, grać, malować; uczynisz zadość wszystkiemu, jeśli unikać próżniactwa, a czasu dobrze używać zechcesz.

Żyjemy w czasach, gdzie największe odmiany nie wydają się nadzwyczajnymi — osoby wysokiego znaczenia i rodu, możne i blizkie tronu, widzieliśmy w nędzy i ubóstwie. Nikt na swój stan wysoki, urodzenie, majątek, spuszczać się zupełnie nie powinien; a w niedostatku, talenta mierniejsze i błache kobiety umiejętności nie na wiele się przydadzą. Służyć się nie chce, kiedy kto rozkazywać przywykł. Z pracy rąk tylko przyzwyczajenie utrzymać się można, a wszędzie zwłaszcza u nas, popłatniejsze są proste, a potrzebne do życia powszedniego roboty, niż niedoskonałe rysunki, lada jakie granie lub śpiewanie.

Miej więc jak największe upodobanie w domowych i kobiecych zatrudnieniach. Twój ubiór schludny i gustowny mało kosztować będzie, jeśli sama go sobie zrobić potrafisz. Nie doznasz nigdy nudów, melancholii, nie będziesz przykrą nikomu, skoro polubisz ręczne roboty.

12. List Krystyny do Anieli.

(Z pism Klem. z Tańskich Hofmanowej).

Żwawo zaczynają się wymieniać nasze listy, kochana Aniello! aż miło. Ledwoś odebrała mój list, zaraz napisałaś mi odpowiedź. Widać, że masz czasu dosyć. Ale jaki mi twardy dałaś orzech do zgryzienia! Od piątku dumam nad twoim listem. Moja Aniello, ty o mnie trzymasz za wiele — takie zaś wymyślić mi zadanie! Że mieszkam w stolicy, że widuję kilku ludzi światłych, że ich słucham pilnie i żywię się ich rozumem, już we mnie upatrujesz mistrzynią, i powiadasz, że obowiązkiem jest moim oświecać ciebie wieśniaczkę opuszczoną, nie tylko nauką, ale radami. Moja droga, wszystkie twoje piękne słówka nie znudziłyby mnie, aleś rzekła, że przyłożyć się mogę do twego szczęścia. Na takie wezwanie, nie tylko wziąć się do pióra, ale wszystkom zrobić gotowa. Powiem ci więc, jak tylko potrafię najlepiej, co myślę o tobie, i co uważam dla ciebie za pożyteczne...

Wpojone mam głęboko to przekonanie i wpoić bym je rada w ciebie: że każda kobieta, która się czuje na umysłowych siłach, powinna dla własnego szczęścia, a może nawet dla cnoty, mieć obok zatrudnień domowych i robót kobiecych, jakiś cel umysłowy w życiu, jakąś wyższą, zajmującą a użyteczną pracę. Zawsze mój ojciec powtarzał: „Nie będzie dobrze dzisiejszym kobietom, dopokąd nie będzie uznawaną za potrzebne rozwijać w wzrastającej panience jakąś szczególną do czegoś zdatność, któraby pielęgnowana troskliwie, mogła zostać w potrzebie jej wyłączną umiejętnością, czyli sposobem do życia, a tak zrobiła ją w jakimkolwiek bądź rodziła się stanie, przyjemną i użyteczną sobie i drugim — któraby wykazała, że tak powiem, owoc staranniejszej uprawy, ulepszonej natury, osłoniła ją od nudów, i odwróciła jej umysł od tej chęci zabaw, strojów, i od tej nienasyconej próżności, co tyle pleć niewieścią krzywdzi i szpeci.“

Kiedy owa zdatność okaże się do muzyki albo rysunku, a jest sposobność do rozwijania tego talentu, to dobrze. Jednak, ponieważ wogółności mało jest osób mających z natury prawdziwy talent bądź do muzyki, bądź do malarstwa; ponieważ najwięcej kobiet, nawet przy pracy, zostaje przy zupełnej mierności; ponieważ talenta wymagają koniecznie mieszkania

w mieście albo znacznego nakładu, i mają wielkie swoje niedogodności; nierównie jest łatwiej a nawet bezpiecniej, obrać sobie jaką naukową pracę. Takowa każdej z nas, młodej czy nie młodej, na wsi czy w mieście, majątniej czy ubogiej, powieść się może. A kiedy talenta, mianowicie śpiew, muzyka, starzeją się, a kto, dwadzieścia lat temu grał lub śpiewał pięknie, dziś przez młodszych z politowaniem jest słuchany — nauk staroświeckich nie ma; owszem, jak wino, z wiekiem nabierają ceny. Nie widzę nawet, coby młodej osobie przeszkadzać mogło do oddania się szczególniej jakiejkolwiek umiejętności, dla samej rozrywki, dla odmiany, dla wytchnienia i udoskonalenia swego — trzeba przecie mieć parę chwil w dniu całym dla samej siebie — przy dobrym rozkładzie godzin i rannem wstaniu, czas się znajdzie. Znajdzie się czas i do czytania i do pisania — idzie tylko o to, żeby temu czytaniu i pisaniu nadać cel użyteczny, wyłączny, a przede wszystkim, żeby sobie zabronić wszelkich dzieł próżnych i lekkich, z których nic dobrego wycisnąć się nie da. O! jak pięknie i prawdziwie nasz Skarga powiedział: „Gdy czas na próżnem czytaniu trawisz, jakbyś motyle w powietrzu chwycił: złapawszy, rzucić je musisz, bo ci jeszcze palce poplamia.“ Czyż dzieje świata, dzieje przyrodzenia, te dwa wielkie i niewyczerpane źródła nauki nie przedstawiają przygód i dziejów nierównie więcej zajmujących, niż owe fantazyjne powieści i romanse? Czyż nie jest grzechem zaprzętać młody umysł zmyśleniami, kiedy są prawdy tak wielkie i cudowne? Bardzo pojmuję, że gdy raz się smak zepsuje na owych literackich łakociach, proste i pożywniejsze pokarmy, nie podobają się i ciężą. Jednak i żołądek naprawić i umysł wzmocnić można — doznasz tego sama, ale chciej używać szczerze i stale mego lekarstwa. Zarzuć moja Anielko, wszelkie lekkie książki. Sama przyznajesz, że czytanie, jak dotąd czytałaś, nie zaspakaja cię i wcale ci nie służy. Wierzę temu — bo twoje romanse kłócą się z rzeczywistością. Czytaj więc tylko dobrze, uczące książki. Poważne dzieło tak łatwo połknąć się nie da; trzeba je czytać po mału, zgłębiać i odczytywać, chcąc żeby się obróciło w pożytek. Nie zapomnisz się, upewniam, przy takim czytaniu; owszem zatrudnienia domowe, roboty ręczne, przechadzka, będą ci odpoczynkiem po umysłowej pracy. Naznacz sobie w tém czytaniu jeden cel główny, według swego upodobania lub potrzeby, i powiedz sobie: Aby to jedno dobrze umieć muszę. Bo gdy

która z nas nie naznaczy sobie pewnego celu, nie ograniczy swego naukowego zawodu, nie nigdy dobrze nie umie. Ileż to młodych kobiet, co jak ty mają wolny czas i prawie co dzień przez parę godzin niby umysłowo są zajęte; ale na cóż się zda ta ich praca, jeśli rozkładu i ciągu w nich nie ma?

Potrzebna jest dla rozumu, prawie jak chleb dla ciała, jakaś praca ciągła, ważna, któraby zatrzymywała myśl naszą, lekka i do bujania gotowa, w podobieństwie, jak statek w miarę ładują, żeby go fale i wiatry nie unosiły — praca, dla którejby ochota była wstawać raniiej, pokończyć jak najprędzej domowe roboty, być samą, choćby najdłużej; nad którą dzień by zszedł prędko i mile, choćby też w tym dniu ani gości, ani żadnych zabaw nie było. Jak mnie usłuchasz Anielko, i jak się zajmiesz podobnie, dopiero poznasz, ile takie zatrudnienie ma wdzięku i korzyści. — Każda dobra książka, każda nowa wiadomość, każda poważniejsza rozmowa dorzuci coś do twoich skarbów — dzień każdy owoc swój przyniesie i pamiątkę zostawi. Będziesz miała zawsze jakąś myśl w głowie, jakieś żądanie, jakąś ciekawość — słowem, coś co cię zajmować będzie. A mieć szlachetne uczucie dla serca, mocne i użyteczne zajęcie dla umysłu, już ci potoczne szczęście gotowe. Nie wymagam, abyś ty wszystko tak wypełniała jak ja mówię, — obierz sobie choć małą częśćkę i wykonaj, a zobaczysz, że na tém wyjdiesz dobrze. Bądź zdrowa.

III. Opowiadania moralne.

I. Pleban i kmiotek.

Pobożny jednéj wioski pleban, przechadzając się po polu, napotkał młodego kmiotka. Kmiotek był zadumany, patrzył ze smutkiem na zagony. „Cóż ci to, moje dziecko?“ zapytał się go dobry pleban. „Trapię się i kłopotczę,“ odpowiedział chłopak; „mój jęczmień wschodzić nie chce.“ Próżne i niepotrzebne te troski,“ zawołał pleban. „Pocóż się martwić rzeczą, której zaradzić nie zdołasz? Żebyś tu cały dzień stał i dumał, czy dla tego jedno ziarno kiel wypuści? I mój jęczmień jeszcze nie zszedł, ale ja się tém nie trapię. Uprawilem dobrze rolę, wyczyściłem ją z zielska, wrzuciłem w nią czyste ziarno; resztę

zostawiam Bogu, bo zaorać i zasiać nędzny człowiek może, ale wzrost i plon w ręku jest nieba. My ludzie dopełniamy tylko tego, co do nas należy; wszystkie dalsze troski i owoce pracy naszej polecamy Bogu. On o nas pieczę mieć będzie, On nieudolność naszą zastąpi.“

Klem. z Tań. Hofmanowa.

2. Miłość prawdy.

Święty Jan Kanty, wracając raz do domu od choréj staruszki, przy której łożu, dopełniając powinności sługi bożego, udzielając religijnej pociechy, tak radą, jak modlitwą przyczynił się do powrócenia jéj zdrowia, wdzięczny Bogu za to, że mu dozwolił usłużyć bliżniemu, szedł do cichego swojego schronienia, odmawiając pacierze. Wieczór się zbliżał, kiedy znużony długą drogą kapłan, zboczył do lasu, by spocząć trochę, i przed skwarném jeszcze schronić się słońcem; alie zaledwie znikł mu z oczu gościniec, gdy kilku zbójców wypadłszy z gęstwiny otoczyło świętego męża, domagając się pieniędzy i grożąc mu śmiercią, jeżeli dobrowolnie nie odda im wszystkiego, co ma przy sobie.

„Śmierci się nie boję, odrzekł Jan spokojnie, bo ta jest w ręku Boga, lecz, aby was od zbrodni zabójstwa wstrzymać, oddaję chętnie wszystko, co posiadam.“

„Przysiąż nam, że nie masz nic więcej przy sobie,“ zawołali zbójcy.

„Bóg mi świadkiem, że to ostatek tego, co miałem.“

Nie nalegając dłużej, złoczyńcy uszli w zarośla, a Jan Św. szedł dalej drogą do domu, dziękując Bogu, że go wyrwał z niebezpieczeństwa, gdy nagle ściągnąwszy rękę do kieszeni spostrzegł z przerażeniem, że w niej jeszcze sztuka monety została.

Zmieszany, strwożony, że mimowolnie popełnił kłamstwo, wraca spiesźnie w stronę, w którą odbiegli zbójcy, i po długiem szukaniu znalazłszy miejsce ich spoczynku, rzecze do zdziwionych powrotem jego:

„Darujcie! skłamałem mimo chęci; oto jeden jeszcze pieniądz pozostał mi w kieszeni, weźcie go!“

Złoczyńcy zdziwieni taką miłością prawdy i cnoty, padli na kolana przed sługą bożym, i wracając mu zabraną sumkę,

prosili, by ją między ubogich rozdzielił, a czasem i za nich się pomodlił.

My zaś zachowajmy w sercu ten przykład, że zawsze i wszędzie względem Boga i ludzi, względem cnotliwych i występnych, w prawdzie i szczerości postępować należy, a jeżeli nam się kiedy choć mimowolnie z téj drogi zejść zdarzy, wracajmy na nią czempredzój, bo im dalej, tém trudniej, im później, tém gorzej.

Paulina Kraków.

3. Bławatki.

„Ach! gdybyto zagony samemi bławatkami były zasiane,“ wołały na przemiany Basia i Józia, idąc z matką przez pole, kołyszącém się żytem okryte; „jakby to przedziwnie było! Ja kiebyśmy miały przedziwne wieńce! A tak, mały tylko uzbierałyśmy pęczek; bławatków trochę, a tych utrapionych kłosów tyle!“ — „Dzieci! dzieci!“ odpowiedziała im matka, „jakże płochę to wasze żądanie! Czyż nie wiecie, że nie te kwiaty, z których nie ma użytku, ale kłosy są celem wszystkich rolnika zabiegów?“

Pole do życia przyrównać można, bławatki — do zabaw i igraszek, kłosy — do starania i pracy. Ktoby zabawom i igraszkom dni swoje poświęcił, byłby podobny temu, któryby wszystkie zagony bławatkami zasiał; czas jakiś zdawałby się widok powabny i wesoły, ale w chwili żniwa, nicby do zebrania nie było.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

4. Trzej przyjaciele.

Nie ufaj żadnemu przyjacielowi, póki go nie poznasz. Więcej ich jest przy obfitym stole, niżeli przy drzwiach wzięcia.

Jeden człowiek miał trzech przyjaciół; dwóch bardzo kochał, dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten najlepiej mu sprzyjał. Raz zawołany był do sądu, gdzie niewinnie, ale ciężko był oskarżonym. „Który z was,“ mówił, „pójdzie ze mną, by za mną świadczył, bo ciężko jestem obwiniony i król się gniewa.“

Piérwszy przyjaciel wymówił się zaraz, że pójść nie może, bo ma inne zatrudnienia. Drugi odprowadził go do drzwi sądowych, tu się odwrócił i odszedł, bał się bowiem sędziego. Trzeci, na którego najmniej rachował, wszedł za nim, mówił, i tak dowiódł jego niewinności, że sędzia nie tylko go puścił, ale i obdarzył.

Trzech przyjaciół ma człowiek na tym świecie. Jakże oni się zachowują w godzinę śmierci, kiedy go Bóg do sądu powoła? Piéniaż, jego najlepszy przyjaciel, opuści go najprzód i nie pójdzie za nim do grobu. Przyjaciele i krewni odprowadzą go do bramy śmierci i powrócą do swych domów. Trzecim przyjacielem, o którym najmniej w życiu pamiętał, są jego dobre czyny. One tylko pójdą za nim do tronu sędziego, one mówić będą za nim, wyproszą mu litość i łaskę.

Kaz. Brodziński.

5. Skowronek.

W końcu marca, kiedy już śniegi stopniały i ziemia zwolniała, kiedy już dobywać się zaczęła zielona trawka, kiedy śpiewał skowronek, orał pewien szczęśliwy starzec pole swoje i nucił pieśń poranną. Czerstwe było zdrowie jego i twarz wesoła, chociaż już siedmdziesiąt widział wiosnę i jak wszyscy ludzie różne przeżył koleje. Przyglądał mu się zdaleka pan tego pola, które on orał, który młody i bogaty, szczęśliwym być był powinien, przyglądał mu się i wzdychał. Nareszcie zapytał: „sędziwy starcze! odkryj mi tajemnicę twojego zdrowia i szczęścia.“ „Oto od poranku dni moich, odpowiedział zapytany, naśladowałem tę co tu widzisz *ptaszynę*; szukałem w roli mego pokarmu, szukałem go z pracą, a umysłem wzbijałem się w niebo.“

6. Strumyk.

W gorącym dniu sierpiewym, mała Zosia szukając ochłody, usiadła z matką nad brzegiem czystego strumyka. Patrzyła z upodobaniem na kamyczki leżące na dnie, na niebo, drzewa i kwiaty odbijające się w spokojnej i przezroczystej wodzie. Wtém wiatr powstał, zmieszał wodę, i znikły miłe obrazy. Zasmuciła się Zosia. „Niech ci ten widok nauką będzie,“ powiedziała matka, „*swój* obraz niechęcy widziałas. Pókiś czysta i spokojna, póty czytać w sercu twojem można, póty w niem

samo niebo się odbija; lecz skoro namietności, gniew, zazdrość, upór powstaną w twój duszy, zmiesza się spokojność twoja, przestaniesz być czystą, nadobną i miłą.“

7. Dwie jabłonie.

Jeden ogrodnik miał dwóch synów; rok tylko między nimi było różnicy. W maju darował obudwom po śliczném drzewie jabłoni. Jednego wzrostu, jednego gatunku, jednej czerstwości były oba te drzewa, i lubo stały na dwóch końcach przeciwnych ogrodu, oba zarówno okryte były kwiatem. „Synowie moi,“ rzekł do nich, „daję wam piękne i jednakowe dary; od was zależeć będzie piękność ich w jednakowym utrzymać stanie; ale ostrzegam, że bez pracy i starania tu się nie obejdzie.“ Starszy uważny i pilny, szczęśliwy z podarku ojca, umiał się z nim obchodzić. Obrął drzewo z robactwa, przywiązał je do pała, skopał w koło ziemię, żeby wilgoć łatwiej dochodziła, słowem, prawdziwym był opiekunem jego. Młodszy, płochy i niedbały, zapomniał zupełnie o swojej jabłoni, i dopiero w Październiku, gdy w całym ogrodzie do zbierania owoców się wzięto, przypomniał ją sobie. Pobiegł do drzewa, ale ani jednego jabłka nie zastał, lizski część owocu jeszcze w zawiązkach zjadły, resztę wiatr strącił. Zasmucony poszedł obejrzeć jabłoni brata i zdumiał się na jój widok. Drzewo znacznie się rozrosło, a jabłka piękne i duże zdaleka się czerwieniły. Rozgniewany i zazdrością zdjęty pobiegł z żalem do ojca: „Tato!“ zawołał, „jak mogłeś dać memu bratu takie śliczne i rodzajne drzewo, a mnie brzydkie i niepłodne.“ „Jednakowo was udarowałem,“ odpowiedział ojciec, „ale twój brat utrzymał i polepszył dar mój staraniem, a tyś go zniweczył niedbalstwem. *Jaka praca, taki zysk.* Jleż to razy podobne w życiu trafiają się zdarzenia! Rodzice dadzą dzieciom jednakie wychowanie, jednaki majątek, a dzieci nie jednakowy pożytek z tych darów odnoszą. Lecz czyjaż w tém wina?

8. Powietrze.

(z powieści ludu.)

przez K. W. Wójcickiego.

Siedział Rusin pod modrzewiem — słońce piekło jakby ogień. Patrzy, coś idzie — patrzy, to niewiasta. Cała pła-

chcą owinięta, na wysokich nogach chodzi. Złakł się zrazu, chciał uciekać: ale widmo długą ręką zatrzymało zlekniętego.

„Znasz powietrze? ja to jestem. Weź-że mnie na barki swoje i obnoś po całej Rusi. Nie pomijaj wioski, miasta, bo wszędy zawitać muszę. Ty nie lękaj się niczego, zdrowy będziesz wśród umarłych.“

I długie ręce powiesza na szyję biednego kmiecia. — Szedł więc Rusin; lecz zdziwiony, że ciężaru nie czuje. Spojrzy za się, ale widzi, że na barkach siedzi widmo.

Przyszedł najprzód do miasteczka. Po gospodach tańczono, wesołość na każdej twarzy. Ledwie zatrzymał się w rynku, niewiasta powiała płachtą—wnet ustały rzeźwe tany, i wesołość znikła z twarzy. Kędy spojrzy—strach i zgroza! — niosą trumny, biją w dzwony, cały cmentarz zapelniony—nie ma już gdzie grzebać ludzi!

Poszedł dalej Gdzie wieś przejdzie, tam zostają puste domy—z bladym licem, drżąc z bojaźni, uciekają zewsząd ludzie; a po drogach, lasach, polach, konający krzyczą w bólach.

Na wysokim wzgórzu stała wioska, kędy mieszkał wieśniak co nosił powietrze tam miał żonę, drobne dziatki i starych rodziców dwoje. Zakrwawiło mu się serce: więc okraża wioskę swoją—silnie pochwycił niewiastę, by mu z barków nie uciekła. Spojrzy—widzi Prut niebieski; za nim coraz wyższe stoją góry zielone, dalej czarne, aż najwyższe białe śniegiem. Spieszy prosto więc do rzeki—skacze, zanurza się cały, chcąc utopić i niewiastę, by ochronił od pomoru i od klęski Ruską ziemię... Sam utonął—lecz powietrze, co niesione nie ciążyło, i utonąć też nie mogło: przestraszone wszelako, uciekło w góry i lasy.

Tak ocalił sielanin swoją wioskę, rodziców, żonę i dziatki, i resztę téj Ruskiej ziemi, do której nie poniósł złej niewiasty.

9. Ojciec i syn.

„Widzisz ten kamień,“ rzekł raz ojciec do syna; „ileż on tu lat przetrwał, przecież zawsze jednaki: leży martwy, bez uczucia, bez wdzięku, i żadnego pożytku nie przynosi. Jak ci się zdaje; gdyby się nim zręczny zajął rzemieślnik, nie mogłoby z niego być wyobrazenie wielkiego meża, zachęcające do cnoty?“

„A prawda, tato,“ odpowiedział mały Broniś.

„Toż samo dzieje się i z wami, kochane dzieci,“ mówił dalej ojciec; „tę tylko widzę różnicę, że kamień czekać musi szczęśliwej pory, a wy ją przyspieszyć możecie. I wy z początku wieku waszego nie macie pięknych uczuć, nie umiecie myśleć. Dobre przykłady i nauki rozwijają zdolności i uczucia, ale niechże wam braknie na dobrych chęciach, niech się nie zajmie w sercu gorliwość, wtedy wszystko na próżno; wiecześnie, że tak rzekę, będziecie głazem. Dziełka, dla was ułożone, pomagają tylko waszym dobrym chęciom. Świętych obowiązków cnoty uczcie się w czynnym życiu z dobrych przykładów, a przestrogi, w książkach zawarte, niech wam je tylko przypominają. Wiadomości naukowe niech was zwolna do myślenia sposobią. Czytajcie z upodobaniem, zastanawiajcie się nad wszystkiem, i składajcie wszystko porządnie w pamięci swojej.“

Stanisław Jachowicz.

10. Głos sądu.

Onego czasu żył bogaty człowiek imieniem Chryzes. A był on mąż chciwy i twardego serca. I rozkazał sługom swym wypędzić z jednego z swych domów ubogą wdowę z dziećmi, albowiem nie mogła zapłacić rocznego czynszu. A gdy słudzy przyszli, rzekła biedna niewiasta: „poczekajcie jeszcze chwilę, może się zmiłuje pan wasz nade mną, pójdę doń i błagać go będę.“ I poszła biedna wdowa do bogatego człowieka z czworogiem małych dziatek, bowiem jedno było chore, a wszystkie zebrały miłosierdzia. Lecz Chryzes rzekł: „nie odmienię słowa mego, chyba, iż zapłacicie cały czynsz; inaczéj stanie się wedle rozkazu.“ A matka płakała gorzkimi łzami i mówiła: małe moje dziecko leży w domu w niemocy wielkiej, a jakżeż mogłam iść na zarobek, a opuścić je! i biedne sieroty błagały z łkaniem, by ich nie wypędzał z matką. Lecz Chryzes, człowiek bogaty, odwrócił od nich swe oblicze i poszedł do swego chłodka i siadł na wezgłowie, by odpoczywać, jako był zwyczaj jego po wszystkie dni. Obok chłodka zaś płynął strumień, a dzień był parny, a była cichość, jak przed burzą. I Chryzes słyszał, jak szeleściła trzcina nad strumieniem, a zdało mu się, iż leży na brzegu morza, którego fale zaczynają coraz gro-

źniej szumić, i zadrżał w swym chłodniku. I słuchał znowu, aż tu zagrzmiało zdala, a on usłyszał w tym grzmocie głos sądu. Wtenczas zerwał się, pośpieszył do domu i rozkazał sługom swym otworzyć znów dom wdowie i sierotom. Ale ona była już poszła z niemi do lasu, a nigdzie nie znaleźli jej słudzy. Tymczasem nadeszła burza, i pioruny biły i deszcz lał się w potokach. Chryzes zaś zasmucił się w sercu swym i chodził niespokojny. Nazajutrz donieśli mu słudzy, iż chore niemowlę znaleźli umarłe w lesie, a matki z drugimi znaleźć nie mogli. Na on czas zbrzydł mu ogród jego i chłodnik i wezwłowie, a żył w niepokoju i udręczeniu. A niedługo potem zapadł w ciężką niemoc, a w swój gorączce słyszał jeszcze szelest trzciny, szum potoku i głucho bicie gromu. I tak skończył. Zaprawdę powiadam wam: bądźcie miłosierni, jako Ojciec wasz w Niebie miłosiernym jest.

II. Kazimierz Wielki w kumach.

Każdemu odwiedzającemu starożytny kościół w Radomiu, wpada w oczy umieszczone po prawej stronie wielkiego ołtarza bardzo stare malowidło, wyobrażające jakowegoś króla z dziecięciem na ręku. Pytałem (opowiadał mi wracający właśnie ztamtąd przyjaciel), oprowadzającego mię kościelnego o znaczenie tego obrazu; ale nie więcej powiedzieć mi nie umiał, jak, że to jest Kazimierz Wielki. Zabrana jednak wkrótce znajomość z pewnym bardzo godnym zakonikiem, dała mi sposobność doowiedzenia się o znaczeniu tego.

Król ten, któremu potomność nienadaremnie szczytną nazwę *Wielkiego*, a stokroć szczytniejszą *króla chłopków* nadała, miał, jak tylu innych monarchów, zwyczaj, częstokroć przebrany udawać się między lud, i tam ocierając łzy, dając wsparcie, uczyć się poznawać swój naród, a wśród tego przekonywać się, co o jego rządzie myślano. Raz tak przebrany wszedł do wsi jednej, a udając znużonego, prosił o przytułek. Odziany był odarto, wszystko na nim nędzę okazywało; lecz to właśnie co powinno mu było zjednać litość, stawało się przyczyną powszechnego odmówienia. Rozgniewany taką nieczułością mieszkańców, gdy miał już ze wsi wychodzić, postrzegł dom, w którym nie był jeszcze: była to najuboższa i najmniej chata. Zbliżywszy się, zapukał lekko. Wieśniak wyszedł i zapytał

podróżnego, czego potrzebuje? „Umieram z głodu i utrudzenia“ odpowiedział król, czy nie chciałbyś mnie przyjąć na noc? — „Niestety! rzekł wieśniak, biorąc go za rękę, „bardzo ci tu mój człeku będzie niewygodnie, znajdujesz się w wielkim kłopotcie, moja żona jest chora, nie będziesz mógł spać spokojnie, lecz wejdź, bo w chacie przynajmniej nie doznasz zimna i zjesz z nami, co mamy. To powiedziawszy, wieśniak wprowadził króla do chaty pełnej dzieci. W jednej kolebce spało dwoje; dziewczyna trzyletnia spała na macie przy braciach, a dwie starsze: jedna siedmio, druga sześcioletnia, klęcząc, modliły się o zdrowie matki, która leżała w drugiej izdebce. „Zostańcie w tej izbie, mój przyjacielu,“ rzekł gospodarz do swego gościa, „pójdę, poszukam ci co na wieczerzę.“ Przyniósł wkrótce miodu przasnego, chleba czarnego i jaj. „Oto,“ rzekł, wszystko, co mamy. Jedzcie z memi córkami, a ja pójdę do swjej żony — Dobry wasz uczynek ku mnie, gospodarzu, bo-gdajby był dla was szczęścia przyczyną; tak jest, nie wątpię, że niebo nagrodzi twą litość.“ „Mój przyjacielu!“ odrzekł wieśniak. „Proś Boga o zdrowie mojej żony, ja tego tylko pragnę.“ „Jesteś więc szczęśliwym?“ — „A dlaczegożbym nim być nie miał? mam siedmioro dzieci, dobrze się chowających, żonę którą kocham, rodziców zdrowych, a moja praca wystarcza na wyżywienie nas wszystkich.“

Po tej rozmowie poszedł wieśniak do chorój żony, a w godzinę później syn mu się urodził. Dobry wieśniak ucieszony przyniósł dziecę królowi. „Oto ósme,“ rzecze, „niech je Bóg chowa tak zdrowo, jak i tamte. Patrzcie, jak wielkie i zdrowe!“ Król wzięwszy dziecę na ręce i wpatrując się w nie z przychylnym uśmiechem: „Znam się, rzekł, cokolwiek na fizyonomijach, to dziecę ma twarz szczęśliwą, przysięgłbym, że zrobi wam wielkie dostatki.“ Uśmiechnął się na tę uwagę poczciwy wieśniak, a odniósłszy dziecę, rozesłał na ziemi matę i wezwał gościa, by dzielił z nim to posłanie. Wkrótce wieśniak usnął mocno obok króla. Mały kaganek dawał słabe światło, a król, podniósłszy się, tkliwie przypatrywał się jemu i śpiącym dzieciom jego; głębokie w chatce panowało milczenie: „Co za spokojność musi być w duszy tego, gdy się tak maluje na twarzy,“ tak sam w sobie król przemawiał: „człowieku prosty i cnotliwy! jak ty śpisz smacznie na tej macie! zgryzoty, podejrzenia, zamiary wyniosłe nie mieszają tego spoczynku; twój

sen jest rozkoszą, bo jest snem niewinności. Podobne uwagi zajmowały króla noc całą. Skoro zadniało, wieśniak się obudził, a król żegnając się z nim: „powrócę do miasta,” rzekł, znam tam pewnego dobroczynnego człowieka, powiem mu wiele dobrego o was, i jestem pewny, że go nakłonię do trzymania waszego dziecka do chrztu, przeto mi przyrzeczcie, że poczekacie na mnie z obrządkiem; a ja tu najdalej do południa przybędę.” Wieśniak niebardzo polegał na tej obietnicy, przyrzekł to jednak na żądanie obcego, który śpiesznie odszedł.

Po upłynionym czasie umowy, gdy nikogo widać nie było, wieśniak z rodziną wybierał się do kościoła. Gdy już z domu wychodzili, usłyszano tętent koni i turkot pojazdów. Ujrzał drogę pełną karet, zawołał całą rodzinę, by wybiegła przypatrzyć się monarsze. Wszyscy stanęli, wiele pojazdów przejechało, nareszcie jeden stawa przed domem wieśniaka, otwiera się, a łatwo wyobrazić sobie, jakie lekkiego kmiotka przejmuje podziwienie, gdy z tego powozu wysiada w osobie królewskiej ubogi, wczoraj od niego przyjęty gość. „Obiecałem ci ojca chrzestnego,” rzecze dobrotliwy monarcha, „dotrzymuję więc słowa.” Daj mi dziecko i jedź ze mną do kościoła. Wieśniak skamieniały patrzył na króla, z bojaźnią pełną radości przyglądał się z podziwieniem bogatym jego szatom, kamieniom błyszczącym, które go okrywały i otaczającemu go świetnemu orszakowi. Trudno było wśród tego majestatu poznać tegoż samego nędzarza, z którym na jednej spał macie. Zaledwo rozkazem króla dał się nakłonić, by wsiadł z nim do karety, gdzie przez całą drogę wielce ubawionym był król pomieszaniem wieśniaka. „Wczoraj, rzecze do niego, dopełniłeś obowiązków religii i ludzkości, dziś ja przychodzę jako panujący, dopełnić swoich; to jest: nagrodzić cnotę. Zostawię cię w stanie twoim, któremu zaszczyt przynosisz, ale dam ci to, czego ci brakuje. Będziesz miał trzody, piękne sady i wygodną chatę, w której łatwiej ci będzie dopełniać obowiązków ludzkości i gościnności. Nakoniec biorę na swoje staranie dziecko, które się narodziło przy mnie, bo może przypominasz sobie,” dodał z uśmiechem, „com ci przepowiedział, iż ono będzie powodem szczęścia twojego.” Nie mógł na to nic odpowiedzieć wieśniak, tylko łzami podziękował monarsze. Król podobnie rozrzucony wziął dziecko na ręce i sam trzymał je podczas świętego obrządku, a nie chcąc pozbawić pokarmu matki, wrócił je po chrzcie wieśniakowi

z oświadczeniem, że weźmie je dopiero, gdy będzie od piersi odłączone.

Dotrzymał także tych przyrzeczeń: wziął na siebie staranie o wychowaniu dziecięcia w swym pałacu, zapewnił mu potem los przyszły, a dobrego wieśniaka obsypywał dobrodziejstwami aż do śmierci. Tém dziecięciem był Kazimierz Trzaska, później sławny kaznodzieja i kanonik Poznański.

12. Almanzor i Rustan.

(Szkola Polska).

Almanzor był między sąsiadami, jak ojciec między dziećmi swemi; bo jak ojciec dla dzieci, tak był Almanzor dobry dla sąsiadów swoich, a sąsiedzi kochali go, jak dzieci kochają swego ojca. Drzwi jego były otwarte dla każdego. Póki u niego chleba stało, póty we wsi głodu nie było.

Ale stało się, że Bóg zatrzymał deszcze, a od ciągłego upału role się spiekły: ziarno w ziemi zeschło się, żniw nie było. Po nieurodzeniu przyszedł ciężki głód na wszystkie rodziny. Dzieci patrząc na matki swe, z płaczem chleba wołały, a matki próżno wytrząsały swe naczynia, w których miewały zboże, i głodu dzieci swych zaspokoić nie mogły. Stroskane, tuląc dziecińcy zgłodniałe do łona swego, prosiły je, by jeszcze do jutra czekały. Inni uśmierzali głód żołądkiem, od czego puchnąć zaczęli. Dwaj przyjaciele najadłszy się żołądkiem, usiedli pod dębem, oczekując śmierci. Wykopali dół, patrząc smutno weń, i jeden drugiemu przyrzeka, że jeżeli przeżyje przyjaciela swego, w wykopanym dole go pochowa. Zgłodniałe ich dzieci rozbiegły się po lesie, szukając pożywienia. Za tą nędzą i głodem szło powietrze; zaraza morowa już słabszych zabierać poczęła.

Almanzor rozdał już wszystek chleb swój i wszystko zboże między braci swych, a zapasy ledwo mu już tylko na wyżywienie rodziny własnej starczyć mogły. Smutny, z oczami w ziemię spuszczone, szedł drogą z synem swoim Rustanem. Wtém głodny, na ziemi leżący człowiek, wyciąga ku niemu wychudłą rękę, i prosi na wpół umarłym głosem o pożywienie. Almanzorowe serce żalem się zalało, i pomyślał w duszy: mam różne sprzęty w domu, sprzedam je; resztę mego zboża podzielę między bliźnich, i pojedę w kraj cudzy, gdziebym za zebrane pie-

niądze mógł dostać chleba, a uchronię choć sto bliźnich moich od śmierci. Litością zdjęty Almanzor tak mówić zaczął do syna swego: „Rustanie, synu mój! Widzisz siwy włos na mej głowie. Żyję więc już dawno, a przecież jestem rzeźwy i lekarz nie powstał w domu moim. Bo przestawałem na małym; nie kłopotalem się zbyt; pokarmu i napoju używałem miernie; mówiłem zawsze prawdę; bałem się Boga, a błogosławieństwo boskie było nade mną. Powiedz mi synu, czy ci się serce nie ściska, kiedy patrzysz na tego człowieka z głodu umierającego? Trzeba, dziecię moje, skoczyć w wodę, ażeby tonącego brata uratować. A któżby miał marnego zbioru żałować, żeby poratować biednego? Włos mój na głowie posiwił, a nigdy jeszcze chleba i pieniędzy dla sąsiadów nie żałowałem. Więc co mamy jeszcze pożywienia, rozdajmy to między zgłodniałych; pieniądze zabierzemy i idźmy do cudzych krajów po chleb dla braci naszych. Bóg to wynagrodzi. Ile razy rozdałem chleb mój między potrzebujących, tyle razy miałem wielki urodzaj w roku przyszłym“

Takie nauki dawał ojciec synowi. Potem rozdał Almanzor pożywienie zgłodniałym, zabrał wszystkie pieniądze i kosztowności, i poszedł z synem w drogę.

W podróży zastała ich noc w lesie, a dzikie zwierzęta poszarpały im w nocy bydłota, któremi jechali. Zatrwożył się Rustan, a ojciec tak do niego mówił: Ty synu długo żyć nie będziesz, kiedy cię mała strata bydła tak zasmuciła. Jeżeli wierzysz, że wszystko idzie od Boga, to na kogo będziesz narzekał? Opatrzność czuwa nad każdym stworzeniem. Więc serce twoje niech się nie trwoży.

Po długiej drodze przybyli do miasta, gdzie się spodziewali, że żywności będą mogli kupić. Ale tam głód także groził. przeto zakazano sprzedawać zboże.

Poszli dalej. Długą odprawili drogę i wiele wydali pieniędzy, nim doszli do miasta, gdzie zboża można było kupić.

Mało im pozostało pieniędzy, a zboże sprzedawano niezmiernie drogo. Sprzedawszy sprzęty, które ze sobą zabrali, i obliczwszy resztę pieniędzy, widzieli, że ledwo tyle zakupić mogą zboża, ile na ich dom potrzeba.

W ciężkim byli stanie Almanzor i Rustan; oddaleni od swoich, bez przyjaciela, bez znajomego, bez pieniędzy i bez zboża. Z próżnemi rękoma do ojczyzny swej wracać mieli. Wtém Ru-

stan rzekł: „Ojcie mój. Pamiętam twoje nauki; widziałem, jak zawsze dopomagałeś bliźnim. Na cóżbym żył na świecie, gdybym nie miał tak robić, jak ty robił? Jestem młody, zdam się do pracy. Znajdziesz łatwo w tém mieście takiego pana, który mnie kupi w niewolę. Za te pieniądze, które za mnie dostaniesz, kup zboża, wróc z chlebem do domu, a zachowasz od śmierci tych, którzyby inaczej z głodu poumierali. Trzeba żyć, jakieś mnie nauczył. Trzeba życie za bliźnich ofiarować, a ja dla dobra bliźnich tylko wolność moją tracę. Płakać za mną nikt w domu nie będzie: bo stara matka już umarła.“

Łzy się rzuciły z oczu staremu Almanzorowi; i płakał ze smutku, że utraci syna, i płakał z radości, że Rustan tak cnotliwy. Zawołał rozrzucony: „Synu kochany! Bóg z pociechą patrzy na ofiarę twoją. Bronić ci nie mogę, byś się sprzedał dla bliźnich, chociażbym cię chciał jeszcze oglądać przy sobie póty, póki słabemi oczami memi będę mógł widzieć. Ja jestem już starcem, nie mogę już pracować. Synu, bądź wierny panu, który cię kupi. Znoś wszystko skromnie. Gdy będziesz pokornym, on cię kochać będzie. Nie oszukuj go w pracy; w mowie bądź szczery i rzetelny.“

Młody, piękny i rzeźwy Rustan wnet znalazł na siebie kupca. Almanzorowi zapłacił pan znaczne pieniądze, które jeżeli po trzech latach będą zwrócone, Rustan będzie znów wolny. A jeżeli Almanzor pieniędzy po trzech latach nie wróci, Rustan na zawsze zostanie niewolnikiem.

Tymczasem sąsiedzi Almanzora już potrzebowali zboża, które między nich rozdał, nim wyruszył w podróż. Zapłakane matki codziennie głodne swe dzieci wysyłały na wzgórze, aby patrzyły, czy Almanzor nie wraca. Idźcie — mówiły do dzieci — dobry Almanzor wracając, już wam na polu chleb dawać będzie. Ale długo biedne dzieci wychodziły na drogę, i długo spłakane do domu wracały, a Almanzora widać nie było. Almanzor za pieniądze, które dostał sprzedawszy Rustana, zakupił zboża, i wracał do domu. Dzieci ujrzawszy go zdaleka wołały: „już jedzie! już jedzie!“ Wszyscy sąsiedzi tłumami ku niemu wyszli. Powstała wielka radość, wszyscy z żalu i z wdzięczności płakać poczęli, kiedy się dowiedzieli, że cnotliwy Rustan dla nich się sprzedał.

Nastąpiły wielkie urodzaje, i wielka była w całym kraju taniość. Tanio sprzedając zboże, nie mógł stary ojciec zebrać

potrzebną sumy pieniędzy na wykupienie drogiego syna. Zbliżał się czas wykupienia. Almanzor udawał się do przyjaciół z prośbą o pożyczanie pieniędzy; ale jedni byli w niedostatku, a drudzy byli niewdzięczni. Już minął czas wykupu. Strapiiony ojciec odważył się jechać po Rustana, chociaż mu jeszcze wiele pieniędzy brakowało. Chciał na miejscu jego pozostać, oddać się dobrowolnie w niewolę, aby syn był wolny i o resztę pieniędzy się postarał.

Ale wtém przysła ciężka choroba na Almanzora. Starzec z ciężkiej pracy i z frasunku zachorował. Samotny czekał od dawna śmierci, a nic go nie mogło pocieszyć. Już stracił wzrok, ale nie żałował wzroku, bo na co miał patrzeć na ziemi, kiedy Rustana nie było? Pozostał mu tylko jeden wierny sługa, który go w chorobie pielęgnował. Ten razu pewnego nagle daje znać choromu panu swemu, że Rustan powraca. Umierający Almanzor porwał się jeszcze z łóżka, tak wielką uczuł radość w sercu swoim, że mu się zdawało, iż na nogach z synem swoim się przywita.

Wtém nadszedł Rustan i zawołał „Nie wstawaj ojcze, ty widzę słaby jesteś; o jakże to radość moją zmniejsza!“ „Ja synu mój nie widzę, rzekł Almanzor; ale poznaję głos twój. Rustanie! Ja cię podobno i słyszeć już tylko krótko będę. Powiedz mi prędko, jakim sposobem wyszedłeś z niewoli twojej? Obawiam się, ażebyś ucieczką twoją, pana nie zdradził.“

„Nie, ojcze mój, odpowiedział Rustan. Jam słuchał zawsze twojej nauki. W pracy byłem pilny; a oile mi czasu wolnego zbywało, pomagałem innym niewolnikom, aby pan się nie gniewał. Nigdy nie oszukałem nikogo; nikt mnie o nic nie łajał. Pan mój uważał na wszystkie kroki moje i widziałem, że ma do mnie przywiązanie. Kiedy przyszedł czas wykupu mego, a nikogo z pieniędzmi nie było widać, zawołał mnie do siebie i tak mówił: „Pieniądzy nie masz; czas wyszedł; znasz ugodę; już moim jesteś.“

„Wtedy gorzko zapłakałem, że już domu mego nigdy nie zobaczę, a nie wiedziałem, jakie Bóg gotował mi szczęście.

„Pan mój widząc pierwszy raz łzy w oczach moich, nie mógł się wstrzymać, przycisnął mnie do serca swego, sam mi łzy ocierał i tak do mnie przemówił.

„Ty Rustanie! lepszego losu wart jesteś. Żal ci domu twego; będziesz go widział. Ale inaczej cię wypuścić na wol-

ność nie mogę, tylko żebyś i do twego ojca należał, i żebyś do mnie należał. Mam córkę, która będzie bogata, z tobą Rustanie będzie szczęśliwa. Jedź do ojca twego, zawieź mu dary ode mnie, i proś go o błogosławieństwo. Niech się sprowadzi do mnie, albo ja się ze wszystkiem sprowadzę do niego, i tam z wami będę żył, tam będę szczęśliwy w waszym domu, gdzie mieszka cnota.“

Almanzor zaczął błogosławić syna swego, ale już to były ostatnie słowa jego, bo zaraz potem skonał na rękę cnotliwego Rustana.

13. Widzenie.

Gawęda z końca XVIII wieku.

(z dzieła „Stare gawędy i obrazy.“ przez K. W. Wójcickiego.)

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

Za mój pamięci, dziatki moje (prawil dziadek, pan Stanisław z Wierzbowa, do wnuków swoich,) nie było tylu mędrków co dzisiaj—modlono się szczerze, wierzono mocno, w co ojcowie starzy wierzyli, i lepiej nam z tém było. Oj! tak, lepiej, bo w każdym utrapieniu, w każdej dolegliwości, człek miał pociechę i pomoc w tym miłosiernym Bogu, który prawdziwego sługi swego nigdy nie opuszcza. Dzisiaj żartują sobie z piorunów, i stawiają na domach jakieś tam żelazne pręty. Miły Boże! pewniejszy był Loretański dzwonek, albo rozpędzający chmury dzwon na wieży kościelnej, gdy gradowa zbliżała się nawałnica. O! święte czasy—nie sromano się wtedy pomodlić, i czołem Bogu uderzyć. Każdy też przed ołtarzem padał ze skruczą na kolana. ale gdzie indziej, w potrzebie nie ugiął karku tak łatwo, stał silnie by dąb, i szanowano jego odwagę. A bywało w podróży, to śpiewa psalmy lub godzinki, to odmawia modlitwy i krzyżem zegna drogę—i nie raz wybawiło to z przygody. Ja sam pamiętam, kiedy byłem na Rusi, i przejeżdżałem przez jedną wioskę, wyszła ku mnie stara kobieta,

i nuż prosić pokornie, abym z jęj rąk wypił czarę miodu. W dobrej wierze, (bo nie wiedziałem, że baba ta była czarownicą, a miała do mnie jakieś dawne urazy) biorę szklankę, ale według swego zwyczaju żegnam ją krzyżem świętym—aż tu brzdęk! i dno całe wyleciało—a owa niecnota ze strachu uciekła. Kto wie co tam było w tęg szklance! We śnie tęg Pan Bóg przysła czasem przestroę, jak raz panu Wojewodzie, u któregom dworsko słuęiwał. Jeszczem był małym chłopcem, kiedyśmy się byli wybrali w podróż do jego dóbr na Ukrainie. Jedziem i jedziem — jakoś jednego dnia wyjechaliśmy w długą i gęstą puszcę. Już noc za pasem, a tu ani dachu, ani żadnego schronienia—aż wreszcie nadybaliśmy karczemkę lichą i brudną. Nie było jednak w czém wybierać, tęg bardziej, że zbierało się na burzę, czarne chmury okryły zewsząd niebo. Żyd już spał czy udawał śpiącego; ale jak go hajduk po swojemu poprosił, ustąpił zaraz miejsca podróżnym. Rozpalono ogień na kominie i powypędzano z izby bachorów, z któremi żyd gwarzył po stronie, jak widać było, z wielką ostrożnością. Ja patrząc z boku dostrzegłem, że zaszeptawszy coś do ucha małemu chłopcu, wsadził go na konia i posłał z jakimś prędkiem zleceniem. Opowiedziałem to memu panu. Ale Wojewoda, ufny w opiekę Boską i liczbę swoich dworzan, spokojnie zjadłszy wieczerzę, zasnął. Spocząłem i ja przy jego nogach na wiązce siana. O północy zerwał się pan Wojewoda, a pomodliwszy się nieco, znowu zasnął. Jam już okanie zmrzył—jakiś strach mnie dziwny ogarnął. Kiedy kur pierwszy zapiał, zrywa się powtórnie wojewoda, pada krzyżem i woła: „Niech się stanie Twoja wola Panie! jeżeli mi przestroę rzeczywistą przysyłasz.“ I zaraz kazał mi wstać, zbudzić ludzi jak najciszej, z zaleceniem, aby się mieli co rychlej do bronie, bo hajdamacy nad karkiem. Sam co prędzej się ubrał, kazał wrota mocno obwarować, a do izby przywołał sześciu dworskich z nabitą strzelbą. Pacholik wysłany na zwiady, z dymnika ujrzał gromadę zbrojnych. „A więc to prawda (rzekł do siebie Wojewoda,) com we śnie widział i słyszał. Święta Twoja wola Panie niech się stanie!“ Niebawem nadciągnęła owa kupa łotrzyków, uzbrojonych w szable, siekierę i samopały. Po krótkiej naradzie, uderzyli jedni we wrota drudzy przez okna do izby—ale gdy z obu stron niespodzianie dano do nich ognia z rusznic, pierzchnęli od razu, zostawiwszy

kilku ranionych i zabitych. We dwa pacierze jużesmy na bryczkach siedzieli, a każdy z gotową do obrony strzelbą. Woźnice zacięli konie—a ledwośmy ruszyli z miejsca, już dach cały na onęj karczmie stanął w płomieniach.

IV. Opowiadania z życia społecznego.

I. Karol Ryś.

(z pism Henryka Rzewuskiego.)

Moi rówiennicy, których już nie wiele, pamiętają jeszcze w Nieświeżu sławnego organistę Rysia; bo po dziś dzień w kościele ś. Krzyża co Niedziela i święto dają się słyszeć organy jego roboty. Nazywano go ordynatem Nieświeżskim, bo był piątym, czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła, a ta jego funkcja dawała niezgorszy kawałek chleba. A kolendy? wszakże opłatki, które pod koniec adwentu rozwoził, zaczynając od Nieświeża, a kończąc na Kajdanowie, za nie lada folwarczek staćby mogły. Ekspensy prawie żadnej, bo w domu organista żył sobie zwyczajnie, jak służka kościelny: to się zjadło, co się na gruncie urodziło; a choćby i urodzaj chybił, od czegoż parafijanie. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysowie żenili się zawsze z córkami organistów, a swoje córki za ich synów wydawali, tak, iż kiedy naszemu urodził się syn, księżę Choraży, co go do chrztu trzymał, przed ceremoniją słuszenie żartem powiedział: ten chłopczyk kantyczkową nutą kwilić będzie, bo z miecza jako i z kądzieli, samych tylko organistów w genealogii liczy. Ale ten żart się nie uścił. Wszystkie zabiegi ojca, by z syna mieć pomocnika, a kiedyś następcę, na nic się nie przydały. Choć od piątego roku życia już go zaczął poufalić z organami, choć przez dwa lata sypnął jaki tyś batogów, by napędzić ochoty do muzyki; ani jednej nuty Karolek nauczyć się nie mógł. Gdy Karolkowi siódmy rok się skończył, Ryś sporządziwszy pozytywek dla księcia Chorażego, któremu imię było Karol, pojechał z synkiem do Kojdanowa, w sam dzień ś-go Karola, aby tenże wręczył J. O. ojcu chrzestnemu, jakoby na wiązanie. Zajechawszy pod bramę, wysiedli oba z wózka i szli ku pałacowi; ojciec w swoim pa-

radnym ubiorze, a synek z pozytywką w ręku i pałasikiem u boku. Książę siedział u okna i patrzył na dziedziniec. Kiedy chłopczyk za ojcem zdążył, żuraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za nimi; a wtém Karolek rzuciwszy pozytywkę, dobył szabelki i jak palnie żurawia po szyi, powalił go o ziemię. Staremu aż mrowie przeszło po ciele i nie dziw; bo jeszcze na Litwie taki się nie był urodził, coby nie drżał przed księciem Chorażym. Cóż dopiero taki chudy pacholek. Ale książę wyszedł na ganek, za boki trzymając się od śmiechu „Zucha przywiozłeś do mnie, panie kolego. Dziękuję za pozytywkę, ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co z nim się stawił. Sam widzisz, że on nie do klawiszów stworzony.“ Książę miał czterech paziów, synów majątnych obywateli, ubogie Rysiátko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali częsty i suty grosz, a Karolek tylko ubiór z łaski księcia dostając, nie miał ani szeląga przy duszy. Ale wkrótce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło. Książę Choraży po obiedzie nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju pilnując go, grywali sobie w halbecwelwa, żeby im czas schodził. Jakże Karolkowi z nimi grać bez pieniędzy? Otóż taką grę pustaki wymyślili. Paż stawia naprzeciwko Karolka pięć, dziesięć, czy tam wiele tynfów, kiedy Karolek wygra, pieniądze jego, kiedy skrewi, musi księcia pijanego i sennego, kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tynfów szło na kartę. Czas niejaki mu się udawało, ale jednego razu, gdy książę uderzony, przebudził się, sądny dzień zrobił się w Kajdanowie. „Kto ciebie hultaju do takiej zabawy namówił?“ zapytał książę Karolka. „Ja sam,“ odpowiedział niezmiesszony chłopiec. „Kiedy mi tak zuchwale odpowiadasz, zobaczymy, czyje będzie na wierchu“ i natychmiast kazał pięćset łóz odliczyć, bo wiadome były porcyje księcia Chorażego. Prawdziwie rysią miał naturę Karolek, że nie skonał z bólu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Książę, co był świadkiem egzekucyi, lubo z przyrodzenia twardego serca, powiedział to niepospolite pachole; a po skończonej kaźni, zapytał go niby łagodnie, chociaż taka łagodność przestraszyłaby niejednego: z jakiego powodu, łotrze, śmiałeś twojego pana znieważać? Ten na to: cóż miałem robić z biedy: wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja będąc chrestnym synem księcia pana, od czterech lat, jak

mu służyć wiernie, jeszcze szeląga nie dostałem. Książę natychmiast darował mu pięćset tynfów właśnie tyle, ile łóz dostał i postąpił go na pokojowego, z oznaczeniem trzechset tynfów rocznej laffy, by swój nos nadal od szcutków ochronić. Wkrótce wyrosł Ryś, został dworzaninem, a że był wierny, odważny, tego robił szablą i podkowy łamał, jak trzcinę, książę Choraży dla okazania, iż przeciw niemu sierzdystości w sercu nie miał, wypuścił mu dożywociem Wilczyznę, wioseczkę nie wielką, ale z dobrými gruntami. Ryś jednak nie przestawał na dochodach swego folwarku, znaczne porobił długi, a wszystko na stroje, bo był takudatnym, że nie można się było na niego napatrzeć. Nikt ani takich litych pasów, ani tak kosztownych spinek, ani tak pięknych aksamitów i lam nie miał, nadzwyczajne przytém miał szczęście do ludzi: zawsze będąc w potrzebie, ustawicznie prosił o pożyczanie pieniędzy, i zawsze ich dostawał, bo każdy, jakoby oczarowany prośbą, dawał, nie pytając o ewikcyję, choć miał długów więcej, niż włosów na głowie. W Wilnie, gdy się trybunał Litewski agitował, bawiła na opiece stryja panna Kietliczowna, córka owego sławnego facyjendarza Kietlicza, który prawie z niczego zacząwszy, ogromny majątek zostawił małoletniej swjej jedynaczce. On to w czasie siedmioletniej wojny, dostarczając żywności wojsku, przez kraj ciągnącemu, więcej milijona zarobił. A ta córka była tak dobrze, jak zaręczona już panu Łopotowi. Ale jak ją poznał nasz Ryś, wkrótce ją odkochał. I nie dziw, bo pan Łopot, acz zacny i godny kawaler, ale w możnym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka; wszystkiego się obawiał, lada wieczerzy, nie wychodził na podwórze, jeno z twarzą w pieluchy obwinętą, a kiedy w Piątek ryby zjadł drobinę, jużci naza-jutrz kilku doktorów przy łóżku. A panna hic mulier, i bekasy w lot biła, i zająca szczwała, co koń mógł wyskoczyć; istny dragon w spódnicy, a z tēm wszystkiem urodziwa. Ryś z nią, to dobrana para, i dla tego też rychło tak się pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei, pan Łopot odkosza dostał, i wyjechał z Wilna, pomiarkowawszy, że chyba szablą wypadnie pannę zdobywać, a tu z Rysiem była rzecz trochę ryzykowna.

Z początku miał zwyczaj pan Ryś, który tymczasem strażnikiem został, strzelać do korków żony; ale ona go od tego oduczyla, bo trafiła kosa na kamień. Razu jednego, gdy w sy-

pialni, porwawszy za pistolet, zabierał się do korków Jójmości, ona powiedziała mu: Jużem cię kilkakrotnie prosiła, żebyś mnie uwolnił od twoich popisów. Idź sobie do masztarni gwoździe kulami zabijać, a moich korków nie psuj. Jeszcze ten raz ostatni, kochanko; pozwól wypróbować nowych pistoletów. Ale ta, porwawszy drugi pistolet, na skrzynce leżący i odwiódłszy kurek: słuchaj Karolku, mowi, jeżeli mi korek odstrzelisz, to ci natychmiast podobnym sposobem pas rozwiążę. Pan Strażnik myślał, że żartuje: paf! do pięty Jejmościńej, i w sam korek trafił; on z pistoletu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia. A Jójmość nie wiele myśląc, jak także palnie, i rzeczywiście węzeł mu u pasa na brzuchu rozciął. Pan Strażnik pochwalił zręczność żony i rączki jój ucałował, ale odtąd rozejm zrobił z korkami. Razu pewnego, gdy miała być uczta z tańcami w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli, jak wystąpi pan Ryś, bo wiadano, że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić, a modnisie Nieświeżscy starali się mieć to, co on na sobie. Ale starali się napróżno, bo zachowywał sekret najściślejszy, a nie było sposobu jego szatnego podkupić, raz, że był szczerze przywiązany do swego pana, powtórę, że go się obawiał, jak ognia. Otóż nie wiem, jakim środkiem ks. Krzysztof Szukiewicz, nauczyciel księcia, dowiedział się że pan Ryś, miał wystąpić na wieczorne tańce w butach z najpiękniejszego białego atlasu, które na sprzączeczce miały być ściśnione poniżej kolan, aby mu gładko wyglądały z pod kusego kontusza. Namówić współzawodników w modnej wykwintności, aby w podobnym obówie wystąpili, było już zapóźno; ale książd krotofilny robi mu następującą psotę. Między pokojową szlachtą księcia wojewody, był P, Tadeusz Scypion, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych konsulów rzymskich wyprowadzający swoją precedencyją; ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie Nieświeżskim z ordynaryi, którą jój wyznaczył książę, zawsze protektor podupadłej szlachty. Pan Tadeusz utrzymywał się ze szczupłej laffy, co ją jako pokojowy pobierał, a przytém, że miał piękną rękę, iż jego pismo za istny sztych uchodzić mogło, pisywał suppliki do księcia od poddanych bojarów, żydów i innych podwładnych, z czego także miał jaki taki przychód. Ale grosz grosza nie dopędzał, bo trzeba było codzień odziewać się przyzwoicie, a ubogą matkę, czem mógł, wspierał. Nie trudno było namówić do figla dziewiętnastolet-

niego młodzieńca, zwłaszcza takiego, co w wesołości celował. Z namowy tedy księdza Szukiewicza, kiedy goście i domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne assamble, pan Scypion w przedpokoju między liberyją schowany, z kwaczkiem w rękę i z garnkiem, pełnym dziegciu, czatował na pana Strażnika, jak wyżeł na dubelta. Wchodzi nareszcie pan Ryś z miną gęstą, cały lśniący się od złota i szkarłatu, jedna ręka oparta na karabeli, w jaszczur oprawnój, druga przy prawym boku pieści kutas od czapki, łeb do góry zadarty. A tu przy podwojach pan Scypion kwaczkiem bryzg! bryzg po butach, że aż zrobili się pstrokate. Pan Ryś nie wiedząc, co się z nogami stało, wali prosto do sali, tak oświeconej, iż jaśniej było, niż wśród dnia; wita się na prawo i na lewo i nisko skłoniwszy się księciu, dalejże koperczaki stroi do dam. Wtém słyszy koło siebie śmiech; nie wie, co to znaczy; aż siostra księcia wojewody odzywa się: Mój strażniku, jakże od ciebie czuć dziegieć! Czy cię to na lepsze perfumy nie stało. Pan Ryś zmieszał się nieborak, spuszcza oczy i spojrzawszy na swoje buty, z desperacyi pobladł ze złości i wstydu, bo o ubiór dbał, jak o własną skórę i tak się zaciął, że słowa jakby skrzepłe z gardła mu wychodzić nie chciały. Nakoniec zawołał: kto mnie skrzywdził? a tu wszystkim jeszcze większy śmiech. Książę aż pękał się z serdecznego śmiechu. Tu dopiero pan Ryś rozłościł się bez miary i Bóg wie co wygadywał: biada temu, rzekł, co mnie obraził; z pod ziemi go wydobędę. Jeżeli to się zatai, to jakim Sodalis, choćby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, póki nie trafię na dziegciarza! Wtém znikł ze sali. Ale nazajutrz począł robić kwerendy i nie wiem, jakim sposobem dowiedział się, że to sprawka księdza Szukiewicza, i pana Scypiona. Z księdzem nie było sposobu, bo książd nie dobędzie korda, którego nie nosi, ale natomiast wystąpić może za napaść z kłutwą, od której krzyżową sztuką ani młynkiem się nie zastawisz; całą więc złość wywarł na pana Tadeusza, i na dziedzińcu zamkowym spotkawszy go, w obliczu prawie całego dworu, okropne wymówki jął mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je z pokornym sercem i powiedział: ja sam to uznaje, żem młodszy starszego zbytnią konfidencyją obrażając, podrzyłem głowę i za to najuniżeniej przepraszam. Opuśćcie mi panie Strażniku swawolę, dla miłości Boga; a ja mu uszkodzone buty odsłużę i od-

modłę. Ale na to pan Strażnik zapamiętały: Mnie o buty nie chodzi, ale o śmiech ludzki, któryś na mnie ściągnął. Ja twoich modłów i posług nie potrzebuję, skórą mi odpowiesz. Ażem ci jęj dotąd nie wytarabanił, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod boki pierwszego senatora, nie chcę robić burdy. Ale życzę ci łotrze jak najdłużej trzymać się klamki książęcego dworu i z Nieświeża nie wyjeżdżać; bo dzień, w którym przestaniesz być sługą księcia wojewody, będzie wigilią dnia tego, w którym pięćset łóz dostaniesz. Dopiero pan Scypion uczuł, że nie cygańska krew po jego żyłach krążyła: Jak ty śmiesz, odezwał się, łozami straszyc szlachcica, co nie twój chleb ję? żeś się wzmógł fartuszkowym majątkiem, myślisz, że ci wszystko wolno? a przypomnijno sobie, że twój ojciec karbował ci skórę przy organach, kiedy mój był namiestnikiem w kawalerii narodowej. Otóż, żeby ci dowiódł, że twoje pogroźki lekce sobie ważę, to lubo kawałka chleba nie mam, zaraz księciu panu podziękuję i ciebie zmuszę, byś mi stanął, jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim. A jeśli mi nie staniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moją sławę: tedy plac ostrzelam, ogłoszę cię po całej Litwie za infamisa i choć piechotą od zaścianka do zaścianka chodząc, opowiem szlachcie, że zaufany w pieniądze, lepszego od siebie łozami straszysz. Pan Strażnik porwał się, ledwośmy przegrodzili od niego pana Tadeusza, który w istocie poszedł do księcia i upadłszy mu do nóg, opowiedział rzecz całą i podziękował za służbę, tłumacząc się, że dobra sława, która składa całkowitą jego ojcowiznę, nie pozwala mu służyć księciu, pokąd nie powetuje krzywdy. Nie trudno było p. Scypionowi przekonać księcia dobrze ćwiczonego w szlacheckich prawidłach; najpiękniejsze mu świadectwo podpisał, kazał wyliczyć parę tysięcy, jako deservita merces, z zapewnieniem, iż o losie jego matki pamiętać będzie. Pan Moniuszka, major w pułku wielkiej buławy, był sekundantem pana Strażnika; tenże z panem Borejką, co sekundował Tadeuszowi, umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz na obszernym błoni między Kleckiem a Dunajczycami. Wielu z nas udało się na to widowisko, ponieważ pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił, byśmy byli świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojej krzywdy dochodzić, choć sprawa była z takim, co miał i lwie serce i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno; gdyby bronie obydwom spudłowały, szabla miała ostatecznie rozstrzygnąć. Jak

się zjechało, broń ponabijano, a zapaśnicy siedli na koń, jeszcze po raz ostatni usiłowali ich sekundanci pojednać; ale gdy oświadczyli, że przyjechali na plac bitwy, nie na układy, sekundanci rozstawili ich o 50 kroków. Za danym znakiem obaj zapaśnicy przeżegnawszy się, cwałem na siebie natarli. Bitwa i przez jedno Zdrowaś Maryja nie trwała. Bo gdy bezskutecznie dawszy ognia z pistoletów, do pałasza się porwali; pan Strażnik został draśnięty po ramieniu, jakby piórkiem; ale jak palnął szablą na odlew po rękę pana Tadeusza, ręka mu upadła z pałaszem na ziemię i on sam w kilka chwil omdlały z bólu, zwałił się z konia. Wszyscyśmy przybiegli na ratunek z lekarzem, ledwieśmy go się docucili i zawieźliśmy go do Klecka z obandażowaną raną na wyleczenie. Pan Strażnik osiadł w Klecku u lekarza i póki trwała niemoc pana Scypiona, na krok go nie odstąpił; wszelkie posługi mu czyniąc, jakby jaki pacholek. Gdy nareszcie do zdrowia przyszedł (jeżeli zdrowiem godzi się nazywać kalectwo, które ubogiemu szlachcicowi wszelki sposób do życia odjęło), zabrał go z sobą na wieś do swojej córki, tam go z nią zapoznał i po kilku tygodniach powiedział mu razu jednego: Słuchaj panie Tadeuszu, ja ci rękę odciąłem, a Bóg widzi, że mojemi obiema chciałbym ci tę jedną wynagrodzić, bo krzywda twoja cięży mi na sercu, jak kamień młyński, ale przyjm w restytucji rękę mojej córki i zostań moim synem. Na to pochlebne oświadczenie, padł do nóg przyszłemu ojcu i swojej narzeczonej, a za kilka niedziel został szczęśliwym małżonkiem cnotliwej i urodziwej panny, i z chudego pacholka spadkobiercą jednego z zamożniejszych na Litwie majątków.

2. Jaksza Pliszka.

Na dworze ostatniego p. hetmana koronnego żył Jaksza Pliszka, w barkach szeroki, krępy, jak dąb rozsochaty. Nad barkami na cienkiej szyi była mała główka, by makówka, lica zawsze rumiane, oczki czarne małe, ale bystre, ogniste. Kiedy pan hetman potrzebował dla poparcia swęj racyi szabli, Jaksza stawał na czele rębaczów, których sam wyuczył: a wtedy biada przeciwnikom! — wszystko pierzchało przed błyskiem ich szabli, a szczególnie Jaksy. Miał on długą zakrzywioną szablę, którą tasakiem nazywał; zawsze ją przy sobie nosił, spał z nią nawet i mawiał, żeby jęj nie oddał za wszystkie skarby świata.

Jaksa miał lat 26, kiedy p. hetman szukał dowodnego rębacza. Stary Pliszka posłyszawszy o tém, zawołał syna i rzekł: „No, chłopcze! otwiera się dla waści pole; jam już stary, ręka mi drży, wzrok nie dowidzi; oddaję ci szablę, nasz klejnot rodzinny, równy herbowi; miej w sercu moje nauki, a nie umrzesz z głodu i na fawor pański zarobisz. Siadaj ze mną na konia, pojedziem do p. hetmana.“ Kiedy stary Pliszka zarekomendował syna na rębacza, kazał hetman przywołać jegomość pana Borownika, ażeby się rozprawił z frycem, jako nazwał młodego Pliszkę. Stary Pliszka urażony tym wyrazem, wziął syna na stronę: „Chłopie moje, pan hetman, nie wierzy, że umiesz kordem robić. Zaklinam waści, abyś się dobrze sprawił, bo inaczej klnę na moje wasy, sto boćkowskich bizunów doma wyliczę na kobiercu.“ Jaksa uściskał rodzica za kolana, gołnął kielich anyżówki dla rezonu i czekał spokojnie przeciwnika. Przybył wkrótce jegomość pan Borownik, szlachcic łęczycki; a Łęczycanie sławni do szabli wedle przysłowia: bić po łęczycu, co jedno znaczyło, co bić się po djabelsku. „Jaśnie panie (rzekł do hetmana z ukłonem), służby moje na rozkazy Słyszałem, że tu smyk jakiś ma chętkę złożyć egzamen rąbania, a który to?“ Jaksa wystąpił na środek. „To wasze! włóścież na łeb czapkę watowaną z drutem, łosie rękawice; jać tego nie potrzebuję!“ Jaksa z uśmiechem włożył czapkę, wdział rękawice, rzemyk od szabli obwiązawszy około ręki. Tu pan Borownik zbliżywszy się do hetmana, zapytał zcicha. „Jakie rozkazy jaśnie Pana, czy go mam naznaczyć, czy wypłazować dla uciechy?“ „Wypłazuj waszeć, to dosyć; wzdyc to jeszcze młodzieniaszek.“ Dosłyszał téj rozmowy stary Pliszka, poskoczył do syna i rzekł do ucha: „Jakso, synu mój! w twoje ręce składam mój i całej familii naszej honor. Ten drągał ma cię za ciurę i chce płazować; zwolna mu się odcinaj, a potem natrzyj i rznij przez łeb; jednak nie zabijaj, daj mu jeno admonicyją, ażeby przeleżał ruski mieściac.“ Jaksa zmarszczył czoło na przycinki Borownika i przystąpiwszy do p. hetmana: „Jaśnie panie, czy wiele jasny pan ceni głowę i żywot tego warchoła?“ i wskazał na Borownika. „A to czemu?“ zapytał zdziwiony hetman. „Bo za jego dumne przechwałki położę go trupem, jeśli jasny pan dozwoli.“ Borownik rozśmiał się głośno, wołając: „Odpuszczę ci wczesnie śmierć moją i upraszam łaski pana hetmana, aby temu smykowi téj satysfakcyi nie raczył odmawiać.“ Ale pan hetman zmie-

rzywszy Jakse okiem, począł go więcej cenić; odrzekł przeto: „Naznaczyć pozwalam, ale zabijać nie!“ Borownik śmiał się jeszcze głośnie, stojąc z dobytą szablą. „No, zaczynać!“ zawołał hetman. Borownik pierwszy natarł; za trzecim złożeniem chciał ciąć przeciwnika; ale Jaksa tak szparko raz odbił, że się zmięszał i przekonał Borownik, że to nie z frycem rozprawa. Szły cięcia jak błyskawice! Na łysinę i czoło Borownika pot kroplisty wystąpił. W duchu począł żałować, że nie wdział drucianej czapki, gdy go Jaksa parł coraz natarczywiej. Pan hetman zdziwiony klaskał z radości, a wciąż oczy wlepił w Jakse, który zagrzany obecnością pańską, wśród wymierzonego cięcia wspiał się na palce, uskoczył nieco, a potem ciął silnie. „Jezus, Maryja, Józef!“ krzyknął Borownik: wypuścił szablę z ręki i upadł na ziemię, otrzymawszy dwie rany: w łysinę i w policzek. Jaksa spojrział dumnie wokoło i otarł chustką szablę. Borownika otrzeźwiono i zawiązano mu rany głębokie. Pliszka przyskoczywszy do syna, uściskał go serdecznie, a pan hetman rzekł: „Wybornie egzamen odbyty, obciąłeś najlepszego mego gracza; mianuję wasze pierwszym rębaczem. Borownik niech będzie drugim, że się przecie jako tako odcinał.“ Jaksa uściskał kolana pańskie, otrzymawszy w darze kontusz, żupan, pas złocisty słuckiej roboty i dzielnego konia z rzędem. Stary Pliszka dostał wójtostwo w dożywocie i odjechał uradowany, zostawując syna na dworze hetmana.

Huczna była biesiada u pana hetmana; z Litwy, Wielkopolski i Mazowsza najechało gości; wino węgierskie lało się z beczek, bo tak bywało zawsze u nas, że co z winnic wycisnęli Węgrzyni, to Polacy drogo zapłaciwszy, wypili. Książę Radziwiłł, panie kochanku, miał sławnych rębaczy; rozkazał przeto dla facecyi wyzwać Jakse. Pan hetman odradzał, zaręczając, że ich obciesze; ale książę rozdąsany odrzekł: „Panie kochanku, jeżeli moich litwaków pokiereszuje, to ja go sam wyzwę na rękę.“ Więc w jadalnej komnacie usunięto stoły. Książę ujrzawszy Jakse, kazał sobie podać jego szablę; a znalazłszy napis, przeczytał głośno:

Sam tu zuchy, sam tu smyki! Proszę, proszę na zraziki!
„Daj go katul to waszeć, panie kochanku, nie lada kuchmistrz. Ale trzeba waszeci wiedzieć, że z litewskich niedźwiedzi niesmaczne zraziki!“ I spojrział ukosem na hetmana, wiedząc, że go niektórzy z koroniarzy niedźwiedziem nazywali. Jaksa nie

rozumiejąc przymówki odrzekł: „Jak się zdarzy, mości książę!” Radziwił kiwnął na swoich i wystąpił sławny do korda pan Styrpejko, który zmierzwszy Pliszkę od stóp do głowy, skrzywił ustami pogardliwie, dając przez to poznać, że mu poradzi. Za danym znakiem żwawo szły cięcia, szable aż iskry sypały; po pacierzu z jękiem upadł Styrpejko. Miał dwa palce obcięte i na obu policzkach dwie szramy. „Co, co! krzyknął książę; mój Styrpejko, panie kochanku, na ziemi? Wyzywam sam waszeci!” I od gniewu krew wybiła mu aż siną barwę na lica. Jaksa przystąpił do hetmana po rozkaz, a hetman na ucho powiedział: „Nie chciej się bić; ale jeśli książę koniecznie zażąda, daj mu się ciąć gdzie lekko.” — „Mości książę! ja nie śmiem próbować szabli,” rzekł Jaksa. „No, no! panie kochanku, nauczę ja waszeci robić zraziki! Mówilem waszeci, że ze starego litewskiego niedźwiedzia nie ukroisz nic na zrazy!” I kazał sobie podać szablę. Jaksa odbił cięcia w głowę, miał wiele razy odsloniętego księcia, ale go nie tknął. Wreszcie niby chybił szablę, a otrzymawszy lekkie cięcie po palcach, uskoczył na bok i krzyknął. „A tuś mi panie kochanku, zawołał uradowany książę. Ho, ho! Mazurek! masz panie kochanku na teraz nauczkę; na drugi raz łeb ci utnę z kretesem.” Jaksa obwinał chustką ranę, otrzymawszy za nią 200 dukatów i dwa dzielne konie z ubraniem.

Były zawieruchy w kraju, liczne wiązano konfederacje. Stary Pliszka należał do jednéj, wezwał więc syna do siebie. Posłuszny opuścił dwór, przybył do ojca. Garstka walecznych zamknęła się w murach Częstochowy. Stary Pliszka w pierwszej utarczce zginął. Jaksa zapłakany po świeżym ojca pogrzebie, stał ze zwieszoną głową czatą na murach. Zdala świeciły ognie nieprzyjacielskie. Stał z dobytą szablą, którą tyle zyskał sławy i mówił sam do siebie: Miły Boże! na cóż się zda teraz i siła i zręczność, po co szablę dźwigać? mój rodzic tak dzielnie rąbał, a zginął od kuli, nie ujrawszy przeciwnika. I ja z tych murów cóż dokążę, kiedy nie dosięgnę nikogo końcem mojego tasaka? Schować lepiej w pochwę oręż nieużyty, niż go nosić dobyte, chyba dla parady. Włożył szablę w węzową pochew, nacisnął czapkę na uszy, począł odmawiać wieczorne godzinki. O pół nocy odebrał rozkaz być w pogotowiu do wycieczki z fortecy. Stał właśnie przy ognisku. Z jakąż bronią wyjdziemy? zapytał. Wyostrzyć szablę, odrzekł dowódzca, bez strzału cicha-

czem napadniem. Więc choć raz przed śmiercią sztuka moja na coś się jeszcze przyda, zawołał w uniesieniu Jaksa. Rodzicu mój, tąż szablą, którą dostałem od ciebie, pomszczę się twój śmierci. Patrzta (tu dobył z pochwy) ile szabla ma szczerbów, a nie darmo nosi napis na sobie. I przeczytał głośno i dobitnie:

Sam tu zuchy, sam tu smyki, Proszę, proszę na zraziki.

Rozśmiali się towarzysze przy ognisku; a jeden z nich rzekł: masz teraz bracie porę narobić zrazików. Pomoże mi w tém łaska boska i Orędowniczka Najświętsza Maryja Panna, odpowiedział Pliszka, przywiązując rzemyk od szabli do ręki. Nigdy nie lubił ognistej strzelby, bo to broń zdradliwa, tam nauki, ani siły, ani zręczności nie potrzeba, ale tu (i machnął szablą) sam tu na oczy, zagram im szarabandę. Przeznaczony oddział wyszedł cichaczem z fortecy, napadł na nieprzyjaciela i rzeź okropną sprawił. Właśnie w tę dobę miesiąc wyszedłszy z za chmury, rozjaśnił pomrok nocy. Dowódzca oddziału widział zawsze na przedzie z błyszczącą szablą rozległego wzrostu szlachcica, a każde cięcie jęk wyciskało. Jaksa był w swoim żywiole; nie pleśniał na murach, jak stara cegła, ale oczami szukając przeciwników, płał potężne razy. On głosem nawoływał do kupy, a po dwugodzinnej walce, ostatni wracał w mury Częstochowy. Drugiej nocy stał jak dawniej na murach, gdy nieprzyjacieli nadedniem szturm przypuścił. Walka zawrzała krwawa. Jaksa stał nieporuszony z gołą szablą, po drabinach darli się szturmujący; on spokojnie patrzył, szli więc śmiało; ale gdy zmiarkował, że ciosu nie chybi, kiedy wychylił który głowę, lub rękoma za mur schwycił, Pliszka ciął, a łeb spał, lub obcięte ręce zostawały na murze. Gdy napróżno po tej drabinie usiłowano wdrzeć się, oficer kazał kilku razem zmierzyć do stojącego. Stuknęły wystrzały, upadł Jaksa w pierśi ugodzony. Odparto szturmujących, a kiedy zakonnicy grzebali ciała poległych na murach, znaleziono w kontuszu szaraczkowym szlachcica, co krzepko trzymał w ręku szablę zboczoną do połowy. Jeden z nich ujrawszy napis wyryty, przeczytał:

Sam tu zuchy, sam tu smyki, Proszę, proszę na zraziki!

Stary jeden szlachcic usłyszawszy te słowa, wybiegł z gromady swojej „Gdzie ta szablą z takim napisem?” Zakonnik wskazał trupa. Szlachcic ukląkłszy nad martwymi zwłokami, w głos zapłakał. Niech Bóg twój duszy da święty i wieczysty

pokój! zawołał łkając: zegnaj cię miły bracie! Umierasz z tą szablą w ręku, która cię sławą okryła. O, zakopię cię w ziemię wraz z twą karabelą, nie dotknę jej ręką, bom nie godzien! Na głos rzewny starca zbiegła się szlachta i okoliła wieńcem. Patrzcie, mówił dalej, zginął nasz brat, najślawniejszy rębacz w całej Polsce; oto martwe zwłoki Jaksy Pliszki, co w młodości obciął mnie starego, mnie na dworze pana hetmana pierwszego rębacza Jana Borownika.—Z początku sierdziłem się na ciebie, ale potem pokochałem z serca. O bo panowie bracia, ze swoim tasakiem Jaksa jak panna do tańca ochoczo występował. Zanieśmy go bracia na naszych barkach na miejsce wiecznego odpoczynku; oddajmy zwłoki matce ziemi świętej, pochowajmy go z tą szablą, bo któż z nas ma godne ręce, aby ją jak on piastował. Nikt, nikt! zawołali wszyscy chórem. Zagrzebali go więc w ziemię i ukląkszy na świeżo usypanej mogile, modlili się za duszę: a światłość wiekuista niech mu świeci na wieki wieków. Amen.

3. Przykłady nadzwyczajnej siły.

Roch Białkowski, dziedzic wsi pod Kołem, szlachcic olbrzymiej siły i myśliwiec niepospolity, kiedy przeniósł się w Poznańskie i zamieszkał u p. Garczyńskiego, chcąc na imieniny uczcić podarkiem godnym starego łowcy, poszedł na upatrzonego odyńca do kniei, żeby wziąć go żywcem. Jakoż, cztery jego kundły wyuczone osadziły na miejscu dzika, a Roch Białkowski wybiwszy kły, związanego dzika przywiózł panu Garczyńskiemu.

W dobrach hrabi Zamojskiego żyje dotąd (piszę to w r. 1838) Łojek, prosty gospodarz, dawniej gajowy, któremu hrabia zarząd w czasie obławy, wszystkich stanowisk, i cały kierunek obławy powierzał. Fizyonomija szczególna tego człowieka, jego wzrok jest śledczy, i zdaje się drzewa przenikać. Łojek bezsennie zimowe noce wśród wycia wilków przepędza. Łojek tak dokładnie ich głos udaje, że zwiedziony zwierz na strzał przybiega, a on mierząc w błyszczące wśród nocy ślepie, na miejscu go kładzie. Łojka mniej wzruszy pomór na bydło, niż wieść o porwanej przez wilka owcy; a tym, którzy go o polowaniu zagadują, zwykł mawiać: „Panie! cóżbym ja na świecie robił, gdyby wilków nie było?”

Rękopism łaciński z roku 1601 tak nam maluje Babania, gajowego w lasach Święto-Krzyżkich i sławnego myśliwca w XVI wieku:

„Chłop to był wysoki, a piersi i plecy miał nadzwyczaj szerokie, na całym ciele, a szczególnie na piersiach obrastał jak niedźwiedź. Ręka żylasta i szeroka, a na niej nie czuł ciężaru chociażby największy człowiek usiadł, bujał nim wtedy, by jabłkiem. Zbrojnego na koniu Ussarza przewracał z koniem, w lesie drzewa po 10 i 15 lat mające z korzeniami wyrwał. Żaden człowiek nie wytrzymał i nie ustał na nogach, jak go Babań potrafił jednym palcem. Raz, kiedy był w kniei, niedźwiedź na niego wypadł nie zdążywszy strzelić, uskoczył za buk gruby, a gdy zwierz łapami drzewo objął, sądząc, że go razem schwyta; Babań przycisnął rękami łapy i trzymał dopóty, aż nadbiegli myśliwi i zabili niedźwiedzia. Umarł młodo, bo w 36 roku, przeziębnięwszy na polowaniu; powiadają, że miał podwójną kość pacierzową.

Wojciech Cieński, żyjący za czasów Augusta II, był siły nadzwyczajnej. Kiedy się o tym dowiedział August II, chcąc sprawdzić, co o Cieńskim mówiono, kazał go przyzwać przed siebie. Stanął zawołany, a gdy zażądał August, aby mu dowód swjej siły, o której tyle słyszał, okazał. Cieński pochwycił grubą sztabę stojącą w tej komnacie, a wypróbawwszy giętkość założył na szyję stojącego u drzwi na straży drabanta, i pod brodę zakręcił na węzeł. Wtedy zbliżywszy się z ukłonem do króla, prosił uniżenie, aby raczył węzeł żelazny rozwiązać. Lecz na próżno August używał sławnej w Europie siły mocnej ręki, nie zdołał rozwinąć skręconego żelaza: na próżno kazał przywołać głośnego z siły także kowala z Warszawy. Ten jedno radził, aby mu z głową drabanta dozwolono sztabę pod miech na węgle położyć, a wtedy rozkręci napowrót. Wówczas Cieński pochwycił skręconą sztabę, rozwinął by woskową i u nóg zdziwionego króla i obecnych złożył.

K. W. Wójcicki.

4. Bitwa morska.

Gdyśmy się oddalili o 8 stopni od równika, nagle wzmógł się wiatr południowy i powiał na nas uraganem. Zaświszczały gwałtownie wichry, zolbrzymiały fale; musieliśmy zwinąć wszy-

atkie żagle i zatarasować wszystkie luki i okna. Była to jedna z najsilniejszych burz; a do tego uragan powstał tak nagle, że nie miał czasu pochować wszystkich moich roślin, od tak dawna z dalekich stron wiezionych, i wielka część ich zginęła. W ciągu tej, trzy dni trwającej burzy, pękł maszt średni w połowie wysokości i ciężarem swoim zwałił średni, przy samej osadzie. Wielkim cudem udało nam się uratować złamane [maszty; ciągnęliśmy je za sobą linami. Czwartej nocy burza poczęła się uciszać i następującego poranku ujrzelśmy się blisko dziewiątego stopnia szerokości północnej, a podług obrachowań naszych dość blisko brzegów afrykańskich. Morze jeszcze bardzo wysoko się bałwaniło, widnokregu też jeszcze nie można było obejrzeć. Czekaliśmy dzień cały uspokojenia fali; nareszcie wiatr prawie całkiem ustał, a jeżeli zawiał, to już stale od strony południowej. Nie tracąc czasu, wzięto się do wciągnięcia połamanych masztów na pokład, a gdy się morze wieczorem dnia tego uspokoiło, midszypman Tikury ujrzał, może o milę od nas ku brzegom Afryki, jakiś wielki okręt, ze średniego i tylnego masztu zupełnie ogołocony, i dodał, że na pokładzie tego okrętu krzątało się bardzo wielu murzynów. Żaden z nas nie miał tak bystrego oka, żeby z pomiędzy bałwanów, wznoszących się blisko na tysiąc stóp, mógł dojrzyć okręt, tylko czasami na grzbiecie ich unoszony, aleśmy w zupełności zaufali bystrym oczom Tikurego i przez całą noc, trzymając się prądu fali, narządzaliśmy z niezmierną czynnością nasze maszty. Dzieła tego nie bardzo trudno było dokonać przez noc jedną, za pomocą licznej naszej załogi. W ciągu nocy morze uspokoiło się zupełnie, a nazajutrz, po wschodzie słońca, Tikury ujrzał przez lunetę, o jakie dwie milę w tyle za okrętem naszym, statek tenże sam, co dnia poprzedniego, ze zwiniętymi żaglami, naprawiający dwa maszty. Ze trzydziestu murzynów i może dwudziestu europejczyków krzątało się na jego pomoście. My sami już widzieliśmy statek, ale murzynów na nim nie zdołaliśmy rozeznaczyć. Na zapewnienie jednak midszypmana, kapitan rozkazał zbliżyć się krzyżową sztuką do statku, a nawet tył mu zająć, w przypuszczeniu, że to zapewne jest jaki okręt, przewożący niewolników z Afryki do Ameryki, który wśród burzy utracił maszty i znajdował się w niebezpieczeństwie.

— Może będzie bójka, jeżeli midszypman Tikury dobrze widział, — zawołano natychmiast na okręcie i cała załoga, od

dawna do boju wzdychająca, rozgrzana nadzieją walki, wyszła na pokład.

Wiadomo, że mocarstwa morskie Europy i Ameryki, zbrojną ręką postanowiły ścigać i karać śmiercią handlarzy niewolników; a my, jako statek półwojenny, mieliśmy na to upoważnienie od ministra marynarki.

Gzygzakiem posuwaliśmy się z wiatrem południowym ku południowi i nareszcie, w połowie dnia, manewrując z jak największą umiejętnością, stanęliśmy o strzał armatni po za okrętem, który właśnie w tej chwili skończył naprawę swoich masztów, zaciągnął żagle i wiatrem południowym uciekał na wschód ku znanym sobie brzegom Afryki.

— To zły znak; biegnijmy za nim i zapytajmy się ślepym ładunkiem i wywieszeniem flagi, z jakiego on kraju, — powiedział kapitan.

Rozkaz wykonano natychmiast. Okręt uciekający wywiesił flagę Stanów zjednoczonych Ameryki.

— Wrono! w pawich piórach! znamy się na takich flagach; czemużbyś uciekał ku groźnym brzegom Afryki, gdybyś miał dobrze wizowane paszporta, — rzeknie kapitan i krzyknie:

— Hola! z przedniej koronady wypalić ślepo, a flagę wizytową Francji na maszt średni wywiesić!

Statek poszlakowany, postrzegłszy tę flagę, umyka siłą wszystkich żagli ku brzegom, nie zatrzymując się, ani odpowiadając. My pod przekątnią staramy się zabiedz mu drogę. Gonitwa trwała z pół godziny. Midszypman Tikury z gniazda bocianiego krzyczy przez tubę, że na widnokregu wschodnim ukazują się jakieś wysokie brzegi.

— To brzegi Afryki! dalej wiara! uszy do góry! baczność! będzie bójka; rozpiąć wszystkie żagle! wszystkie działa nabić, w trąby i bębny uderzyć! haki do chwytania mieć w pogotowiu! wnieść na pokład ręczne granaty! z dwóch koronad przednich mierzyć w żagle, jak najcelniej, jak najbliżiej masztów! ognia!

Ryknęły działa; obie kule trafiły w żagle, z których liczne szmaty wyleciały w powietrze.

— Dobrze! jeszcze raz! czémprędzej! — krzyknął kapitan.

Jeszcze raz ryknęły ogromne armaty; kawał masztu upadł z uciekającego okrętu.

— Jeszcze ciągle z koronad przednich! dzielnie, tak jak dotąd! wybornie, bombardyjery!

W kilku minutach dano jeszcze dziesięć razy ognia do nciekającego, cały prawie bort nadstawiającego, okrętu. Musiał zwolnić biegu, bośmy niemało uszkodzili mu żagle. Ale oto zatrzymuje się; wzdłuż prawego bortu jego błyska jednym szeregiem dwanaście okiennic białych; flaga amerykańska znika z masztu, a ukazuje się flaga czerwona, z trzema czarnymi głowami w środku.

— Aha! teraz cię poznajemy! terażes wyraźny murzyniarz i zbójca morski w potrzebie. Ale dwanaście z boku, do licha! to dwa razy więcej, niż my mamy, rzecze kapitan i doda ze smutkiem: — trzeba będzie zaprzestać gonitwy; zanadto byśmy stracili ludzi i może nie odnieśli zwycięstwa.

Wtém przypada Alfons i, jak gdyby odgadł myśl kapitana, rzecze:

— Nie ma żadnych koronad wielkiego kalibru, ani tak licznej siły zbrojnej, jak my, ani też może mieć tak wyćwiczonych kanonierów. Kapitanie! na miłość Boga nie odstępujemy od zaczętego dzieła; patrzy na nas Francyja i ludzkość. Dalej! każ dać ognia, ale wprzód ściągnij widetę z gniazda bocianiego; szkoda byłoby postradać takiego ostrowidza, jak Tikury, a łatwo zginać może, gdy całym bortem do nas palną.

— Więc w imię boskie, dalej na łotra, urągającego się z naszej flagi, — rzeknie kapitan — i gdy wszystkie luki na pokładzie zamknięto, kazał zejść midszypmanowi Tikury na galeryję wewnętrzną drugiego pomostu, i dać ognia z prawego bortu, mierząc zawsze w żagle i maszty nieprzyjaciela.

Zaryły działa, zaświszczały kule; płaty, jak stado gołębi, spadły z żagli murzyniarza. Teraz on, nadstawiający dotychczas tyłu, dał pół obrotu na prawo i od razu z dwunastu dział do nas wypalił. W chwili, gdy ujrzelśmy dym, wydzierający się jednym długim pasem z bortu, uczuliśmy także siłę żelaza w żaglach i na pomoście, ale, nim jeszcze statek nieprzyjacielski zdążył zwrócić się drugim bortem, kule przednich naszych koronad, prawego bortu i tylniej ogromnej koronady, tak go dzielnie dosięgły, iż maszt jeden zwalił mu się na pokład, a zanim go mogli uprzątnąć i wrzucić w wodę, my, ciągle się przybliżając, daliśmy z pięć razy ognia ze wszystkich dział, i to nie

śpiesząc się, lecz dobrze celując w serce, boki i tyły pirata.

Teraz wszczął się bój morderczy, na odległość nie więcej, jak pięciuset kroków; żagli zachowaliśmy tylko tyle, ile koniecznie wypadało dla obracania okrętem; z trzech naszych koronad już mogliśmy prażyć kartaczami. Wtém i my tracimy maszt przedni. Sposstrzega to pirat i chce umknąć z placu. Z przerażeniem sposstrzegamy w wodzie, falami morskimimiotanych, tonących, kajdanami do siebie przykutych murzynów. Ani można ratować tych biedaków, powiązanych z sobą, jak sznurek paciorków. Wszyscy prawie potonęli, wydając okropne jęki; tylko coś kilka kobiet, osobno do siebie przykutych, zdołano ocalić.

— Maszt wrzucić w wodę! gonić za zbójcą i łapać go na haki! krzyczy Alfons, obejmując samowolnie dowództwo, bo kapitan, ranny drzazgą w głowę, pada i omdlewa.

Cała załoga usłuchała najchętniej rozkazu sprężystego Alfonsa; w oka mgnieniu wykonywa to wszystko, rzuca się do żagli, korzystając z nowego powiewu wiatru. Stary Siurkuf najchętniej ulega rozkazom najmłodszego z swych kolegów, zagrzewa do boju, pilnuje, aby wykonywano wszystko, co młody Alfons rozkaże. Już jeden obłok dymu ogarnął obadwa okręty; już odzywają się strzały z ręcznej broni wymierzone, granaty ręczne dosięgają. Porucznik Siurkuf dostaje kulą karabinową w udo, ale nie odstępuje komendy, kierując jak najskuteczniej obrotami statku i ogniem z ręcznej broni.

Wtém rozległo się stuknięcie; cały statek zadrżał we wszystkich szczelinach.

— Na pokład wroga! na pokład szturmem! *à l'abordage!*

Cała nasza załoga, prócz zajętych przy bateryjach i ciężko rannych, wszyscy, co tylko bronią władać mogą, wskakują za Alfonsem na statek nieprzyjacielski, na którym z piętnastu Europejczyków i z dwudziestu murzynów, w hufiec zbici, bronią się zacięcie.

Okropny zgiełk na tym statku, na którym świszczały kule we wszystkich kierunkach, pękały ręczne granaty; a siekiery, pałasze i sztylety godziły na wszystkie strony.

Wrzała straszna walka na krwią zalanym murzyniarzu. Broniono się zacięcie; herszt na czele zbójców sieje śmierć około siebie; walczy jak lew, ale Alfons rzuca się, na czele garstki wybranych, na broniących się rozpaczliwie zbójców; z boku do

nięj pali porucznik Siurkuf z działa, nabitego półkwartą grubego siekańca. Pada herszt i na czworakach czołga się ku prochowi, aby okręt w powietrze wysadzić, ale topór Alfonsa gruchocze mu rękę. Poddaje się na koniec reszta zbójców na łaskę i niełaskę, a flaga Francji powiewa na krwią zalanym statku.

Walka ustała właśnie w chwili, gdy słońce zaczynało zapadać w Atlantyk. Zupełna cisza zalega horyzont. Nagły ten przechód z ruchu do spokojności miał w sobie coś niezmiernie uroczystego. Tylko jęki i narzekania rannych i umierających przerywały tę poważną ciszę.

Teodor Triplin 1855.

5. Łowy na wilka.

Dawniejszemi czasy kilkunastu myśliwych, dobrze uzbrojonych, zwykle wybierało się na wilki z prosięciem na wabika. W ogromnych saniach, przyrzadzonych po temu umyślnie, cała drużyna strzelców na ławkach siadała, z tyłu sani stał jeden i gniótł prosiaka, ażeby kwikiem przywabić wilka, tymczasem na długim sznurku wiązka grochówin przywiązana i wleczona po ziemi, wyobraża ciągnięte prosię. Jak podobne łowy są niebezpieczne w naszym kraju, dowiedzie wypadek prawdziwy, zdarzony przed kilkunastu laty.

W Sandomierskiem, Czesław—młody ziemianin, zaprosił sąsiadów i strzelców, w liczbie ośmnastu, którzy na tak przygotowane sanie, zaprzężone czterema końmi, wsiadłszy, ruszyli na łowy. Każdy oprócz dubeltówki opatrzone był w parę pistoletów; kilka sztuk broni nabitę na zapas za poradą starego strzelca wzięto na sanie. Z wesołym okrzykiem ruszyła ochotcza drużyna myśliwych, wypiwszy nie mało wina na pożegnanie i za zdrowie gospodyni domu. Zwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu gniecionego ciężkimi saniami, kwik przerywany prosięciem ogłaszały przejazd tej zbrojnej, radosnej czeredy; ale im bliżej dojeżdżano lasu, ustawała gwarna z początku rozmowa, a na jej miejsce zajmowała ciekawość ujrzenia dzikiego zwierza. Mieszało się może nieco obawy, bo stary strzelec i doświadczony opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły.

— Będzie temu, mówił, lat dziesięć; podobnie jak teraz wybraliśmy się na wilki, pięć dzielnych koni zaprzężono; wsiało nas dwudziestu na sanie. Ale jak się pokazały ćmy wilków nieprzeliczone, bez wystrzału nawet uciekaliśmy.

— Tchórzul — zawołał młody Czesław, siedzący blisko starego strzelca, — we dwudziestu i obawiać się jeszcze!

Strzelec nagniół silnie prosiaka, który przeraźliwie zakwiczał; po chwili odezwał się: „Zła wróżba, mój panie zuchul! prosię długim głosem zakwiczało!

— I cóż z tego? zapytało kilku z uśmiechem.

— Bo tak było właśnie, — mówił dalej strzelec, — kiedy siedemnastu myśliwych wilcy zjedli, a ja jeden zaledwie uciekłem.

Na te słowa, czy wiatr zimniejszy powstał, czy może i trwoga tajemna, ale wszystkich mróz przeszył.

— Pleciez brednie, stary gaduło, — odpowiedział Czesław, — trzeba by na to z tysiąc wilków.

— Było ich więcej, — odrzekł spokojnie, — a dzięki gniadęj klaczy, że mnie żywo uniosła, chociaż jej ogona mało wilcy nie urwali. Tak, tak! śmiecie się, panowie junaki, ale to szczerza prawda, jak to, że żyw jestem.

— Będzie temu ze dwadzieścia lat, z takim jechaliśmy prosiakiem. Wesoły, bo młody, pierwszy raz wybrawszy się na takie łowy, myślałem, że i samego djabła lękać się nie trzeba, kiedy nas tylu razem! Przecież wszystkich kości wilcy roznieśli po świecie, zginęli bez pogrzebu, a wiele wdów zostało i drobnych sierot!

Zaśnieżyło się niebo, wesołość znikła w tém gronie; sam Czesław popił z torby, bo wspomniał na swoją żonę i dwoje jak aniołków dzieci. Wszyscy zwrócili oczy na starego strzelca i mimowolnie poculi jego wyższość.

— Jakże to było? zapytało wielu razem.

Strzelec ani nie rzekł słowa, podniósł się z ławy; spojrzął wokoło. Śnieg drobny a gęsty nie dozwalał daleko dojrzieć. Nagle odwrócił się, jakby odpowiadając na pytanie:

— Jak było, tak będzie, rzekł ponuro i wskazał palcem.

Wśród śnieżnej zawiei z początku myśliwi nie dojrzieć nie mogli. „Co ci się przywidziało? ot śnieg na polu rozta ja!; to czerni się ziemia,“ rzekł Czesław, wpatrując się pilnie.

ale taka éma wilków, stado, jak pole długie i szerokie.

— Już nas poczuli! W konie! w konie! bo inaczej zgniemy wszyscy!

— Strzelać, — odezwali się niektórzy, — przecież tylu ludzi i broni!

— Cicho! zawołał z gniewem strzelec, — usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu. ale nie strzelać. Strzelać! strzelać! wołacie; a cóż będzie z tego? zabijesz pięciu albo dwudziestu, a stu się na ciebie rzuci i pożre!

A wszyscy na groźne starego myśliwca słowa posiadali na ławach; konie jakby, poczuły, w chyżym biegu zaledwie dotykały ziemi.

— Jeżeli dostaniem się przedź na utarty gościniec, ocalimy się zdrowo. Rachujcie teraz, panowie, wilków, co się wam strzelać zachciało.

Czesław spojrział. Co zdawało się zdaleka wśród śnieżnej zawiei kawałem pola, była to gromadka wilków; szły w gęstej massie, kilku tylko wybiegło naprzód. Przy zmroku coraz większym błyskały ogniem oczy zajadłych i zgłodniałych wilków. Czesław usiadł na jednej ze strzelcem ławie, a ten zcichą rzekł do niego:

— Tego wilka, co najbliżej widzicie, zabić nie trudno; ale ten chyba strzeli, kto chce by kości jego święta ziemia nie przykryła, ale żeby je zaszczerciły zęby wilcze, a dzioby kruków szpik wydziobały. To wilczyca!

Tu przestał, jakby dokładnie wszystko objaśnił; nagle odwrócił głowę, widać było na jego twarzy bladość, usta zsiniały. „W konie! na rany Chrystusowe! w konie!“ — zawołał.

Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił odrazu; nie było słyhać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy, spojrział w około, a widząc, że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca, wysadzona lipami, których jeno suche konary sterczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię, i z zamachem wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżej pędząca zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać. Przyskoczyło więcej wilków, ale śnieżnica nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich kąskiem. Wszyscy poziebli od mrozu i wiatru,

wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica zcichą rzekł: „Już widać we wsi dzwonicę.“

Strzelec naszykował dubeltówkę. „No panowie! jeszcze dla nas ostatnia nie wybiła godzina; lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony. A teraz, Macieju, — zawołał na woźnicę, — co koń wyskoczy!“ I woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny wyciągały się, prawie brzuchem dotykały ziemi, leciały jak na sokolich skrzydłach.

Wiatr doniósł szczekanie psów ze wsi, świeciły ognie przez małe okienka chat; wystraszeni łowcy wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki u dubeltówki i zawołał głośno: „Panowie! który może, do mnie się niechaj obróci i ognia razem!“

Zadrzała ziemia od huku strzałów, po nich usłyszano głucho wycie wilków. „Ognia znowu!“ krzyknął strzelec, i tak raz po raz grzmiały strzały, których echem było okropne wycie wilków.

Już blisko byli opłotków, a stado goniących wilków ani się na chwilę nie wstrzymało; psy ze wsi całej, jedne na dachach chlewów i obór, drugie skryte w budach, żałośnie wyły; zuchwalsze, które się na drodze pokazały, w oczach myśliwców rozszarpane bez znaku. Leciały sanie przez wieś... już są na dziedzińcu dworu, skąd tak wesoło i radośnie wyjeżdżali. Za ledwo wpadli do dworu i drzwi zatarasowali, stado wściekłe napełniło dziedziniec. Ogromne kondole, wyżły, charty, przeszło dziesięć psów w jednej chwili wilcy rozszarpali. Strzelcy i domownicy, rozstawiwszy się w oknach i na ganku, ciągłym ogniem razili. Blisko godzinę grzmiały strzały. Księżyc zmrok rozjaśnił, zajadła wilków gromada rozpieczęła się i znikła w nocnej pomroce.

K. W. Wójcicki.

6. G ł o n k a.

Ostatni wódz opryszków w Karpatach z r. 1817.

Głonka, śmiały i odważny opryszek, już dobrze się zaprawił na granicy tureckiej w swoim rzemiośle, nim odwiedził

Karpaty i rozsiadł się w nich szeroko. Siły olbrzymiej, łamał szyny żelazne i podkowy, rwał powrozy, a do tej siły łączył odwagę zuchwałą.

Na pierwsze wieści o nim, obwarowano lepiej dwory wiosek w Karpatach. Hajducy zbrojni strzegli ich w noc i dzień; strach przecież przerywał pokój snu miłego niejednemu ze szlachty, choć spał w obronnym domu i pod strażą hajduków.

W jednej z wiosek większych w Karpatach bliżej Bukowiny zamieszkiwał Sieciech. Już on w kilku wyprawach wytepił nie mało opryszków. Gdy zasłyszał o Głonce, rozkazuje w tej wsi zamieszkałego przywołać rodzzonego brata Głonki, zapowiadając mu, że jeżeli nie odkryje, gdzie się brat opryszek ukrywa, mścić się na nim i na całej jego rodzinie nie omieszka.

Wystraszony Hocuł donosi wkrótce, że Głonka w pobliskim lesie w górze przebywa. Sieciech rad tej wiadomości, przemyśliwał nad sposobami do pochycenia lub ubicia opryszka. Próżno dumał: bo trzeba było zrobić nagłą i cichą wyprawę, napaść niespodzianie. Ale Głonka nigdy nie zasnął, miał oko sokole, a słuch zajęczy, chytróść lisa, a siłę niedźwiedzia.

Wieczór się zbliża, gdy staje przed nim dwóch młodych domowych hajduków z oświadczeniem, że Głonkę zabiją lub żywcem dostawią, Sieciech przyrzeka im dobrą nagrodę i wskazuje miejsce, gdzie ukryty przebywa.

Z wieczornym mrokiem puścili się młodzi łowcy na zbyt niepewne polowanie, wyostrzone dobrze toporki za pasem i loftkami nabijane sztucce, nie były dostatecznymi, bo do nich trzeba śmiałego serca i mocnej a pewnej ręki.

W pośród gęstego lasu, w tajnej uboczy góry, słabo tłało ognisko Głonki. Sztuciec dwururyny gwintowny, dwie pary pistoletów, topór i nóż, składały jego uzbrojenie; szeroką bundą okrywał ramiona, a z szerokimi skrzydłami kapelusz, ze sznurkiem dukatów lśniących, przyciemniał oblicze duże, groźne, z wydatnymi rysami.

Choć szli pod wiatr ostrożnie, zdala ich poczuło ucho Głonki, dwa razy kładł się na ziemi i po cichym odgłosie niejednakowym, rozpoznał zbliżanie się nie jednego człowieka. Ustąpił w cień przeto, kilka kroków za ognisko i wymierzył ku tej stronie strzelbę, gdzie już wyraźnie słyszał stąpających naprzód.

Dał hasło znajome swoim, lecz gdy nie odebrał odpowiedzi, odwiódł dwa kurki, odrzucił w tył bundę, by mu nie zawadzała, jeżeli przyjdzie użyć pistoletów, topora lub noża.

I zaraz przed ogniskiem ukazali się dwaj młodzi hajducy, w spokojnej postawie, ze sztucami na ramieniu i toporkami za pasem.

„Chwalem pana!“

„Na wieki! odrzekł Głonka i broń opuścił, ujrawszy dwóch jeno młodych wysmukłych swego rodu chłopców. Pociągnął wzrokiem kilka razy po nich i zaraz ocenił ich siłę, a widząc, że ufał i swojej, bo pierwszy zbliżył się do nich.

W krótkich słowach opowiedzieli mu, że uciekli z dworu Sieciecha i przybyli pod jego dowództwo. Z uśmiechem radości powitał nowych towarzyszy, podał dłoń żyłastą i szorstką, a przyrzuciwszy kilka gałęzi suszu, przy pierwszym poznaniu uczęstował wódką.

W przyjacielskiej rozmowie uwiadomił hajduków, że sam tylko tu bawi, bo swoich chłopców wysłał na różne manowce. Rozochocony sporą miarką wódki, zawołał głośno:

„Nu! moje chłopcy! postawcie strzelby na bok, musimy się spróbować; mam zwyczaj taki, że doświadczam każdego siły, abym wiedział, co może na każdy przypadek.“

Iwan starszy, stanął, wyprostował się i czekał na Głonkę. Ten go przez wpół pochycił, ścisnął tak mocno, że młodemu hajdukowi oczy wyszły na wierzch, a ręce opuścił; podniósł go przeto w górę i rzucił na murawę daleko, a Iwan rozbity, zaledwie się zdołał podnieść.

Pyłyp młodszy, niższy, ale więcej krępy, plunął w obie garście, pierwszy przyskoczył do Głonki, wpoły uchwycił i uniósł go w górę nieco. Opryszek nie mając na czém nogę oprzeć, utracił wiele siły swojej i długo nie mógł przełamać Pyłypa, aż gdy w szamotaniu dostał jedną nogą grubego pnia po ściętym buku, zatrząsł swą niedźwiedzią łapą Pyłypem i nie długo na ziemię obalił.

Uradowany z tego zwycięstwa, częstował na nowo przybyłych wódką ze sporą flaszy i pieczoną na węglach kukurydzą.

Gdy się nieco z zmordowania wysapał i z trudu odpoczął, pewniejszy i mniej dbały na hajduków, poznawszy ich siłę, dobył z dziobeńki fasolę, zdjął kapelusz i począł, rzucając na niego ziarna, wróżyć zwyczajem tureckim.

Po kilku chwilach rzekł niedbale: „dziś z nas jeden zginie.“

Zadrżeli hajducy, spojrzeli po sobie i już chcieli się rzucić na kolana, wyznając wszystko w przekonaniu, że wie o ich zamiarach, kiedy znużony opryszek zaczął drzemać. Gdyby nie to, przed bystrém okiem nie uszłoby bojaźliwe ich poruszenie, ni zbladłe oblicza z przestachu.

Głonka pił za dużo, już dwie noce czuwał, zmordował się téż nieco, łamiąc się z młodymi hajdukami, powstał przeto i o kilka kroków odsunięty od ogniska, usiadł pod bukiem, a kazawszy przykładac suszu, by nie zgasło, trzymając w ręku strzelbę, nasunął kapelusz na oczy, zwiesił głowę i usnął.

Uderzyła więc godzina jego. Kruk w przelocie zakrakał, jakby przeczuł świeże ścierwo.

Hajducy szepnąwszy słów kilka na ucho, z cicha powstali.

Chrapał pod drzewem opryszek z nachyloną głową, ręka ocieężała nie tak rychło broń pochwyci; toporkami więc uderzyć i zabić.

Ale w cieniu dobyte toporki znowu zatknęli za pasy: bo poznali jego siłę, ręka nie zawsze pewna, pierwsze uderzenie powinno go zabić, inaczéj sami zginąć mogą. Stoją za smagłym świerkiem; nagle razem podnoszą strzelby, krótkie lufy mierzą prosto w zbrojne piersi opryszka. Dwa strzały odbiło echo blizkiéj góry, i nie chybiły: pięć loftek ugodziło dobrze w piersi. Głonka zbudzony hukiem, uczuł razem postrzał, zaledwie przetarł oczy i odrzucił kapelusz jednym poruszeniem ręki, ujrzał dym jeszcze w małym obłoku, zawieszony przy świerku, za którym wystraszeni, nieporuszeni stali hajducy. Porywa się na nogi, staje, mierzy w ten cel, a kula utkwiała w pniu drzewa; ale krew z ran pięciu tryskała obficie, zamgliła mu wzrok, z osłabionych rąk wypuszcza sztuciec, przyklęka na jedno kolano, pochyla głowę niżej, jakby wydając ją na ciosy zabójców.

Dopiero gdy w tak ukorzonéj postawie ujrzeli hajducy Głonkę, wyskakują jelenim skokiem z za drzewa, w ręku błyszczą ostre toporki. Opryszek wsparł się na lewym ręku, prawą unióśł w górę, w pięść ścisnął i zasłonił głowę, a podnosząc ocieężałe oczy, cichszym, ale wyraźnym głosem wtedy zawołał:

„Przeklinam was, przeklinam! żeby was kruki i wrony poszarpały, a ciało pogrzebu nie miało; przeklinam was poganie! zginiecie obaj marnie, krew wasza będzie płynęła jak moja, a nikt wam oczu nie zamknie! przeklinam!“

Gdy Pyłyp, nie chcąc słuchać okropnego przekleństwa, uderza, za nim Iwan; zabełkotał niewyraźnemi słowy i padł bez życia. Wtedy co rychléj hajducy zabrawszy Głonki broń i kapelusz, porwali za nogi, a ciągnąc z pośpiechem po lesie, zsunęli się górą z trupem. Księżyc widno przyświecał; gdy wrócili do dworu Sieciecha łowcy, otrzymali przyrzeczoną nagrodę, oddając za nią zwłoki skrwawionego.

Tak zginął ostatni wódz opryszków w Karpatach.

K. Wł. Wójcicki.

7. Walka z białemi niedźwiedziami. Opowiadanie wędrownika.

„Dokądże to znowu wybierasz się?“ — Mówił mi dobry przyjaciel Bogdan Z., gdy wszedłszy do szczupléj izby, którą zajmowałem, znalazł mnie zajętego układaniem w podróżny tłómaczek niezbędnej bielizny, książek i garderoby.

— Opuszczam stolicę, odpowiedziałem.

— To widzę, lecz dokąd się udajesz, wieczny wędrowcze? Czy jak zeszłego roku chcesz w boskiej Italii wyszukiwać wpółstartych pomników; czy na ruinach Teb lub Kartaginy, jak drugi Maryusz, pragniesz dumać o zmienności losu, a może téż nęci nowy świat Ameryki, może wabią bogate Indyje, skwarą Afryka, Palestyna, albo sfinx przeszłości Egipt?

— Nie odgadłeś, trudnoby odgadnąć, przyjacielu! Wcale w inne wybieram się strony. Chcę poznać ziemię w jéj odwiecznej dziedzinie, lody w ich olbrzymiej świetności, zajrzeć w oczy matce naturze, nie w jéj uroku, lecz w dzikości; chcę zasypiać w objęciach północnej nocy, marzyć pod niebem bez gwiazd, jedném słowem, wybieram się w krainy podbiegunowe, do Grenlandyi na Szpicberg, między lody Północnego Oceanu.

Bogdan nie chciał wierzyć; podobna podróż wydawała się mu zbyt dziwaczną, że nie powiem szaloną, aby ją przedsiębrał człowiek przy zdrowych zmysłach, niepowodowany chęcią zysku lub musem; ale pokazałem układ zawarty w Hawrze z armatorem statku przeznaczonego do połowu wielorybów w Grenlandyi... wątpić więc nie mógł. Popłynąłem tedy

Nie będę skreślał dziejów mojej podróży, na inny to czas zostawiam; teraz ograniczę się przytoczeniem jednego z niéj epizodu. Silne on wywarł wrażenie na mój umysł, a sądzę, że i dla innych obojętnym nie będzie. Wylądowaliśmy na brzegi

Grenlandyi. Naprzekór zapewne prawdzie, dali jój nazwisko Irlandczykowie; gdzie się nazwie zielonym kraj pusty, dziki, odwiecznym śniegiem pokryty, najeżony skalistemi górami, między któremi ni jedna roślina nie wyrosła, ni jeden krzew nie wywinął zielonych liści pod blade, wiecznie mgliste niebiosy? Prawda, że południowo-zachodnia część Grenlandyi jaką taką wydaje roślinność, lecz część wschodnia, którą zwiedziłem, jest zupełnie martwą.

Parę dni, oczekując na zmianę wiatru, strawiliśmy w tej krainie; jednostajność widoków i wrażeń zaczęła dokuczać, prosiłem zatem pana Wan-der Schloop, Holendra, właściciela statku, aby pozwolił na wycieczkę ku drobnym skalistym wyspkom, które na skraju widnokręgu roztoczone półkolem, nasuwały się oku.

— I owszem, odparł Holender, a tém chętniej zgodzę się na życzenia pana, że sam miałem posłać wyprawę; chciałem się dowiedzieć, czy między temi wyspami niema gdzie dogodnej przystani, a mianowicie, czy się nie trafi na wieloryba lub opałowe drzewo zarzucone falami?

W kilka minut łódź była gotowa, a w trzy godziny później dopłynąłem do wysp.

Wyspy smutniejszy jeszcze od stałego lądu przedstawiały widok; były to masy skamieniałej lawy, czarne, dzikie, ponure; nie warto było ich zwiedzać i już miałem dać rozkaz powrotu, gdy jeden z majtków, stary wilk morski, jak nazywają anglicy, odezwał się do mnie: „Jeśli pan chcesz poznać ocean lodów, przepłynijmy oto ten wązki przesmyk, a za parę godzin będziemy; znam bowiem miejsce, przed dziesięcią laty zapędzony burzą zwiedziłem je.“

— Ocean? rzekłem,—wszakże od dwóch miesięcy znajdujemy się na nim?

Prawda, lecz pływaliśmy po jego zachodniej części, a ta podobna do innych mórz świata; wschodnia całkiem różna, a zaczyna się właśnie od wysp; warto zobaczyć choć dla ciekawości.

Zgodziłem się na to chętnie. Wycieczka krócej trwała niż wzmiankował żeglarz, wiatr sprzyjał, przesmyk był prędko przebyty; wypłynęliśmy z pomiędzy dwóch wysp na pełny ocean — i wykrzyk podziwu, radości, zachwycenia, wydobył się z moich piersi!

Majtek miał słuszną, istotnie morza lodów nie znałem

jeszcze, teraz ono w całym blasku, w całej glori rozpostarło się przed oczyma.

A jakże opisać wrażenie, jakim był przejęty, jak skreślić obraz, który miałem przed sobą! Wyobraźcie sobie przestrzeń okiem niezmierzoną, zabudowaną, że się tak wyrażę, lodami w tafalach jasnych, jak zwierciadło, czystych, jak kropla rosy. Lecz te lody nie były to bezkształtne bryły, nieforemne złomy kry rzek naszych; nie były bezduszne masy ściętej mrozem wody; były to całe miasta, góry, skały, świątynie, tryumfalne łuki, pagody, minarety, obeliski, pałace.

Te zaś pałace, świątynie, te wszystkie góry, skały i miasta były z czystego kryształu, osiane złotem, purpurą, drogiemi kamieniami wszystkich barw, blasku słońca, a olbrzymiego rozmiaru. Gra światła sprawiła to złudzenie; zachodzącego słońca krwawo-żółte promienie, błakając się między niemi, obsypały je wszystkiemi kolorami tęczy, przystrajały w rubiny, szafiry, dyamenty, topazy. Co wspomniałem o kształtach lodów, nie jest przesadą; dziwna igraszka przyrody nadała im postacie znajome, nie trzeba było nawet silnej wyobraźni, aby je rozróżnić, oznaczyć. Zachwycony uroczym widokiem, chciałem go uwiecznić dla siebie i, wydobywszy ołówek, skreśliłem, ile możność pozwalala, otaczające przedmioty, gdy tymczasem z pięciu majtków, z którymi przybyłem, trzech udało się na wyspę, do której dobiliśmy; nazbierali oni drzewa i, roznieciwszy ogień, rozkoszowali się jego ciepłem dawno już upragnionem. Tak czas biegł, o powrocie na statek ani myśleć, słońce zaszło, mgła zapadła, trzeba było czekać do rana. Podałem się bez szemrania przeznaczeniu, gdy oto nagle mimowolny okrzyk wyrwał się z piersi, nowy cud miałem przed memi oczyma.

Zorza północna — to niepojęte, niewysłowionej piękności zjawisko dopełnia zachwycenia, w jakim od ujrzenia oceanu lodów zostawałem ciągle.

Mieszkańcy cieplejszych stron Europy, nie mamy istotnego pojęcia o piękności zorzy północnej; aby poznać i ocenić, trzeba ją widzieć w jej ojczyźnie, w jej przyrodzonej dziedzinie, na ostatnim krańcu lądu, pod biegunem polarnym; tam ona błyszczy w całej glori, tam w całym blasku jaśnieje!

Jeśli nie byłem w stanie opisać piękności morza lodów, czy się mogę ośmielić, aby skreślić jeden z najwspanialszych fenomenów przyrody? Moje pióro za słabe do tego, ale też

mniemam, że największy geniusz nie wydołałby przedmiotowi, że pędzel najbieglejszego malarza setnej części jego uroku nie zdołałby pochwycić. Ograniczę się tedy na prostym opowiadaniu cudu, który miałem przed sobą.

Zorza północna rozpoczęła się około ósmej wieczorem, mdłym różowym blaskiem, którym połowę horyzontu zajęła.

Ta różowa powłoka coraz wzmacniała się w barwie tak, że już w kwadrans zmieniła się w purpurową, i do ostatnich kończyn zalała horyzont.

Purpura niedługo została bez zmiany, zaczęły po niej przebiegać, rozpoczynając od północy, słoneczne kule; lecz dzie sięć razy przynajmniej większe i więcej jaskrzyste od prawdziwych. Kule te w miarę lotu pryskały, rozsypując miliony gwiazd, z których każda znowu rozpryskiwała się na miliony innych tak, że całe niebo niemi pokryte było. Ich zaś trzask wyraźnie chwytaleś uchem, był to szmer odległych rakiet, szmer, jaki sprawia paląca się siarka. Nie sposób wyrazić piękności tego widoku, tych migocących światła na tle purpurowym; fenomen zaś trwał znowu kwadrans. Po upływie tego czasu, nagle, niby różczką Morgany dotknięta, purpura znikła z horyzontu, zastąpiło ją światło nieokreślonej barwy, jasno-złote, przetrznięte kilką wstęgami srebrnymi. Te wstęgi widocznie szerzyły się, nabierając niejako kolumnowej grubości, a w miarę wzrostu migotały po nich cudnej piękności iskry wszystkich barw tęczy, wszystkich odcieni pryzmu. Zwiększyły się w liczbie tak, że w kilkanaście minut owe wstęgi wydawały się oku niby rzeki roztopionego srebra, niosące na swych falach miliardy różnej wielkości i farby drogich kamieni. Lecz właśnie, gdy najwięcej niemi rozkoszowało się oko, nagle znowu nastąpiła zmiana. Cudowne rzeki zniknęły, a złocista powłoka, wypełniająca horyzont, zbiła się w jeden szeroki kłęb od północy, tak, że połowa niebios wrzała, iskrzyła się, płomieniła niby pożarem drogiego metalu; druga została w ciemności, która była tak czarną, jak sobie tylko wyobrazić można, — czarniejszą od węgla. Odcień tych dwóch sprzeczności niepojęte wrażenie wywierał na umysł, — był to blask niebios wiary obok ponurą ciemności piekieł. Po ognisku zaś, o którym wzmiankuje, wkrótce zaczęły przelatywać w prostych liniach, lecz w gwiazdę, niby z jednego punktu wyrzucane strumyki barw: modrej, różowej i zielonej; wiele zabiegło aż na drugą

ciemną stronę horyzontu, rysując jego czarne tło w największej harmonii, blasku i uroku. Ta gra przyrody najdłużej, bo półgodziny trwała; ogniste koło wtedy zawrzało, rozszerzyło się, rozlało się złotem i purpurą, a wreszcie wzbilo się w szerokie słupy które niby na skrzydłach wiatru niesione, niby siłą wulkanu miotane, z niewyraźną chyżością rozstrzelały po horyzoncie. Te to słupy znamy, jako zorzę północną, po nich sądźmy o niej, — łatwo pojąć, jak niedokładnie. Zjawisko trwało kilka godzin, a ciągle, w równie zajmujących postaciach, jak były te, które starałem się opisać.

W rzeczywistości zaś o czarowaniu byłem; ocucił mnie z niego dopiero głuchy jęk, jaki nagle zachwyciło ucho. Zdziwiony spojrzałem w stronę, z której pochodził, — wydawał go jeden z dwóch majtków pozostałych na łodzi. Był to młodzieniec lat dwudziestu kilku, rodem Irlandczyk, sprawny, zabiegły i trzeźwy. — Co ci jest, co znaczy ten płacz? zapytałem. Irlandczyk milczał, zastąpił go towarzysz francuz lekkomyślny i szczebiotliwy.

„Nie dziw się pan! Tom ma ważną przyczynę: rozstaje się z życiem.“ — Żartujesz? co znowu?

„Tak jest przecież wistocie, widział we śnie patrona Irlandyi świętego Patryka, a ten mu to oznajmił.“ Machinalnie przy tych wyrazach na ocean zwróciłem spojrzenie i zimny pot oblał mi czoło, febryczny dreszcz wstrząsnął ciałem. Noc była pogodna, niebo bezchmurne, jasność prawie dzienna, różowe polarne światło, wypełniające widnokrąg od północy, na półmili i więcej, wszystkie przedmioty jak na dłoni widzieć dozwoliło; straszny się im przedstawia widok. Przecucie Toma urzeczywistnione być miało, lecz niebezpieczeństwo nietylko jemu, ale i nam groziło. Ciesząc niedawno zasmuconego, utrzymywałem, że te strony, jeśli pod różnemi względami upośledzone są od przyrody, jedną ważną mają zaletę — ród ludzki niema tu wroga.

Omyliłem się wielce, zapomniałem o jednym groźniejszym od lwów afrykańskich Sahary, od grzechotników brazylijskich lasów, lub tygrysów indyjskich; zapomniałem o białych niedźwiedziach, ich to teraz dojrzałem w odległości 30 do 40 sążni od łodzi, ujrzałem sześciu płynących wprost ku nam. Ich olbrzymie cielska, długimi kudłami pokryte, ogromne głowy i paszczęki półroztwarte, dzwoniące ostre, białymi jak kość

słoniowa zębami; ich języki purpurowe i oczy małe, ale błyszczące niby pochodnie, zwiastowały nam okropną śmierć. Tyśiące strasznych legend marynarzy w jednej chwili opanowały umysł. Rzeczywiście, walka z białymi niedźwiedziami jest śmiertelną; niema zwierza na ziemi, z wyjątkiem słonia, silniejszego, bardziej chciwego krwi ludzkiej, jak niedźwiedź mórz lodowatych.

Pojałem cały ogrom niebezpieczeństwa, widziałem zarazem i moc własną; palnej broni nie mieliśmy przy sobie, a oskardy i dzidy, w które uzbrojeni byliśmy, dadzą ostateczną obronę? Trzech nas stawało do boju: ja, niewprawny do podobnej walki; francuz, ośmnastoletni młodzieniec, i Tom irlandczyk, a niedźwiedzi było sześciu, a trzech jeszcze na złomie lodu w odległości stu sążni dojrzało oko.

Dwaj nasi towarzysze, stary majtek i jego towarzysz, oddalili się, jak wspominałem, na wyspę — dosłyszeli naszych wykrzyków nie mogli, a choćby i dosłyszeli, mogliż dopomóc? Chęć ocalenia życia, blizkie niebezpieczeństwo do rozpaczego postępkę skłoniło. Chciałem wyskoczyć z łodzi, uciec na skałę; szczęściem, zatrzymał mnie silną dłonią Irlandczyk. „Dla Boga, zawołał, nie czyn pan tego, pójdą za tobą, łatwo dogonią i zginiesz! Ot lepiej weź tę dzidę i brońmy się; w Bogu i świętym Patryku ufność!“ Spojrzałem z podziwieniem na mówiącego: okropne niebezpieczeństwo, które nam groziło, wróciło mu odrazu straconą energię ducha. Stał uzbrojony oskardem, zbudził Francuza. Straszne potwory dopłynęli do statku. Nastąpiła walka zacięta, uporna, krwawa, samo jej wspomnienie dziś jeszcze dreszczem mnie przeszywa. Wspominałem iż niedźwiedzi było sześciu, połowa dostateczną byłaby na naszą zgubę, bo siłę oskardów udaremniały gęste kudły potworów, a żelazo mojej dzidy wkrótce stępiło się o twarde, jak stal, kości ich czerepów.

Zgłodniałe bestyje darły się z każdej strony na łódź, swym ciężarem przechyliły ją i napełniły wodą, wkrótce mieliśmy ją do kolan; podwójne tedy niebezpieczeństwo groziło, zatopienie i kły potworów. Walczyliśmy jednak zacięcie, rozpaczliwie; silne razy odtrącały od łódki napastników. Tom szczególnie odznaczał się; żaden cios jego oskarda nie był daremny, gruchotał łapy, czaszki, i z nadludzką siłą walcząc, oblewał krwią zajadłe zwierzęta. Co do mnie, popchnięty na pałup łodzi, za-

ciętą utarczkę wiodłem z jednym z potworów, rażąc napastnika ciężką dzidą, gdy nagle wykrzyk trwogi i bólu zwrócił moją uwagę. Francuz, czy że stracił przytomność umysłu, czy też przypadkiem wypuścił z ręki oskard, a zwierz, z którym walczył, jednem uderzeniem ciężkiej i ostremi uzbrojonej pazurami łapy, zdarłszy odzież nieszczęśliwego i do krwi skaleczywszy, obalił na łódź. Niebezpieczeństwo było większe niż kiedy, straszna śmierć bliższą, dziki potwór wdarł się na statek, który ciężar jego cielska do połowy pograżył w falach oceanu. „Trzeba im łupu, trzeba nasycić krwią, wykrzyknął Tom, inaczej wszyscy zgubieni jesteśmy!“ Zwrócił się do mnie. — „Na Boga! trzymaj się pan dobrze, inaczej śmierć!“ Nie pojmovalem, co przez to chciał powiedzieć. Z szybkością błyskawicy rzucił się na potwora, ale już nie z oskardem, lecz z długim nożem, przeznaczonym do czerpania skóry wielorybów; pograżył cały w krwawej paszczę niedźwiedzia. Potwór raniony, głuchy i straszliwy jęk wydał, zaszamotał się, potoczył z łodzi, lecz ostatniem, może śmiertelnem wysileniem, ostremi kłami zająwszy nóż, pochwycił rękę nieszczęśliwego i pociągnął za sobą w otchłanie oceanu. Był to wypadek jednej chwili, dwa zarazem rozległy się wykrzyki: mój i nieszczęśliwego Toma. Gdym nieco przyszedł do siebie z okropnego wrażenia, potworów nie widziałem już przy łodzi; tylko w odległości kilku sążniów, fale rumieniły się, niby rozlaną krwią, i wstrząsały jakby poruszone podwodną walką. Poświęcenie się nieszczęśliwego Toma ocaliło mnie i Francuza. Marynarze jednomyślnie upewnili, że białe niedźwiedzie, podobnie jak nasze wilki, opuszczają najpewniejszą zdobycz, jeżeli głód swój choć jedną ofiarą zaspokoić mogą.

Teodor Triplin.

8. Gawęda Starego Marcina.

(z pamiętników kwestarza przez Ign. Chodźkę).

Gdzie pojedziem, Marcinie? zapytałem, wyjechawszy z miasteczka.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość.

— Tęś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak wiesz najlepiej.

— Już to mój Jegomość, do blizkich tu dworów nie ma po co zajeżdżać; nam potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zawiozę Jegomości do p. Jana Bielewicza, stąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę.

— Dobrze, jedźmy do p. Bielewicza.

Wlekliśmy się noga za nogą, mówiąc po cichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, potrząsając tabakę z różka i oglądając się na mnie z jakąś skrzywioną miną: ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary ale czerstwy, miał na sobie habit przykrojony na kapotę; na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz sterczała wysoka czapka z czarnego barana. Po kilku poglądach na mnie, przerwał nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu, milczenie:

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo widać miasteczko?

— To Mir, zdaje mi się.

— A tak, Mir. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon.

— Nie wiem.

— Otóż ja Jegomości powiem, bo o wszystkim ja tu wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy a mowny, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy jest o czém. Otóż o tym dzwonie taka jest *dykteryjka*:

Nasz książę Panie kochanku, jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami. Więc tak z nim raz było kuso i niebezpieczno, że chcąc pewnej prawie ująć zguby, ślubował kościołowi Mirskiemu taki dzwon sprawić, aby, gdy w Mirze na rezurekcyję dzwonią, aż w Nieświeżu było słyhać, a to cztery mile, mój Jegomość. Więc jak tylko powrócił do Nieświeża, kazał zaraz lać dzwon w Mirze. Wylali jeden — dzwonią na próbę — nie słyhać w Nieświerzu. Książę Panie kochanku dodaje złota i srebra do materyjału, każe wylewać drugi większy. Znowu leją, i znowu dzwonią dzień cały — nie słyhać! a tu trzeba koniecznie wypełnić *votum*. Leją więc dzwon trzeci...

— Tymczasem jednego wieczora, książę w dobrym będąc humorze, prawil żarciki między swoimi i zmyślał na potęgę, bo to już jego taki zwyczaj. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Chodźko, który był pierwój koniuszym u księcia, jak ja byłem masztalerzem, a potém on wyszedł na pana, a ja na furmana; powiedział więc: „Mości książę, dzwon Mirski sły-

chać!“ Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyshał; książę tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił: „A widzicie Waszeć, jaki głośny mój dzwon! dopełniłem *votum* regularnie.“ „A jakże nie ma być głośny, pochwycił pan Chodźko, kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?“

Bo musisz Jegomość wiedzieć, że kiedy leją dzwony, wtenczas trzeba gadać głośno i łąć różne nowiny, żeby się daleko rozchodziły, to i głos dzwonów tak się rozchodzić będzie. Książę nie rozgniewał się jednak, ale owszem śmiejąc się powiedział do p. Chodźki: „Wasan sam taki Panie kochanku! Ale już dzwonu nie przelewał; ochrzczono go *Karolem* i zawieszono na dzwonnicy; a książę zawsze powiada: „Słyhać Karola w Nieświeżu! A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi. „Co ja winien Panie kochanku, że waś nie masz takiego słyhu, jak pan Michał Chodźko?“

Czwarty już czy piąty był dzień po naszym wyjeździe z klasztoru, i trzodka się zwiększała. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem, w kaletce nawet mojej uzbierało się kilka talarów bitych i złotych.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołém niebem, jeżeli nie we dworze jakim. „Po co nam do karczmy? mówił Marcin; mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróży; i barany napasiemy i sami się posilim, a nie zapłacim.“

Mieliśmy więc podług zwyczaju mijać jedną karczmę przy drodze; ale postrzegłszy stojącą pod nią piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a zatém pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański stanął na popas, postanowiłem i tu pokorną moją odbyć zebranie, na co i Marcin się zgodził. Sta-
nęliśmy więc z naszymi kałamaszkami obok pańskiej karocy.

— Niech będzie pochwalony J Chr., rzekłem kłaniając się pokornie.

— Na wieki wieków; odpowiedział podróżny, jak się później dowiedziałem, starosta. Zajęliśmy karczmę, rzekł, nie masz gdzie popasać księże kwestarzu.

— Nic to dobrodzieju, ja też nie na popas tu przyjechałem; odpoczną trochę moje szkapy, i powlokę się dalej

— Owszem pomieścimy się jakkolwiek. Konie twoje

mogą postać między moimi i obrok mój zjedzą, zaś waści na nasz podróży obiadek prosimy.

— Chętnie spełnię rozkaz JW. pana, byłem nie był mu uciążliwy.

A zatem zostałem, choć Marcin mój się skrzywił z początku, ale później się udobruchał, gdy mu konie dobrze nakarmiono.

W karczmie był już stół nakryty — a nim dano, starosta zaczawszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: „A z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi?” zadawał rozmaite inne, wzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widąc nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymywać placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama pani starościna. Nakoniec przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

— Będiesz głodny, księżu kwestarzu! rzekł starosta; obiad podróży, krótki, i porcyj bernadyńskich nie będzie; bodaj tylko polewka i piecyste.

— Bogu dzięki dobrodzieju, a na cóż więc?

Jakoż uczciwy był rosół, pani starościna po dwa razy mi nalewała, i posiliłem się regularnie.

Dano i piecyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga państwa i dwojga dzieci po jednym.

— Ot sęk! księżu kwestarzu, jarząbków cztery, a nas pięcioro.

— Posiliwszy się z łaski państwa, rzekłem, tak wyśmienitą polewką, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, miły księżu, jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz, musiałeś i szkoły odbyć.

— A jakże? JW panie, aż do poetyki...

— Zapewne uczyłeś się i arytmetyki?

— Uczyłem się co prawda, ale zostawszy kwestarzem, najwięcej mam do czynienia z dodawaniem i mnożeniem; dalsze zaś działania dla mnie mało potrzebne, a o ułamkach i słuchać nie chcę; nigdy ich cierpieć nie mogłem, tém bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

Kontenci byli starostwo z konceptu.

— A więc daj dowód, rzekł starosta, swojej nauki: podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez ułamków, gdy

ich cierpieć nie możesz, to jest, bez przekrawania, tak jednak, aby wszystkim się po równej części dostało. Jeśli tego dokazesz, powiem żeś gracz i kwestarz doskonały.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju, byleście się państwo na mój podział zgodzić raczyli.

— Przyrzekamy najuroczyściej, rzekł znowu starosta. Dziel ale bez noża.

— Ani się dotknę nożem.

Posunawszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem.

— Jegomość dobrodziej, jójmość dobrodziejka i jarząbek, to troje — panicz, panienka i jarząbek, to także troje — kwestarz i dwa jarząbki, to znów troje.

— Wolnyś, wolny księżu! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie wraz z panią starościna.

— Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarząbki zostaną dla państwa, a w *indemnizacji*, jeżeli JW. starostwo pozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie; dla klasztoru zaś, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiaruję, mój miły księżu z warunkiem wszelako, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas.

Zgoda JW. panie, dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę to jadę, byłem dobrodziejów trafił.

9. Zapusty

(z „pamiętek starego szlachcica“ p. H. Rzewuskiego.)

Nigdy bez łez nie mogę sobie wspomnieć o ś. p. Ignacym Rewieńskim, co za jednomyślną wolą całej szlachty, księztwa Nowogrodzkiego otrzymał sęstwo ziemskie, i był wzorem dobrych urzędników. On przy pewnej oszczędności żył ledwie nie po pańsku. Wystarczyły mu dochody i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy a każdy był nakarmiony napojony i ugoszczony jak się należy.

Otóż sędzia przy końcu swych czynności na Trzy Króle powiedział mi: „Panie Sewerynie, proszę WPana na zapusty do Omniwicz, ale przywieź nam i żonkę.”

Skloniłem się sędziemu, dziękując mu, iż raczy o nas pa-

miętać. Tedy z moją Magdusią, bryczką krytą (którą mi był Pan Wojski Jabłoński dał za odbytą czynność), puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną, i że palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami ruszała; ale gdy mnie bryczkę dano, czemuż miałem jęć sobie i żonie żałować?

Sędziogo dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości! Dziśby tego nikt umieścić nie potrafił. A jaka uprzejmość, jaka szczerłość, jaka wesołość! Ja z żoną stałem na folwarku u tak zwanego dyspozytora.

Około dziewiątej zrana, wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już sędzina i sędzianka poubierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach, i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżsi umieliśmy czcić powagę urzędu, wszelako znaliśmy dobrze, że jako szlachta wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko małym urzędnikiem (susceptantem) byłem, to kiedy mnie p. sędzia, tak majętny i dostojny obywatel, w sieniach witał, i nisko się kłaniał i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go pocałować: a przecie gdyby mnie inaczej był przyjął, poczytałbym się za wielce skrzywdzonego. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy ręczki wszystkich dam, poczynając od gospodyni aż do córek. Sędzia odezwał się: „Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć!“ i odpasał szablę; a my wszyscy poszliśmy za jego przykładem i w kąty nasze szable postavili, ale tak, żeby każdy o swojej wiedział; bo jak tylko jaki senator albo wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szable przypasać, biedz do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa, i wprowadzić go do pokoju, a dopiero wtedy odpasać się, gdy on sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających.

Potem zaczynały się zabawy przedobiednie.

J. W. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo naszą swoją bytnością, siadał do maryjasza w pulę z gospodarzem i W. Reduńkowskim, chorążym nowogrodzkim, którego żona była siostrzenicą księcia Radziwiła, a on sam był

orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali; bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać, nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nie osiadły, złoto na karty sypie. Więc panowie maryjaszem, a my niżsi rozmawą starszych zajmowaliśmy się. Zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mieszały. Pani sędzina zaczęła się popisywać, wynosząc rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urządzenia. Wszyscyśmy chwalili jęć pracę; a ojciec gwardyjan z Iwieńca, co przez ten cały czas trzymając na kolanach małego sędzica, obrazkami go bawił, odezwał się: „Chwała ci Boże! żeś mnie do Omniewicz sprowadził. Właśnie nasza zakrystyja obdarła się, wlatanych albach za dobrodziejów Boga prosić przychodzi; a tu tak piękne lniane płócienka tęsknią do kościoła, i same proszą, ażeby ze mną pojechały do Iwieńca.“ A sędzina mu na to: „Weź ile chcesz sobie, ojciec gwardyjanie, masz do tego prawo: wszak ja wasza dłużnica za cebulki tulipanowe, coś mi dał w jesieni.“ Pan sędzia odezwał się: „Ale wybierzcie ze wszystkich półsetków najcieńsze, bo jak mi się nie popiszesz, to będę się skarżył kapitule, że nam takich gwardyjanów przysyła, co się na gospodarstwie nie znają.“ Wtém Wawrzyniec kredensarz wszedł z serwetą na plecach, i coś sędziemu szepnął; a sędzia wstawszy powiedział żonie: „Kochanko, proś J. W. Kasztelana do stołu.“ Za przykładem pierwszej pary, my wszyscy wzięwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stołki i ławki. Siedliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz, chodził od jednego do drugiego około stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nadmieniałem o Wawrzyńcu kredensarzu, bo tego sługę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a u nieboszczyka Wojskiego Rewińskiego, wielkiego myśliwego, był dojeżdżaczem; potem lat kilka furmanem, i woził do Warszawy syna. Otóż kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, zaraz całą rodzinę Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z woźnicy na kredensarza podniósł. Co przyszła na sędziego kolęj urzędowania, Wawrzyniec z panem swoim przyjeżdżał do Nowogródka. A my co dzień bywało w odwiedziny do sędziego chodziliśmy, którego choć czasem we dworku nie było, Wawrzyniec nas wszystkich przyjmował. Lubił on o starych rzeczach gadać, osobiwie o polowaniach nieboszczyka.

Za stołem u obiadu stojąc, do rozmowy mieszał się, ile razy o nieboszczyku mówiono, bo sędzia jemu wielkiej do siebie pufalności pozwalał, że był bardzo do państwa przywiązany i dobrze znał służbę. Do tego psy na nosaciznę, a konie na robaki umiał dziwnie leczyć, czego sam kilka razy byłem świadkiem. Przy obiedzie przy pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich nie wielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem zdrowia rozmaite pili. Po obiedzie zaczęły się płasy, tańce różne i mazur na przemianę. A tak i młodzież i sędziwi bawili się. Zabawy były niewinne, szczerze, każdy serce na ustach nosił.

V. Legendy i baśnie.

I. Wanda królowa.

(z Dziejów polskich Długosza).

Gdy dwaj synowie Kraka zeszli bezpotomnie, za powszechną Polaków zgodą córce jego jedynaczce, zwaną Wandą, rządy państwa przyznano. Tkwiło bowiem w sercach Polaków wielkie przywiązanie do Kraka, świeża była pamięć cnot jego i dzielności w rozszerzeniu granic i obronie ojczyzny: Niemało przyczyniła się do tego i urodna postać dziewicy, wdzięczne i krasą ujmujące lica powaby, tak iż samym widokiem zniewalała umysły, i przynęcała chęci pięknymi darami przyrody, któremi hojnie była uposażona. Dla tego właśnie ponętnego kształtu otrzymała imię Wandy, gdy urokiem swych wdzięków jakoby wędą przyciągała ku sobie, obudzając miłość i podziwienie. Łagodna z wejrzenia, skromna z postawy, wymowna i chwytająca za serca uprzejmymi słowy, wszelakich zalet jaśniała zbiorem. Wszyscy też panowie polscy tuczyli niewątpliwie, że książęcia jakiego, znakomitego rozumem i bogactwem, któryby Polsce przyczynił wzrostu przez skojarzenie się przyjaźnią z sąsiady i pany, zaślubią Wandzie dziewicy, aż do tej chwili wszystkie odrzucającej związki. I zdawało się, że większa teraz liczba pociągnie się do jej ręki dla samej wielkości państwa, niż wprzód dla zachwycającej urody. Ale Wanda, odziedziczywszy królestwo ojcowskie, wzniosła w uczuciach i wielkich przymiotów niewiasta z dumą poczuwając

wolność swoją i swobodę, wszystkim zgłaszającym się o nią współzawodnikom odmawiała małżeństwa. Tak zaś szczęśliwie, roztropnie i sprawiedliwie władała krajami Rzeczypospolitej, że wszystkich zdumiewała swoją czynną radą i obrotnością; i głos był powszechny między ludźmi, że prawdziwie mężka w tém ciebie mieszkała dusza, gdy najpoważniejsi światłem i sędziwi mężowie postanowienia jej wielkimi wynosili pochwałami, a nieprzyjazne nawet umysły w jej obliczu składały zawiść i niechęci. Gdy więc pod rządem i zwierzchnictwem Wandy kraj Polski zakwitł w dostatki i potęgę, Rytygier, podówczas książę Niemiecki, znakomity rodem i bogactwem, a siedzący z Polską o granicę, posłyszawszy o przymiotach Wandy dziewicy, której sława rozeszła się była wszędy po świecie, w nadziei, że z jej urodą pozyska razem królestwo, wyprawił do niej dziesięć tysięcy, mających prosić o jej rękę, a w razie odmowy pogrozić wojną. Ale gdy Wanda, która w dziewiczym stanie pozostać ślubowała, wysłuchawszy kilkukrotne obietnice i prośby, odprawiła posłów bez skutku; Rytygier widząc, że ani prośbami, ani podarkami skłonić jej do małżeńskich związków nie zdoła, w bolesnym uczuciu wzgardy i upokarzającej dla siebie odmowy, zebrał wojsko ogromne i wkroczył z niem do Polski, aby wycisnąć przemocą to, czego nie mógł prośbami. Wanda królowa, nieulekniona wojennymi groźbami, kazawszy ściągnąć jak najspieszniej hufce polskie, zastępuje drogę Niemcom i wydaje pole do bitwy. Ochłonął nieco Rytygier ze swego szału, a udawszy się na nowo w prośby, wolał doświadczyć jeszcze namowy niż broni. Śle zatem kilku z starszyny swojej do Wandy czekającej w gotowości na spotkanie; bogactwa swoje wylicza, ukazuje potęgę, doклада i pogroźki, nie tracąc jeszcze otuchy, że umysł kobiecy jakimikolwiek środkami, czy to prośbą czy groźbą, potrafi złamać, albo ubłagać. „Przyśliśmy, rzekli, do ciebie Wando królowo, prosząc w imieniu książęcia naszego Rytygiera, abyś zezwoliła na połączenie się z nim małżeńskimi ślubami. Pozyskasz męża kwitnącego młodością, zamożnego w skarby i potęgę, który w ofierze złoży ci najświętsze upominki, jeśli mu swojej nie odmówisz ręki w przeciwnym razie zmusi cię do tego orężem“. Ona, niewiasta mężna i w stałości swą nieporuszona, odpowiedziała posłom: „Czy wasz książę uważa mnie za kobietę tak dalece nikczemną i związku małżeńskiego nie-

godną, że śmie żądać, abym wzgardziwszy królestwa mego sławą i potęgą, niepomna krzywd, które narodowi memu wyrządził i obecnie wyrządza, zezwoliła na poddanie się jemu wraz z królestwem, i ubliżyła godności mego władztwa? Odpowiedzcie książęciu, że brzydę się jego ofiarą, jak każdym innym związkiem. Przystoi mnie bardziej zwać się panią, niż panującego małżonką. Wojnę mi zapowiedział — niech więc gotuje się do wojny, a przytém zważy, jaka sromota dla książęcia i męża, wobec sprawionych do boju szyków, odbierawszy walki i zaniechawszy oręża, układać małżeńskie śluby“ Dawszy taką odpowiedź, kazała trąbić i uderzyć na nieprzyjaciela, aby dumne poselstwo, opowiedziane jęj przez posłanników Rytygiera, zwyciężkim upokorzyć orężem. Lecz gdy celniejsi z rycerzy Niemieckich ciekawością zdjęci, ażali prawdą było, co wieść głosiła o nadzwyczajnej piękności Wandy, przypatrzyli się zbliżając jęj urodzie, nagle uczuć przemianą, jakby czarodziejsko zrządzoną, i ci, którzy ją widzieli, i drudzy którym o nięj powiadano, tak zmiekle i na sercach upadli, że wszyscy jednomyślnie oświadczyli się przeciw prowadzeniu zaczętej wojny, w sprawie niesłusznej i z wojskiem liczniejszym, przekładając, że ich nie bojaźń odwołała od bitwy, ale wstręt od prawdziwej niebożności, i że nie chcieli w złej sprawie narażać się na jawne niebezpieczeństwo. Zaczem opuściwszy pole walki, wrócili do swoich namiotów, i nie dali się skłonić żadnym rozkazem ani namową do podniesienia oręża przeciw Wandzie. Rytygier więc książę Niemiecki, w bolesnym uczuciu wzgardy i zawiedzionej nadziei, gdy nad jego spodziewanie wszystko się gorzej powiodło, nie chcąc wracać do domu z niesławą i wystawić się na szyderstwo sąsiadów, którzy mówiliby, że wejrzeniem samém niewiasty zachwiany i pokonany uległ — postanowił śmierć sobie zadać. Zwoławszy zatem wojsko, tak do niego przemówił: „Zdradziliście mnie i opuścili — krzywda ta stała się dla mnie nad wszelką śmierć straszniejszą. Ja, który sam wojnę wydałem, bez wojny pokonany ulegam! Wanda morzu, Wanda powietrzu, Wanda ziemi rozkazująca, z woli bogów nieśmiertelnych uczyniła was trwożliwemi niewieściuchami, gdy serca wasze sam widok jęj zczarował i przemienił, na wieczną dla was wszystkich sromotę. Ja za was o! dostojni mężowie i współtowarzysze moi, poświęcam siebie na uroczystą ofiarę bóstwom podziemnym, ale w prośbie

się razem to przekleństwo, aby potomstwo waszych synów i wnuków, za zbrodnię przeciw mnie popełnioną, pod rządem niewieścim wiecznie gnuśniało!“ To rzekłszy, obnażoną pierśią rzucił się na miecz, który ostrzem ku sobie zwróconém trzymał, i odebrał sobie życie. Wanda zaś zawarłszy z panami niemieckimi przymierze, po zakończeniu osobliwszém wojny tak wielkiej i niebezpiecznej dobrowolną śmiercią jednego, prowadziła z powrotem wojsko nietknięte w uroczystym pochodzie do Krakowa, gdzie ją z wielką czcią i radością przyjmowano. Za tak świetne i znakomite zwycięstwo, pasmo oraz szczęśliwego powodzenia, które jęj w całym życiu więcej niż komukolwiek ze śmiertelnych sprzyjało, naprzód bogom ojczystym po wszystkich świątyniach przez dni trzydzieści składać kazała dzięki; czego pobożnie dokonawszy, postanowiła dobrowolnym ślubem siebie samą poświęcić bogom na ofiarę, uwiedziona przesądem pogańskim swego wieku, w którym uważano to za sprawę bogom miłą, czyn wzniosły i bohater-ski, a podobno i dlatego, żeby świetny i nieprzerwany bieg jęj powodzeń, jakim smutnym wypadkiem nie został przerwany. Zwoławszy więc panów Polskich, pobiwszy na ołtarz bogów bydłęta, i odprawivszy zwyczajem ówczesnym uroczystą ofiarę, przy której dziękczyniono za wyświadczone jęj łaski, a dokładano modły o szczęśliwy pobyt w państwie podziemnym — wskoczyła z mostu do rzeki Wisły i pogrążyła się w jej falach. Czyn to zaprawdę więcej podziwienia godny, niż podobny do wiary!

Zwłoki królowej pochowano nad rzeczką Dłubnią o milę od Krakowa w otwartém polu, a grób jęj uczczono podobnym pomnikiem jak ojcowski. Z ziemi bowiem usypano kurhan potężny, który po dziś dzień wskazuje mogiłę Wandy, i od niego też miejsce to nazwane jest Mogiłą. Że taka cześć oznaka słusznie Krakowi i Wandzie przynależała, nikt z Polaków nie wątpi; w ten sposób bowiem postanowili pamięć ich potomnym przekazać wiekom. A nadto Wisła od Wandy królowej przewana została Wandalem, i pokolenia polskie w większej części dziejopisów zowią, acz stare przezwisko Wisły dla nowej nazwy nie poszło bynajmniej w niepamięć — jak owęj Albuli płynącej wedle Rzymu, którą od zatonięcia w nięj Tyberyusza, nazywają teraz Tybrem.

2- Twardowski.

(baśń ze zbioru L. Siemieńskiego).

Twardowski, co całe życie pracował nad tém, aby wynaleźć środek oparcia się śmierci, wynalazł wreszcie sposób pewny. Na kilka lat przed porwaniem swoim, zaufanemu uczniowi kazał się posiekać w kawałki, i przepisał mu, jak dalej miał postępować. Uczeń rozgłosił śmierć Twardowskiego — jakoż znikł czarnoksiężnik, a uczeń tymczasem krajał jego ciało, siekał, gotował zioła i maści. Tak posiekawszy, maścią nasmarował, zlał sokami roślin, i złożył napowrót ciało jak należy. Nie pochowano go jednak na cmentarzu, ale pod murem otaczającym cmentarz dokoła. Twardowski zalecił, aby przez trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin leżało jego ciało nieodkrywane. Wierny uczeń dotrzymał święcie przepisu i czasu odkopania grobu.

W trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin, o północy, na pełni księżyca, sam z rydlem, zapaliwszy siedm świec z tłustości trupiej, wziął się do roboty, odkopał ziemię, i oderwał nadgniłe wieko. Jakiż podziw! zwłoki Twardowskiego znikły, a w miejscu wiór, na których leżały, kwitły wonne fijołki i macierzanka — na téj murawie spoczywało snem ujęte nadobne dzieciątko, zachowawszy w zdrobniałych rysach oblicze Twardowskiego. Wyjął to dziecię, zaniósł do domu — a ono przez noc urosło jakby przez rok cały; po siedmiu dniach już mówiło tak o wszystkim, jak Twardowski w sprawach czarnoksiężkich. Wynagrodził potem sownie wiernego ucznia, ale zaraz, żeby tajemnica odrodzenia nie wyszła na jaw, zaklął go w pajaka, i trzymał w swojej komnacie, mając o nim czułe staranie.

3. Stańczyk

(podanie dziejowe p. L. Siemieńskiego).

Opowiem wam jedną przygodę, w której król dostaje naukę od swego błazna. (Dawniej, trzeba wam wiedzieć, że królowie i panowie chowali sobie błaznów, czyli takich, co

ich w smutku żarcikami rozweselali, a nawet prawdę żartem mówili). Raz wyjechał był z Krakowa cały dwór królewski do Niepołomic, gdzie są wielkie bory i zwierza w nich huk. Tam tedy miano dla zabawy króla Zygmunta i królowej Bony polować na wielkiego niedźwiedzia, przywiezionego z Litwy. Wypuszczonego z klatki poszczwano psami — ale niedźwiedź psy poszarpał i rzucił się na chłopów, co byli z oszczepami, potem na panów dworskich — nie jednego przewrócił i podrapał, a nawet skoczył tam, gdzie Bona stała — co ona widząc, dalejże w nogi; ale koń pod nią padł, i królowa ciężko się stłukła. Rozżarte niedźwiedzisko rzuciło się także i na błazna królewskiego Stańczyka, ale go chłopci uratowali. Ten tedy Stańczyk, po polowaniu, kiedy król śmiał się z niego, że uciekł przed niedźwiedziem nie jak rycerz, ale jak błazen, odpowiedział: „Aza to nie większe błazeństwo, mając niedźwiedzia w skrzyni, puszczać go na swoją skórę?“

Wiele jest o nim dowcipnych powiastek, jak np. i ta: Raz szedł sobie Stańczyk po Krakowie, ubrany po błazeńsku w różne pstre płatki; co widząc chłopcy uliczni, zaczęli go gonić, aż suknie z niego zdarli. Skarżył się Stańczyk przed królem — a kiedy ten począł go żałować, odpowiedział: „Nie żałuj mnie, królu, ciebie bardziej obdzierają niż mnie; wszak niedawno wydarto ci znaczną posiadłość, a przecież nie skarżysz się na to wcale“. Kto inny nie byłby śmiał tak powiedzieć królowi, chociaż to była prawda.

Raz znowu była między panami o tém mowa, jakich też rzemieślników najwięcej? Gdy różni różnie utrzymywali, przytomny téj mowie Stańczyk rzekł, że doktorów. A gdy temu nikt wierzyć nie chciał, wyszedł Stańczyk nazajutrz na rynek krakowski, podwiązawszy sobie chustką zęby. Jaki taki z panów, spotkawszy znajomego Stańczyka, zaczyna mu doradzać najlepsze lekarstwo, jakie wiedział na zęby. Natenczas Stańczyk, dobywszy tabliczki, niby dla zapisania owego lekarstwa, zapisywał nazwisko każdego takiego nieproszonego lekarza: a ponieważ znany był w całym Krakowie, w kilku godzinach zebrał łokciowy spis owych doktorów i wygrał zakład.

4. Pierścień Kunegundy.

Żyła w Węgrzech święta dziewica, córka króla Beli, a zwała się Kunegunda. Prosta była w swych obyczajach, pobożna i miłosierna, i nie poznała jej, że była królowną, tylko po tém, że czyniła ludziom więcej dobrego, niżby kto inny mógł uczynić. Kochał ją ojciec wielce, więc u niego upraszała o wszystko, czemby mogła poddanym jego przyjść w pomoc.

Najmilszém było jej zatrudnieniem zaglądać do chat nędzarzy, odwiedzać chorych, pielęgnować ich w nieszczęściu, pocieszać w strapieniu, a szczególnież téż serce utęsknione podnosić modlitwą do Boga. A niema większego szczęścia, mawiała Kunegunda, jako dawać drugim szczęście.

Tak mawiała Kunegunda; ale nie dość na tém, tak czyniła. Więc błogosławili ją ludzie: bo ona dla nich była niebieskiem błogosławieństwem i modlili się za nią: bo ona dla nich żyła. Sława jej cnót rozeszła się daleko; w kraju, po za krajem mówiono o świętej dziewicy na Węgrzech. Posłyszał o niej Bolesław, książę polski, posłyszeli biskupi polscy i pomyśleli: jakby to dobrze było, gdyby taka niewiasta była naszą królową. A że Bolesław był młody i nieżonaty, więc umyślił wspólnie z panami i duchowieństwem, prosić króla Belę o rękę jego córki.

Stary król nie radby się pozbył z domu i państwa swego opiekuńczego anioła; ale z drugiej strony, skoro prośby posłów weźmie na rozagę, to pomyśli, że niczém krajowi lepiej nie pomoże, jako gdy z możliwym sąsiadem przyjaźń na zawsze utrwali i dwie rodziny monarsze świętym powiąże węzłem. Weześniej czy później pójdzie ode mnie Kunegunda, bo takie jest kobiety przeznaczenie, aby opuściła dom i rodziców, a poszła za mężem. Więc oznajmił wolę swoją córce, a Kunegunda która wiedziała, że w każdym miejscu jest pole dobrze czynienia, bo w każdym miejscu płyną głośno albo cicho łzy, bez wachania przystała.

Poprosiła do siebie posłów polskich, wypytywała się o kraj, o jego zamożność, o mieszkańców, o ich potrzeby. Żelazo mamy, odpowiedzieli, uderzając o pałasze, złoto i drogie jedwabie mamy, bo ich dostaniemy zawdy za nasze zboże; ale soli nie mamy, którą trzeba wozić i zdaleka skupować, a lud

biedny na tém cierpi. Były zaś na Węgrzech ogromne góry soli, o których Kunegunda wiedziała i umyśliła ojca prosić, by jej w posagu dał górę soli.

Skoró przyszło do zrękowin i Kunegunda opuszczała dom ojcowski, stary król obcierając ukradkiem łzy, rzecze: Córko moja, cóż ci mam dać w posagu? A ona ukląkwszy i ucałowawszy jego nogi, zawołała: Ojciec mój, daj mi górę soli. Uśmiechnął się król i rzecze: Cóż ci z niej przyjdzie? Daję ci ją, skoro twoja wola, tylko powiedz którą? I zawoławszy podskarbiego, powiedział mu: Poprowadź Kunegundę tam, gdzie kopią sól, niechaj sobie jedną górę wybierze.

Wziąwszy z sobą posłów polskich narieczona Bolesława, poszła za podskarbis i kiedy przyszli do jednej kopalni, o której mówiono, że była najbogatsza, zdjąwszy pierścień z palca, rzuciła go do otchłani, mówiąc: Niechaj to będzie na znak wyboru mego. Stało się wedle jej woli i odtąd w tej górze nie kopano więcej.

Ile było płaczu przy odjeździe z Węgier, tyle nastało uciechy, kiedy młoda królowna zawitała do Polski.

Wysypał się przed nią lud, wyszło duchowieństwo z processyją i sam Bolesław na pięć mil z Krakowa wyjechał naprzeciw niej. Dwa orszaki spotkały się w Bochni.

Padła do nóg mężowi swemu Kunegunda i nieśmiałym głosem rzekła: Panie mój i mężu, nie przywożę ci żelaza, bo je masz, nie przywożę złota ani jedwabów, bo naród twój dostaje je za zboże; ale przywożę sól, bo musisz ją zwozić i z daleka skupować, a lud biedny na tém cierpi. I kiedy Bolesław, nie zrozumiawszy jej słów, patrzył, gdzie są te wozy, na których wiozą sól, Kunegunda jednemu z przytomnych kazała kopać w ziemi.

Zaledwo kilka stóp odkopano, aliści się zjawiła bryła szara i lśniąca, którą wydobyto na wierzech. Rozbito ją na rozkaz Kunegundy i w tém okrzyk podziwu i radości zabrzmiał na około. To sól! święta pani przywiozła nam sól! A Kunegunda schyliwszy się, z bryły solnej wydobyła pierścień, który wrzuciła na Węgrzech i ofiarowała go mężowi.

Taki jest, jak mówi legenda, początek kopalni Bocheński.

Brónisława Kamińska.

5. Wyprawa Argonautów.

Pierwsza ważniejsza wyprawa, w której czoło greckiej młodzieży miało udział, była wyprawa *Argonautów*. W Kolchis, mieście nad morzem Czarném leżącym, zawieszono było w pewnym gaju *złote runo* (godło bogactwa) przez Phryxa, uciekającego przed gniewem swjej macochy Ino z Boeotii, tamże zaniezione. Naczelnikiem Argonautów, od okrętu Argo, na którym płynęli tak nazwanych, był Jason, syn Ezona, króla Bolków w Thessalii. Pelias stryj jego, opanowawszy w małoletności po zmarłym bracie Ezonie berło, i nie chcąc mu je, gdy już dorósł, oddać, namówił chciwego sławy młodzieńca do tej niebezpiecznej wyprawy, w tej myśli, że Jason zginie.

Po wielu dziwnych przygodach przypłynąwszy do Kolchis, domagał się Jason od Aeeta króla tego kraju, wydania sobie złotego runa. „Otrzymasz je, odpowiedział Aeetes, jeżeli wprzód wykonasz trzy małe warunki. Zaprzężesz najprzód dwa dzikie, ogniem buhające byki, z miedzianymi rogami i kopytami, do dyamentowego pługa, i zorzesz niemi cztery morgi roli. Powtóre, zasiejesz na zoranym gruncie tę oto paczkę smoczych zębów; żelazni z ziemi powstaną mężowie, tych także wszystkich pokonać winienesz. Potrzebie, zwalczyć musisz piekielnego smoka, strzegącego w gaju złotego runa. Nic więc nie żądam, ale tego wszystkiego w jednym dniu dokonać ci przyjdzie. Król był pewnym, że Jason zginie przy pierwszej próbie, coby się także było niezawodnie stało, gdyby Medea córka królewska, nie była ulitowała się nad szlachetnym młodzieńcem, i nie była go ubezpieczyła od wszelkiej napaści silnemi czary, w których była biegłą i za co ją Jason poślubić przyobiecał. Nazajutrz skoro świt, już się lud na pole Marsa zgromadził. Król Aeetes siadł na swym tronie. Odemknięto wrzeczadze, wypadły na Jasona dzikie buhaje, ogniem z nozdrza pryskając, i okropne wydając ryki; lecz nagle przed nim stawiają, chętne karki pod jarzmo zginając, gdyż Jason posmarował się był maścią czarodziejską, łagodzącą dzikość byków. Szybko więc zaprzągnął je do pługa, zorał rolę i zasiał smocze zęby. Nagle wyrósł z chrzęstem zasiew zbrojnych mężów, którzy hartowne ostrza swych rohatyn na niego zwrócili. Lecz Jason rzucił między nich czarodziejski kamień, od Medei na

ten cel dany. Natychmiast odwrócili się wszyscy od niego, i sami na siebie, z taką wściekłością uderzyli, że niebawem nawzajem się wysiekli. Aeetes strwożony powrotem Jasona, odłożył wykonanie ostatniego warunku do jutra, mając zamiar w nocy zdradziecko wymordować Argonautów. Lecz Medea ostrzegła Jasona, poszła z nim w nocy do gaju, i skropiła zlekką smoka usypiającym olejkiem. Potężne czary kleją powieki potworu, i wnet sen pierwszy raz je zawiera. Tym sposobem Jason zdobywszy *złote runo*, zabrał z sobą Medę, i udał się śpiesznie z towarzyszami na okręt.

A. Popliński.

6. Wojna Trojańska.

Pewnego razu popłynął jeden książę z Azji Mniejszej nazwiskiem Paris do Peloponnesu. Był on drugim synem *Priama*, króla *Troi*, miasta w Azji Mniejszej w krainie Mysii leżącego. Przybywszy do Sparty, stanął gospodą u króla Menelausza, z wielką uczciwością od niego przyjęty. Lecz gdy raz Menelausz, z domu się był oddalił, niewdzięczny Paris uwiózł jego żonę, piękną *Helene*, wraz z kosztownemi skarbami na okręty, i uciekł z tą zdobyczą do Troi. Postępek ten Parysa pochwalił Priam, król Trojański jego ojciec, ponieważ sobie podchlebiał, iż tym sposobem przyjdzie do wymiany Hesiony, córki Laomedona króla trojańskiego, którą był Herkules, gdy pustoszył kraje trojańskie, porwał. Obruszony tą znie wagą Menelausz, krwawą poprzysiągnął zemstę. Wszyscy królowie i bohaterowie greccy byli gotowi pomścić się tej, całej Grecji wyrządzonej zniewagi, ukrócić dumę potężnego miasta, i z bogatym powrócić łupem. Niezwłocznie zbudowawszy potrzebne do tej wyprawy okręty, zebrali się w liczbie 100,000 w mieście boeotyckiem *Aulis*, i obrali naczelnym wodzem Agamemnona, brata Menelauszowego, króla Mycenów. Lecz wiatry niepomyślne długo im niedozwalały wypłynąć z portu; a gdy się zapytano kapłana Kalchasa, jakimby sposobem mogli odwrócić od siebie oczywisty gniew bogów, odebrali straszną odpowiedź, że tylko krew zabitej na ofiarę bogom Iphigenii, córki Agamemnona, gniew ich ułagodzić zdoła. Lubo przerażony ojciec mocno się temu opierał, jednak burzliwe

pogrożki i szemrania niecierpliwego ludu, byłyby na nim wymogły wykonanie téj straszliwej ofiary, gdyby Iphigenia nie była nagle zniknęła. Gdy już lud był zebrany na tę żałobną uroczystość, bogini Diana, jak wieść podaje, uniosła w obłoku dziewicę, a na jéj miejsce podsunęła łanię, którą gdy na ofiarę zabito, natychmiast wiatr się obrócił, tak, że flota wypłynąć mogła, i przybiła szczęśliwie do trojańskich brzegów

Lecz jakże się Grecy zawiedli! Troja miała wysokie mury i warowne wieże, liczne wojsko, a nadewszystko wodza Hektora, najstarszego z synów Priamowych, który się żadnego z greckich wodzów nie lękał. Dla tego przewlekło się oblężenie tego miasta, aż do dziesiątego roku. Dla braku żywności wojsko dzielić się musiało, znaczne więc tłumy przebiegały kraj, wybierając do obozu zboże i bydło; niektóre trudniły się rozbojem morskim, napadając pobliskie wyspy i brzegi; jeden oddział nawet uprawiał rolę. Pozostała część wojska do samego oblężenia przeznaczona, pod miastem rozłożyła się obozem, rozbiła namioty, liczne ukleciła szałasę, a dla zabezpieczenia tego wielkiego taboru, szerokim opasała się rowem. Z tego warownego obozu wychodziła co dzień dziarska młodzież, i podczas gdy z obu stron nieprzyjacielskie zastępy w bojowym szyku zdala od siebie stały, groźnym na się spoglądając okiem, najwaleczniejsi wodzowie i książęta występowali naprzód, wywołując do harców najodważniejszych ochotników. Najbitniejsi bohaterowie greccy byli: Diomedes z Argolis, Idomeneus z Krety, Ajax z Salamis, Patroklos i Philoktetes z Thessalii; ale najdzielniejszy z nich wszystkich był Achilles, syn thessalskiego księcia Peleusza. W mądrości nikt nie wyrównywał Ulyssesowi z Ithaki i sędziwemu Nestorowi z Pylos (w Messenii).

Z początku niepomysłnie się powodziło Grekom, gdyż najodważniejszy ich rycerz Achilles poróżniwszy się z królem Agamemnonem, przez niejaki czas siedział nieczynny w namiocie. Zwycięzki Hektor pędził rozproszone tłumy nieprzyjaciół przed sobą ku morzu, już nawet ogień miotał na greckie nawy. Patroklos, najdroższy przyjaciel Achillesa, chcąc wstrzymać natarczywość Trojan, wystąpiwszy do boju, poległ z ręki Hektora. Śmierć jego dotknęła do żywego Achillesa; posypał głowę, darł szaty, i w dzikiéj rozpaczey tarzał się po ziemi. Potém jak lew rozjuszony wypadłszy z namiotu, pośpieszył

na pole bitwy, i za mordem dysząc, srożył się przeciw Trojanom, którzy przed nim jednym, jak gołębie przed jastrzębiem pierzchali. Kładł jednego po drugim trupem, ale krew poległych nie mogła nasycić jego zemsty, dopóki Hektor, zabójca Patrokla był przy życiu: jego więc szukał. Hektor unikał go cały dzień, jak lwa srogiego, dopiero ku wieczorowi odważył się mężne stawić mu czoło, i walczyć z nim na zabój; zwyciężyć lub zginąć: choć ojciec i matka zaklinali go z muru, aby się w takie nie podawał niebezpieczeństwo. Skoro go Achilles spostrzegł, wydał okropny okrzyk radości, i rzucił się nań lotem błyskawicy. Jakkolwiek Hektor był mężnym, dziki wzrok zajadłego nieprzyjaciela tak go przeraził, że jego kroki pomimowolnie do ucieczki się zwróciły; prędkonogi Achilles pobiegł za nim, a opędziwszy go trzy razy koło miasta, dognał nareszcie! — Rozpoczęła się więc zacięta walka: rzucił Achilles silną ręką ostry dzi ryt, ale uniknął go baczny Hektor, schyliwszy się zręcznie, tak, że pocisk drgając, utkwiał zdala w piasku. Powstał z radością Hektor, i z całej siły ugodził Achilla swym potężnym grotem. Odbił go Achilles tarczą, a pochwyciwszy za tę brzoń, groźnie nią potrząsał. Poznał z dzi rytu огоłocony Hektor, że jego ostatnia wybiła godzina. „Biada mi! zawołał żałośnie, srogi wyrok nieba ziścić się musi; słyszę głos bogów wzywających mnie do straszego Orku; niepodobną jest ucieczka, trzeba spełnić los okrutny!“ — Aby przynajmniej poledz szlachetnym zgonem, dobył miecza, i śmiało uderzył na Achilla; lecz byłoto ostatnie jego wysilenie: groźny Pelid (Achilles) ugodził go dzidą w gardło. Wytrysnęła krew gorącym potokiem, a chwiejący się Hektor powalił się na ziemię i ostatni raz zwróciwszy na przeciwnika swe gasnące źrenice, rzekł słabym głosem: „Zaklinam cię na twoich rodziców, nie chciéj rzucać ciała mego psom na pastwę, i przyjmij kosztowny okup od mego strapionego ojca, aby mi uczciwy mógł sprawić pogrzeb“. — „Psie plemię, zakrzyknął Achil w swéj dzikiéj wściekłości, prosisz mię daremnie, będziesz psom i sępom haniebną pastwą, gdyż moja zemsta jest tak sroga, iżbym serce wyrwał z twych piersi!“ To rzekłszy, obdarł blade ciało z pysznej zbroi, przedziurawił nogi obie ostrém żelazem, przywiązał rzemieniem do swego wozu, wskoczył na rydwan, i zaciął ręce konie. Tak okrutnie pastwił się nad Hektorem zwycięzca zajadły; włóczył potrzykroć na-

około murów Troi pokaleczone, tumanem pyłu okryte ciało. — Któż opisać zdoła strapienie rodziców, będących świadkami z murów tej okropnej sceny? Po całym mieście rozlegały się jęczące głosy rozpacz i tłumione łkania. Gdy noc nadeszła, wyszedł nieszczęsny Priam z miasta sam jeden do obozu greckiego, nie mógł bowiem przewieźć na sobie, żeby zwłoki jego syna niepogrzebane zostały. Przedziera się niepoznany do namiotu Achilla, rzuca się do nóg jego, całuje rękę krwią syna zbroszoną, i błaga na klęczkach o wydanie drogiego ciała.

Wzruszony Achilles podniósł starca z ziemi, pocieszał go w strapieniu, i nie tylko wydał ciało Hektora, ale nadto przez jedenaście dni przyrzekł poprzestać walki, aby zwłoki z przyzwoitą uroczystością pochowane być mogły.

Gdy po śmierci Hektora, Priam i Hekuba byli w rozpacz, Paris przyrzekł im zabić *Achillesa*. Odkrył on, iż Achilles był się pokochał w Polixenie, córce Priama, i uczynił mu nadzieję pozyskania jej ręki. Tym końcem nastąpiło zawieszenie broni na dni kilka, i Paris na miejsce widzenia się z Achillem, i ułożenia tego zamężcia świątynię pewną Apollina wyznaczył. Lecz gdy się Achilles na umówionym miejscu w dobrej wierze stawiał, zdradziecki Paris ugodziwszy go w piętę strzałą, zabił. Całe bowiem ciało tego bohatera zranione być nie mogło, wyjąwszy tę część, którą matka jego Thetis, nurzając go po urodzeniu w wodzie Styxu, w rękę trzymała.

Grecy sprzykrzywszy sobie nareszcie tak długie i bezskuteczne oblężenie, gorąco pragnęli powrócić do domów. Wprzód jednakże jednego jeszcze fortelu użyć postanowili. Wybudowali drewnianego konia niezmierniej wielkości; wydrążenie wewnętrzne tego potworu, zbrojnym napełnili rycerstwem, a potem spaliwszy swój obóz, śpiesznie udają się na okręty, jak gdyby do domu powrócić chcieli.

Natychmiast otwierają się bramy Troi; mężowie, kobiety i dzieci, wszystko to wybiega hurmem z miasta oglądać opuszczone stanowisko greckie, a nadewszystko ogromnego konia. A gdy zdumieni, nie wiedząc coby ten potwór znaczył, rozmaite czynią domysły, i jedni ocalić, drudzy zniszczyć go radzą; wtém przyprowadzają trojańscy pasterze pojmanego greckiego jeńca, nazwiskiem Sinon. Ucieszeni Trojanie otoczyli Greczynę, rozkazując mu natychmiast wyznać, co ten koń właściwie

znaczy. Tego też właśnie życzył sobie chytry Sinon; umyślnie bowiem nasadzony od swych ziomków, dał się schwytać, aby ciekawych Trojan uwieść i do tego ich nakłonić, iżby tego konia do miasta wprowadzili. Zaczyna z początku płakać i udaje długo, że żadnym sposobem nie może wydać tak ważnej tajemnicy. „Nie! zawołał łkając, zabijcie mnie raczej! nie wolno mi nic wyznać.“ Tym sposobem jeszcze bardziej zaostriżył ciekawość Trojan; nareszcie niby ulegając ich prośbom i groźbom, zaczął swoją kłamliwą powieść. Słuchajcie, mówił: Grecy, którzy, jak wiecie, płyną teraz do domów swoich, wystawili na rozkaz kapłana, tego konia, aby przebłagać obrażoną boginię Minerwę, za znieważenie obrazu świętokradzką ręką z waszego miasta uniesionego, i aby sobie szczęśliwy teraz wyjednać powrót. I gdyby ten dar, ślubowany bogini Minerwie, będącej bóstwem opiekuńczym waszego miasta, był u was, natenczas Troja (taki jest wyrok przez usta kapłana ogłoszony), pozostanie niewyciężoną, co mówię, schołduje wszystkie sąsiedzkie narody. Lecz właśnie temu chcieli zapobiedz Grecy, i umyślnie tak ogromnego wybudowali konia, aby się w bramy miasta nie zmieścił.“

Łatwowierna rzesza uwierzyła gładkim słowom obłudnika; ledwo więc skończył, natychmiast rzuciła się do wykonania zgubnej jego rady. Podłożono potoczyste walce pod konia, poprzywiązywano powrozy, i wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci z wielką skwapliwością zaczęli ciągnąć do miasta ten ogrom, orężem greckim brzemienny. Komu się nie dostało dotknąć samej liny, szedł w uroczystym orszaku w świetne szaty ubranych dziewic i młodzieńców, którzy nucąc radosne pieśni, w tryumfie zgubny potwór prosto na zamek wiodli. Gdy przybyli do bramy, zaślepiona rzesza, bierze się natychmiast do narzędzi, w okamgnieniu czyni wielki wyłom w murze i wśród okrzyków nadzwyczajnej radości, konia na zamku stawia. — Był to dzień radosny dla Trojan, po którym straszna noc nastąpiła. Podczas gdy wszyscy w głębokim śnie pogrążeni zasypiali, zdradziecki Sinon podbiegł do konia, otworzył w brzuchu ukryte drzwiczki i wypuścił zbrojnych rycerzy. Ci natychmiast rozbiegli się do bram miasta, wycieli w pień uśpione straże, i otworzyli bramy. Z zwyciężkim okrzykiem tłoczą się gęste zastępy z kryjówek powracających Greków do zdradzonego miasta. Już Sinon z zapaloną pochodnią

biega po ulicach, szerząc pożogi. Przerazliwy krzyk, szczęk broni budzi ze snu głuchego uspionych Trojan, którzy za późno poznali zdradę. Kupią się odważniejsi rycerze ku obronie, wszczyna się na niektórych punktach bój krwawy, wkrótce całe miasto stoi w płomieniach. Ci, co nie polegli od greckiego oręża, giną w pożarze miasta, lub zagrzebani w gruzach walących się domów. Mała tylko garstka uszła z téj okropnej rzezi pod dowództwem pobożnego Aeneasa. Ten widząc wszystko stracone, gdy już dom jego ogniem płonął, wziął śpiesznie zgrzybiałego ojca Anchizesa na barki, a prowadząc za rękę synka swego Askaniasza, uszedł szczęśliwie z pożaru. Po długim tułactwie znalazł nareszcie przytułek we Włoszech u króla Latina, którego córkę Lawinię poślubił.

Nie był tak szczęśliwym król Priam. Schronił się był z żoną i dziećmi w głąb swego pałacu i ściełac się u stóp ołtarza bożków domowych, spodziewał się, prędzej w tém świętém ustroniu u rozjuszonego nieprzyjaciela otrzymać przebaczenie. Lecz napróżno! Zażarci Grecy wpadają z dobytym mieczem do zamku, zabijają w obliczu rodziców synów, a potem w samym zgrzybiałym królu, topią zabójcze żelazo. Żonę i córki ciągną na okręty i rozdzielają je, jako niewolnice między siebie. Menelaus odzyskał swoją Helenę, a kwitnące miasto Troja obrócone w perzynę, zagrzebało w swych gruzach większą część swoich mieszkańców.

A. Popliński.

7. Bitwa Horacyjuszów z Kuracyjuszami.

Pod panowaniem Tullusa Hostiliusza trzeciego króla rzymskiego (r 666 p. Chr.), wybuchła wzajemna nienawiść i zazdrość *Albańczyków* i *Rzymian* z małej przyczyny. Kilku pasterzy, jak się zdaje, wpadło do dzierżaw albańskich dla łupieztwa. Albańczycy użyli prawa odwetu. Rzym wyznacza posłów, zanosí skargę, a gdy zadosyćuczynienia nie otrzymuje, wypowiada wojnę. Oręż miał rozstrzygnąć, który naród nad drugim będzie panował. Albański wódz *Mettus Fuffetius*, wyruszył z dobrze uzbrojonym wojskiem i o 5 mil od Rzymu stanął obozem, gdzie już zastał *Tulliusza*, groźne czoło mu sta-

wiającego. Uszykowane do boju wojska, czekały niecierpliwie na hasło do walki, gdy wtém wódz albański wystąpiwszy na środek, wezwał *Tulliusza* do rozmowy i tak do niego mówił: „Jawna jest, że tylko wzajemna zazdrość pobudza dwa spokrewnione narody do walki, lecz dla czegoż rozlewać krew bratnią, aby potem tym łatwiej stać się łupem wspólnych naszych nieprzyjaciół. Nie lepiejże rozstrzygnąć los bitwy przez pojedynek kilku z obydwu wojsk wybranych rycerzy, a naród którego zapaśnicy ulegną, wiecznie zwycięzcy poddanym będzie“. — *Hostilius* jak najchętniej przyjął tak rezolutną propozycję i obydwaj wodzowie powrócili do swych szyków, aby wybrać najmeźniejszych, którymby całość państwa powierzyć mogli.

Było przypadkiem w wojsku po trzech braci bliźniąt, w rzymskim *Horacyjusz*, w albańskim *Kuracyjusz*, jedni i drudzy równie mężni i do walki gotowi. Gdy już obydwie strony uroczystą wykonały przysięgę, że się dobrowolnie poddadzą narodowi, którego rycerze odniosą zwycięstwo, występuje sześciu zapaśników na środek. Z jednej i drugiej strony wznoszą się zachęcające głosy i zaklęcia, aby pomni na swe dawniejsze czyny wojenne, na rodziców, żony i dzieci, ojczyznę i bogów, których całość ich waleczności powierzona, mężnie się potykali. Za danym więc znakiem uderzają na siebie odważnie dzielni młodzieńcy. Szczeka broń, błyskają miecze, padają śmiertelne razy, gdy przerażone z obu stron szyki w grobowém milczeniu, radeby skinieniem dopomódz swoim w walce, i wątpliwe na swoją przeważyc stronę. Nagle dwóch Rzymian trupem pada. Odgłos radości wznoszą albańskie szyki, a rzymskie legijony ogarnia trwoga i rozpacz, tém bardziej, gdy pozostały Rzymianin haniebnie tył przeciwnikom podaje. Lecz ucieczka jego była tylko wojennym fortem; nie mogąc bowiem, chociaż sam dotąd nieranny i silny, podołać trzem razem przeciwnikom, jakkolwiek już wszystkim rannym i osłabionym, zmyśla dla rozdzielenia ich ucieczkę, spodziewając się, że go ścigać będą tak, jak im mniej lub więcej osłabione siły pozwolą. Gdy ich w znacznej odległości jednego za drugim ścigających go ujrzał, nagle odwróciwszy się, najbliższego *Kuracyjusza* u nóg swych ściele. Odżyli z przerażenia Rzymianie, i lepszéj nabrali otuchy. Napróżno albańskie wojsko woła na swych rycerzy, aby śpieszyli na ratunek zagrożonemu

bratu, albowiem niepohamowany Rzymianin wnet i drugiego Kuracyjusza mieczem przeszywa, a gdy nareszcie i trzeciego, ranami osłabionego i ledwo wlokącego się dorzyna, z najżywszym okrzykiem radości, witają Rzymianie zwycięzcę.

Obciążony łupami zdartymi z swych przeciwników, wracał Horacyjusz jako zwycięzca w tryumfie na czele wojska do Rzymu. Przed bramą spotkał własną siostrę, która ujrzawszy na bracie zbloczone krwią łupy jednego z Kuracyjuszów, któremu zaślubioną była, w zbytku rozpaczy zaczęła złorzeczyć zwycięzcy. Obruszony młodzieniec niewczesnym i samolubnym żalem siostry, wśród powszechnej radości całego narodu, przeszył rozpaczającą mieczem, wyrzekłszy te słowa: „Giń z twą niewczesną miłością do oblubieńca, niepomna na żyjącego i na poległych twych braci! Tak na przyszłość niech ginie każda Rzymianka, która nieprzyjaciela żałować będzie.“

Okropność tego czynu przerwała powszechną radość i przeraziła trwogą przytomnych. Oburzony senat wydał wyrok śmierci na siostróbjcę, lecz przeważna jego usługa dla ojczyzny, łączy niefortunnego ojca, który w jednym dniu trojga pozbawiony dzieci, ostatnie miał utracić, wyjednały mu u ludu ulaskawienie od śmierci; jednakże dla zadosyćuczynienia sprawiedliwości, musiał ponieść hańbę, iż z zawiązanymi oczyma, schylony pod szubienicą, (składającą się z dwóch stojących i jednego poprzecznego pala) przez liktorów przeprowadzony został.

A. Popliński.

8. Bocian.

(Podanie Cygańskie — z powieści „Chata za wsią.“ p. J. I. Kraszewskiego).

Bocian w podaniu cygańskim jest przeklęty jak cyganie.

Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydmię piasku, a ile gwiazd na niebie zimowém, wielkie było na ziemi nieszczęście. Ludzie na ów czas jeszcze byli jedną wielką rodziną, ale ta już przechodziła w zgniliznę, już ją toczyły robaki... i Bogu nie podobało się stworzenie jego — chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkimi był tylko jeden z rodziną swoją starzec, którego Bóg przeznaczył na odno-

wienie rodzaju. Starzec ten zwał się Noa-oro. I kazał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemskie po parze i kilkoro ludzi wybranych. Kiedy się niebieskie otworzyły upusty i wody potokiem łać się poczęły na ziemię, wstępowało co żyło do wielkiego statku, i co żyło żegnało swoją matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczów, coby nie zapłakały rozstając się z kątkiem rodzinnym, jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje... Bóg co patrzył z wysoka, przeklął go za tę nieczułość, i skazał na wieczną tęsknicę. Gdy potem wody opadły, bocian rozpoczął wiekustą wędrówkę od jednej do drugiej ziemi, bo Bóg tak uczynił, żeby zawsze jednej żałował i po jednej płakał...

9. Klasztor Bernadyński.

pod znakiem Opatrzności Bożkiej.

(z „Pamiętników kwestarza“ Ignacego Chodźko).

Któryś król przejeżdżając mimo jednego z naszych bernadyńskich klasztorów, postrzegł napis na facyacie: „Providencya Dei“ t. j. Opatrzność Bożka; zawołał zatem gwardyana i zapytał:

— Co rozumiecie przez ten napis?

— Miłościwy królu, odpowiedział on, rozumiemy to, że żyjemy z Opatrzności Bożkiej, która przez ręce pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem. Zakon nasz nie może posiadać dóbr ziemskich, więc nie orząc ani siejąc, z łańskimi dobrodziejów żyjemy.

— Dobrze, — rzekł król, — obaczmy jak żyjecie, — i wszedł do klasztoru w gościnę, z całym dworem na obiad.

Naturalnie, dla takiego gościa ks. gwardyan nie żałował co miał najlepszego; a że dyspensa i sklep uprowadowane były porządnie, więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny ale dobry i smaczny; skosztował zapewne bernadyńskiego trójniaku: ale po traktamencie rzekł do gwardyana i asystujących mu ojców.

— No, widzę, że Opatrzność Bożka opatruje was hojnie: teraz więc musicie mi dowieść żeście jej godni, to jest, żeście mądrzy i pobożni, i że taż sama Opatrzność, nie tylko

daje pokarm waszemu ciału, ale i wasze dusze oświeca i karmi. Zatem macie mi odpowiedzieć na trzy pytania.

Primo — Ile ja wart?

Secundo — Jak daleko z ziemi do nieba?

Tertio — Co ja myślę?

Daję wam trzy dni czasu, po których jeżeli mi na każdą kwestyję przyniesiecie dostateczną odpowiedź, uwierzę że Opatrzność Bozka was wspiera, i żeście godni tej opieki; owszem będę sam dla was jej narzędziem, ale jeżeli pytań tych nie rozwiążecie, wypędzę was z klasztoru, jako ludzi chwalących się fałszywie łaską Opatrzności, której nie są godnymi.

Trudno opisać jakie zamieszanie stało się w klasztorze; po takim gorzkim koncepcie króla. I jubilaty i definityory, najętsze teologi suszyli sobie głowy, i nie schodzili z konsyliów, na których od rana do wieczora siedzieli; ale nic wymyślić nie mogli: a tu *tempus tempis*, czas się skępi, i trzeci ostatni dzień nadszedł, a odpowiedzi jak nie ma tak nie ma; było ich może ze sto, ale żadnej takiej, któraby króla skonwinkować mogła.

Wtém wszedł na wolną radę w refektarzu zebrana, brat kwestarz klasztorny i zapytał:

— A cóżście ojcowie uradzili? czy macie responsa dla króla?

Po milczeniu i minach wszystkich, poznawszy on, że sprawa idzie jak z kamienia.

— No *reverendissimi* — rzekł — kiedy mądrość wasza tak faluje, to pozwólcie mnie stanąć przed królem jegomością, może ja was uratuję.

Przerwali i nie dali mu dokończyć ojcowie; ruszyli się hurmem z ław, i wszyscy razem pytali, jakie odpowiedzie ma dać królowi? a niektórzy kiwając wątpliwie głową odzywali się:

— My nic nie wymyślili, a waszec masz być mędrszym od nas?

— Odpowiedzi moich, rzekł kwestarz, wam nie powiem, bo do wieczora może jeszcze własne skoncypujecie; ale kiedy wam na to oleju w głowach nie stanie, to powia-

dam wam posyłać mnie, bo już nie lepszego zrobić nie będziecie mogli.

Argument ten był nieodbity, więc i stanęło na tém, że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już co on tam powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stanął więc kwestarz przed królem. A król spostrzegłszy go, przypomniał onegdajszą gościnę i rzekł: „przychodzisz zapewne księżulu z responsami na moje kwestyje.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie! odpowiedział z niskim pokłonem kwestarz.

A więc król zasiadł na tronie, i włożył koronę, zwyczajnie jak król, a koło niego cały dwór od złota i srebra, aż w oczach kwestarzowi zaćmiło się; jednak nie tracił fantazyi.

— No, rzekł król, *ilem ja wart?*

— Szacujemy waszą królewską mość *dwadzieścia dziewięć srebrników*, odpowiedział kwestarz. Zdaje się bez krzywdy, kiedy jednym tylko srebrnikiem mniej od naszego Zbawiciela.

Król spojrział po dworzanach, nie było co odpowiedzieć.

— *Jak daleko z ziemi do nieba?* zapytał znów król.

— Moment drogi, miłościwy królu, *skonanie!* odpowiedział kwestarz, idzie tylko o to, aby nie zbłądzić, i nie trafić do piekła; od czego aby Bóg ustrzegł waszą królewską mość, my niegodni słudzy jego, gorliwie modlić się będziemy

— No, ostatnie pytanie, *co ja myślę?*

— Wasza królewska mość myślisz, mówił kwestarz, że kiedy mnie tu wysłali, to ja muszę być bardzo mądry teolog, a ja prosty brat — kwestarz do usług waszej królewskiej mości.

— *Bravo!* zawołał król, i wszyscy za nim *bravo!* wygrałeś sprawę: widać że Opatrzność Bozka opiekuje się wami, i nie opuszcza was w każdym kłopotcie; potem zaprosił go wzajemnie na obiad, i nakoniec sownie obdarzonego odesłał.

10. Wójt i dziedzic.

Marcin, wójt z Cerowa, wybrał się w podróż, i uszedłszy kilka mil drogi, chciał posilić się ciepłą kaszą. A że to

Wypisy polskie.

było w pustém polu koło lasu, rozłożył więc ogień, postawił kociołek z zamarzlą kaszą, zagotował i już miał zacząć spożywać, gdy zdala ujrzał jadącego myśliwego z hartami i dojeżdżaczem. Był to znajomy Marciniowi dziedzic przyległego majątku, chciwy, sknera i ciemiężca swoich kmiotków. Postanowił więc z niego zażartować. Zdjął z ogniska kociołek z gorącą już kaszą, postawił na pniu z pod śniegu wystającym, ogień przydeptał i świeżym śniegiem przysypał, podparł się w boki, i stanawszy tyłem do pnia z kociołkiem, zaczął naokoło skakać i przyspiewywać:

Skaczę, skaczę, wyśpiewuję,
Aż się kasza ugotuje!
Ugotuje, ugotuje,
I wszystkich nią utraktuję!

— Co tam robi ten człowiek, rzekł myśliwy do swego dojeżdżacza, skocz i dowiedz się.

Dojeżdżacz za powrotem oznajmił, że jakiś szalapat na pniu suchym i zmarzłym, kaszę bez ognia gotuje. Ciekawy dziedzic przyjeżdża do Marcina i na własne oczy widzi, że na pniu bez ognia i wśród śniegu stoi kociołek kaszy tak gorącej, że kosztując, oparzył się nawet.

— Wiesz co, człowiecze — odezwał się myśliwy do Marcina, który tymczasem gorącą kaszę zajadał — wszakże to w odludném polu lub głuchym lesie nieoceniona rzecz dla myśliwego!... naucz mnie tego sposobu, a dam ci za to, co zechcesz.

Od słowa do słowa, myśliwy za gotowe pieniądze kupił cudowny kociołek, a Marcin nauczywszy go, jak ma skakać i śpiewać, by na pniu bez ognia kasza zawrzała, pieniądze schował, pokłonił się i śpiesznie gościńcem dalej poszedł. Powraca dziedzic do domu nie zbyt odległego, zabiera z sobą w pole, pod pozorem okazania czegoś dziwnego, żonę i obecnych gości, i wzięwszy z sobą wszystko, co do gotowania kaszy było potrzebném, w pół godziny znowu przy owym pniu staje i mówi: Panowie! możebyście tu na tym pniu chcieli zjeść co ciepłego? umyślnie na to miejsce wszystkich sprowadziłem, żeby miłą niespodziankę zrobić.

To mówiąc postawił na pniu kociołek, nasypał krup, wrzucił przygotowane przyprawy, przypruszył solą, napełnił

śniegiem, stanął tyłem ku kociołkowi, i wzięwszy się pod boki, zaczął naokoło pnia skakać i śpiewać:

Skaczę, skaczę, wyśpiewuję,
Aż się kasza ugotuje!
Ugotuje, ugotuje,
I wszystkich nią utraktuję!

Obecni, poglądając w milczeniu na wyskok myśli tak niezwykajny, gubili się w domysłach, co by to znaczyć miało. Ale kiedy tancerz uznoił się do potu i ochryzpl od śpiewania na zimnie, a spojrzawszy na kociołek, że się jeszcze nie gotuje, z coraz bardziej wzrastającą zawziętością puszczał się w tany i nie swoim już głosem przyspiewywał, przyszło na myśl strwożonej żonie, że mąż jej szanowny zwaryował może. Rzuciła się więc ku niemu, chcąc go za rękę ująć i od dalszego dziwactwa powstrzymać, ale odrącona, zaczęła gości błagać, by się nad obłąkanym jej mężem zlitowali i nie dopuścili mu tańczyć dłużej, gdyż to mogłoby go zapalenia płuc nabawić. Wdali się towarzysze myśliwstwa i wszystko się wyświeciło, tak iż zawstydzony myśliwy poznał, że od owego wójta był oszukany; wskoczył więc na swego konia i popędził gościńcem, którego przed pół godziną Marcinek poszedł. Wójt Marcinek nie w ciemie bity; usłyszawszy za sobą tętent galopującego konia, domyślił się wszystkiego, chwycił więc kij na drodze leżący, poczem włożywszy na wywrot kozuch i czapkę, skrzywiwszy nos w jedną a głowę w drugą stronę, namarszczył czoło, przymrużył jedno oko, podkurczył nogę, stanął pod wierzbą i niby płakać zaczął.

Wkrótce na zdyszonym koniu nadbiegł dziedzic, popatrzył na stojącego pod drzewem Marcinka i nie poznając go, pyta:

— Czy nie widziałeś przechodzącego tędy człowieka w nowym kozuchu i barankowej czapce?

— Jakże miałem nie widzieć — odpowiedział Marcinek płaczliwym głosem — toż on napadł na mnie biednego kalekę, wyrwał moje podpory, bez których kroku dać nie mogę, zarzucił je na drzewo i poleciał jak opętany; za kilka minut może pan go dopędzisz, ale zlituj się i dostań pierwej moje kije, bo bez nich ducha na drodze wyzionę, a niegodziwiec pogoni nie ujdzie — ach, zlituj się panie!

Myśliwy z konia zeskoczył, dał mniemanemu ubogiemu cugle do trzymania i śpiesznie na wierzbę gramolić się zaczął. Marcinek tego chciał właśnie: wskoczył na konia, zaciął go, poniósł się jak strzała i osłupiałemu dziedzicowi z oczu zniknął. Tuż przy gościńcu stał dwór dziedzica; Marcinek zatrzymał się przed bramą, konia na dziedziniec puścił, a sam wąską drożyną dalej przez las poszedł.

Takim to sposobem chłopiec Marcinek dwakroć z dziedzica zadrwił.

II. Bięda z nędzą.

Pan wojewoda miał zamek wspaniały od złota i marmurów; wysokie wieże wznosiły się na wzgórzu ponad Wisłą, kaplica zamkowa lśniła złotem, bo miedzią grubo wyłaczaną była pokryta. — Dwór miał liczny, chorągwie nadwornego wojska, jezdnych i pieszych. Jak zajrzałeś okiem, wszystko jego pola, jego miasta, jego wsie nienaliczone, lasy, bory, puszcze, w których mnogie stada zwierzyny bujając swobodnie, czekały na pana wojewodę zabójcze strzały. Po pierwszych lodach, okrywały Wisłę, jak stado łabędzi, statki ładowne zbożem pana wojewody; wysyłał on je do Gdańska, za morze, a w zamian przywoził wory złota, które zsypywał do skarbcza swoich antenatów.

Kiedyś wszedł na pokoje zamkowe, drogie adamaszkowe obicia, złotolite materije okrywały ściany; w komnacie jadalnej przy kredensie stosami leżały złociste konwie, nalewki, puhary, srebrne tace, talerze, misy. Jak pan wojewoda zasiadł do stołu, sypało się z różnych zakątów mrowie dworzan, czeladzi, a wszystko zgłodniałe żarło, a wszystko łaknące piło potężnie. Kapela nadworna, pod przewodem wybladłego Włocha, brzmiała z chóru. I co dzień wesoło pan z dworem swoim zjadł całego wołu tucznego, spaśnego wieprza, trzy korce żyta chlebem, drugie tyle pszenicy w kołaczach, kluskach, i marcepanach, wypił beczkę wina a dziewięć beczek piwa, beczkę miodu, baryłkę wódki. Po obiedzie wstawał pan wojewoda z czerwonymi policzkami, dworzanie z czerwieniami jeszcze; dosiadali tedy koni, strzelali z pistoletów do celu, zdejmowali kopijami pierścienie, a pan najzręczniejszego uda-

rował to łańcuchem złotym, to puharem srebrnym, to dał mu i konia z rzędem. I tak dzień po dniu, padały pod toporem tuczne woły, wysuszano beczki z winem i miodem z piwnic, a przecież niczego nie zabrakło nigdy, bo za złoto ze sprzedanych statków zbożem ładownych, nowe coraz stada napędzano wołów jeszcze tuczniejszych, sprowadzano z Węgier większe beczki tokajskiego wina, a z Litwy kowieńskich miodów. W dzień skwarny, gorący, letni, pod cieniem gęstej lipy stały dwie istoty, więcej do widmów, niż ludzi podobne; trzymając się za ręce, spoglądały na zamek wspaniały. Pierwsze wybladłe, żółtkłe, miało żupan dziurawy, kawałkiem niegdyś bogatego pasa przepasane, buty dziurawe, czapkę podartą, była to: polska bięda. Drugie skóra, a kości, oczy zamglone, oblicze skrzywione głodem, owinięte stało płachtą zbrukaną, nie miało nawet koszuli na sobie. Była to polska nędza. Nierozłączni towarzysze z sobą, stojąc pod lipą, taką wiedli rozmowę: *Bięda*. Patrz, moja swacho, jak piękny zamek, co tu statków ładownych pszenicą; słyszysz, wesoła kapela brzmi głośno, ach, gdyby się tam dostać na chwilę! *Nędza* I czegoż pragniesz, czy tam nas puszczą? spojrzysz, brama zawarta, a choćby mur przesadzić, co nam łatwo, duńskie brytany kazałyby wojewoda spuścić z łańcuchów, poszczwanoby nas, jak wilków lub niedźwiedzi. *Bięda*. Wiatr wieje ze strony zamku, zapach z kuchni woń roznosi (oblizując się), o! żeby zrazik mięsa, z kawałeczek kołacza lub marcepana! *Nędza*. O mój Boże, jabym przestała na kawałku suchego chleba, na kości niedogryzionej, a tam psy lepsze kąski co dzień pożerają, niż moja codzienna strawa. *Bięda* Daremna nasza oskoma na przysmaki zamkowe, chodźmy, daremnie nie łykajmy ślinki. Patrz, co tu siół i miast, tam mnie już dobrze znają, muszę i ciebie z niemi zapoznać, bo takie przeznaczenie, że dla kogo ja długim przyjacielem, to wkońcu i z tobą pobratać się musi. I bięda nacisnęła podartą czapkę na bakier. *Nędza* zawinęła się w płachtę i ruszyli razem do wioski najbliższej. Pan wojewoda miał syna jedynaka, syna który imię świetne, i sławę ojca i pradziadów musi przechować w potomne wieki. Wysłał go do Włoch, do Paryża po rozum, dawszy mu czwartą część skarbcza swego na drogę. Kiedy odjeżdżał, powtórzył mu wprawdzie stare przysłowie że „kto głupi, w Paryżu sobie rozumu nie kupi“; wierzył przecie ina-

czój, i był pewnym, że rozumniejszym wróci, niżby siedział w kraju.

Bawił rok wojewodzie, zabrakło mu już złota. Pan ojciec posłał starego dworzanina z dwoma worami złota. Jedzie dworzanin, aż pod lipą spotyka bladego w dziurawym żupanie, z kawałkiem pasa niegdyś bogatego, w czapce podartej, z zdartymi buty szlachecka. Chudzina skłonił nisko czapkę, powitał go dworzanin, boć to bięda, jak wiecie, zawsze pokorna. „Pomaga Bóg, rzekł do jadącego, a gdzież to tak śpieszno? — „Ha, miły bracie, jadę z pieniędzmi dla młodego panicza; pojechałci po rozum aż do Paryża, ale kaci potém, rozum jakos trudno idzie, a dużo pieniędzy kosztuje! — O! rzekł chudzina, powoli, powoli i rozum się znajdzie. „Djabli po nim, odpowie dworzanin, przyjdzie wtedy, jak pieniędzy zabraknie, a bięda zajrzy w oczy: „I odjechał. Bięda czapkę w górę z radości rzuciła, wołając „będę w zamku, będę, i moją swacnę wprowadzę, wtedy choć raz pochulamy sobie!“

Było dzień uroczysty w zamku, obchodzono powrót z Paryża rozumnego wojewodzica. Stary wojewoda zaprosił liczne sąsiedztwo, panów i szlachtę z okolicy. Zamek był przepełniony, od samego rana brzmi kapela. Przy wieczornym zmroku rozpalono kagańce, oświecono zamek rześisto; w zamku widno, jakby słońce świeciło, za murami ciemno, choć oko wykol. Nędzka z Biędą ujrzawszy lunę, rozumiejąc że płonie zamek, wskoczyły na mur i przytulone do mchem obrosłej baszty, spoglądały na dziedziniec. W komnatach pełno gości, drobna szlachta wieczerała na podwórzu przy długich stołach, stary wojewoda ucieszony po długim rozdziale widokiem jedynaka, kazał wciągnąć beczki wina, miodu, piwa i wódki na poddasze i rynnami lać trunki. Czterema więc rynnami płynęło to wino, to piwo, to miód, to wódka, a szlachta podstawiała konwie, puhary, to gęby, czapki, i lała w gardła, jak w dziurawe wory. O północy prawie wszyscy zmorzni, legli snem pijackim na podwórzu. Zsunęła się więc z murów Bięda z Nędzą, pewni, że brytany na uwięzi; oblizali rynnny, z których sączyło się jeszcze, a podjadłszy z zostawionej ogromnej pieczeni, zajrzeli pierwszy raz w okna zamku. Już kapela ucichła, zajrzeli do sypialni starego wojewody; nie spał jeszcze; stało przed nim kilku żydów zagranicznych, siwy dworzanin rachował złoto, które z chciwością zgarniali.

byli to dłużnicy wojewodzica. Stracił on wszystko, co ojciec posyłał, pożyczał bardzo wiele. Wojewoda zapłaciwszy, z zasępieniem obliczem usiadł na łożu, dworzanin stał zadumany. Pierwszy raz starcy obadwa poczuli brak w skarbcu; nie dziwota, Bięda i Nędzka zajrzały już oknem!

Upłynęło lat trzy, a pod lipą stały jak dawniej nierozłączne siostrzyce, statki próżne pływały po Wiśle, flisy smutni nie śpiewali, w zamku cicho, bo żałoba. Stary wojewoda umarł, kapela jego po raz ostatni mu przygrała, prowadząc do grobu. Syn wypróżnił skarbiec antenatów, stopiwszy srebrne i złote naczynia: zboże sprzedął na pniu, nie było co ładować do Gdańska. Kaplica zamkowa już nie błyszczała świecącym dachem; wiatr zrywał z niej snopki brudnej słomy, bo młody wojewodzie obdarł ją z okrycia miedzianego z pozłotą; a dach co trwał dwa wieki, znikł stopiony u żydów. Dworzanie rozbiegli się w różne strony kraju. Utrzymanie zamku zbyt wiele kosztowało, postanowił więc przenieść pan młody mieszkanie swoje za granicę, sprzedawszy poprzednio wszystkie marmury tego gmachu swemu arendarzowi. Zapłakał stary dworzanin, kiedy bezbożne ręce wyrywały podłogi, łamały mury, kruszyły drogie pamiątki. Opustoszał wspaniały zamek, brama stała otworem, dziedziniec zarósł ostem, piołunem, stare baszty omszone wynosiły dumne czoła. Bięda więc z Nędzą bez obawy weszły razem, a chodząc po pustym podwórzu, natrafiły na drzwi do piwnicy otwarte. Weszły po spróchniałych wschodach i w samym końcu długiego lochu znajdują zapomnianą baryłkę drogiej małmazji, jedyną pamiątkę po starym wojewodzie. Kosztują ucieszone, smaczne; piją więc rade, a piją; stare wino pomściło pamięć starego wojewody; upojone usnęły w tym lochu Bięda z Nędzą. Duch starego wojewody, co w długich nocach błądził po ruinach swego zamku, zatrzasnął drzwi żelazne od lochu; i te dwie siostry, choć do głodu przyzwyczajone, skonały. Nie potrzebne też były w zamku Bięda z Nędzą, bo zasiadło ich miejsce nie tak ohydne, poważniejsze „Zniszczenie“.

Wędrownik patrząc na gruzy wielkiego zamku, na te resztki baszt ogromnych, дума o jego przeszłości, żałuje upadku i może nie raz klęsce wojennej przypisuje zniszczenie! — A w lochu trupy Biędy i Nędzy leżą trzymając się za ręce; pilnuje drzwi duch wojewody, i dla wstydu swjej pamięci, nie

dopuszcza nikogo; ukrył tam sromotę syna, który splamił jego imię i sławę.

VI. Rozmowy.

I. Bóg wszystko widzi.

Pan Z* przechadzał się dnia jednego z synem swoim, Floryanem, po polu. Był to czas jesienny, a jeszcze ciepło było. Florkowi pić się zachciało, obróciwszy się do ojca, rzecze:

Syn. Ach! ojcie, pić mi się chce. Patrz, jakie w tym ogrodzie są piękne gruszki na drzewie. Chętniebym zjadł ich kilka.

Ojciec. Wierzę temu, mój synu, ale ogród jest zamknięty.

S. Ja łatwo przez płot przeleżę.

O. A cóżby na to właściciel tego ogrodu powiedział?

S. Zapewne go tam nie ma, bo nikogo nie widzę.

O. Mylisz się, moje dziecko; jest ktoś taki, co patrzy na nas i mógłby nas ukarać sprawiedliwie, bo to jest grzech wkraść się do cudzego ogrodu.

S. A któżby to nas widział, mój ojcie?

O. Ten, który wszystko widzi i słyszy; który przenika myśli i serca nasze, to jest Bóg.

S. Prawdę mówisz, mój ojcie; nie przyszło mi to na myśl.

Tymczasem człowiek, który leżał na murawie, podniósł się i odezwał do nich z za płotu: „Podziękuj Bogu, moje dziecko, że twój ojciec nie pozwolił ci wleźć do mego ogrodu. Pod tym samym drzewem zastawione są żelaza na złodziejów; byłbyś w nie wpadł i, uchwycony za nogę, zostałbyś na całe życie kaléką. Ale, ponieważ usłuchałeś przestrogi ojca, i pokazałeś, że się Boga boisz, udzieli ci owoców, na które masz taki apetyt“. Wtém poszedł i przyniósł Floryanowi czapkę gruszek. Pan Z* chciał mu zapłacić za nie, ale poczciwy starzec nie chciał przyjąć, mówiąc: „Bóg mi to nagrodzi“. Podziękowali obaj starcowi za tę uczynność.

Odchodząc, rzekł Floryan do ojca.

S. Co to za poczciwy starzec!

O. Prawda, mój synu. Czuje on to, że Bóg dobre uczynki nagradza, a złych nie puszcza bez kary.

S. Czyżby mię Bóg za to ukarał, gdybym gruszkę zerwał?

O. Wszak ci powiedział ten starzec, co by cię było spotkało.

S. To prawda, że bym się był skaleczył, ale to nie Pan Bóg te żelaza zastawił.

O. Prawda i to, mój synu, wiedz jednak, że nie bez woli bożkiej nie dzieje się na świecie. Umié Bóg tak nakierować wszystkie okoliczności, że poczciwy człowiek za dobre uczynki nagrodzony bywa, a zły odbiera karę za złe sprawy. Powiem ci, co mi się zdarzyło widzieć w młodym wieku, a o czém nie zapomnę na całe życie. Byłem jeszcze mały, jak ty, i zostawałem przy rodzicach. Obok nas mieliśmy dwóch sąsiadów: Jędrzeja i Stefana. Pierwszy miał synka, nazwiskiem Jasia, a drugi — Franka. Jędrzej i Stefan mieli ogrody i sady w tyle domów swoich. Jaś bawił się często w ogrodzie ojca, a że był swawolny, rzucał na wszystkie strony kamieniami, nie dbając o to, iż czasem mógł kogo zranić. Ojciec napominał go, aby tego nie robił, i pogroził mu nawet, że go ukarze surowo, jeśli tego nie poprzestanie. Ale, na nieszczęście, dzieciuch ów nie słuchał ojca i nie pamiętał na to, że Bóg ukarać go może. Dnia pewnego wymknął się Jaś z domu, nabrał w kieszeń kamyków i zaczął ciskać po swojemu na wszystkie strony. Stefan, drugi nasz sąsiad, czatował właśnie w swoim ogrodzie, z fuzją nabitą, na wróble, które mu wiśnie zjadały. Znajdował się tamże syn jego, Franek, który sobie znów nabił głowę, że, kiedy nikt na niego nie patrzy, wolno mu robić, co mu się podoba. Zdarzyło się, że ojca jego ktoś zawołał do domu. Biegnąc tam, zostawił fuzję w ogrodzie i kazał Frankowi pilnować, aby jéj nikt nie ruszył. Franek myślał sobie, że w tém nic złego nie ma, iż się pobawi ową fuzją. Wziął ją, zaczął oglądać i przymierzać. Wtém kamień, który Jaś rzucił w ową stronę, trafił go w oko. Franek z boleści i strachu upuścił fuzję — i fuzya wystrzeliła. Dał się zaraz słyszeć krzyk w jednym i drugim ogrodzie: Jaś został postrzelony w nogę. Tak jeden został ślepym na jedno oko, a drugi kulawym.

S. Biędni chłopcy! jak ich żałuję.

O. Prawda; i ja ich żałowałem, ale więcej jeszcze żał mi było rodziców, że mieli dzieci tak swawolne i nieposłuszne.

W rzeczy samój wyszło to na dobre obu chłopcom, bo, choć jeden był ślepy na oko, a drugi kulał, poprawili się jednak. Nauczyli się z doświadczenia, że nigdy nie wolno źle robić, nawet i wtedy, gdy nas nikt nie widzi, bo Pan Bóg zawsze patrzy na nas i karze za złe sprawy. A i insi nawet nauczili się z ich przykładu, jak słuchać potrzeba rodziców i starszych, a na Boga pamiętać.

S. Będę i ja ostrożniejszy na drugi raz; przyrzekam ci, ojcze, że nigdy nie będę nawet pokryjomu źle robił, kiedy zawsze Bóg patrzy na nas.

2. Rozmowy.

Z dzieła Krasickiego: „Rozmowy Zmarłych”.

a) między Daryuszem a Piastem.

Daryusz. (patrzac na Piasta zbliżającego się). Z odzieży miarkując, musiał to być człowiek pospolity. (do Piasta) Wybacz staruszk, iż cię pytam, czém byłeś za życia?

Piast. Chłopem.

Daryusz. I w tym stanie życia dokonałeś?

Piast. Królem.

Daryusz. Chłopem, królem! Zwięzła odpowiedź, toś pewno ze Sparty.

Piast. Z Kruszwicy.

Daryusz. Byłeś więc chłopem i królem?

Piast. Chłopem i królem.

Daryusz. Razem?

Piast. I razem i nie razem.

Daryusz. Staruszk! te żarty wieku twego nie zdoła.

Piast. Choć jestem stary, mam słuch dobry. usłyszałem więc, coś za pierwszém na mnie wejrzaniem, sam do siebie szeptał. Z pozorów odzieży osądziłeś, iż jestem człek pospolity, a trafiłeś na króla; ten był królem i chłopem. Że zaś był razem i nie razem, abyś nie rozumiał, iż się udaję do żartów, które i wiekowi mojemu, i miejscu temu nie są przyzwoite, tak rzecz obwieszczam. Byłem chłopem, bom się w tym stanie urodził byłem udzielnym, bo mnie na ten najwyższy stopień ziomkowie moi wynieśli. Przeciąg więc czasu przed wyniesieniem i po wyniesieniu uczynił, iż nie byłem razem królem

i chłopem; żem zaś po wyniesieniu, skromność pierwszego stanu zachował, byłem razem królem i chłopem.

Daryusz. Przyznaję, iż mnie powierzchowność uwiodła; ale się temu dziwować nie powinienś, wiedząc, jaka była wspałałość Persów.

Piast. A ja ci się przyznaję, iż za życia nie wiedziałem nawet o Persach.

Daryusz. Jak to być mogło?

Piast. Mogło, bom ksiąg nie miał; a choćbym je miał, na nic by mi się nie zdały.

Daryusz. Dla jakiejże to przyczyny?

Piast. Bom czytać nie umiał.

Daryusz. I byłeś królem?

Piast. Alboż to, kto czytać nie umie, królem być nie może? Umysł rozsądny poprzedził pismo i dobrze się działo za moich czasów

Daryusz. Cóż cię na tron wyniosło?

Piast. Miód.

Daryusz. Miód! to być nie może.

Piast. Jeżeli ciebie królem Persów (jakem się tu dowiedział) mógł zrobić koń, a czemużby napój smaczny i zdrowy, nie miał mi uczynić téj przysługi?

Daryusz. Więc po pijanemu zostałeś królem?

Piast. Nie pijaństwo, ale wdzięczność zdarzyła mi panowanie. Naród dawnych Sarmatów, w prostocie swojej szacownej, przy innych cnotach wstrzemięźliwość zachował. Persów pijaństwo było przywarą, i od nich je zwycięzca Aleksander przejął.

Daryusz. Jednakowo lepiej być królem nie z miodu lecz z konia, zwier ten dzielny, wojowników oznacza.

Piast. Nie schodziło na mężtwie północnym narodom, i o tém wiesz z doświadczenia. Nie dla miodu wynieśli mnie na tron ziomkowie moi, ale uważali w hojnym napoju rozdawczą ludzkość i przemysł złączony z pracą. Mnóstwo przybyłych do Kruszwicy, na obranie króla sprawiło głód: zapas mojego gospodarstwa wystarczył na wszystkich wyżywienie. Postrzegł i poznał naówczas lud prosty, ale cnotliwy, iż temu, który i zbierać bacznie i dawać roztropnie umie, najprzyzwoicięj drugimi rządzić należy.

b). Między Bolesławem Chr. a Kazimierzem W.

Bolesław. Nie spodziewałem się takowej niewdzięczności następców, iżby na moje wielkie dzieła nie mieli względu.

Kazimierz. I owszem, szeroko je opisując, przyznają, żeś granice państwa rozszerzył, narody sąsiedzkie jedne pobił, drugie uskromił, sławę narodu polskiego wzniósł, i pierwszy tytułem królewskim okraślił.

Bolesław. Wiem ja o tém, iż dość wiernie opisali dzieła moje; ale...

Kazimierz. Czegóż więc do chwały potrzeba? Sława panowania twojego szacowną jest następcom, tak jak i mnie samemu była.

Bolesław. Jednak, gdy szło o przydomek, o znamię i oznaczenie szczególne, można mnie było nazwać lepiej i właściwiej niż *Chrobrym*.

Kazimierz. Bohatera zwać krzepkim, mocnym, dzielnym, zdaje mi się, iż jest sprawiedliwe oznaczenie.

Bolesław. Jednakże (czemu ja nie przeczę, boś godzien), ciebie nazwano *Wielkim*.

Kazimierz. Z wdzięcznością to przyjmuję, iż mnie godnym być sądzisz tego nazwiska.

Bolesław. Siedzieć cicho i spokojnie rozkoszy tronu używać, nie są to kroki ku wielkości.

Kazimierz. Zapewne, iż sama przez się spokojność i cichość nie jest zaszczytem istotnym; ale kto w cichości rządem się wewnętrznym zatrudnia, rolnictwo pomnaża, handel wznosi, nauki rozkrzewia, buduje; może być przeniesionym nad tego, który z łoskotem obala i niszczy.

Bolesław. Lepiej stawiać słupy wśród rzek na znak zwycięstwa i szczerbić mieczem drzwi dobytego miasta, niż zamki stawiać, bez których się naród waleczny obejść może.

Kazimierz. Gdybym był te słupy znalazł, przebaczyć, iż kazałbym je natychmiast z rzek wyjąć, żeby nie przeszkadzały spławom zboża i towarów a gdybym miasto zdobył, nie psułbym bram, ani szabli wyszczerbiał.

Bolesław. Godne to oracza i kupca, nie króla wyrazy

Kazimierz. Bez oraczów i kupców, słupów stawiać nie można.

Bolesław. Jakoż zwano cię królem *chłopków*.

Kazimierz. I dla tego podobno, czego się wojownik nie doczekał, spokojny zyskał.

Bolesław. Nie zawsze się do zdania potomnych odwoływać należy: częstokroć przesady uwodzą.

Kazimierz. Fałsz długo trwać nie może; prawdy światło, choć zrazu przytłumione, przeciąg czasu odkrywa; a wówczas, im dłużej w utajeniu, tém jaśniej się ukazuje.

Bolesław. I dla tej przyczyny, wielkości przydomkiem późne wieki tych obdarzyły, którzy dzielnością wzmogli i rozszerzyli państwa swoje: tacy byli Aleksander, Konstantyn i Karol Wielki.

Kazimierz. Wolno każdemu myśleć, jak chce: mnie się to zdaje niepospolitą chwałą narodu polskiego, iż lubo miał w rządach swoich walecznych bohaterów, a ciebie na czele, temu jednak przysądził wielkość, który sobie na miłość zasłużył.

c) Między Szwarem wynalazcą prochu a Faustem.

Faust. Jak ty się tu możesz mieścić? a gdyś już nie wiem jak zaszedł, jak śmiesz usprawiedliwiać wynalazek, który cię najsroższym i najniebezpieczniejszym winowajcą uczynił? Zbrodnia twoja wynalezienia prochu, tyle klęsk rodowi ludzkiemu przyniosła, iż nie masz kary takowej, na którą byś nie zasłużył; i choć jej za życia twojego nie odniosłeś, pewien jestem, iż sama postać nieszczęść, które przewidzieć musiałeś, najokropniejszą była dla ciebie męczarnią.

Szwarc. Tak żwawe powstanie, nim odpowiem, od tego zaczynam, iż chwałę żarliwość twoją; zbyt dobrze albo wiem o tobie sądzę, iżbym mniemał, iż cię zazdrość unosi.

Faust. Mnie? Ten wyraz niby grzeczny, źle pokrywa jadowitość twoją; wstydzisz się jej powinienes, tak jak i twojego niegodziwego wynalazku, zwłaszcza, iż byłeś zakonnikiem.

Szwarc. Nic się przeciw zakonności nie działo, gdym czas, który mi zbywał od moich obowiązków,łożył na naukę i fizyczne doświadczenia.

Faust. Piękne doświadczenia, jak ludzi gubić!

Szwarc. O tém nie myślałem; znać z twoich wyrazów, iż fałszywe powieści dają ci pochop do chwalebego wprawdzie z powodu, lecz zdrożnego dla nierozmyślności zapалу twojego. Wiedząc o tém, iż mój wynalazek był skutkiem przypadku, iż zrobiwszy proch, nie myślałem o prochu, i tak daleki byłem od przewidzenia, co stąd wyniknąć miało, iż ledwom wynalazku mego życiem nie przypłacił.

Faust. Zachowały cię przeciwne rodzajowi ludzkiemu losy: gdybyś był albowiem życie stracił, zginąłby wraz z tobą twój nieszczęsny wynalazek.

Szwarc. Nie po ludzku bronisz ludzkości, żarliwy jej obrońco. Zdziwię cię może powieścią moją; przekonany jednak jestem u siebie, iż szkodowałaby raczej na tém ludzkość, gdyby był mój wynalazek wraz ze mną zginął.

Faust. Ciekawy jestem dowiedzieć się o tej tajemnicy, a raczej słyszeć, jakich zażyjesz sposobów do usprawiedliwienia rzeczy, która z pierwszego zaraz wejrzenia tém, czém jest, to jest najszkaradniejszą się obwieszcza.

Szwarc. Nie rozumięj, iżbym na usprawiedliwienie moje używał kunsztownych i dowcipnych wyrazów, na wzór owych pisarzy, którzy na muchy, osła, choroby i głupstwa pisali pochwały: żartem było ich przedsięwzięcie; ja z przekonania, to co o moim wynalazku sędzę, opowiem. Już wiesz, iż był skutkiem przypadku, z jednego więc jako i twój źródła pochodzi.

Faust. Nie przyjmuję tego porównania: mój był skutkiem przemysłu i uwagi.

Szwarc. Najprzód by się nad tém zastanowić należało, czy był twoim: wielorakie są o tém powieści.

Faust. Zazdrość je stworzyła i rozniosła: lepiejby było dla ciebie, gdyby twój wynalazek do ciebie nie należał; ale znać że zły, gdy się do niego nikt przyznać nie chciał.

Szwarc. Chiniżykom go niektórzy przede mną jeszcze przypisują. Cokolwiek bądź, wracam się do mojej powieści, którąś przerwał. Doświadczenia fizyczne zaprowadziły do poznania mocy prochu: użyli go potem do wojny, i wówczas gdy się zupełnie jej sposób odmienił, rozsławił się mój wynalazek, nie tak sprośny, obelżywy, bezbożny, jak to ty mienisz.

Faust. Więc chlubisz się z skutków jego?

Szwarc. Chłuba poziomych umysłów jest właściwym przymiotem: nie chlubię się, ale ciebie z uprzedzenia wyprwadzić usiłuję.

Faust. Rzecz ciężką, a prawie niepodobną przedsięwziąłeś.

Szwarc. Może uporu nie przeprę, jednak pozwól mi dokończyć, com zaczął.

Faust. Słucham ciekawie.

Szwarc. Mimo powszechne mniemanie, to co się najwięcej miało przyłożyć do straty ludzi, stało się poniekąd ich ocaleniem. Dawny sposób wojowania orężem nierównie więcej ludzi tracił, i liczba zabitych i rannych w bitwach nierównie większą przedtém była, niż jest teraz. Przepatrzy się w kronikarzach, znajdziesz jawne dowody, zwłaszcza gdy będziesz porównywał to, co nam świeższe historyje o wojnach i bitwach w nich zdarzonych obwieszczają. Sposobu wojowania, który taktyką zowią, odmiana przez proch użycie, zdarzyła to ulepszenie. W teraźniejszych nawet czasach z świadectwa powszechnego, wspartego doświadczeniem, takowe bitwy najśrodsze, gdzie w zamieszaniu do oręża przychodzi.

Faust. Jednakże tak proch zabija jak i żelazo.

Szwarc. Ale mniej zabija od żelaza. Mniejsze zło lepsze jest od większego.

Faust. A że mniejsze zło nie jest dobrém, nie masz się z czego wynosić.

Szwarc. Upokarzałbym się, gdybym wojnę wynalazł, ale ta wraz z ludźmi zesłała: zmniejszać jej srogość, dobrém jest dziełem.

Faust. Mów co chcesz, najwięcej dokażesz, gdy zmniejszysz odrazę. O chlubię nie myśl: dobrego dzieła sprawcom ona przystoi.

Szwarc. Własna nie przystoi nikomu; innym to zostawić należy.

Faust. Jakoż powszechnym okrzykiem uwielbiony zostałem, i do tąd jestem, żem wynalazkiem druku uwiecznił i to co nam starożytność do wiadomości podała, i co następnie ku oświeceniu, a zatém ku uszczęśliwieniu rodzaju ludzkiego służy.

Szwarc. Prawda, iż wiele dobrego wynalazkowi druku świat winien: ale dozwól, iż ci powiem, że i on gorszy czasem od prochu.

Faust. To powieść śmiała.

Szwarc. Niemniej jednak prawdziwa. Nie rozszerzam się z dowodami na poparcie zdania mojego, dość to powiedzieć, iż jak ja złe zmniejszyłem, tyś dobro nadto rozpostarł: uwieczniając prawdy, toż samo nadałeś błędom; a wówczas więcej podobno złego narobił druk, niż wojna, zwłaszcza, iż on jej po większej części dotąd bywa i jest przyczyną.

VII. Obrazy i opowiadania historyczne.

I. Wspaniałe przyjęcie Ottona III w Gnieźnie od Bolesława Wielkiego.

Otton za powrotem swoim z Włoch, wyprawił się w wielkim poście ku granicom polskim, jadąc z Magdeburga na Syrbiją, której część, dawniej Milzawiją, granicznem między Sasami a Polską margrabstwem, nazywała się. Wyjechał przeciwko niemu Bolesław, aż do miejsca nazwanego *Ilwa*, przyjmując gościa z taką wspaniałością, iż Dytmar, lubo najzwyczajniej jego nieprzyjaciel, powiada, że tego ani wyrazić ani opisać niepodobna. Przyprowadzony Cesarz do Poznania, postanowił iść pieszo i boso aż do samego Gniezna. Hojność Bolesława usłała mu drogę różnych farb suknam, od zamku Ostrowa aż na miejsce, do którego się zbliżając, był przyjętym od całego duchowieństwa polskiego i panów, mających na czele Ungera Biskupa Poznańskiego. Napłynęły się wszystkie drogi przechodu cesarskiego uszykowanem żołnierstwem, na różne hufce sporządzonem, a różnością odmiennych kolorów odzienia znakomitę. Za niemi stała na równinie zgromadzona licznie zewsząd krajowa szlachta, na różne także orszaki podzielona, a w najbogatsze szaty i futra drogie, złotogłowem powlekane odziana. Mnożyła nakoniec okazałość płęć biała wszelkiego stanu, jak zewnątrz powabami, tak wyborem szat wymyślnych, męzką zawsze celującą.

Stanąwszy Cesarz w Gnieźnie, wprowadzony był naprzód do kościoła przez Biskupa; gdzie po uczynionej u grobu męczennika (*ś. Wojciecha*) modlitwie, począł się naprzód uchylać od postanowienia dziada swego Ottona I. który ufundował Metropolią w Magdeburgu, wszystkie Słowiańskie kościoły za Odrą, a z niemi Poznański, poddał nowemu Metropoliecie Adalbertowi. Wspaniałe Ottona w Gnieźnie przyjęcie, było tym dzielniejszym dla niego powodem do włożenia korony Bolesławowi, którą on sam sobie mógł włożyć, jak potem uczynił. Otworzywszy myśl swoją przybocznym panom niemieckim, wezwał do siebie Bolesława, i tak do niego, według powieści niemieckich mówił: „Wspaniałość umysłu twojego, a pilność w przysługach nam uczynionych, są nam pobudką, że równie oba winszować sobie powinniśmy. Zaprosiliśmy więc ciebie do tego książąt zgromadzenia, ażebyśmy się tobie wzajemnie wypłacili darami. Dajemy tobie imię królewskie i dostojęstwo, czyniąc cię od dnia dzisiejszego państwem Rzymskiego towarzyszem, i przyjacielem cesarskiego majestatu.“ To mówiąc Otton zdjął z głowy swojej koronę, na głowę Bolesława włożył. Nastąpiło przymierze między obu monarchami. Otton zniósłszy z polskich książąt dawane pierwój od Niemców tytuły *duków* i *hrabiów*, niby podległość jakowś niemieckiemu królestwu, w krajach Zaodrzańskich oznaczającą, królem go polskim i słowiańskim uznał. Uwolnił go od wszelkich obowiązków, które ojciec jego z krajów za Odrą, dla przemocy Ottona I, i jako część państwa niemieckiego, w towarzystwie na wojnach pełnił, zostawując sobie tylko wyższość honoru, i kroku pierwszeństwo.

Ig. Krasicki.

2. Osobista waleczność Bolesława Krzywoustego.

Ostrzeżeni Pomorzanie podemknęli się w liczbie 3-ch tysięcy pod wieś, gdzie król ochotował. Trafiło się właśnie podczas owej biesiady, że Bolesław lubiący myśliwstwo, udał się do pobliskiego lasu, wzięwszy z sobą ośmdziesiąt orężnych, ale nagle ukazały się liczne Pomorzanów hufce. Nie zląkł się mężny monarcha przewyższającą liczbą. Upomniałszy swoich, aby go w tak niebezpiecznym razie nie odbiegli, a kupy owych

Wypisy Polskie.

łotrzyków, poddańców swoich płoszyli, natarł na nich pierwszy z dobytym pałaszem. Potężna rąbanina w odważnym natarciu, otworzyła królowi z ludem swoim wolne przez nieprzyjaciół przejsie; lecz on nie szukał ucieczki, ale zwycięstwa. Cofnął się nazad i tymże zapędem jeszcze się drugi raz przez tłumy owe przedarł. Nie miał już więcej przy sobie nad pięciu orężników. Nie było też widać hetmana Skarbimira z drugiej strony walczącego; wszakże podobało się trzeci raz jeszcze spotkać z pogaństwem, mocno już przerzedzonem: każdy Polak do kilkunastu ich ubijał. Wtém konia pod królem ubito, i nim mu drugiego podał jeden z owych pięciu pozostałych, oskoczony, długo się w rącz ścinać musiał, nie bez srogiej kłęski przeciwników. Nadbiegł też wkrótce Skarbimir, cały ranami okryty i z utraconem od postrzału okiem, a z nim trzydziestu ranionych i zmordowanych towarzyszków. Odparci znowu Pomorzanie, bojąc się, aby się na nich liczniejsza moc nie wysypała, pierzchać i niknąć po lasach zaczęli. Jakoż ostrzeżeni o niebezpieczeństwie króla godownicy, już się byli rzucili do broni i biegli na ratunek. Spotkał ich powracający z bitwy Bolesław, wracając się do dawniej wesołości. Ucieszyli się wszyscy z ocalenia pana; jednakże wielu przytomnych, widząc szyszak i zbroję posieczoną, tudzież różne stłuczenia i rany, upomnieli króla, aby się na przygody nierozmyślnie narażając, w osobie swojej na szwank całego narodu nie podawał.

3. Hojność Kazimierza W., w czasie wesela Elżbiety jego wnuczki z Karolem IV cesarzem; i bogactwo Mikołaja Wierzyńka.

Kazimierz chcąc akt ślubny cesarza z jak największą obchodzić uroczystością, zaprosił nań królów *Ludwika* Węgierskiego, *Piotra* Cypryjskiego, i *Waldemara* Duńskiego; z których pierwszy, jadąc z Wołoszczyzny przez Ruś i dalej do Awinionu, jeszcze Krakowa nie przebył. Drugi mając także wyjeżdżać do tegoż Awinionu, zajechał do Szczecina do Bogusława książęcia Pomeranii, dla umowy z nim w interesie miast Wandalskich czyli Hanzeatyckich. Przybyli także do Krakowa *Ludwik* Węgierski przez *Sandecz* i *Bochnię*, *Oton* książę Bawarski, *Bolesław* na Świdnicy i *Władysław* na Opolu, książę-

ta Szląsscy, *Ziemowit* książę Mazowiecki, tudzież inni świeccy i duchowni książęta: a na koniec *Bogusław* książę Pomorski na Szczecinie, z córką *Elżbietą*, w towarzystwie króla Duńskiego *Waldemara*. Nadjechał też król cesarz z Pragi, którego na granicy przy Bitomiu przyjąwszy wysłani od króla liczni panowie koronni, prowadzili przez *Będzin* i *Olkusz* do Krakowa, opatrując wszystkie potrzeby w tej podróży. O milę od miasta, wyjechali konno na przyjęcie cesarza, czterej królowie z książętami w pośrodku niezmiernego mnóstwa ludzi, na to rzadkie w świecie widowisko zebranego; a gdy już byli od siebie o kilka staj, cesarz zsiadłszy z konia, szedł ku królom, co też i oni uczynili, i tak się z sobą pieszo złączyli. Płakali wszyscy z radości przy miłym sobie wzajemnie uściskaniu: a lud im przytomny łez wyléwać dopomagał, ciesząc się z przyjaźni głów ukoronowanych, na których związku szczęście narodów zawnione być widział. Wsiadłszy potem na konie, jechali do miasta, przed którym spotkał monarchów *Bogusław* książę, okazując przyszłą małżonkę cesarzowi, gronem licznym strojnych niewiast i dziewic otoczoną. Zeszła dnia reszta na prowadzeniu gości do miasta, dla poprzedzających wjazd ich rycerskich orszaków, a duchownych i miejskich zgromadzeń.

Honor narodu kazał, aby tak znakomici goście z należytą ich stanowi wspaniałością byli przyjęci i podjęmowani. Król w skarby zamożny, w gospodarstwie rządny, w utrzymywaniu dostojeństwa korony okazały, miał do tego aktu wszelkie przygotowanie. Miasto Kraków, siedlisko zdawna książąt i królów, liczyło się wtenczas co do liczby i bogactw mieszkańców, i wspaniałości domów, między pierwszymi w Europie. Przyjeł go do ligi swojej miasta handlowne, Hanzeatyckimi nazwane. W takiej murów rozległości i mnóstwie gmachów, pomieścił król kolegów swoich, książąt i wszystkie ich dwory z *Piotrem* legatem papieżkim, wygodnie. Łączył się przepych w złocie, w srebrze, jedwabiach, powozach i kosztownych stołach: a czego kraj nie miał, już *Wenetowie* z *Genueńczykami*, bogatych towarów indyjskich na morzach Perskiem, Arabskiem, Śródziemnym, i Czarnym samokupcy, Europie dostarczali. Nad wszystkimi sługami, do opatrowania potrzeb gościnnych od króla wyznaczonemi, przodkował *Mikołaj Wierzynek* rajca *Krakovski*, szlachcie herbu Łagoda, urodzeniem Niemiec od *Renu*, który skarbem królewskim zawiadując, wszystkich rad, rozpo-

rzążeń, i ustanowień jego był uczestnikiem i wykonawcą. Prócz wygod domowych, każdemu aż do zbytku szafowanych, wystawiano codziennie w około rynku beczki z trunkami, naczynia z jadłem, i owies dla rozszarpania gminowi. Trzeciego dnia po wjechaniu królów, nastąpił ślub w kościele katedralnym, za błogosławieństwem Jarosława arcybiskupa, a w przytomności legata papieżkiego. Posag dla cesarzowej wyznaczony od króla w summie sta tysięcy złotych. Przez całe dni dwadzieścia trwały biesiady, różne igrzyska, posyłania gościom kosztownych upominków od króla, który przewyższywszy bogactwami poprzedników swoich, wspaniałość tronu swojego, przewyższając podziwienie hojnością, chciał podówczas światu okazać. Niepospolitą też w dziejach narodowych zostawił pamięć Mikołaj Wierzynek. Szafarstwo skarbu królewskiego, a przytém przemysł i handlowe zyski uczyniły go najmajniejszym w kraju obywatelem. Chętni, zapragnęli mieć w domu swoim królów na obiedzie. Nie odmówili mu tej łaski monarchowie, pewni darów i nagrody honoru. Wierzynek sadząc gości do stołu, otrzymał pierwój od nich pozwolenie, aby według swojej woli miejsce każdemu naznaczył. Liczne dobrodziejstwa wzięte od króla i pana swojego, były mu powodem do posadzenia naprzód Kazimiérza: po którym cesarz, a dalej królowie: Węgierski, Cypryjski i Duński, tudzież po nich inni książęta udzielnicy, miejsca swoje zasiedli. Długosz powiada, iż Wierzynek na tym obiedzie do sta tysięcy czerwonych złotych królom i książętom w upominkach rozdał. Wreszcie po zakończoném tém weselu, zawarte były między królami różne przyjaźni, i wzajemnej obrony przymierza: a na Turków i inne pogańskie uchwalona liga.

Ad. Naruszewicz.

4. Elżbieta.

Królowa polska i węgierska.

(z dzieła „Jadwiga i Jagiełło“ przez K. Szajnochę.)

Głośno było po układzie koszyckim w Krakowie i w całej Polsce. Królowa Elżbieta wróciwszy do nadwiślańskiej stolicy, ucztowała szumniej niż kiedykolwiek. Biesiadnemu gwarowi zamku Krakowskiego wtórzyła tłumna uciecha tryumfujących

Różyców i przyjaciół. Z odgłosem radości dworu i możnowładztwa Małopolskiego, mieszał się okrzyk wojenny Władysława Białego w Kujawach, i szczeł zbrojnych najazdów Wielkopolan na sąsiednie ziemie Niemieckie, a sąsiednich panów Niemieckich na Wielkopolskę. Temu wszystkiemu towarzyszył jeszcze łoskot pogańskiego z Litwy napadu na pogranicze Nadwiślańskie.

Rażącym zjawiskiem były tańce ustawne na dworze królowej Elżbiety. Nie płała ona sama — dla niej inne były zabawy. Założycielka wielu klasztorów w Węgrzech, zajmowała się w Polsce również pobożnymi dziełami. Myśląc raczej o śmierci przykładnej niż o piasach, przybrała pobożna Elżbieta trzeci stopień reguły św. Franciszka, z przywiązaniem do tego strojem i obyczajem. Niepodobna przeto wierzyć oszczerstwom, które w niewieście życia takiego, wystawiały dziecinnie-płochą staruszkę. Tak jednakże namiętnie wesołym i zabawchciwym był świat ówczesny, że sama królewska tercyjarka św. Franciszka, nie mogła przenieść na siebie, aby jej dwór liczny i świetny, odmawiał sobie dla niej rozrywek. Idąc więc za przykładem całej piasającej pod ów czas Europy, dozwoliła królowa młodzieży dworskiej bawić się i tańczyć w swojej obecności. Po tańcach następowała codziennie najprzykładniejsza pobożność. A pozostawało wtedy jeszcze dość czasu do niej, gdyż owe piasy i krotofile odbywały się pospolicie w całej Europie zwyczajem, między porannym obiadem a wczesną wieczszą. Tylko przy wyjątkowych uroczystościach tańczono nie długo po wieczery. Zazwyczaj udawała się wtenczas stara królowa do samotnej komnaty — otwierała jeden z swoich mnogich brewiarzów i modliła się z niego.

Zresztą jakże często, jak srodze bywały te uciechy na zamku Krakowskim przerywane!

Owo zanosi się na szumny festyn. Z różnych stron zjeżdżają panowie, panie i panny. Owdowiła po Rafale z Tarnowa pani Wiślicka przybywa z tłumnym dworem służby, wozów i koni, w odwiedzinach do królowej Elżbiety. Wtém gwałt nad Wisłą! Kiejstut Trocki z bratem Lubartem Łuckim i synowcem Jerzym Bełzkim przemknęli zcicha przez Wisłę pod Zawichostem, i aż pod Tarnów pożogę i mordy niosą. W Baranowie nad Wisłą zaskoczony od najeźdców dziedzic, brat arcy-

biskupa Janusza, Cztan Grzymalita, miał ledwie tyle czasu, ażeby żonę słabą i małe niemowlę porwać na koń i rzucić się wpław w jezioro przyległe Wiśle. Gdy Litwa nadbiegła, dzielny Cztan brnął już daleko przez fale Wisły. Z tysięcy wypuszczonych za nim strzał, żadna nie uraziła ojca z dziecięciem. Z tysiąca przypatrujących się zdala pogan, żaden nie śmiał puścić się wpław za Lachem. Tylko jakąś towarzyszkę pani Cztanowej, spodziewającą się przebrodzić przez jezioro, ubito strzałami i pogrążono na dno. Na odgłos takich to wieści, podróżna pani Wiślicka porzuca w pół drogi swoje cugi i służbę, i z garstką towarzyszków ucieka w łódce za Wisłę. Na niczem spelzły odwiedziny i krotofile. Skończyło się na powszechnych skargach przeciw królowej Elżbiecie, że ona winna tej klęsce — jakby jej winą było, że Sandomierzanie granic nie strzegli.

Uspokoila się trwoga. Wróciły na zamek królewski dawne zabawy i płasy. Kilka dni świąt podwoiły ochotę. Nazajutrz po św. Mikołaju, w dzień niedzielny, kazała królowa wyprawiać przed sobą tańce, śpiewy z muzyką i tym podobne uciechy światowe. Wtém rozruch w mieście! Około bramy Bocheńskiej napadli służalcy bawiących z Elżbietą panów Węgierskich, na wóz siana, prowadzony ze wsi Brzezia dla mieszkającego w Krakowie szlachcica Przedbora. Wszczęła się zatarga. Na obu stronny okrzyk, nadbiegli Węgrzy Węgrom, Polacy w pomoc Polakom. Co gdy do zamku się doniosło, wyprawiła królowa czempredź starostę grodzkiego Jaśka Kmity, jako też innych panów, dla poskromienia rozterki. Przeciw nadjeżdżającym konno panom zamkowym, wypuścił jeden z Węgrzynów strzałę z cięgiwy i ugodził śmiertelnie samegoż Jaśka. Widok spadającego z siodła starosty, rozjuszył wszystkich krewnych i rodaków. Zemsta krwi była obowiązkiem rodzinnym, prawym. Dzikość ówczesnych Węgrów podżęgała rozjątrzonych Krakowian do okrucieństwa. Rzucono się do wymordowania wszystkich przybyszów. Wszczęta rzeź nie przebaczała ani płci, ani wiekowi. Nawet nie węgierscy towarzysze dworu padli ofiarą wściekłości. Słowacki szlachcic Michał, przezwiskiem Pogan, wywleczony z piwnicznej kryjówki na ulicę, został ścięty. Napróżno panowie polscy silili się powstrzymać mordy, ratować Węgrów. Wśród najsroźszej rzezi schrania się do Przedborowego domu dwoje szlachetnych pacholąt Węgierskich, dzieci dostojnego rodu, ulubieńców stariej

królowej, wychowujących się na jej dworze. Przedbor ukrywa je w ciemnej komorze i zakazuje służbie wyjawiać ich przytułku. Wiedząc zaś o przywiązaniu królowej do tych pacholąt, śpieszy na zamek, aby ją uspokoić. Tam dziwny widok! Tłumy niedognanych jeszcze od ludu Węgrów, cisną się w śmiertelnej trwodze na zamek. Z obawy jednak, aby lud nie przedarł się do środka, i nie wymordował mieszkających tam cudzoziemców, nie śmiano otworzyć bram zamkowych. W tém strasznym położeniu, znaleźli rozpaczający, jedyną pomoc w Polakach. Bawiące na zamku panie i panny Krakowskie, pospuśczały drabiny z okien zamkowych, po których zagrożeni Węgrzy leźli wśród gradu strzał padających za nimi do zamku. Wpuszczony do królowej Przedbór pocieszył ją — omylnie. Wracając bowiem, z powodu strzeżonych ściśle bram zamkowych, dopiero nazajutrz rano do domu, ujrzał przed progiem nagie trupy ulubieńców królowej. Sami służalcy Przedborowi wyłamali drzwi do komory, i zamordowawszy dzieci, złupili je z kosztownej odzieży, a odarte wyrzucili przez okno na ulicę. Przeszło sto sześćdziesiąt ofiar pomściło zabicia Kmity.

Takie były gody królowej Elżbiety. Przerażona niemi, ujechała z resztą Węgrów za Tatry. Po jej oddaleniu, rzuciły się tłumnie przeciw niej mnogie oszczerstwa, za ohydę rządów niewieścich, za niedbałość syna Ludwika, zapominającego o obowiązkach króla i wysiadującego w Węgrzech, i za dzikość dworzan Węgierskich. Kronikarz Wielkopolski prawi o jej wyklecie z ambony, i maluje ją jako jędzę. Naigrawając się z klectwa jej prawej ręki, zwano ją pospolicie królową *Kikutą*. Krzywdzono ją w najboleśniejszy dla próżności kobiecej sposób, przyczyniając jej lat. Mówiono o niej (jak w Bielskim czytamy), że tańce stroiła i dokazywała, *choć już było przeszło 80 lat*. Niezwykła czerstwość jej zdrowia pochodzić miała, według krążących o niej pogłosek, od jakichś czarodziejskich leków, jakiejs wody odmładzającej, środków piekielnych — tymczasem była to wódka rozmarynowa, zaprawna wysokiem winnym, wynalazku samej Elżbiety, i stąd znana pod nazwą *larendogry* (la reine d'Hongrie), którą cierpiąca na reumatyzm królowa skutecznie bardzo nacierała ciało, a której starożytna *recepta*, własnoręcznie przez Elżbietę napisana, ma się dotąd znajdować w bibliotece cesarskiej w Wiedniu. Krążyły wreszcie złośliwe powieści o jej złém życiu w Węgrzech. Nas one, ja-

ko fałszywe, do tém żywszej wzbudzają czci. Im więcéj spotwarzoną widzimy siostrę Kazimierza W., tém wyżej cenimy jéj rzeczywistą zacność. Dopiero po ustąpieniu Elżbiety z Polski, poczuł naród całą gorycz rządów Ludwika.

Wróciwszy do Węgier, nie długo tam już żyła babka Jadwigi. Dnia 6 Kwietnia 1380 roku kazała szeroki spisać testament, w którym piękne rysy jéj charakteru, w całym jeszcze zajaśniały blasku.

5. Koronacyja królowej Jadwigi w Krakowie.

(z dzieła „Jadwiga i Jagiełło“ p. K. Szajnochę).

Zaledwie Jadwiga wypoczęła z podróży, przystąpiono do koronacyi. Nie było już żadnej wątpliwości co do miejsca tego obrzędu. Po upadku Wielkopolszczyzny zniknęła dla Gniezna wszelka nadzieja koronacyjnego przed Krakowem pierwszeństwa. Koronowany w Krakowie król nie potrzebował już lękać się, aby jak niegdyś Kazimierza W., tylko Krakowskim nazwano królem. Jakoż odraczając na później sprawę zaślubienia Jadwigi, postanowiono ją przedewszystkiém ukoronować w Krakowie, i podobnie jak się stało z jéj siostrą na Węgrzech, koronować ją pod mężkiem mianem króla Polskiego. Brakowało wprawdzie mężkiej ku temu korony Bolesławów, którą król Ludwik po koronacyi uwiózł z sobą do Węgier, a której Jadwiga nie przywiozła do Polski, lecz gorąca chęć panów polskich uzupełniła wszelki niedostatek obrządkowy. Uznano dawną koronę żeńską służącą do koronowania małżonek królewskich, a przeto bez obawy pozostawioną niegdyś przez Ludwika w skarbcu królewskim, za dostateczną do koronacyi króla polskiego. Temci mniej chciano czekać, aż niedawne uszczerbki państwa, osobiwie zaś opanowane przez Ziemowita zamki Kujawskie, powrócą się Koronie. Odbył się terazniejszy obrzęd koronacyjny, w kilka dni po przybyciu młodej królowej, podobno w sam dzień Ś. Jadwigi *)

Zgromadzili się dnia tego zrana w zamku królewskim wszyscy dostojniejsi koronni, przedniejsi panowie krajowi i obcy, tak świeccy jak duchowni. W nie małej ich liczbie odznaczał się przybyły z Węgier przewodnik i doradzca Jadwigi, arcybis-

*) 1386.

kup Strygoński i legat papieżki, tudzież kardynał Dymitr, mający w swém towarzystwie Czenadzkiego biskupa Jana. Duchowieństwu polskiemu przodkowali arcybiskup Gnieźnieński Bodzanta i tak zwany mały biskup Krakowski Jan Radlica.

Po zmówieniu modlitwy wstępnej i pokropieniu Jadwigi wodą święconą, wyruszył dwór cały w uroczystym pochodzie ku poblizkiej katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za nimi panowie duchowni: opaci z pastorałami i w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski z arcybiskupem kardynałem węgierskim. Po nich postępowali dostojnicy koronni z oznakami władzy królewskiej. Koronę niósł kasztelan, berło wojewoda krakowski, jabłko i szczerbiec inni wojewodowie. Tuż za temi godłami, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i urzędników niesionym, szła czternaścieletnia królowa w stroju koronacyjnym, t. j. w kapłańskiej albie, tunice, dalmatyce, w sandałach złocistych, w kapie czyli płaszczu królewskim, z rozpuszczonemi włosami. Przy boku młodocianej królowej znajdowało się kilka niewiast dostojnych, mianowicie jedna z księż, i przeoryszek krakowskich. Tawarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonemi świecami, a zamykało go grono trębaczy i flectistów, przygrywających wesoło pochodowi. Za wnijściem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono godła królewskie na ołtarzu. Królowa otoczona orszakiem dworskim pozostała u stopni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem ewangelii przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup zapytał ją, czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu? Odpowiedziała królowa: „Chcę, tak mi Boże dopomóż;“ Poczém uklękła Jadwiga, a arcybiskup w oleju św. umaczał palec wielki, aby namaścić krzyże i prawe ramię królowej. Zastosowana do tego suknia koronacyjna odchyłała się z łatwością do koła ramion. Skończywszy ten obrządek, wziął arcybiskup koronę z ołtarza i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiały wszystkie trąby i fletnie — wzniósł się stugłówny okrzyk na cześć nowej królowej. Po odczytaniu Ewangelii, odprowadzono królowę do tronu, usłanego z kosztownych złotogłowiów, na którym Jadwiga zasiadła. Aby ciężka, dużemi kamieniami wysadzona korona nie gniotła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w po-

wietrze, i trzymali ją tak przez cały czas po nad głową Jadwigi.

Jak na ów czas w kościele katedralnym, tak dziś przed oczyma naszymi, siedzi Jadwiga w okazałości królewskiej na rzeźbie wielkich pieczęci majestatycznych. Widzimy tam w bardzo misternej robocie, na tronie w kształcie gotycko rzeźbionego ołtarza, o dwóch szeroko rozwartych podwojach, młodocianą, wyniosłą postać dziewczęcą. Pod rozłożonym płaszczem królewskim rysuje się smukła kibić w obcisłym, aż pod szyję zapiętym stroju. Wysoka korona na głowie osobliwszym uderza kształtem. Składa się ona naprzód z szerokiej, kamieniami wysadzonej obrączki, z której wysokimi rąbkami strzelają do koła lilie rozkwitłe. Pomiedzy każdą parą kwiatów tkwi niższy pręcik liliowy, zakończony pączkiem zamkniętym. Roztworzyste kielichy wyższych lilij unoszą się nad nimi wieńcem u góry. Boło to może owo liliami ozdobne ubranie głowy, które babka Elżbieta zapisała była testamentem Jadwidze. Z pod korony spływają do koła według francuzkiej owego czasu mody, długie i szerokie wstęgi. Prawa ręka trzyma wysokie berło, rozkwitając podobnie liliowym w górze kielichem. W niżach z prawej i lewej strony stoją dwaj aniołowie. Obocza i podnóża tronu ozdobione są herbami głównych ziem polskich.

W dalszym ciągu mszy świętej przy offertorium zstąpiła królowa z tronu, i w szczerzotym naczyniu złożyła chleb i wino w ofierze na ołtarzu. Za przykładem królowej każdy z panów ofiarował co łaska. Poczem wróciwszy na tron, pozostała tam królowa aż do komunii kapłańskiej, a wtedy udała się raz jeszcze do ołtarza, i klękawszy w pokorze, przyjęła ciało i krew Pańską. Był to ostatni akt ceremonii kościelnej. Na zakończenie ozwał się gwarny chór trąb i fletni. Przy ich ciągłym odgłosie, wrócił orszak koronacyjny tym samym porządkiem jak wprzód w bramy zamkowe. Czekala tam wszystkich w obecności królowej uczta. Jadwiga zasiadła przy niej na przygotowanym u stołu tronie. Goście chwalili sobie w takim razie nadewszystko obfitość wina i ryb.

Nazajutrz, w okazałym pochodzie, w stroju królewskim, objechawszy główny plac miasta, zasiadła młoda królowa na tronie przed ratuszem, gdzie uderzyli przed nią czołem burmistrz, dwudziestu czterech rajcowie miasta, apostolskie grono

jedenastu sędziów, ławników z wójtem na czele i wszystko pospólstwo miejskie. Jadwidze nastroczała ta scena hołdu, pierwszy widok właściwego wnętrza stolicy, tak odmiennego od reszty Polski napełnionej życiem, tak różnego od niej swoim gwarem, strojem i obyczajem.

6. Błogosławiona Bronisława.

z obrazów życia świętobliwych Polaków i Polek.

W trzynastym stuleciu, tak obfitem w świętobliwe postaci, szczególnie od Boga błogosławiony był w Polsce szlachetny dom Odrowążów. Prawie jednocześnie dał on ojczyźnie w biskupie Iwonie mądrego i gorliwego o dobro kościoła pasterza, w synowcach jego Jacku i Czesławie wielkich patronów, a wreszcie w krewnej ich Bronisławie, błogosławioną w niebie orędowniczkę. Bronisława przyszła na świat w Krakowie około r. 1205. Ojcem jej był Stanisław Prandota, a matką Anna z domu Gryfów. Młodziuchna Bronisława garnęła się ku Bogu od lat pachołących, a im była starszą, tém widoczniejszą się stawała rzadka jej doskonałość. W szesnastym roku życia, piękna równie duchem jak ciałem, wzgardziwszy uciechami świata, oddała się służbie Chrystusa. Przyjąwszy zakon Norbertanek, osiadła w ich klasztorze na Zwierzyńcu pod Krakowem, i wiodła tam żywot pełen świętobliwości. Miłość bliźniego była w niej bardzo gorąca, bo oparta na miłości Boga, wypływającej z silnej wiary; nie raz też pracując koło dobra drugich, podołała czynnościom, które przewyższały słabe jej siły niewieście.

Jacek święty nawiedzał często klasztor Zwierzyński. Z każdych takich odwiedzin, Bronisława wielką odnosiła pociechę: miłowała bowiem Jacka, jako rodzonego brata, a czciła w nim zarazem świętobliwą doskonałość. Wdzięczne bardzo były dla słuchających rozmowy ich o życiu mającym się zacząć w chwili śmierci ciała, o tym dniu bez końca, światłości której nigdy nie zakryją chmury, mroczące ziemski żywot ludzki.

Zdarzało się niekiedy, że Bronisława bawiąc długo na modlitwie, wpadała w zachwycenie, w którym dusza jej czuwała, a ciało było uśpione. Razu jednego, gdy dłużej w tym stanie pozostawała jak zazwyczaj i nic nie widziała ani czuła koło siebie, zatrwożyły się siostry i zaczęły ją przywoływać do życia.

— Powiedz nam miła córko, pytała jęj przełożona, skoro przysła do przytomności, czy nie czujesz się chorą, bo lice twoje zbladły?

— O nic mi nie jest, wielebna matko, odpowiedziała Bronisława. Miałam widzenie tak słodkie i miłe, że dotąd czuję się radośnie wzruszoną.

— Opowiedz nam coś widziała — prosiły siostry.

— Nie wiem, czy potrafię opowiedzieć, bo nie łatwo wyrazić martwemi słowy zachwycenie ducha, ale uczynię zadość waszemu żądaniu. Otóż najpierw ujrzałam jasność wielką po nad rozwartém niby sklepieniem mojęj celi, a wśród tęg jasności snuły się chóry Aniołów i śpiewały tak cudnie, że podobnych dźwięków nie zazna żadne ucho na ziemi, i wiecznie za niemi tęskno będzie temu, kto je raz słyszał... Nagle ucichły wszystkich niebiańskich głosów pienia i czoła wszystkich duchów schyliły się w pokorze, a ja w błogim zachwycie ujrzałam zstępującą wśród nich Najmiłosierniejszą i Niepokalaną Bogarodzicę. Wyciągnęła ramiona ku ziemi, skąd płynęła w górę na falach obłoków biała jakaś postać. Jakiż był mój podziw, i jaka radość, gdy w tęg postaci poznałam brata mego Jacka! Królowa niebios ujęła go za rękę, i w jasnej przestrzeni zabrzmiały cicho lecz dźwięczniej niż muzyka Aniołów, te słowa: „Pójdź słuگو mój wierny, odebrać zgotowaną dla ciebie nagrodę.“ W tęg chwili widzenie moje znikło, i zostałam pod wplywem radosnego wzruszenia.

Zadumały się głęboko siostry nad tęg opowiadaniem. Zbudził je jakiś niezwykle rozruch w klasztorze. Jedna z nich pobiegła dowiedzieć się, co go spowodowało. Wkrótce powróciła zalana łzami, przynosząc wieść żalosaną, że miły Bogu i ludziom Jacek Odrowąż zakończył życie doczesne. Wszystkie siostry zakonne głośnym wybuchły płaczem — jedna tylko Bronisława, lubo najboleśniej dotknięta tą stratą, uśmiechała się błogo do swego widzenia, zamienionego nagle w rzeczywistość: „O! bracie mój, rzekła zcicha, więc już jesteś szczęśliwym wiecznie! widzisz już wiekiustą prawdę w całym jęg blasku i chwale! O! módl się za nami, abyśmy słabi pielgrzymi, stanęli wraz z tobą u kresu naszęg podróży.“

Niedługo potem, Bronisława, pełna lat i zasługi, połączyła się z bratem i gronem Aniołów, których jeszcze żyjąc na ziemi słyszała śpiewy.

Podanie ludowe mówi, że zasnęła w Bogu modląc się na górze, która po dziś dzień nosi jęg nazwisko. Ciało jęg przeniesiono do Zwierzynieckiego klasztoru, gdzie dotąd spoczywa przy ołtarzu św. Anny — na górze zaś wybudowano kapliczkę, gdzie wzywający pomocy błogosławionęj Bronisławy, zawsze doznawali cudów

7. Wjazd Jeżego Ossolińskiego

DO RZYMU.

Władysław IV wyprawił do papieża Urbana VIII poselstwo, poruczając je Ossolińskiemu. Wjazd jego do Rzymu jest jedném z najświetniejszych wystąpień, o jakich wspomina historyja. Młodzież najpierwszych domów polskich przyłączyła się do orszaku posła, tak, iż policzywszy stajennych, kuchennych, służbę, wynosił on przeszło 300 osób; samych koni podwodnych najwyborniejszęg rasy, należących do posła, prowadzono 30; rydwanów pod rzeczy, oprócz karet, szło 20. Z tak licznym orszakiem wyruszył Ossoliński 23 Września 1633 roku z Krakowa; krewni i przyjaciele przeprowadzili go do granicy niemieckięj. W Niemczech już rozszedł się odgłos o wspaniałym jęg pochodzie; gubernatorowie miast i panowie niemieccy, jedni z rozkazu cesarskiego, drudzy z uprzejmości, po drodze zapraszali go do swoich zamków, racząc wspaniałemi ucztami, biciem z dział, muzyką, i dostarczając karet i koni do podróży. W Wiedniu nader gościnnie przyjmował go cesarz, a gdy przebył góry Szttyryjskie i wjechał do Włoch, kardynałowie, krewni papieżcy, Barberini, i znakomici panowie włoscy, tudzież panowie polscy, bawiący we Włoszech, wyjeżdżali ze swemi dworzanami na jęg spotkanie i łączyli się z orszakiem, który coraz więcej rósł w liczbę i wspaniałość. O sześć mil od Rzymu powitali go sekretarze wszystkich poselstw, a wkrótce potem spotkali posłowie cudzoziemscy, których niezmiernie dziwiło, że Ossoliński z każdym z nich mówił jęg własnym językiem. Przybywszy do bram Rzymu, zostawił swój orszak w willi papieżkiej, a sam, w zamkniętęg karecie, z kardynałem de la Tore, protektorem Polski, pojechał przedstawić się papieżowi. W siedem dni potem odbył wjazd uroczysty do świętego grodu.

W Niedzielę 27 Listopada, gdy do willi, za miastem leżącej, zjechały się dwory: papieżki, kardynałów i posłów cudzoziemskich, oraz niezmierna moc kawalerów, hrabiów, margrabiów i książąt, wsiadł Ossoliński na konia o godzinie drugiej, i ruszył ku bramie Flamińskiej.

Na czele jechało dwóch furyjerów Ossolińskiego, po polsku w suknie szkarłatne ubranych, na dzielnych koniach; za nimi szły wozy, suknem karmazynowém, z wyszytymi na niem herbami posła, przykryte, w liczbie 22.

Następowało potem 10 wielbłądów z dzwonkami srebrnymi na szyjach, dekami jedwabnemi, złotem tkanemi, przykrytych, które prowadzili Persowie, narodu swego obyczajem bogato ubrani i w zawojach. Po tych widać było 4 trębaczy najprzedniejszych, po polsku w zielone aksamitne suknie z pętlcami złotemi przystrojonych, za którymi szła gwardya posła, z 34 ludzi złożoną; konie były pod nimi piękne, sami — w sukniach jedwabnych, złotem przeszywanych; mieli flinty, pistolety .. i białe pióra u czapek.

Za nimi szła chorągiew papieżka, z samą szlachty złożoną, a po niej dworscy kardynałów, mający każdy na ramieniu kapelusz kardynalski.

Niedaleko od nich jechało 30 pokojowych posła, na dzielnych koniach, w rzędach srebrnych, wszyscy barwisto w suknie polskie aksamitne, koloru niebieskiego, ubrani, mając na sobie sajdaki, zwyczajem tureckim w srebro oprawne. Poprzedzał ich giermek posła, Chociszewski, starzec poważny, tarczą bogatą uzbrojony i zwyczajem perskim strzałę w rękę trzymający, ze skrzydłami do kulbaki przypiętymi. Suknie na nim, złotem, perłami i drogimi kamieniami, tak bogato były ozdobione, iż wszystkich na siebie oczy i podziwienie obracał.

Za pokojowemi prowadzili, po persku bogato ubrani matalerze, 5 najdzielniejszych koni tureckich. Na każdym rządził kulbaka, drogimi kamieniami ozdobione; na jednym mianowicie koniu siedzenie było samymi dyamentami całe okryte, a na czole konia sztuka z klejnotów tak bogata, iż ją szacowano na 20,000 skudów, co niemal 10,000 dukatów wyniesie. Ale najwięcej to zadziwiło wszystkich, że u trzech z tych koni podkowy były złote i niektóre umyślnie tak słabo przybite, że mogły odpadać; jakoż dwie, na części złamane, odpadły i pospółstwu się dostały.

Za tymi końmi jadący koniuszy posła, z buławą srebrną; prowadził 20 dworzan poselskich, bogato ubranych, przy złotych karabelach. Tuż za nimi jechało 16 dworzan posła hiszpańskiego, oraz wielka liczba krewnych kardynalskich i innych panów.

W niejakim odstępie jechało 20 przedniejszych dworzan polskich, na przepych ustrojonych, którym przodował Jakub Zieliński, marszałek dworu, mający w ręku buławę srebrną. Po bokach jego jechali dwaj kawalerowie; tuż za nimi postępował książę de Richemont, krewny posła francuzkiego, z licznym orszakiem zbrojnych dworzan, a za nimi dworzanie papieżcy.

Następowali po nich różni panowie polscy, z których jedni umyślnie do Rzymu przybyli, dla pomnożenia wspaniałości tego wjazdu, drudzy, już dawniej tam będąc, i siebie i ludzi swoich ofiarowali posłowi na tę usługę. Wszyscy przepysznie ubrani, jechali na dzielnych rumakach, po trzech, lub parami, a każdemu towarzyszyło dwóch kawalerów rzymskich, po bokach jadących.

Najwięcej jednak zwracał uwagę Ciekliński, sekretarz królewski. Jadąc na dzielnym koniu arabskim, czynił obroty niepojętej szybkości, tak dalece, że łańcuch złoty, do munsztuka przypięty, koń pod nim osobliwszą sprawnością na drobne kawałki poszarpał i pospółstwu na łup rozrzucił.

Za długim sznurem panów polskich, jechał wreszcie poseł, mając po lewej ręce sufragana Gnieźnieńskiego, Gembickiego, sekretarza poselstwa. Gdy stanął w bramie, spotkany został przez dwóch prałatów, wysłanych przez papieża, z których jeden, Faustopoli, arcybiskup amazyjeński, jechał po lewej jego ręce, a drugi, Kajetani, patryjarcha aleksandryjski, — po prawej. Po bokach szło 30 piechoty polskiej, pięknie ubranéj, z guzami i piórami srebrnemi.

Poseł miał na sobie suknie bogato złotem haftowane i tak przy żupanie, jak i zwierzchniej szacie, po 20 sporych guzów, każdy z jednego dyamentu, i po 20 pętlcy dyamentowych. Karabelę miał złotą, klejnotami sadzoną, na 20 tysięcy złotych polskich szacowaną. Siedział na dzielnym tureckim rumaku, mającym podkowy złote. Na głowie konia były pióra czarne, a przy uszach czuby, gęsto dyamentami przeplatane. Całe siedzenie, nawet strzemiona, drogimi klejnotami miał sadzone.

Temu pięknemu widokowi dodawała jeszcze ozdoby osoba samego posła, który był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn swojego wieku i dzielnie trzymał się na koniu.

Nietylko Rzymianie, ale i cudzoziemcy wyznawali, iż nigdy nie widzieli tak wspaniałego wjazdu. Upamiętniono go też malowidłami i sztychami, a między innymi znany rytownik włoski, Stefan della Bella, wykonał wjazd ten na sześciu półarkuszach, jeden pas składających.

Wojciech Grochowski.

8. Wzięcie Koldyngi w Danii przez Stefana Czarnieckiego.

(z pamiętników Paska).

Tymczasem powraca trębacz od Szwedów, częstując nas ich słowami: Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazyja kawalerska każe; my także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tak tym bardziej i tu się nie boimy. Zaraz potem zaczęli strzelać, bo nas lekceważyli, widząc, że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden pułk. Na konnych mówili oni, że to ludzie do szturmów niezdatni i pójdą w rozsypkę, jak raz ognia dadzą. Już każdy z pachołków, jak nakazano, trzyma snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach, niektórzy tylko z bronią palną. Wtém przyjeżdża wojewoda Czarniecki i mówi: „niech was Bóg ma w swojej opiece i imię jego święte. Ruszajcież, a jak przez fosę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić.“ Skorośmy tedy do fosy przybiegli, okrutnie parzyły owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fosę: jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił i wyrównali ową fosę tak, że już daleko lepiej było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżli nam, cośmy szli w przodzie z półku królewskiego; bo źle było z owymi snopami drapać się do góry po śniegu na wał. Kto jednak swój wyniosł, pomagało, bo znajdował w nim kule, co i do połowy nie przewierciła. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecały kule, jaki taki stęknie i o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pachołkami, że przy wielkim filarze, albo raczej narożniku było jakieś okno, w którym srodze gruba żelazna krata. Zaraz tedy przed ową kratą

kazałem rąbać siekierami: ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiem piętrze nad nami także takie okno, z taką kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo nie mogli wysadzić się zewnątrz dla owiej kraty. Jam też kazał do góry nagotować 15 bandoletów, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcej rąk pokazywać i tylko kamienie wypychali na nas przez ową kratę, czego się już snadniej przecie było można uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią, tak rąbią, a kiedy już końce owiej kraty widać było, radziśmy by co prędzej wniknąć pod dach; ale że nie było czem owiej kraty wyważyć, musieli jeszcze dalej rąbać. Skoro mógł się człowiek zmieścić, aż ja każę czeladzi wlażyć po jednym. Wolski, jakto chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: ja wleżę. Tylko wlażł, a Szwed go za nogi; tam go do siebie zapraszają, my go tu nazad wydzieramy; ledwośmy chłop nie rozdarli. Woła na nas: „dla Boga już mnie puście, bo mię rozerwiecie.“ Krzyknę ja na swoich: dajcie w okno ognia. Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego; dopierośmy po jednym owem oknem leżli. Już nas tam było z półtora. Wychodzimy szczęśliwie ze sklepu i stawamy szeregiem w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcej ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas Szwedzi, dopiero zaczęli trąbić i chorągwią białą wywijać. Ale ja z kupy naszym rozchodzić się nie dałem, aż dopóki nie obaczę powszechnego zamieszania w wojsku nieprzyjacielskiem. Aż tu widać po schodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że pędzą na dół muszkietierowie. Mówię do swych towarzyszy: a otóż ich mamy. Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężcem, bo nie tak razi szeregiem, jak w kupie; i rozkazaliśmy po daniu pierwszego ognia, zaraz wziąć na szable. Skoczmy tedy na tych, co nam w czoło dali ognia; z obu stron kilku padło i rażno wzięliśmy ich na szable; zwróciło się kilku na schody, skąd przyszli; drugich zaraz lewem skrzydłem przerznięto od schodów i nuż ich sieć; położyliśmy ich siłą pomostem. Dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę na rabunek po pokojach; po kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną i zdobycz wynoszą. A wtém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię: daj sam, zetnę go. On prosi, niech go pierwój rozbiore, bo

Wypisy polskie.

suknie na nim piękne pokrywają się. Rozbiera go tedy. Wtém przyszedł Adamowski towarzysz i mówi: panie bracie, gruby ma kark na Waszmości młodą rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tym czasem wpadli nasi do sklepu, w którym były prochy w beczkach. Pobrawszy inne rzeczy, biorą téż i prochy w czapki, w chustki, kto co ma. Wtém dragon zdrajca przyszedł z lontem zapalonym i bierze téż proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmocny! kiedy to huknie, zrobiła się straszna ruina. A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na której wierzchu nie było dachu. Tam tedy komendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli i stamtąd o darowanie życia, lubo nie rychło, prosili. Właśnie pod tą wieżą zapaliły się owe prochy i wysadziwszy wszystkie piętra, wyniosły ich do góry, tak, że ich widać nie było przed dymem pod obłokami, dopiero gdy nazad powracali, spadając w morze. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, ale ich tam nie wpuszczono. Po owém szczęśliwem zwycięstwie, zrobiwszy tę robotę, prawie we trzech godzinach, wojewoda osadził na téj fortecy kapitana Wąsowicza z ludźmi.

9. Słoń Pirrusa.

Kajusz Fabrycyusz, wódz rzymski, wysłany był jako poseł do Pirrusa, aby się umówić względem wykupienia brańców. Dowiedziawszy się, że Fabrycyusz był ubogi, Pirrus dla przeciągnięcia go na swoją stronę, ofiarował mu wielką sumę pieniędzy. Lecz Fabrycyusz przyjąć jej nie chciał. Potém Pirrus chciał doświadczyć jego odwagi: kazał okryć kobiercem największego słońa, i kiedy rozmawiał z rzymskim posłem, na dany znak, kobierzec nagle zdjęto, słoń ukazał się oczom Rzymianina i z przeraźliwym rykiem podniósł nad jego głowę straszną trąbę. Fabrycyusz nigdy nie widział słońa; lecz niezmiuszony, zwróciwszy się do Pirrusa, powiedział z uśmiechem: „Twoje złoto nie skusiło mnie wczoraj, twój potwór nie zastraszy mnie dzisiaj.“

10. Życie Ezopa.

Ezop Frygijszyk urodził się niewolnikiem, a co gorsza nadzwyczajnie od natury upośledzony, był najbrzydszym z lu-

dzi: miał głowę śpiczastą, nos płaski, szyję krótką i grubą, usta wielkie, cerę czarną i wynędzniałą. Z przodu brzuch duży, z tyłu garb ogromny. Mimo tak potwornej postaci ciała, miał Ezop dowcip bystry, pojęcie szybkie i przenikliwe, przytomność umysłu wielką i w najtrudniejszych okolicznościach poradzić sobie umiał.

Pierwszy pan Ezopa, chcąc się pozbyć takiego brzydala, sprzedał go za trzy szelągi pewnemu kupcowi, który zapłaciwszy tę fraszkę, rzekł: nic nie wydałem, nic téż nie kupiłem. W kilka dni potém, nowy pan Ezopa kazał swym niewolnikom gotować się w daleką podróż. Ułożyli więc paki i podzielili się ciężarami, które dźwigać mieli. Ezop prosił, aby mu jako nowo przybyłemu i prócz tego mniej zdatnemu do dźwigania, najlżejszy dali ciężar. Odpowiedzieli uprzejmie: całkiem cię od téj usługi uwalniamy. On na to: nie byłoby to słusznie, gdybym się od pracy wyłączał. Pozwolili mu przeto wybrać sobie pakę podług upodobania. Obejrawszy wszystkie, Ezop wziął kosz z chlebem, który dwóch niewolników nieść miało. Wszyscy zaczęli się śmiać z niego, mówiąc: co to za głupiec! prosił o najlżejszą pakę, a wybrał najcięższą. Włożyli mu więc na plecy kosz ogromny, i naśmiali się z jego głupoty. Gdy Ezop ugiął się pod niezmiernym ciężarem, kupiec pochwalił jego gorliwość i pracowitość. Skoro przyszedł na popas, Ezop odebrał rozkaz podzielić chleb między swych towarzyszków. Co gdy uczynił, kosz jego do połowy się wypróżnił. Na wieczór znowu rozdano chleb między niewolników, a Ezop mając nazajutrz kosz prawie próżny, mógł daleko szybszym pośpieszać krokiem, niż jego towarzysze, którzy stękając pod ciężarem swych tłumoków, dopiero teraz poznali przemysł Ezopa w wyborze ładunku.

Ezop sprzedany powtórnie.

Kupiec przybywszy na miejsce przeznaczone, sprzedał korzystnie towary i swych niewolników, prócz trzech: Gramatyka, Muzyka i Ezopa. Z tymi, za radą swego przyjaciela, popłynął do wyspy Samos i ubranych przystojnie wystawił na sprzedaż, umieściwszy w środku Ezopa, okrytego worem, ponieważ go dla jego potworności inaczej ubrać nie mógł. Wszyscy przechodzący sztydził z Ezopa; lecz nie tracąc bynajmniej

fantazyi, śmiało każdemu w oczy patrzył. Filozof Xantus, mieszkający w Samos, przyszedł także na targ, a widząc tak pocieszną trójkę, dziwił się przemysłowi kupca, który tym sposobem chciał podnieść cenę dwóch innych niewolników. Xantus zbliżywszy się, pytał Muzyka, skąd był rodem? Z Kapadocyi, odpowiedział tamten. Co umiesz? pytał znowu Xantus. Wszystko rzekł Muzyk. Ta odpowiedź rozśmieszyła Ezopa. Obrócił się potem Xantus do drugiego niewolnika, czyniąc mu te same zapytania, a gdy i ten odpowiedział, że umie wszystko, Ezop znowu się rozśmiał. Ponieważ cena obydwóch niewolników zbyt była wysoka, filozof chciał się oddalić; ale uczniowie namawiali go, aby sobie kupił trzeciego niewolnika. Na co on rzeknie: moja żona zbyt lubi wytworność, aby mogła znieść usługę takiej maskary. To nie racyja, odrzekli, tyle ci zrobi co inny; a do tego nie należy zbyt ulegać żonie. Nim go kupimy, rzekł filozof, zobaczmy, co też umie, abyśmy darmo nie wyrzucili pieniędzy. Przystąpiwszy więc do Ezopa, powtórzył powyższe pytanie: co umiesz?—Nie. Jakto?—Tamci, rzekł Ezop, wskazując na swych towarzyszy, powiedzieli, że wszystko umięją, mnie więc nie nie zostawili. Zdziwieni uczniowie: zaiste, rzekli, człowiek ten okazuje wiele dowcipu, nie ma bowiem nikogo, coby umiał wszystko.—Chceszli, abym cię kupił? pytał się dalej Xantus. W tej mierze rada moja nie potrzebna; jeżeli mnie chcesz kupić, otwórz worek, a stanie się; nie chcesz, przestań sobie żartować.—Ale, bo jeżeli cię kupię, dodał Xantus, to może zechcesz uciec? Ezop śmiejąc się, rzekł: gdybym to chciał uczynić, nie potrzebowałbym twojej rady, tak, jak ty teraz mojej do kupienia nie potrzebujesz. To prawda, odpowiedział filozof, ale jesteś tak brzydki! — Mędrzec powinien na duszę uważać, nie na ciało. Kupiony za sześćdziesiąt srebrników, przyprowadzony został do domu Xantusa, pomimo oporu żony, która takiego potwora u siebie cierpieć nie chciała.

Ezop w domu filozofa płata różne figle.

Nazajutrz wziął Xantus z sobą Ezopa do ogrodu dla kupienia jarzyn. Gdy Ezop włożył wiązkę pietruszki do koszyka, ogrodnik zamiast zapłaty prosił filozofa o rozwiązanie na-

stepującego pytania. Chciałbym wiedzieć, rzekł, dla czego ziola i jarzyny, które choduję, nie są tak bujne i rychłe, jak te, które samo przyrodzenie wydaje? Xantus dał mu ogólną odpowiedź: że taka znać wola Bogów. Ezop uśmiechnął się na taką odpowiedź swego pana. Czy się ze mnie śmiesz? zapytał go Xantus. Nie z ciebie panie, odpowiedział; ale z tego, co cię uczył. Pozwól mi proszę, odpowiedzieć ogrodnikowi, a może będzie kontent. Xantus obracając się do ogrodnika, rzekł: nie jest moją rzeczą wchodzić w takie drobnostki; ale ten oto człowiek wam za mnie odpowie. Na to Ezop: wszakże wiesz, że macocha wcale inaczej obchodzi się z pasierbami, niż z własnymi dziećmi, które z większą daleko troskliwością pielęgnuje. Owoż ziemia jest matką tego, co sama wydaje, a tylko niejako macochą tego, co w nią zaszczeplasz.—Bardzo ci jestem wdzięczny za tę odpowiedź, rzecze ogrodnik; proszę, weź tyle jarzyny, ile ci się podoba.

W kilka dni potem jeden z uczniów Xantusa dawał ucztę dla swego nauczyciela i towarzyszy. Xantus wybrał co tylko było najlepszego na stole i dał Ezopowi, mówiąc: zanieś to mojej ukochanej! Ezop pomyślał sobie: oto jest wyborna pora pomszczenia się na mojej pani za jej drwinki i dowiedzenia się, czy prawdziwie męża kocha. Gdy przyszedł do domu, rzekł w obecności pani: oto pan przysłał te przysmaczki swęj ukochanej. Zawołał potem suczki faworytki pańskiej, i dając jej po kawałku, powtarzał: jedzno kochanko, pan ci to przeze mnie przysłał. Xantus podochocony z uczyty powróciwszy, chciał się z żoną powitać: lecz ta rozgniewana rzekła: idź sobie precz obłudniku, do twojej suczki, o której lepiej niż o mnie pamiętasz; i oddaj mi natychmiast mój posag, a ja z domu twego w ten moment ustąpię. Xantus domyślając się, że mu Ezop zapewne jaki wypłatał figiel, zapytał go się groźnie: komu oddałeś przysmaczki?—Pan kazałeś je zanieść swojej ukochanej, a ponieważ mi wiadomo, jak dalece pan kochasz swą ulubioną suczkę, która, powiedziawszy prawdę, warta jest tego, bo nigdy pana nie gryzie, nie zrędzi, nie grozi opuszczeniem domu, nawet bita pana nie porzuca; byłem więc pewien, że to dla niej te łakotki były przeznaczone. Xantus obracając się do żony, widzisz, rzekł, że nie moja w tym wina; ale uspokój się, moja luba, znajdę ja sposobność ukarania tego psotnika. Pomimo tego jednak żona zgniewana na męża, opuściła dom i poszła do

swoich rodziców. Wtenczas Ezop rzekł do pana; nie mówił-
 żem ja, że suczka bardziej cię kocha?

Przez kilka dni Xantus nie mógł przebłagać żony i wy-
 prawił do niej krewnych; ale i ci nie zdołali na nią wymóżyć
 zapomnienia urazy, co go bardzo martwiło. Niech się pan nie
 frasuje, rzekł do niego Ezop, jeżeli tylko o to idzie, żeby pani
 powróciła do domu, to ja ją jutro sprowadzę. Wziąwszy tedy
 pieniędzy, poszedł na rynek i nakupiwszy rozmaitej żywności,
 powracając, pokazywał ją wszędzie, a zwłaszcza w bliskości
 domu swjej pani. Co więcj: spotkawszy przypadkiem jednego
 z niewolników tego domu, pytał go, czyby nie miał co do
 sprzedania na wielką ucztę weselną. — Czyjeż to ma być wese-
 le? A jużci nie moje, tylko mego pana Xantusa, który się ju-
 tro żeni. Ów niewolnik pobiegł natychmiast do żony filozofa,
 opowiedział jej wszystko; a ta czemp prędzej powróciła do domu,
 wyrzucając mężowi, że mu nie wolno pojmować inniej żony, do-
 póki ona żyje. Po niejakiem czasie Xantus chciał dać nawzajem
 ucztę dla swych uczniów. Idź, rzekł do Ezopa, kup, co tylko
 może być najlepszego. Ezop pomyślał sobie po drodze: nauczę
 ja mego pana wyraźniejsze dawać rozkazy. Kupił więc kilka
 ozorów, zgotował je dla gości i postawił przed każdym na ta-
 lérzu, ozór pieczony z sosem. Uczniowie byli kontenci z tego
 pierwszego dania, które zdawało się być alluzją do języka, ja-
 ko najgłówniejszego narzędzia do wyrażania naszych myśli.
 Na drugie danie zastawił Ezop ozory gotowane. Żądano in-
 nych potraw, on znowu dawał ozory. Jakto? zawołał nare-
 szcie znudzony Xantus, widząc nieukontentowanie swych gości,
 nic że to nie masz, prócz ozorów? — Nie, odpowiedział spokoj-
 nie Ezop. Jakże niegodziwcze, nie dałem ci rozkazu, abyś
 najlepszych rzeczy nakupił? — Bardzo ci panie dziękuję, że mi
 dajesz sposobność usprawiedliwienia się w przytomności tylu
 filozofów. Możesz być na świecie co lepszego jak język. Za
 pomocą języka uczymy się filozofii i wszystkich nauk. Za po-
 mocą języka dajemy i odbieramy, prosimy, dziękujemy, broni-
 my niewinności, karcimy zbrodnie. On kojarzy małżeństwa,
 buduje miasta, czuwa nad bezpieczeństwem człowieka i zacho-
 wuje mu życie. Możesz więc być co lepszego od języka?
 Wszyscy uczniowie uznali słusność mowy Ezopa, przypisali
 winę panu jego, nie bardzo kontenci z tak filozoficznego
 obiadu.

Xantus wymawiał się złośliwością sługi i przyrzekł naza-
 jutrz lepiej ich uraczyć. Zawoławszy w ich obecności Ezopa,
 rzekł do niego: jutro nagotujesz drugi obiad, ale kiedyś taki
 przewrotny, że najlepsze moje zamiary przekręcasz, kupże nam
 na ten obiad, co tylko znajdziesz najgorszego! Ezop nakupił
 znowu ozorów i dał na stół. Goście na pierwsze danie szemrać
 poczęli. Jakto mówili do siebie, zawszeż te przebrzydłe ozo-
 ry! Rozgniewany Xantus wpadł na Ezopa z wielką furią: cóż
 ty robisz, szkaradna poczwaro? Gdy ci kazałem kupić co naj-
 lepszego, kupiłeś ozorów; gdym ci znowu kazał kupić co naj-
 gorszego, ty nas znowu ozorami traktujesz? Mój panie, odpo-
 wie Ezop, a cóż może być gorszego, jak język. Co zburzyło
 tyle miast, zgładziło tyle ludzi, popełniło tyle kłamstw, złorze-
 czeń i niegodziwości. Język rozprzega małżeństwa, niszczy
 kraje, napełnia życie goryczą i trwogą, i do rozpacz przywo-
 dzi. Wtenczas jeden z uczniów rzekł do Xantusa: jeżeli nie
 będziesz miał się na baczności, ten złośliwy sługa z rozumu cię
 obierze, bo jego dusza jest tak krzywa, jak ciało. — Nie dobrze
 czynisz, odpowiedział Ezop, że się mieszasz do spraw, które do
 ciebie wcale nie należą.

Rozgniewany Xantus na swego niewolnika, chcąc konie-
 cznie znaleźć przyczynę, aby go ukarać, rzekł: kiedy cię to
 dziwi, że się inni miesza ją w twoje sprawy, przyprowadźże mi
 takiego człowieka, coby na wszystko był obojętny. Ezop po-
 szedł nazajutrz na rynek, a upatrzawszy, jakiego potrzebował,
 zaprosił go imieniem swego pana na obiad. Prostak ten nie-
 zważając na to, kto go zaprasza i do kogo, poszedł do domu
 Xantusa i usiadł do stołu, mając nogi w błocie zavalane. Xan-
 tus pytał się, coby to był za człowiek? Ezop odpowiedział:
 jestto mizerak, co się do cudzych spraw bynajmniej nie miesza.
 Xantus rzekł cicho do żony: czyn wszystko, co ci powiem, a tą
 razą znajdę okazję ukarać Ezopa. Moja żono, rzekł głośno
 Xantus, naléj wody w miednicę i umyj nogi naszemu gościowi;
 był bowiem pewny, że ten człowiek acz prosty, nie pozwoli ni-
 gdy uczynić sobie téj przysługi. Gość widząc te przygotowa-
 nia, wystawił nogi bez najmniejszej ceremonii. Podczas obia-
 du dano potrawę, która mu bardzo smakowała, przysunął więc
 półmisek do siebie i zjadał w najlepsze. Gospodarz zawołał
 kucharza, a zgromiwszy go za złe przyrządzenie téj potrawy,
 kazał mu grzbiet do smagania obnażyć. Gość, pomyślał sobie,

że gospodarz albo był szalony, albo okrutny; postanowił więc milczeć, gdyż to do niego nie należało. Gdy dano ciasto na wety, gość zaczął je zajadać, jak chleb zwyczajny. To zniecierpliwiło do reszty filozofa, który kazawszy przywołać pasztetnika, złażał go, że nie włożył w placek więcej miodu. Panie, odpowie pasztetnik, jeżeli to ciasto jest źle upieczone, pozwalam, abym był bity; lecz jeżeli w nim mało miodu, to już nie moja, ale pani wina. Kiedy moja żona temu winna, rzekł niby z gniewem Xantus, to ją każę żywcem spalić. Dał znak żonie, aby była posłuszną. Ułożono wielki stos drew, podłożono ogień i udawano, że ją w płomień chcą wrzucić. Xantus pilnie uważał, czy to gościa jego nie obejdzie; ale ten z najspokojniejszą miną pomyślał sobie: co mi do tego, że ten szaleniec ma ochotę puścić z dymem swoją żonę; niech sobie robi, co chce. Potem namyśliwszy się, rzekł do Xantusa: proszę cię, zatrzymaj się trochę, przyprowadzę ci i moją żonę, to ją za jednym zachodem spalisz razem z twoją. Natenczas Xantus obracając się do Ezopa, rzekł: widzę, że się znasz na ludziach, i przebaczam ci twoje figle.

Inną razą Xantus kazał mu pójść do łaźni i zobaczyć, czy nie ma wielkiego natłoku do kąpieli. Ezop spotkał w drodze pewnego urzędnika, który go znając, zapytał, dokąd idzie?— Nie wiem, odpowiedział Ezop. Urzędnik rozumiejąc, że sobie Ezop z niego żartuje, kazał go do więzienia zaprowadzić. Gdy go brano, zaczął wołać: Mości sędzio dobrodzieju! nie do brzem mówił, iż nie wiem, dokąd idę? zaiste nie wiedziałem wcale, że się mam przejść do więzienia. Urzędnik za tę dowcipną odpowiedź, kazał uwolnić Ezopa. Ten poszedł teraz prosto do łaźni, a zastawszy w niej tłum wielki, przypatrywał mu się pilnie. Widział przy drzwiach kamień, o który wszyscy przechodzący trącali. Jeden tylko wziął go i na bok odrzucił. Ezop powróciwszy do domu, rzekł: że tylko jednego człowieka widział w łaźni. Xantus pośpieszył do kąpieli, a zastawszy tłum taki, zapytał się Ezopa, dla czego mu oznajmił, że tylko jeden człowiek był w łaźni. Widzisz, rzekł, ten kamień, co leży na boku; wszyscy wchodzący uderzali oń nogą, a tylko jeden na stronę go odrzucił, ten przeto sam jeden godzien imienia człowieka.

Dnia jednego podczas uczty, gdy podochoceni goście zaczęli sobie czynić rozmaite pytania; jeden z uczniów rzekł do

Xantusa doskonale podchmielonego: mistrzu, jestli kto taki, coby całe morze wypić zdołał?—O ja sam to potrafię, rzekł Xantus.—A jeśli tego nie dokażesz, to co? To mój dom w zakład stawiam. Na potwierdzenie tego zakładu, zamienili pierścienie. Nazajutrz Xantus umywając się, postrzegł, że ma cudzy pierścienek na palcu, pytał się więc Ezopa, coby to znać było.—Fraszka odpowiedział Ezop, uczyniłeś pan zakład, że wypijesz morze, lub dom stracisz. Jakże ja tego dokażę? Ale mój Ezopciu, ruszono konceptem i wybaw mnie z tego kłopotu. — Niepodobna wprawdzie dokazać, odpowiedział Ezop, abys pan dotrzymał słowa; ale przynajmniej wywinę cię z zakładu. Gdy na brzegu morskim ujrzyś lud zgromadzony na to widowisko, każ sobie służącym podać w szklance wody morskiej, a potem zapytaj się głośno, jaki był twój zakład. Odpowiedzą: wypić wodę morską. Wtenczas obrócisz się do ludu i rzeczesz: wiadomo wam, że rzeki wpadają w morze; jam się tylko zobowiązał morską wodę wypić, a nie rzeczną, która z tyłu rzek do niego wpływa; niechże mój uczeń zatamuje wprzód wszystkie rzeki, to ja moją wodę wypiję. Gdy się tak stało, mieszkańcy Samos dziwili się bystrości dowcipu swego wielkiego filozofa, a studencik padł plackiem do nóg, aby go spuścił z zakładu.

Ezop wyzwolony.

Pod ten czas wydarzyła się w Samos rzecz osobliwsza. Gdy sprawowano ofiary, orzeł spuściwszy się na ołtarz, porwał pierścien i rzucił go na łono niewolnika. Zdziwieni mieszkańcy, udali się do mądrego Xantusa, z zapytaniem, coby ten cud znać był. Ale nasz zawołany filozof, który, jak wiemy, takimi fraszkami zatrudniać się nie lubił, wręcz im oświadczył, że jego mądrość do takich drobiazgów się nie zniża; lecz że ma niewolnika, który im w tej małej rzeczy usłuży. Skoro się Ezop na zgromadzeniu pokazał, zaczął lud z niego szydzić. Otrzymawszy przecie głos, tak mówił: mieszkańcy Samos! dla czegoż się ze mnie urągacie. Czy uważacie na postać butelki, kiedy ta dobry napój w sobie mieści? Lud słysząc go tak rozsądnie mówiącego, wezwał do udzielenia sobie rady. Mieszkańcy Samos, rzekł, wiadomo wam, że ile razy jest spór jaki między panem a sługą, jeżeli ostatni przegrywa, wtenczas kije bywają

jego nagrodą, ale równie czekają go kije, choć pana swego przekona. Jeżeli mi więc pozwolicie mówić, jako wolnemu, wtenczas dopiero uspokoje waszą trwogę. Lud nalegał na Xantusa, żeby Ezopa dla dobra miasta uwolnił. Xantus rad nie rad, musiał nakoniec uleść powszechnemu żądaniu, a kotły i trąby ogłosiły natychmiast po mieście: wielki filozof Xantus uwolnił Ezopa. Wolny już Ezop, a tém samém jeszcze raz mędrszy, rzekł do ludu: że orzeł król ptaków porwał pierścień i spuścił go na łożo niewolnika, to oznacza, że król pewien myśli was ujarzmić. Jakoż wistocie Krezus, król Lidyi zażądał od nich, aby mu płacili haracz, w przeciwnym zaś razie zagrażał wojną. Zgromadzili się przeto mieszkańcy, żeby się naradzić, i jak się łatwo domyślić można, Ezopa, pominawszy Xantusa, do rady zaprosili. Wezwany Ezop aby mówił, rzekł: moi panowie, jeżeli wasza prześwietna starszyzna uzna za słuszną rzecz płacić raczej haracz, niż się bić; tedy ja nie mam co powiedzieć, prócz bajeczki stosownej może do rzeczy: Fortuna otwiera nam w życiu dwie drogi zupełnie od siebie różne: jedna prowadzi do wolności, a ta jest nader przykra i ciernista; lecz powrót z niej jest wygodny i łatwy; druga wiodąca do niewoli, jest przestronna i otwarta, ale rejterada z niej za katy ciasna. Na te słowa wolnością tchnący mieszkańcy odesłali posłów króla Imci Lidyjskiego bez odpowiedzi. Krezus chciał natychmiast ukarać takie zachowanie; ale mu posłowie doradzili ten niewinny dyplomatyczny fortetek, aby wprzód Ezopa, który mądrymi radami lud oświeca, choć na krótki czas do siebie zwabił. Wyprawił więc Krezus posła, prosząc jak najuprzejmiej o Ezopa dla własnej zabawy, zrzekając się przez wdzięczność wszelkich do nich pretensyj. Lud ucieszony z tak szczęśliwego obrotu rzeczy, chętnie przystał na wydanie; ale Ezop tak mówił: wielki to dla mnie honor, że będę mógł upaść do nóżek Jego królewskiej Mości; lecz nim się z wami rozstanę, powiem wam bajeczkę: Wtenczas, kiedy to jeszcze zwierzęta gadały, wilk wydał wojnę owcom. Te miały na czele psa, co się żwawo za nie zastawiał. Widząc tedy wilk, że z psem ciężka sprawa, wyprawił do baranów uroczyste poselstwo, oświadczając im wieczną przyjaźń i pokój, byleby mu tylko dla ciekawości raczyły przysłać owego pieska. Barany arcymądre, sądząc się być w zupełnym bezpieczeństwie, postanowiły wyświadczyć tę grzeczność wspaniałomyślnemu sąsiadowi. Ale ledwo pies pokazał się na

dworze wilka, posłano go na przechadzkę, a potem mądre barany łatwo wyduszono. Mieszkańcy Samos zrozumieli dobrze znaczenie tej bajki, chcieli przeto zatrzymać Ezopa; ale on wolał popłynąć z posłem króla Lidyjskiego. Około tego czasu miał Ezop pisać swoje bajki, których pięknoscią ujęty Krezus, wyznaczył go posłem do mieszkańców Samos z oznajmieniem, że na wstawienie się Ezopa, ofiaruje im pokój i przymierze. Ci ucieszeni niezmiernie, okryli go oznakami poważania i wdzięczności, ofiarowali mu wieniec i wyprawili na cześć jego igrzyska. Wyjechał potem z Samos i zwiedził różne kraje, szukając filozofów, aby mógł z nimi dysputować. Gdy był w Egipcie, zaproszony został z innymi krajowymi mędrkami na ucztę do króla Nektaneba. Jeden z mędrków zajrzawszy już kilkakrotnie do kielicha, odezwał się do Ezopa: cudzoziemcze! bogowie moi przysłali mnie tutaj, abym ci zadał pytanie. Mylisz się, Mości filozofie, przerwał mu Ezop; bo Bóg wie wszystko i nie potrzebuje się o nic pytać ludzi, przeto twoja mowa nie czyni mu zaszczytu. Inny mędrzec rzekł: u nas w domu jest taki kościół, że w nim stoi kolumna, a w tej kolumnie miast dwaście, a każde z tych dwunastu miast, oparte jest na trzydziestu słupach, a te słupy okrążają mężczyzna i kobieta. To nie jest tak trudne pytanie, jak się wam zdaje, odpowie Ezop, u nas lada dziecko potrafiłoby na nie odpowiedzieć. Ten kościół jestto świat, kolumna rok, miasta są miesiące, słupy są dni, a mężczyzna z kobietą: dzień i noc.

Powróciwszy z Egiptu, wybrał się w podróż do Grecy, i wszystkich bystrością dowcipu, trafnością rozsądku zadziwił. Mieszkańcy Delfów uniesieni zazdrością i zemstą, że sobie pozwolił szydzić z ich głupiej zarozumiałości, uczyniwszy podstępnie wtrącili go do więzienia. Lubo Ezop trafnie im w rozmaitych podobieństwach swoją niewinność i ich nierozsądne okrucieństwo okazywał, nic to jednak nie pomogło; gdyż oni bojąc się, aby wypuszczony, jeszcze bardziej ich nie osławił w obliczu całej Grecyi, strącili go w przepaść z wysokości skały. Czyn ten haniebnym zasłużoną na zabójców ściągnął karę.

VIII. Przysłowia.

I. O przysłowia.

Każdy prawie dom, każda liczniejsza rodzina, osoby długo razem żyjące, mają zwykle między sobą pewne wybrane, ulubione, przyjęte z rozmaitego powodu wyrazy, wysłowienia i obrotu mowy, które dla obcych, dla ludzi innego towarzystwa, innego miejsca, nie mają już takiego znaczenia, nie czynią na nich tego samego wrażenia; wynikły bowiem z tożsamości codziennego pożycia, ze wspólności uczuć, myśli, zdarzeń, postrzeżeń właściwych tylko owemu domowi, owiej rodzinie, owemu towarzystwu. Toż samo, tylko na rozleglejszą skalę, dzieje się w mowie całego ludu. Duch każdego języka, jego że tak rzekę, serce zawiera się mianowicie w wyrażeniach przysłowiowych, familiarnych, poufale: w nich wyciska się i maluje piętno charakteru narodu, wychodzą na wierzch jego uczucia, jego myśli własne, i przegląda się cała jego domowość, cała rodzimowość. Im który język ma tych wyrażen więcej, im je ma wybitniejsze, i sobie tylko właściwe, tym głębszą i trwalszą nosi na sobie cechę narodowości i tym dla ludu, który nim mówi, powinien być droższy. Lud polski rolniczy, żyjący więcej niż inne życiem domowym, familijnym, ma w swojej mowie takich wyrazów mnóstwo nieprzebrane; tu się odbija cała przeszłość; tu jest rdzeń myśli narodowej; tu mieści bogactwo, dzielność i okrasa językowa. Powyjmować te wyrażenia z jakiego języka, jest to, że tak powiem, wyparować z niego żyły, wykruszyć jego siłę żywotną. U nas wszelako zaciera się one coraz bardziej. Można już do jakiego salonowca mówić takimi wyrażeniami, ciągle przez kilkanaście minut, a patrzyłby na mówiącego jak na raroga, słuchałby, jak o żelaznym wilku, jak o niestworzonych andronach, rodak rodaka nic a nic nie rozumiejąc, albo ledwie piąte przez dziesiąte. Umiemy i chętnie powtarzamy przysłowia francuskie, ale znać polskie i używać ich, broń Boże! byłby to znak złego tonu, złego wychowania. To też dobrze przysłuchajmy się teraźniejszym rozmowom; mowa nasza jedrna, dosadna, wystawna, pełna ozdoby, okazałości i blasku, jest tam jakaś wyschła, wątła, niekzemna, nie swoja, aż serce boli. Ta-

keśmy francuzczyzną przesiałki, iż doprawdy gadamy po polsku, jakby gadał Francuz oddawna w Polsce osiadły, który jednak w toku i zwrotach mowy, ciągle zatracą swoją rodowitą.

2. Przysłowia narodowe,

to jest samemu tylko ludowi polskiemu właściwe.

„*Albo pij, albo się bij.*“ Dla zrozumienia tego pijackiego przysłowia, służy dawniej sarmackiej gościnności przymus spełniania roztruchanów, smoczków, puharów, często aż do stracenia zmysłów.

Ach jakto pili dawniej, to aż wspomnieć miło.
Pomiernego kieliszka wcale tam nie było;
Kwarta najmniej, od razu garniec pospolicie;
A ktoby tam pić nie chciał, niebezpieczne życie:
„Pij, albo się bij ze mną,“ a kiedy nie chciałeś,
Brat szlachcic do pałasza, zaraz się rąbałeś.

Piwnice dawnych Polaków dostarczały obficie wina rozmaitych gatunków, ogromne beczki srebrne stały w jadalnych komnatkach, były z win kosztownych fontanny w górę, a puhary garncowe, które dziś oglądamy, jako zabytki osobliwości, ugięły kosztownie i ze zbytkiem zastawione długie stoły. Zwyczaj przymuszania do spełnienia zdrowia, już duszkiem ogromnego roztruchana, już picia z damskich trzewików, najwięcej za Augusta II był zagęszczony; skąd drugie urosło przysłowie: Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa. Dla tego też Krasicki pisze:

Każdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August Sas Polskę do reszty rozpoił.

Za panowania Stanisława Poniatowskiego, postrzegli się w błędzie Polacy, i z tej i wielu innych szkodliwych przywar otrząsnąć się zdołali. Stąd Krasicki rzuca przekleństwo ironiczne na króla:

O ty na polskim co osiadłszy tronie,
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina,
Cierpisz pijaństwo, że w ostatnim zgonie,
Z ciebie gust książek, a piwnic ruina;
Tyś naród z kuflów, szklaniec, beczek złupił,
Bodajes w życiu, nigdy się nie upił

Bezpieczny jak za taborem. Mieli dawni Polacy osobliwy sposób obwarowania obozów. Spinano wozy łańcuchami w czworogran: w przedziałach i rogach ustawiano armaty i tak pod strażą téj ruchomój twierdzy, postępowało nieraz rycerstwo, otoczone zewsząd od nieprzyjaciół, dzielny im stawiając odpór, i częstokroć szczęśliwie uchodząc z niebezpieczeństwa. Pod zasłoną takiéj warowni ustępował Stan. Żółkiewski, hetman W. K. z Wołoszczyzny przez bagna, pagórki, doliny, trzydzieści mil ciągiem, ośm dni, broniąc się z niewypowiedzianém mężstwem rojom Turków i Tatarów. Już blizki był swego celu, już stanął na godzinę tylko drogi od Dniestru; lecz niektórych niedbałość, a niekarność ciurów obozowych, zaprędko opuszczających obóz i śpieszących na drugą stronę, o srogą klęskę i śmierć go przyprowadziła. Wpadają w rozerwany tabor ośmielone barbarzyńców tłumy. Pozostałe towarzystwo pozbawione koni, potykając się piechotą, raz jeszcze mężny stawia odpór, lecz wkrótce pod przemocą upada. Żółkiewski, widząc już całą rzecz straconą, że umrzeć potrzeba, ścisnął syna za rękę, a wzięwszy rozgrzeszenie od ks. Szymona Karmelity, spowiednika swego, z szablą w ręku na tłumy rzuca się nieprzyjaciół, wyrzekłszy te pamiętne słowa: „Rzeczpospolita powierzyła mi to wojsko, jeżeli go nie zachowam, zginę z niem razem.“ Wtém jeden z rotmistrzów podaje mu konia i zaklina, by się ratował. Obruszony hetman myślą ocalenia siebie wtenczas, gdy wszystko ginęło, uderzył konia ostrzem żelaza; lecz cios wiekiem osłabionéj dłoni, raz tylko lekki zadaje; wkrótce mając koło siebie syna i synowca, gdy bój nierówny zwodzi, najprzód utracą rękę, potem niepoznany wśród nocy pod tysiącami trupów upada. Pierwszy Koniecpolski postrzegł zgon sędziwego wodza, a żalem zdjęty, kogo tylko w ciemności mógł rozeznać z starszyny, wołał: „Opuszczeni od niecných, osieroceni po dzielnym hetmanie, idźcie waleczni! pomścić się klęski jego lub śmierci nie przeżyć.“ Słowa te ożywiły pozostałych jeszcze, z orężem w ręku przebijają się przez hufce Turków, lecz wkrótce napadają na nowe, biją się otoczeni zewsząd, znużeni przeciwko świeżo przybyłym w szczupłej liczbie naprzeciwko tłumom: wielu okrytych ranami pada, inni zabrani w niewolę. Skoro dzień rozjaśniał, zebrali się Turcy dla zbierania zdobyczy i chowania pobitych naszych i swoich. Wśród stosu trupów znaleziono Żółkiewskiego. Poznano męża po białej siwiznie, po téj szlache-

tnéj i śmiałéj twarzy, co zdała się grozić i po śmierci nieprzyjacielowi. Przyniesiono uciętą głowę do Skinder-Baszy. Mówią, że wódz ten długo w nią wlepione trzymał oczy, czyli to karmiąc mściwą pychę widokiem tak znakomitego nieprzyjaciela, czyli z zadumania nad niestałością rzeczy ludzkich.

Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie. Wiadomo z dziejów, że w Polsce nie było feudalnych stosunków. Nie było więc między szlachtą innéj różnicy nad tę, którą i teraz talenta lub majątek nadają. Najuboższy szlachcic używał tych samych swobód, co najznakomitszy koła rycerskiego magnat. Każdy miał prawo głosowania na elekcyi królów i mógł mieć nawet nadzieję otrzymania berła, jak się niekiedy tego wydarzały przykłady. Ta równość w należeniu do elekcyi nie tylko króla, ale posłów sejmowych, deputatów na trybunały i t. d. zmuszała najznakomitszych panów do skarbienia sobie łaski „drobnéj czyli zagonowéj“ jak nazywano, szlachty. Z téjto przyczyny nie inaczej jak tylko „Panie bracie!“ chociaż senator, wojewoda lub kasztelan, przemawiał do orzącego pługiem szlachcica. Stąd i znaczenie i wziętość w narodzie zależała od tego, im kto więcej miał przyjaciół między szlachtą. Okazywały to dowodnie sejmiki i zjazdy elekcyjne, gdzie tysiąc szabel było w pogotowiu na skinienie jednego pana, który umiał sobie hojnością i popularnością zjednać przywiązanie szlachty. Sławne „nie pozwalam“ (liberum veto) jednego posła tak było w poważaniu, że mogło przerwać obrady sejmowe.

Po śmierci Zygmunta III., gdy Władysław IV, jednogłośnie na tron ojcowski przywołany został, jeden ze szlachty nie chciał dać pozwolenia. Cały zatem zjazd prawie prosił go usilnie, aby sam tylko jeden nie chciał się sprzeciwiać. Natenczas ów szlachcic rzekł: Gdy mnie panowie bracia prosicie, chętnie zezwalam: chciałem się tylko przekonać, czy głos jednego wolnego szlachcica ma jeszcze znaczenie i powagę. Imię szlachcica polskiego uważano za najwyższy zaszczyt i wyżej ceniono, niż zagraniczne tytuły hrabiów, baronów, książąt, które jako równości polskiej szlachty niemiłe, dopiero później się rozmnożyły.

Dać komu wieniec grochowy Jest to odprawić z niczém. Dawniej bowiem był zwyczaj, iż zalotnikom, którzy wzajemności nie mieli od panien, dawano wieniec grochowy, lub do powo-

zu odjeżdżających przywiązywano wiązkę grochowin. Posłuchajmy w tym względzie piosnki pełnej prostoty:

Staś. Ludku moja, Ludku!	Ludka. Stasinku, Stasinku!
W zielonym ogródku,	Przy mojem okienku,
Jest róża miesięczna	Co rok w lubej wiosnie
I miła i wdzięczna;	Groch cukrowy rośnie;
Z téj róży w Sobotę	Z niego przed Sobotą
Wianek sobie splecę,	Siostry wianek splecą,
A w świętą niedzielę	I twą skroń młodzieńczą
Już nasze wesele!	Tym grochem uwieńczyą.

Dodać tu należy wiadomość, iż na dworach nawet najznakomitszych panów polskich było w zwyczaju, iż podobnym zalotnikom dawano przy stole czerninę z gęsi, która była odpowiednią odmowną, iż ani wzajemności dziewicy, ani przychylności rodziców spodziewać się nie może. Był i ten obyczaj, iż zalotnikom przy stołach podawano kapłonów do rozebrania na powietrzu. Zręczność stanowiła przyjęcie lub odrzucenie zalotnika. Lecz często się zdarzało, że kawaler luby pannie, lub rodzicom, dostawał niewidocznie już rozebranego kapłona, gdy inny męczył się długo i nie mógł dopełnić zwyczaju, dostawszy i nóż tępy i twardego zamiast kapłona, koguta.

3. Przysłowia polskie z Rysińskiego, Knapskiego i Fredry.

A biało? biało; a czarno? czarno. Młynarzu, są tu ryby? Są, łaskawy panie. Ej, podobno nie masz! Ha, skądżeby się wzięły. Ani do rady, ni do zwady.

Baranie nie mąć wody. Bardziej boli od języka, niż od miecza. Będzie dobrze jak złe minie. Bez ochoty nie spore roboty; bez prace nie będą kołace. Brzuch tłusty łeb ma pusty. Boli gardło śpiewać darmo. Bliższa koszula ciała a niżeli suknia. Bóg nie opuści, kto się nań spuści. Buczo, huczno, a w pięty zimno. Bojaźń pańska jest początkiem mądrości.

Chcącemu nic nie trudno; cudze ręce lekkie, ale nieużyteczne.—Co się prędko wzniesie, nie długo się świeci. Choć ubogo, ale chędogo. Chléb z solą z dobrą wolą. Cicha woda brzegi rwie; chodzi jak owieczka, a tryka jak baran. Chuda fara, sam ksiądz pleban dzwoni, cztery kąty i piec piąty. Co głowa, to rozum. Co ma wisić, nie utonie. Co się stało, od-

stać się nie może. Co tobie nie miło, tego drugiemu nie czyn. Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. Czego panowie narwarzą, tem się poddani poparzą. Czego się nowa skorupka napije, tem zawsze trąci. Czapka na złodzieju gore.

Darowanemu koniowi nie zaglądają w zęby. Dla ścieżki, gościńca nie opuszczaj. Dla przyjaciela nowego, nie opuszczaj starego. Dobry chléb, gdy nie ma kołacza. Do czasu dzban wodę nosi. Domowego złodzieja nikt się nie ustrzeże. Dla kompanii dał się cygan powiesić. Dziurawego woru nie napelnisz.

Gość i ryba trzeciego dnia cuchną. Gdzie cię radzi widzą, tam nie często bywaj; a gdzie nieradzi, tam nigdy. Głodnemu chléb na myśli. Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki. Gdzie nie możesz przeskoczyć, tam trzeba podleżeć. Głupi, kiedy milczy, za mądrego ujdzie. Honory zmieniają humory.

Ja o Pawle, a on o Gawle. Jak cię widzą, tak cię piszą. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz; jaka praca, taka płaca. Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzają. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Jaki krój, taki strój. Jaki pan, taki kram. Jakie drzewo, taki owoc. Im dalej w las, tym więcej drzew. Jednemu sztydla golą, drugiemu i brzytwy nie chcą. Jedna jaskółka nie przyniesie wiosny. Jestto cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Każdy początek trudny. Każda liszka swój ogon chwali. Każdy dudek ma swój czubek. Każdy kraj ma swój obyczaj. Kiedy przyjdiesz między wrony, musisz krakać jak i ony. Kiedy trwoga, to do Boga. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Kto się smoły tyka, zmaże się od niej. Kociół garncowi przymawia, a oba smolą. Karanie słuszne, lekarstwo duszne. Kogo Bóg chce skarać, temu wprzód rozum odejmie. Kruk krukowi oka nie wykole. Kto nie słucho, musi cierpieć. Kto cnotliwy, ten szczęśliwy. Kto sieje groch w Marcu, to go gotuje w garnku; a kto w Maju, ten w jaju. Kurowi dano grzędę, a on chce wyżąć. Kto doje, dopije, ten w rozum nie tyje. Kto się raz sparzy, ten dmucha i na zimną wodę. Kłamcy nikt nie wierzy.

Lepiej być dobrym chłopem, niżeli złym popem. Lepszy łót szczęścia, niż cetnar rozumu. Lepszy rydz, jak nic. Łasko o kij, kiedy kto chce psa uderzyć. — Łaska pańska na

pstrym koniu jeździ. Lepsza jest cnota w błocie, niż niecnota w złocie.

Mała iskierka największe pożary wszczyną. Ma się jak groch przy drodze, albo jak pączek w maśle. Mądrój głowie, dość dwa słowa. Mędrsze kurczęta, niż kokosz. Mądry Polak po szkodzie. Mówi, co mu ślina do gęby przyniesie. Między drzewi palca nie wtykaj. Mądry głupiemu ustąpi.

Na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Niedźwiedź w lesie, a ty skórę jego sprzedajesz. Nie trzeba głupich siać, sami się rodzą. Nie wszystko złoto co się świeci. Nie każdy kasa, co wąsami trząsa. Nie od razu Kraków zbudowano. Nie mów hop, aż przeskoczysz. Nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło. Nie taki djabeł straszny, jak go malują. Nie wywołuj wilka z lasu. Ni z pierza, ni z mięsa.

O wilku gada, a wilk w sieci. Oko pańskie konia tuczy. Obiecanka łganka, a głupiemu radość. Od złego dłużnika bierz i plewy. Oglądaj się na poślednie koła. Od łyczka do rzemyczka. Ostatnia wilkiem orać.

Po deszczu pogoda. Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki. Przez posły wilk nie utyje. Potrzeba jest matką przemyśłu. Plecie jak na mękach; trzy po trzy plecie. Po nici kłębka dojdiesz. Poszło mu po nosie; poszło mu w piętę. Prawda w oczy kole. Psie głosy nie idą w niebiosy. Postawy dosyć, ale wątku mało. Poznać z mowy, jakiej kto głowy.

Ręka rękę umywa, noga nogę wspiera.

Sen mara, Pan Bóg wiara. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Siedzę jak na szpilkach. Świnia kwiczy, a wór drze. Słówo wróblem wyleci, a powraca wołem. Sowa nie urodzi sokoła, ani sokół sowy.

Tłusty poleć smarować. Tonący brzytwy się chwyta. Trafiła kosa na kamień. Trafił, jak kulą w płot. Trafiło się, jak ślepój kurze ziarno. Trudno tego wodzić, co sam nie chce chodzić.

Ustawy jako pajęczyna, mucha uwięźnie, bąk ją przebiję. Umie za panią matką pacierz.

Wilk syty i koza cała. Według stawu groblę sypią. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. W gorącej wodzie kąpany. W pustkach największe echo. Wilka natura ciągnie do lasu. Wilk najdzie przyczynę, gdy chce pożreć jagnię.

Znać ptaka po pierzu. Z wielkiej chmury mały deszcz. Zna się, jak koza na pieprzu. Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie. Zły taneczniczy i koszula zawadzi. Z śmiechu wielkiego, poznać głupiego.

IX. Zwyczaje.

I. Co kraj, to obyczaj.

Pospolite niesie przysłowie: *co kraj, to obyczaj*. Każdy się swoich trzyma, swoje tylko jako najlepsze uwielbia.

W Kochinchinie gdy się witają, zdejmują bót i na głowę kładą. W Pegu odpinają pas i tymże powitanego okrążają dokoła. W innym znowu kraju, gdy kto chce go powitać, dmie mu w ucho i dłonią go po brzuchu głaszcze. Król w Kongo obiera sobie do przejażdżki dzień taki, w którym panuje wielki wicher; czapkę wtedy zlekka na jednem uchu zawiesza; w którą stronę wtedy wiatr mu zrzuci, na tych mieszkańców swego państwa podatek nakłada.

Kolor biały u Japończyków jest znakiem żałoby, a czarny wesela. Siadają na konia z prawej strony; nie pozdrawiają ani głową, ani ręką, ale nogą. W paradniejszych sukniach siedzą w domu, a wychodząc na miasto, zrzucają je i najgorsze biorą na siebie. Japończyk szlachetnego urodzenia, schwytany na występku i on przekonany, miałby sobie za największą hańbę prosić, żeby mu życie darowano, o to tylko się stara, żeby mu pozwolono albo samemu odjąć sobie życie, albo żeby mu je odebrał który jego krewny. Pojedynek jest u nich: brzuch sobie nożem rozerznąć; i to przeciwnik także uczynić musi, jeżeli się na hańbę wystawić nie chce.

2. Kalendarz zwyczajowy.

1 *Nowy rok*. Przedtém na Nowy rok spotykano się z życzeniem: Bóg cię stykaj! polecono się tym sposobem błogosławieństwu Wszechmocnego. Rodzicom i opiekunom, albo komu przez to uszanowanie okazać chciano, prawili

dzieci oracyje, żaki perory, dworscy sadzili się na koncepta, a ksiądz pleban z ambony kończył swe kazanie, winszując dziedzicowi i parafijanom. Podobnież za powrotem z kościoła na obiad, zaproszeni goście oświadczały życzenia, by rok zaczęty był w zdrowiu i szczęściu. Ci, którzy osobiście przybyć nie mogli, wyrażali to na piśmie przez umyślnych posłańców. Wiedzano, czego każdemu życzyć: tym dostatków, owym wyższych dostojenstw, rodzicom pociechy z dziećmi, panom i kawalerom dobrego zamełcia lub ożenienia; a wszystkim błogosławieństwa niebios i długiego wieku. Krasicki takie posłał powinszowanie: „Rok się stary kończy, nowy zaczyna, grzeczność więc każe winszować, a przyjaźń i szacunek częste oświadczenia w istotne życzenia przeistacza.“

Żyj lata Matuzalowe. — Albo przynajmniej połowę;

A choćby ćwierć dla igraszki — Dwieście lat i to nie fraszki.

Lecz coraz gorsze nastają czasy:

Im się bardziej idzie w lata, — Tym powszechniej się to iści,
Iż się dobre złem przeplata, — Więcej szkody niż korzyści.

A choćby innych strat i szkód nie było, to bolesna, iż czas przeszedł; a im go więcej przeszło, tym czuliej się spostrzega, iż śpieszno uchodzi; jednakże:

Choć chwil przeszłych czuła strata, — Te uczucia są odmienne.
Nie żałuje rolnik lata, — Kiedy widzi snopki plenne.

Jeżeli koncept nienajwyborniejszy, życzenie uprzejme; proszę je tym sercem przyjąć, którym pisane, i zachować mnie w szacownej przyjaźni.

Dziś to wszystko inaczej. W mieście bilety z wyrażeniem imienia, nazwiska, urzędu i z dodaniem początkowych tylko liter z p. n. r. (z powinszowaniem nowego roku), albo modniej po francuzku p. f. l. n. a. (pour feliciter la nouvelle année), służący roznośi lub powozem pańskim rozwozi, i cały ten obrząd odbywa. Nie silimy się na dowcip, unikamy trudu, ale też grzeczność i uprzejmość starodawna niknie; dopełnienie jej lokajom i próżnej karecie przekazane.

3. K o l e d a.

Wyraz ten podług jednych ma pochodzić od pogańskiego bóstwa starożytnych Sławian, którego święto do uroczy-

stości Bożego narodzenia zastosowano; podług innych od słowa łacińskiego Kalendae, pierwszy dzień miesiąca. Kolęda trwa od Bożego narodzenia aż do N. Panny Gromnicznej, a czasem przez całe mięsopusty. Żaki chodząc po domach z jasełkami lub też z gwiazdą misternie z papieru wyklejona, (ostatnia była wewnątrz oświecona gorącą świecą, i obracać się mogła), śpiewały pieśń: „W żłobie leży, kto pobieży kolędować małemu?“ itd. Zwyczajnie także sam ksiądz pleban z organistą w towarzystwie przybranych w komieszki chłopców, którzy z całej siły dzwonkiem dzwonili, chodząc po kolędzie. Wszedłszy do izby, dawał krzyż do pocałowania mieszkańcom i stawiał na przygotowanym stole. — Po krótkiej przemowie do domowników, egzaminował dzieci i służących z katechizmu, po jego oddaleniu się, dziewczęta ubiegały się do stolka, na którym dobrodziej siedział, w tym przekonaniu, że która pierwsza na nim usiedzie, tego roku za mąż pójdzie. Po wsiach dawano na kolędę: szperki, kilkałociowe kielbasy, sér, orzechy, owoce, kokosze, po kilka groszy; we dworach sporszy pieniądz i raczono podług możności. W Prusiech należące się kościołom za kolędne kielbasy, jak u nas meszne lub dziesięcina, mierzą się na łokcie. I tak, kościół jeden ma kielbasy kolędnej łokci 80, inny 120, według uposażenia fundatorskiego. Nie bierze jej ksiądz wtenczas, kiedy kolęduje, ani też razem; ale potrosze, posyłając do sołtysa po tyle łokci ile chce, który natychmiast wyznaczoną miarę kielbasy szafuje.

W domach zamożnych bywała kolęda okazalsza. Magnat rozdawał między swych domowników niekiedy wsie, konie z sutemi rzędami, puhary srebrne, albo kiesy napełnione złotem. Teraz przychodzą jeszcze z powinszowaniem muzykanci, stróże, kominiarczyki, woźni, i małem kontentują się datkiem, radzi, że drzwi przed nimi nie zamknięto.

Po wsiach najpospoliej odbywa się kolęda około trzech Króli; z tego powodu wigilią tej uroczystości nazwano u pospółstwa szczodrym wieczorem, że wtenczas rodzice dzieciom, gospodarz czeladzi kolędę zwykli byli rozdawać. Parobcy poprzebierani za baboków, dziadów, z przewróconym kożuchem, lub też prowadząc na powrośle w grochowiny przestrojonego niby niedźwiedzia, obchodzili wieś całą, pocieszne wyprawiając skoki, a dla większej uciechy spektatorów, czę-

sto porządnie przez grochowiny kijem okładali mu boki. Gdy już wszystkie chaty obeszli, wrócili w umówione miejsce; jedna z towarzyszących im dziewcząt, obrana gospodynią, gotowała wiecezrę; kupowano wódki za uzbierane pieniądze i zabawa trwała do późnej nocy.

W dzień Trzech Króli był zwyczaj poświęcania na ołtarzu złota, mirry, kadzidła i krędy. Złotem święconém określano szyję na ból gardła, kadzidłem i mirrą nakadzano domy i obory, kredą kołędujący proboszcz, lub bakalarz pisał u góry na drzwiach mieszkalnego domu, spichlerza, obory, litery G M B. to jest imiona trzech króli: Gasper, Melchior, Balcer i rok bieżący. Prócz tego kręda trzech króli gra ważną rolę w rozmaitych czarnoksiężkich gusłach, zaklęciach i uważana jest jako talizman przeciwko czarom.

Przy końcu obiadu roznoszono w Trzy Króle ciasto, którego tyle kawałków było, ile osób przytomnych. W jednym z tych kawałków znajdował się migdał. Kto go otrzymał, królem uroczystości został, i mianował królowę, ofiarując jej piękny, do tego umyślnie przez ogrodników przygotowany bukiet z prawdziwych lub też sztucznych kwiatów. Zręczna gospodyni umiała nakierować losy, ażeby się migdał dostał tej osobie, której go przeznaczyła: to najsędziwyszemu, to najwaleczniejszemu, to kochanemu mężowi, to najmilszemu z dzieci, to najszacowniejszemu z przyjaciół, to dziewczycy, którą synową ujrzyć chciano.

4. Zapusty.

Od wyrazu Pust, bożka niegdyś pustoty, swywolnej rozpusty i wesołości, nazwane są *zapusty*. Trzy dni ostatnie od Popielca zwały się ostatki, albo dni szalone, dla tego, że huczna wesołość, szumne biesady, jak mówiono na trzy zbyty, wesołe zabawy, maszkary, tańce i krotofilne widowiska dni te zajmowały. Do zabaw zapustnych należały dyalogi, które żaki szkolne na teatrach ku temu sporządzonych wyprawiały, wyjęte pospolicie z dziejów świętych. Ale najwięcej bawiły krotofilne intermedija, któremi akty granéj sztuki przeplatano. Śmiali się do rozpuku, łatwi do zadowolenia widzowie, gdy widzieli leżącego wznak drągala, po którego brzuchu dwie lub trzy pary chłopiąt skakały; albo gdy zapa-

lona z rurki papieru finfa, wąsy pod nosem śpiącego osmaliła. Trafnie je opisał w sztuce rymotwórczej Fr. Dmochowski.

U nas przez długie lata teatr był ubogi,
Miejsce jego trzymały szkolne dyalogi:
Gdzie w niezagrabnym układzie, dla prostej zabawy,
Kiedy pozasiadała liczna szlachta ławy,
Żaki różne czyniły widowiska z siebie,
Udawały co w piekle, co się dzieje w niebie.
Cała rzecz się kończyła na wrzaskach i śmiechach;
Potem Bachus w rzęsistych spełniany kielichach,
Weseléj jeszcze gości, niż aktor zabawił:
Jeżli djabeł przestraszył, Bach dobrą myśl sprawił.
Widzieliśmy niedawno tych widowisk szczątki,
I tych, gdy śmieszne role grano w wielkie Piątki,
Annanasza, Kaifasza, Heroda, Piłata,
Chcąc uczyć obchód śmierci Zbawiciela świata.

W ostatni Wtorek jeden z społeczeństwa ubierał się za księdza; włożywszy na siebie koszulę zamiast koniży, pas zawiesiwszy zamiast kapłańskiej stuły, stanął w kącie pokoju na stołku, i jak gdyby z ambony, śmieszne do zgromadzenia po skończonych tańcach na dobrą noc prawil kazanie. Po wiecezry mięsnej w ostatni Wtorek, około godziny dwunastej północnej, częstowano mlekiem, jajami, śledziami, temi potrawami przygrywając niejako postowi nadchodzącemu, i po stopniach od mięsa przez nabiał do niego postępując. Ta częstacyja zwała się podkurek. W miejscach, gdzie przestrzegano staropolskich obyczajów, skoro 12-sta wybiła, zaraz dudy w miech, a kompanija do poduszki rozejść się musiała. Po wsiach obwozili parobczaki w ostatni Wtorek kurka drewnianego, osadzonego na dwóch kółkach z dyszem, zapraszając dziewczki i gosdynie na tego kurka, jakby na prawdziwego. Te dawały im sér, masło, szperki, kielbasy, do czego oni dokupiwszy gorzałki, mogli porządną wyprawie ucztę. Szlachta używała na wsiach w mięsopusty zabaw kuligowych. Zmówiło się sąsiedztwo, gdzie najprzód zjechać się mają, i ułożyli kolej, od której rzadko się kto uchylał. Obrany gospodarz kuligu, zwykle najcelniejszy z młodzieży, wszystkim zarządzał. Ochocze dziewczęta, a czasem nawet i matki, pochulać jeszcze lubiące, chętnie wszystkie trudności ułatwiały. Poprzebierani w maszkary mężczyźni

za żydów, cyganów, olejekarzy, chłopów, dziadów; niewiasty za żydówki, cyganeczki, wiejskie dziewczki, zebrani w pewnym miejscu, wyjeżdżali zmrokiem, jak obyczaj kazał przy świetle kagańców i pochodni i odgłosie muzyki. Była to huczna szlichtada. Suną po ślśniącym i brylantowym śniegu lekkie sanie, tentent koni, brzęk dzwonek różnogłosnych, odgłos muzyki, głośnie trzaskania z bicia zręcznych zwoszczyków, okrzyki wesołych, już się dawały słyszeć, gdy do wsi wjeżdżali. Arlekin, a raczej družba maszkarnie przybrany, poprzedzał tę kuligową kalwakatę i wpadłszy pierwszy do domu, ogłaszał przybycie kuligu. Za nim niebawem z brzękiem i dźwiękiem wpadła huczna zgraja, tocząc po sali skoczne krakowiaki lub dziarskie mazury. Gospodarz domu witał ich z kielichem wina, spełniając duszkiem: Wiwat kulig i łaskawi sąsiedzi! Po hulance nazajutrz, rad nie rad zabierał się gospodarz w dalszą sąsiadów koleję, gdy mu spiżarnię i piwnicę wypróżniono. Powiększał się tym sposobem coraz bardziej kulig, przybywało coraz więcej wesołej młodzieży, sanek i ochoty. Ta hulanka, podobna do alpejskiej lawiny, wzrastająca coraz bardziej, gdzie spadła, to dla tego jedynie, aby wesołość pomnożyć, serca zbliżyć, wspólnie się starym obyczajem ucieszyć, topniała narazie i każdy do siebie powracał, zabierając, gdzie co zostawił i odsyłając nawzajem cudze.

5. Popielec.

Popielec jestto wstępna Środa, pierwszy dzień postu. Dziś w kościele sypie kapłan nabożnym popioł na głowę, te pamiętne mówiąc słowa: „Proch jesteś, w proch się obrócisz.“ Powiadają, że muzułman jeden będąc w Wenecyi świadkiem tego obrzędu, a widząc później, jaka spokojność nastąpiła po szaleństwie zapustnym, sądził, że kapłan rozumem posypał głowy. Dawniej był zwyczaj po wsiach i miasteczkach, iż sądzono mięsopust, zamiast którego stawiano bałwana w kajdanach; ścinali go potem, różne czyniąc uciechy, zwłaszcza, że i to do zwyczaju należało, żeby trunkiem zęby po mięsie popłukać. Dziś chłopcy przypinają w Warszawie ukradkiem tak zwane klocki do sukien kawalerów i panien, szydząc z nich, że nie zmienili stanu w czasie zapust.

6. Wielki post.

Posty za wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej, śnać nie małej doznawały trudności, kiedy Dytmar Mersburski w ks. 8 tak surowe Chrobrego na łamiących posty wzmiankuje prawo, iżby zęby temu wybijano, ktoby się w poście mięso jeść poważył. Zdaje się jednak, że tak surowe prawo wykonywane nie było, ile że wstrzemięźliwi przodkowie nasi, nie tylko cały wielki post, ale nadto suche, krzyżowe dni, wigilije do każdej uroczystości, a nawet szczególnych patronów, środy, piątki, soboty jak najskrupulatniej suszyli, nie pozwalając sobie nawet maślnych pokarmów. Nie mieli wprowadzić oliwy, lecz miejsce jej zastępował rzepny, lniany, makowy, słonecznikowy przesmażony z cebulą lub z octem wypryskany olej. Wiadoma jest anegdota, że papież dziwiąc się ścisłemu zachowywaniu w Polsce postów, zapytał się przybyłych do Rzymu Polaków: macie też oliwę? Ci mniemając, że mowa o oleju, który po łacinie temże samem nazwiskiem mianują: mamy, odpowiedzieli, i tak obficie, że wozy nią smarujemy. Kiedy tak, rzecze, to poście.

7. Wielki Piątek.

Dzień ten poświęcony rozpamiętywaniu męki pańskiej. Po południu obchodzą się w miastach groby, w niektórych kościołach bardzo gustownie i wspaniałej u nas, jak w innych krajach chrześcijańskich, urządzone. Pospolicie przeznaczają się na ten cel jaka uboczną, głęboką kaplicą, gdzie ustawioną w dalekiej perspektywie, najczęściej w kształcie promienistego słońca, świetną monstrancyję z sanctissimum, okrytą przezroczystą gazą, tajemnicze jakieś w pobożnych sercach wzbudza uczucie. Miejsce to przybrane zwyczajnie w sztuczne kwiaty, lśniące gwiazdy, zwierciadła, migocące światelka, rzesisto jarzącymi świecami i kolorowymi lampami oświecone bywa. Zprzodu stoją piramidy, łuki, także gorącymi lampami różnokolorowymi, wizerunkami do tego żałobnego obchodu zastosowanymi w składnej symetrii przyozdobione. Na ziemi przed grobem leży na krzyżu rozpięty Pan Jezus, którego rany z największą skrucą całuje lud pobożny, hojnie w stojący tam półmisek rzucając jałmużny.

Dawniej była przy grobie podwójna straż, trzymając karabiny rurą na dół obrócone. Muzyka dobrana przyrgywa w pewnych interwallach rozrzucające melodyje, albo też odzywają się przytłumione organ lub pieszczonę harfy żałobne dźwięki. Nad wieczorem odbywały się dawniej procesyje z passyjami, a nawet pobożne wyprawiano widowiska, w których wszystkie szczegóły męki Pańskiej naocznie przedstawiać chciano. Szedł człowiek udający P. Jezusa w koronie cierniowej z łańcuchami, dźwigając krzyż wielki. Dopomagał mu Cyreneusz, otaczali ich żołnierze; a kiedy upadł pod tém brzemieniem, uderzano go, mówiąc: postępuj Jezu! Kapnicy i biczownicy w szarych lub czarnych kapach, mając tylko otwory wykrojone do oczu, i w tyle zasłony spuszczone do obnażenia grzbietu, towarzyszyli w długich szeregach tym passyjom, smagając się i biczując w czasie, gdy śpiewano Miserere.

8. Rezurrekcyja i święcone.

Rezurrekcyja odbywa się pospolicie raniuteńko w Niedziele: po większych miastach już się wieczorem w Sobotę zaczyna. Umilkły głuszące klekoty i grzechotki, któremi chłopcy w Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę w miejsce dzwonów do ogłaszania nabożeństwa, nieznośny łoskot czynili. Uderzają we dzwony; a gdy ksiądz zaśpiewał Alleluja, winiszowali sobie przodkowie nasi uściśnieniem ręki, skłonieniem głowy i cichym głosem wesołego Alleluja! już w kościele, albo spotykając się na ulicy lub w domu. W czasie rezurrekcyi strzelano z armat, moździerzy, organów, z karabinów i pistoletów; palono koło kościoła lub na bliższych miejscach beczki smolne. Po skończonem nabożeństwie odleglejsi parafianie w największym pędzie, wyścigając w drodze jeden drugiego, do domu na święcone śpieszyli, mając ten przesąd, że kto najprędzej do domu przybędzie, ten najrychlej żniwa ukończy.

9. Święcone.

Obyczaj to kraju naszego. W tym dniu i najuboższy kmiotek zdobędzie się na kawałek mięsa, kiełbasy, kołacz

i jaja; majątniejszy ma okazalsze święcone; niesie je do swego plebana, lub wzywa go w dom własny, aby mu je pobłogosławił. Po nabożeństwie odbytém, z rodziną, domownikami, gośćmi dzieli się najprzód gospodarz uprzejmie wśród życzeń jak najlepszego, zdrowia i pomyślności, święconém jajkiem, którego nikt odmówić nie może. Potém innemi kęsami częstują. Baranek z przyprawioną chorągiewką, kołacz żółte z szafranem i rezenkami, baby, jajka, pospolicie żółto malowane, szynka — to grunt święconego. U wielkich panów sadzono się na różne do wielkanocnej uroczystości zastosowane symboliczne wyobrażenia. robiono baranka z masła, dając mu oczy brylantowe z ukrytych w masle pierścieni, i inne cudne utwory z ciasta. W drugie święto wielkanocne odbywa się Emaus, to jest przechadzka dla rozrywki do ulubionej jakiejś okolicy w bliskości miasta na pamiątkę, iż Chrystus z uczniami szedł tego dnia z Jerozolimy do Emaus.

10. Dyngus.

Zwyczaj dyngusu czyli śmigusu, to jest oblewania się znieścacka nawzajem wodą, ma mieć początek od Jagielly, kiedy król ten nawróciwszy Litwę do wiary chrześcijańskiej, a nie mogąc wielkiej liczby nawróconych chrzcic pojedynczo, kazał napędzać tłumy do wody i w niej nurzać, albo stojących na brzegu, wodą obficie polewać. Inni utrzymują, że pochodzi z Jerozolimy, gdzie schodzących się i rozmawiających o zmartwychwstaniu Chrystusowem, żydzi z okien wodą oblewali, dla rozpedzenia z kupy i przytłumienia takich powieści. W Poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewają kobiety; we Wtorek i dni następne, kobiety mężczyzn. Grzeźniejsze osoby, chcąc tę ceremoniją odprawić bez przykrości, skrapiają lekko różanną lub inną pachnącą wodą. Ci, którzy swawolę nad dyskrecyją przekładają, oblewają i damy wodą prostą, chlustając garnkami i szklanicami. Gdy się kompanija rozhulała, panowie i dworscy, panie i panny dnia swego nie czekając, lali jednych i drugich ze wszystkich naczyń, jakich dopaść mogli, a hajducy i lokaje cebrami donosili wody, aż nareszcie wszyscy zmoczeni byli aż do nitki. Bywało nie raz, że zlane jak myszka panienka jaka, lub młoda mężatka, dostała febry; nie zważano bynajmniej na to,

byle się zadosyć stało powszechnemu zwyczajowi. Na wsi parobcy chwyтали dziewczki, które się wtenczas jak mogły ukrywały, wlekli je do stawu lub rzeki i tam je wrzucali do wody, albo włożywszy w koryto przy studni, lali wodą póki im się podobało.

II. Maj, Majówka.

Miesiąc to wiosny rozwiniętej nadobnie. Jakiż to uroczy widok pogodnego nieba! wieś odzyskuje wszystkie swoje powaby; uśmiechające się łąki, zielone gaiki, wdzięczny śpiew słowika, napawają duszę czułą, słodką i niewinną rozkoszą. Starożytni czcili boginią Maję i w dniu pierwszym tego miesiąca obchodzili jej uroczystość. Sławianie przez pieśni i tańce na murawie, zwykli witać wiosnę. W niektórych stronach Litwy zakopywano tego dnia na błoni, gdzie się lud zbiera do zabawy, drzewo zielone w różnobarwne wstążki ubrane. Przybywały dziewczęta, mężatki, chłopcy i cała ludność, mając na czele hożą dziewczę, wyobrażającą boginię wiosny. Wieniec zielony zdobił jej skronie, gałązki brzoźowe aż do stóp ją okrywały. Śpiewano piosnki, w których często się powtarzało: o Maja, Maja! i tańczono w koło drzewa. Gdzieindziej zakopywano w ziemię gładki wysoki świerk lub inne jakie wysmukłe drzewo, na które pięła się dziarska młodzież, aby zawieszoną na wierzchołku nagrodę, lub też tylko poklask zręczności pozyskać.

Pierwszego Maja obchodzili uczniowie w szkołach publicznych majówki, czyli majowe rekreacje. Uszykowani w rzędy porządkiem klas, pod chorągwiami swemi, wraz z rektorem i profesorami, szli do jakiej wioski o milę lub dalej, gdzie ochoczy gospodarz, wcześniej o tym uprzedzony, uprzemnie wszystkich podejmował. W niektórych miejscach panowie polscy zapisywali całe folwarki, ażeby młodzież szkolna miała gdzie się bawić i hojnie podejmowaną być mogła. Z tym miesiącem rozpoczyna się między młodzieżą gra, zwana *zielone*. Dwie osoby umawiają się, że przez cały ten miesiąc i dłużej, zawsze zielone przy sobie mieć będą. listek lub gałązkę, i robią pewien zakład. Osoba przydybana od drugiej bez zielonego, umówioną karę opłacać musi. Gra to dzieci, przyjaźni i miłości, dająca sposobność zrobienia

komu upominku; nazywa się także mieniane, że często zielone odmieniać trzeba. Zielone tak opisał Kochanowski:

Z tych drzew zrywam latorośle,
Te Maryni pięknej poślę;
Zielonem niech się zabawi,
A niech słuszny zakład stawia.

Ta gra tém się prawem chlubi
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub go zbędzie innym kształtem,
Opłaca zakład ryczałtem,

12. Zielone Świątki.

Miły jest widok zieloności. Starożytny to kraju naszego zwyczaj, że świątynie Pańskie i możnych pałace i najuboższą chatkę zdobiły w tym dniu drzewa zielone przy wnijściu, u okien i na rogach zatknięte. Wewnątrz kościoła ołtarze, ławki, a w domach kąty pokoiów były równie ozdobione młodemi drzewkami. Od tego zapewne uroczystość zesłania Ducha św. piękną „zielonych świąt“ w naszym języku przybrała nazwę. Teraz potrzęsają ziemię łeciem tatarzkowem co także miły sprawia widok i gubi robactwo. Poniedziałek świąteczny jeszcze zwykle od Niedzieli weselszy, przeznaczony na przechadzki i przejażdżki.—Takich używają szczególnie mieszkańcy Krakowa i Warszawy, odwiedzając w tym dniu przyległe Bielany.

13. Wigilia św. Jana Chrzciciela.

W wigilię św. Jana Chrzciciela, to jest 23go Czerwca, zachowują dotychczas wieśniacy w Krakowskim, a nawet i w Szląsku, zwyczaj palenia ogniów na polach, nazywając je Sobotkami. Młodzież jednej lub kilku osad zgromadzona, w pewne miejsce kładła wielki ogień, dorzucając suchych gałęzi, liści i świerkowych trzeszczących gałązek; potem wzięwszy się za ręce; tańczyła, płaśała koło ognia, śpiewała, czyniła rozmaite wróżby, skacząc przez płomień; niekiedy trzody przepędzano przez ten ogień, ubezpieczając je tym sposobem od chorób i zarazy. Miły to był nadzwyczaj widok dla oka, gdy z zapadłym zmrokiem. tysiące zapalono ogniów w nieprzejrzałej przestrzeni. Bliższe odbijały się w kryształach spokojnej Wisły, dalsze aż ku Karpatom, gdzie powierzchnia ziemi wzniesiona nakszałt małych gwiazd, słabem tylko migały światelkiem; niektóre ognie pojedyncze, inne po kilka razem

zapalone, tak że patrząc z pewnej wysokości na kilka mil rozległą okolicę, Sobotkami posianą, nie można się było nasycić tym czarującym panorama. Jeden z dawnych naszych poetów w wierszu pod tytułem „Bylica Święto-Jańska“, tak opisuje Sobotki.

Wszyscy na rozpust jako wyuzdani
Idą bylicą w poły przepasani,
Świerkowe drzewa zapalone trzeszczą,
Dudy z bąkami jak co złego wrzeszczą;
Dziewki muzyce po szelagu dali,
Ażeby skoczniej w bęben przybijali;
Włódarz jak wódz przed wszystkimi chodzi;
On sam przodkuje, on sam rej zawodzi.
Za nim jak pszczoły drużyna się roi,
A na murawie beczka piwa stoi.
Co który umie, każdy dokazuje:
Ten skacząc wierzchem płomienie strychuje,
Ów pożar pali, drudzy huczą, skaczą,
Aż ich dzień zdybie to się wždy zobaczą.
(przecie upamiętają).

Ogień do zapalenia Sobotki krzesali sobie, tracąc z całej siły żerdź suchą o płot, aż się płomień wydobył i przygotowaną do tego słomę zapalił. W innych okolicach, gdzie Sobotek nie palą, gaszą wieśniacy w tym dniu po domach ogień i dopiero ten czysty samorodny ogień, sposobem wzmiankowanym wydobyty, do chat przynoszą.

Ponieważ Sobotki nazywają w niektórych okolicach kupalą, kupalnicą albo kupalną nocą, przeto podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, pochodzą one jeszcze z czasów pogańskich, w których Kupale, bóstwu urodzajów i obfitości (kupa) czyli sławiańskiej Cererze, 24go Czerwca, w całej Słowiańszczyźnie czyniono ofiary, jak to wiele nazwisk wsi naszych noszących to miano, a między innemi Zobten, to jest Sobota, za Wrocławiem pod Świdnicą, Sobota pod Gdańskiem, w Łęczyckiem, w starostwie Spiskiem stąd powstałe, widośnie potwierdzać się zdają. Również niewiadomy jest cel tej uroczystości. Czyli to, jak utrzymuje Bandtke, miało znaczyć oczyszczenie przez ogień; czyli, co do prawdy podobniejsze, odwrócenie zarazy i chorób od bydła, zwłaszcza, że w czasie Sobotki zbierano zdrowiu pomocne zioła, jako to: łopian, bylicę, jaskier do kąpieli, piołun, rutę, rozchodnik, i dziewczki

pląsające koło ognia, miały zwykle wianek na głowie i bylicą się opasywały; rzecz dotąd nie rozstrzygnięta. To tylko pewna, że dzień ten tajemniczy był hasłem różnych gusiel i czarodziejskich praktyk. Dotąd trwa w wielu miejscach, a zwłaszcza w Warszawie, zwyczaj puszczania wianków na Wisłę, który wiele widzów na most i brzegi sprowadza. Dziewczęta wycytują z biegu wianków jak płyną, jak się z wiankiem chłopca stykają lub oddalają, przysługę swoje losy. Czyj wianeczek pochłonięty, zła wróżba. W ten dzień zbierają także zabobonni kwiat paproci. Paproć, podług mniemania gminu, wtenczas właśnie zakwita i w oka mgnieniu opada. Komu się uda tego kwiatu dostać, może stać się niewidzialnym, kiedy zechce, wszystkie zamki i kłódki odmykają się same, za dotknięciem tego cudownego talizmanu. Za pomocą niego można znaleźć i najgłębiej ukryte w ziemi skarby. Wieśniakowi pewnemu kwiat paproci wpadł za kurpie, nie wiedział o tém i znalazł krowę, której przez kilka dni napróżno szukał; i wiedział, gdzie tylko były ukryte skarby. Że nie miał narzędzia do ich wydobywania, śpieszy po nie do domu, przezuwa się i wytrząsa kwiat cudowny. Odtąd już tych miejsc poznać i widzianych przedtém tak dokładnie skarbów znaleźć nie mógł. — Co większa, dzień ten poświęcony jest także złym duchom. Co Czwartek po nowiu, lecz szczególnie w św. Jan, lecą czarownice kominem na ożogu, miotle lub łopacie na Łysą górę, nasmarowawszy się tłustością z dzieci przed chrztem uduszonych. Gdy tam same być nie mogą, biorą pełną gębę dymu, i już wiedzą, co się tam stało. Czarownice potęgą w wiekach łatwowierności, była straszliwa. Sprowadzały burze, grad, pioruny, deszcz, suszę, sprawiały płodność lub ją odejmowały; wbiwszy kołek w słup w oborze, doily z niego mleko cebami, przemieniały nawet ludzi w wilki, barany, myszy, ptaki i t. d. Wszystkiego zaś dokazywały za pomocą djabła, któremu się zapisywały i który w pierścionku lub w starym trzewiku w kącie ciągle ich oczekiwał. Do swoich czarów używały zwyczajnie szaleju, bylicy, trupich kości, drzewa z trumny, proszku z fartuchów przy figurach, powązek etc. Najzyskowniejsze były czary, kiedy się do nich udawano, aby miłość w pewnej osobie dla kogo wznieciły, bo im tę sztukę sowiec opłacać musiano. Były wszakże sposoby poznawania czarownic i zniweczenia czarów, jako to: kurzyć trupim zębem, snopek siana lub słomy na

drzwiach obory powiesić dla zachowania nabiału, kredą święconą naznaczyć, gromnicą krzyż wypalić, zawiesić ją, a znak zębów czarownicy można potem na niej ujrzyć. Poważkę, wrzućciwszy w nią szpilki, gdy gotują z wiórami z 9-ciu podwórzy, kolki czarownicę dręczyć będą. Przybiega prosić ognia i chce znieńacka naczynie wyrzucić. Pławienie ich za suszę, albo do poznania, czyli są czarownicami, było jeszcze używane aż do roku 1765go, które nie tonęły, palono. (Zobacz w Przyjacielu ludu: „Palenie czarownic w Doruchowie“).

14. Wieniec.

Widząc nadzwyczajne w domu przygotowanie, pytałem się pana Podstolego, czyli się znacznych jakich gości u siebie spodziewa. Najznakomitszych, odpowiedział; dziś zakończywszy żniwa, gromada z wieńcem do mnie przyjdzie. Wyrazy te Krasickiego, który nam w panu Podstolim tak dokładny zostawił obraz dawnych zwyczajów i charakteru narodowego, najdobitniej oznaczają wartość odprawiających się powszechnie o tej porze uroczystości wiejskich, wieńcami zwanych. Pocciwy kmiotek, który cały rok dla pana pracował, a w czasie żniwowym złoty plon pracy rąk własnych w pocie czoła z pośpiechem zbierał, i do gumien pańskich nagromadził, wart zaiste, by go wtenczas za najznakomitszego poczytać gościa, gdy panu ukończonego szczęśliwie żniwa przychodzi powinszować. Uroczystość ta w całej upowszechniona Polsce, najodleglejszych sięga czasów, i w żadnym innym kraju ani z taką nie bywa odprawiana uciechą, ani z taką ze strony panów gościnnością. Przypomina ona podobne uroczystości u Rzymian, Saturnalia zwane, na pamiątkę złotego wieku panowania Saturna, odbywane! Ustawiała wtenczas wszelka między panami a ich niewolnikami różnica. Sługom i niewolnikom wyprawiano sute uczty, przy których im panowie posługiwali. Wolno było w tym czasie niewolnikowi w obecności pana z nakrytą chodzić głową, i prawdę mu bez ogródki powiedzieć. I u nas na wieńcu zaproszony chłopiec na zabawę, porównany z panem, śmiało panią swoją w taniec prosi, a dziewczyna pana; ile razy się przed graczem nawróci, w dowcipnych a wesołych śpiewkach, obok pochlebnych dla państwa zwrotek, nie raz

i ostrą prawdę zaśpiewa. Dwa wieńce, jeden z pszennych uwity kłosów, drugi powiązany z orzechów, niosą dwa żeńcy na głowach, idąc parami wśród radosnych okrzyków przy odgłosie muzyki; zbliżając się do dworu, śpiewają:

Plon niesiemy plon — Jegomości w dom;
Bodaj zboże plonowało — Dziesięć korcy z męda dało.

Potem parę razy przede dworem na murawie przetańczywszy, przystępują do pana i wieńce mu oddają, kończąc wynurzanie życzeń wesołą piosnką:

U naszego Jegomości dobry rozsądek,
Wystawi nam beczkę piwa i wódki sądek.

Daliej idą coraz weselsze zwrotki, w których niekiedy prawdziwy jaśnieje dowcip, włodarzom i ekonomom gorzką częstokroć nucący prawdę. Przy największym rozochoceniu chłopiec nie zapomina o względach przynależnych państwu. Gdy uważają, że już dość długo w domu pańskim się bawią, przychodzą sami z podziękowaniem za zabawę i uraczenie, i pożegnawszy, wynoszą się do gościńca, gdzie niezmordowani aż do świtu wesołych chwil używają. Rzadkiemi one są w ich życiu, są to błogie sny, w których zapominając o swój niedoli i znojach ciągłej pracy, szczęśliwymi się czują. Bodajby ta niewinna dla chłopków naszych zabawa nigdy nie wychodziła ze zwyczaju, lecz rok w rok w tém była utrzymywana poważaniu, w jakim ją Krasicki opisał.

15. Dzień Ś. Andrzeja.

Dzień Ś. Andrzeja 30. Listopada, bardzo ważny dla pannen, ponieważ te cały wieczór przepędzają na zbadanie swego losu. To na talerzykach poprzyklepiane kawałki zapalonego stoczka puszcza na wodę, (które się zejda, wróżą małżeństwo); to podsłuchują, skąd pies zaszczekał, gdyż z tej strony ma przybyć kawaler; to wpuszczają do izby gąsiora z zakrytymi oczami, do której przyjdzie, ta męza najprzód dostanie; to znowu każda trzewiczek swój daje, i stawiają z kolei jeden za drugim na podłodze, której progu się dotknie, ta w przeciągu roku za próg, to jest za mąż wyjdzie. Własną ręką gdzieś nałoży ogień dziewczyna, zgotuje trzy potrawy na wie-

czerzę z samych jarzyn, nakrywa stół na dwie osoby, wyjdzie na środek i zawoła: w imię Ojca i Syna i Ducha św. proszę ciebie na wieczerzę Amen. Postać upragnionej osoby powinna się ukazać, obejdzie trzy razy stół i znika. Bezpieczniej wszakże nie kłaść noża ni widelca, bo widziadło tém narzędziem śmiercy zadać mogło. Czasem w samotnej izbie o północy siada ciekawa osoba, stawia jedno zwierciadło przed, drugie za sobą, przy nich świece i pilnie się w nie wpatruje, czy się jaki cień nie przemknie. Szczególniej zaś uważano, co się komu przyśni i stąd wnioskowano o zamęzcium i pożyciu, jak następujący wiersz opiewa

W wigilią św Jędrzeja,	Zostałam wydana
Spełniona moja nadzieja;	Za pana Stefana.
Bodaj to się sprawdziło,	Bo téżto galant cacany,
Co mi się ongi wyśniło,	Wąs misternie wymuskany,
Że z rąk ojca dobrodzieja,	Tak ułożona zgrabnie czupryna,
	Jakby za szatnego miał kupidyna.

Kładziono pod poduszki karteczki z imionami kawalerów znajomych; jaką która nazajutrz wyciągnęła, ten miał zostać mężem.

16. Wigilia do Bożego Narodzenia.

Dzień ten radosny w całym chrześcijaństwie uroczyscie biesiadą postną obchodzony bywa; lecz raz tylko i to dopiero o gwiazdzie jedzą. Przedewszystkiém łamią się opłatkiem białym z rodziną, gośćmi i domownikami, życząc sobie nawzajem Dosiego, to jest długiego wieku. Izba jadalna słomą, a stół do jedzenia sianem pod obrusem pospolicie bywa zasłany, a w każdym kącie izby stoją snopy rozmaitego zboża. Czasem łańcuchem stół opasywano, żeby go się chleb trzymał, a żelazo płużne pod stół kładą, aby krety roli nie psowały. Przy końcu wieczerzy wyciągała młodzież z pod obrusa źdźbło siana; jeżeli zielone, znaczyło w zapusty odmianę stanu, jeżeli zwiędłe, to znaczyło niepomyślną wróżbę. Ze snopów kłosa wyciągano, wycierano ziarnka i liczono je: parzyste, związek małżeński oznaczały; nieparzyste—dłuższą samotność. Jeszcze do dziś dnia jest u ludu prostego we zwyczaju, iż drzewa owocowe przewróśłem ze słomy, która pod stołem leżała, obwiązywać zwykli, aby lepiej rodziły i nie przemarzały od mro-

zów. Dziś do obchodu wigilii należy koniecznie strudel, czyli chleb pszenny podługowaty przez środek plecionką z ciasta obłożony i posypyany czarnuszką; prócz tego jabłka, orzechy, pierniki, zwłaszcza toruńskie dzieciom i służącym na podarki; a sama wieczerza składać się powinna z dziewięciu potraw, między którymi polewka z migdałów i kluski z makiem i z miodem najważniejsze. Przestrzegają, żeby osób u stołu było do pary.

17. Boże Narodzenie.

25. Grudnia, jedno z najprzedniejszych świąt w chrześcijaństwie z wesołością obchodzone. Gody od pospólstwa zwane. Radość powszechną świata kapłani trzema mszami, lud pobożny okazuje przez śpiewy, które od północy zaczynać się zwykły. Do wesołości świąt należały dawniej komiczne dialogi, które żaki publicznie i po domach prywatnych wyprawiały. Ci bawią dotąd lud jasełkami, czyli szopkami, gdzie w niezgrabnych osóbkach, narodzoną dziecinę na łonie matki, lub złożoną na słomie, trzech króli z darami, starego Józefa, skoki i przygrywania pasterzy i wszystkie okoliczności narodzenia pańskiego wystawiają. Osobliwie potrzebny jest do tego wół, osieł, żyd z żydówką, djabeł i baba z maślnicą, a to w celu, ubawienia patrzących. Czasem bywają niektóre figurki, mianowicie te, które do rozśmieszania służą, ruchome. Jeżeli deklamujący lub śpiewający obnosiciel ma dosyć dowcipu, iż swoim tłumaczeniem sceny potrafi wzbudzić śmiech powszechny, sowitą odbiera kolędę.

26 Grudnia św Szczepana pierwszego wiary chrześcijańskiej męczennika. Lud pospolity dawniej w ten dzień owies święcić dawał, i gdy kapłan miał go kropić święconą wodą, idąc środkiem kościoła, rzucano nań garściami zboże, na pamiątkę ukamienowania męczennika. Ten dzień świętym jest osobliwie dla czeladzi, która w tym czasie roczną służbę odmienia. Szukający parobków gospodarze zmagają ich przy kieliszku wódki i raczą. Stąd przysłowie: na św. Szczepan, każdy sobie pan.

X. Blizkoznacze słowa.

(Z pism Kl. z Tań. Hofmanowój).

I. Prostota a prostactwo.

Podobne w brzmieniu dwa te wyrazy, w znaczeniu swoim zupełnie są odmienne; już półtora wieku temu, oznaczył ich różnicę Fredro, kiedy w wybornych przysłowiaich swoich napisał: „Bądź prostym, nie bądź prostakiem.“ Ale my pomimo téj jego przestrogi mieszamy je często i jeden w miejscu drugiego kładziemy.

Prostota jest przymiotem, prostactwo wadą; prostota obejmuje jednakowo zewnętrznego i wewnętrznego człowieka, prostactwo więcej powierzchowności się tyczy.

Nic miłszego nad prostotę: własność dziecięcia i niewinności, towarzyska nieoddzielna szczerości, skromności i dobroci—ułożeniu, czynom, mowie, pismom niepojęty wdzięk nadaje. Nic przykrzejszego od prostactwa: cecha złego wychowania szpeci piękność i cnotę samą.

Prostota każdemu wiekowi, największej godności przystoi, wszystkich wabi, zniewala, przywiązuje; prostactwo nikomu nie jest do twarzy, wszystkich razi, odstręcza, odpycha.

Wymów otwarcie ale delikatnie przyjacielowi uchybienie jakie—wyda się serca twojego prostota; wyrzucaj mu je obrażającemi słowy—będzie to prostactwem.

W piśmie, w mowie, nie wyszukanych, lecz szlachetnych używaj wyrazów, tłumacz się jasno, bez przesady—a twój sposób pisania i mówienia będzie prosty; pomieść gminne, nieprzystojne wyrażenia, a będziesz pisał i mówił jak prostak.

Niech twój ubiór będzie schludny, gustowny, zgadzający się z majątkiem twoim, a nazwą go ubiorem prostym; nieporządną i nieprzyzwoitą odzieżą, wydasz prostaka.

2. Odzież, ubiór, strój.

Wszystko, czém okrywamy się w celu nieobrażenia skromności i uchronienia się od zmian powietrza, nazywa się odzieżą. Odzież wygodna, kształtna i ochędżona jest ubiorem. Ubiór

modny i kosztowny, choćby niegustowny staje się strojem. Pierwszą rządzi potrzeba, drugim przyzwoitość i dobre wychowanie, trzecim zbytek, próżność i moda.

Odzież bardzo mało kosztuje; ubiór chociaż większego wydatku, mieć go jednak na cały rok można za jeden strój wykwinny. Odzież nie jest dla osób majątnych, biednym ją zostawić trzeba; ubiór prosty ale staranny każdemu, a szczególnie téż młodości więcej przystoi, niżli wszystkie stroje.

Najuboższy odziewać się musi, ubierać się porządnie powinnością jest każdego; stroić się i upatrywać niewyczerpane źródło zatrudnienia, rozmowy i zabawy w tak błahym przedmiocie, jest wadą.

3. Ciężki—trudny.

Mało które wyrazy w potocznej mowie tak mieszane bywają, a przecież mało między którymi taka różnica. Ciężki—stosuje się właściwie do ciał, trudny—do umysłowych rzeczy. Trzeba siły ciała do zniesienia rzeczy ciężkiej, trzeba mocy umysłowej do pokonania trudnej.

Człowiek słabowity ciężkiem znajdzie to, co byłoby dla zdrowego lekkim; zdatnemu łatwo przyjdzie praca, którąby nieuk za trudną osądził.

Podnieść kamień wielki, jest ciężko; wyrobić z niego piękny posąg, jest trudno.

Niższych stanów cięższa jest praca, wyższych trudniejsza.

XI. Wynalazki.

I. Wynalazki Fenickie.

Podczas gdy jedni Fenicyjanie trudnili się kupowaniem i sprzedawaniem obcych towarów, płynąc od kraju do kraju; inni pozostawszy w domu, zajmowali się kunsztownymi wyrobami, tak iż w licznych i ludnych fenickich miastach ożywiony panował przemysł, i dziwnie zakwitły rękodzieła. Najważniejsze były fabryki purpurowe, które oni sami wynaleźli. Pies owczarski, jak wieść niesie zgryzł był na brzegu morskim bli-

ska miasta Tyrus ślimaka purpurowego, i przybiegł z pyskiem czerwono zafarbowanym do swego pana. Ten w mniemaniu, że się skaleczył, otarł mu pysk wełną, a nie znalazłszy żadnej rany, ujrzał z wielkim zadziwieniem wełnę świetnym czerwonym kolorem zafarbowaną. Ciekawy pobiegł za śladem psa i przekonał się, że z morza na tyryjskie brzegi wyrzucone ślimaki cudną ciecz purpurową w sobie zawierają. Ta tyryjska purpura, zwłaszcza ponsowa i fioletowa (były bowiem rozmaitych odcieni, nawet białawe), dla swego świetnego blasku tak była poszukiwaną i kosztowną, że tylko królowie i bogacze purpurowe szaty nosić mogli; inni zadawalniać się musieli, gdy swoje białe wełniane szaty purpurowym skrawkiem ozdobić mogli. Tak czytamy u ewangelisty Łukasza, gdzie jest mowa o bogatym marnotrawcy: „Był bogaty człowiek, ten ubierał się w purpurę.“ Odkąd owadu amerykańskiego koszenili, czyli czerwca w miejsce purpurowej farby używać zaczęto, spadła ta farba w cenę. Podobnie przypadek zdarzył wynalazek szkła. Ludzie okrętowi chcieli sobie na brzegu morskim jedzenie zgotować, a ponieważ im brakowało kamieni do ułożenia ogniska, wzięli więc kawały saletry z owego okrętowego ładunku i nałożyli ogień. Saletra roztopiła się w ogniu, zmieszała się z piaskiem i popiołem i utworzyła z wielkim zadziwieniem żeglarzy świetną przezroczystą masę, to jest szkło. Początkowo używano go tylko do ozdoby. Fenicyjanie nauczyli się wyrabiać z niego różne świecące fraszki, które drogo dzikim narodom sprzedawali; później robili z pomocą Egipcjan różne szklane naczynia, a nawet okna i zwierciadła, choć te ostatnie u starożytnych zwyczajnie były metalowe. Największe szklane fabryki były w Sydon i w Sarepta; ale właściwie dopiero Egipcjanie wynaleźli sztukę dęcia i szlifowania szkła. Prócz innych licznych wynalazków, mieli także Fenicyjanie wynaleźć rachunki, do czego im już sam handel podał skąpą rękę.

2. D r u k.

(Przyjaciół Dzieci z r. 1867).

Sztuka drukarska najskuteczniej przyczyniła się do szerzenia ogólnej oświaty. Wszystko co mędrcy zbadali, bohaterowie uczynili, lub poeci napisali — to sztuka drukarska tysią-

ce razy powtórzyć jest zdolną, a tym samym tysiące ludzi może rozweselić, nauczyć, uszlachetnić.

Wynalazek sztuki drukarskiej, zawdzięczamy Janowi Guttenberg, urodzonemu w Moguncyi r. 1400. Mając lat 20, udał się on do Sztrasburgu jako szlifierz, gdyż temu rzemiosłu poświęcił swą młodość i ono miało zapewnić mu utrzymanie. W tym mieście Guttenberg powziął myśl: czyliby nie można wyrazów pisma wyróżnić na drzewie i następnie potarłszy je czarną masą, w tysiące wycisków powtórzyć.

Myśl ta nie była nową: u ludów starożytnych znajdujemy ją kielkującą. Chińczycy, Indyjanie i Egipcjanie, na lata odległe przed narodzeniem Chrystusa, wyrzynali hieroglify i obrazki na kamieniu i drzewie; u Greków i Rzymian znajdujemy głoski (litery) z drzewa i kości słoniowej, używane do nauki czytania. W czasach Karola W (na lat 800 po n. J. Chr.) używano stępla drewnianego lub metalowego z wyróżnionym nazwiskiem do wyciskania podpisu. W Niemczech w początku XIV go wieku, używano drzeworytnictwa do robienia kart do gry — a następnie wyrzynano na drzewie obrazy świętych, i pod nimi wypisywano krótkie objaśnienia rycin. Pokup był wielki na te ryciny, gdyż każdy łatwo mógł je pojąć; naród wogóle przejęty był duchem religijnym, a posiadanie biblii nie każdemu było przystępnem, gdyż książka ta będąc przepisywaną, bardzo drogo kosztowała. Z obrazów świętych powstała w r. 1420 tak zwana *biblija ubogich* (Biblia pauperum) złożona z 40 rycin, z krótkim opisem rzeczy wyobrażonej rysunkiem.

Napisy na tych drzeworytach były bardzo niewyraźne i kosztowne; a następnie ulepszone, przedstawiały jednak pismo nieczytelne, aż do czasu, gdy Guttenberg zastąpił rznięcie pisma na drzewie, własnym przyrządem mechanicznym.

W r. 1436 Gutenberg odkrył myśli swoją zamożnemu mieszczaninowi, Andrzejowi Drycen, który chcąc odnieść korzyść z tego pomysłu,łożył nakład na pierwszą drukarnię. Po wielu próbach, po wielu usiłowaniach, Guttenberg wpadł na pomysł rznięcia oddzielnych liter z drzewa, a następnie składając je w wyrazy i pomazawszy masą, odciskał na papierze za pomocą prasy. Tę epokę (r. 1440) należy przypisać wynalezienie druku. Jednakże litery z drzewa nie odpowiadały swemu przeznaczeniu, poczęto zatem rżnąć je z ołowiu i cyny, a w tym

czasie Andrzej Drycen umarł, i brat jego, drogą procesu zabrał na własność całą drukarnię.

Gutenberg zmuszony był powrócić do Moguncyi. Tu zawiązał spółkę z Janem Faustem i Piotrem Szefferem. Ich usiłowaniam zawdzięczyć należy ulepszenie zaprowadzone w kształcie głosek, w urządzeniu prasy i w polepszonej przyprawie masy drukarskiej; a zwłaszcza Szeffer uczynił wielki postęp na tej drodze, wynalazkiem głosek lanych, co dawało je kształtniejsze do druku i mniej kosztowało, niż dotąd wyrzynanie.

Gutenberg nie posiadał własnego majątku, aby mógł swym kosztem odlewać głoski i założyć drukarnię; to też wydrukowawszy już 12 arkuszy biblij odlewaniem głoskami, a nie mogąc w czasie właściwym zapłacić długu, zmuszony był procesem wytoczonym przez Fausta, oddać mu na własność całą drukarnię.

Tak więc pozbawiony był owocu pracy życia swego, w porze, gdy ten dojrzewał. Jednakże zasługa Guttenberga była ocenioną: Kurfist Moguncyi Adolf IIgi nadał mu godność szlachecką i znaczną pensję dożywotnią; ale nie długo cieszył się uznaniem swjej pracy, bo wkrótce potem (r. 1468) spoczął snem wiecznym, po dokonaniu pracowitego żywota.

W tym czasie Faust zawiązał znów spółkę z Szefferem, a obaj korzystając z przyrzadów Guttenberga, drukowali psalterz w r. 1457 i bibliję łacińską, której 12 arkuszy było już poczęte przez samego Guttenberga. Z tą bibliją jeździł Faust do Paryża, gdzie wieść o tym wynalazku wielce wszystkich zajmowała.

Dotąd książki były przepisywane, co kosztowało wiele czasu i trudów przepisywającego. Książki też bardzo były drogie, np. biblia kosztowała około 1000 talarów — Faust oddawał drukowaną za 60 talarów. Księża klasztorni, a także inne osoby prywatne zajmujące się przepisywaniem książek, były teraz pozbawione swego zarobkowania; nie mogąc pojąć sztuki drukarskiej, tak łatwo zastępującej mozolne przepisywanie, poczytywali w niej udział złego ducha.

W Krakowie pierwszy Ginter Zajner drukował w r. 1465, pomimo to jednak księgarze tamtejsi wiele dzieł drukowali także zagranicą. Dzieła te były łacińskie, a pierwsze księgi sławiańskie drukował Świtopełk Fiol literami Cyrylicy w Krakowie r. 1491. Pierwsze pisma w kraju naszym drukowane, znane

są pod nazwiskiem gockich, czyli staro-niemieckich, jednakże niektóre książki polskie, były podówczas odbijane także literami łacińskimi.

St. Gargulski.

3. Kompas.

(Przyjaciel Dzieci z r. 1867).

W podróżach odbywanych po słalym lądzie, czynią nam wielkie usługi koleje żelazne, drogi bite i gościńce wiodące nas z jednego miasta do drugiego, aż wreszcie do celu naszej podróży; w górach potrzebujemy przewodnika; w rozległych lasach i równinach, i przewodnik może zabłądzić... a cóż dopiero w podróży morskiej, gdzie widzimy tylko wodę i niebo? Tu kierować się możemy w dzień według słońca, a w nocy według gwiazd; cóż jednak pocniemy, gdy dzień będzie mglisty, a w nocy niebo pokryte chmurami, zasłoni sklepienie gwiaździste?

W starożytności Fenicyjanie, ów lud handlowy, puszczała się na znane sobie dobrze morze Śródziemne; a nawet wypływali cieśniną Gibraltarską na ocean Atlantycki i na morze Bałtyckie, ale w tych wycieczkach stale trzymali się brzegów lądu, w obawie zabłądzenia. Przez długi czas podróże morskie w ten sposób tylko się odbywały, choć ciekawość nęciła do puszczenia się w dalsze obszary.

Odważyć się jednak na coś podobnego, uważanem byłoby za szaleństwo; możebność czego uczynił dopiero wynalazek kompasu, pozwalając kierowania się nieomylnego, na otwartym morzu lub rozległej puszczy.

Wynalazek ten nastąpił w początku XIVgo wieku, i zasadza się na urządzeniu *igły magnesowej*, mającej własność zwracania się swym końcem ku północy. Chcąc jednak poznać tę ukrytą siłę magnesu, musimy poznać w ogóle *magnetyzm*.

Magnetyzm wziął swą nazwę od kamienia magnetyzowego t. j. rudy żelaznej ciemno-szarego koloru i połysku niebieskawego lub czerwonego. Kamień magnesowy, znajduje się w obfitości szczególnie w okolicach północnych, w kopalniach żelaza Szwecyi i Norwegii, w środkowych częściach gór Uralskich, w Anglii, w Tyrolu, w Saksonii i Czechach.

Własność magnesu jest przyciąganie żelaza, co już staro-

żytni Rzymianie i Grecy dopatrzyli. Pliniusz tak opisuje wynalazek magnesu:

„Pewien pastérz nazwiskiem *Magnes*, pasąc owce na górze Ida w Małej Azji, spostrzegł, że koniec żelazny jego laski i gwoździe jego obówia, tajemną siłą przylegały do twardego gruntu, tak, że z niejakim trudem odrywać je musiał. Badając powód, znalazł kamień, który przyciągał żelazo, i ten nazwany był później od jego nazwiska magnesem“

Opis ten daje nam poznać charakter starożytnych, pragnących nadać tajemniczość wszelkim rzeczom dla nich nowym. Magnes bowiem niema własności przyciągania pozostając w gruncie, lecz nabywa ję dopiero po wydobyciu, gdy czas pewien zostaje pod wpływem powietrza. Właściwiej nazwa magnesu pochodzi od Magnezyi, miasta w małej Azji, w okolicy którego magnes znajduje się w wielkiej obfitości.

Magnes przyciąga żelazo, o czem łatwo przekonać się, zbliżywszy go do igły, pióra stalowego lub innego drobnego wyrobu żelaznego. Położywszy taki wyrób żelazny na papierze, taflę szkła lub cienkiej deseczce, i gdy pod nim wodzić będziemy magnesem, to posuwać się on będzie w kierunku widzianym przez magnes. Siła zatem magnesu działa i przez inne ciała, a tylko przez blachę żelazną, nie możnaby podobnych poruszeń dokonać.

Powyżej rzeczona siła magnesu, dozwalała dawniej sztukmistrzom zadziwiać nieświadomych, okazywaniem pływających stosownie do ich rozkazu blaszanych łabędzi, lub innych sztuk tąż siłą odbywanych.

Jeżeli podłużny kawałek magnesu, włożymy w opilkę żelazną, ujrzymy je przyciągnięte w ten sposób, że dwa jego końce przeciwne, będą niemi oblepione, ku środkowi mniej, a w samym środku zupełnie ich nie będzie. Dwa te końce magnesu zwane są *dwoma biegunami* (północnym i południowym), Jeżeliślibyśmy przecięli ten magnes na dwie połowy, wówczas osobno każdy z tych kawałków będzie miał takie bieguny, czyli największą siłę przyciągania okazywać będzie na końcach, a w środku żadną

Jeżeli zawiesimy magnes przez środek przewiązany nitką i inny do niego dotkniemy, to przekonamy się, że zetknięta biegunami przeciwnymi (t. j. północny z południowym) przy-

ciągają się; zetknięte podobnemi (t. j. dwa południowe lub dwa północne), odpychają się.

Stąd powstała naukowa zasada, że w magnesie *bieguny przeciwne* przyciągają się wzajemnie — *bieguny podobne*, odpychają się.

Jeżeli do magnesu dotkniemy igłę i takowa przylgnie do niego; to do téj igły możemy przyczepić inną, wprzód o magnes potartą, i tak utworzyć rząd igieł bez końca. Każda bowiem z tych igieł dotknawszy się magnesu, staje się sama magnesem, posiada siłę przyciągania i udziela ję innym żelaznym przedmiotom. Żelazo ma w swém łonie także siłę magnesową, lecz bezczynną, jakoby uspioną; zbudzona dotknięciem magnesu, nabywa wszystkich jego własności, a nawet dwóch biegunów kierujących się zawsze ku północy i południowi.

Chcąc zatem uczynić sztuczny magnes, potrzeba sztabkę żelaza potrzebować około 30 razy jednym końcem magnesu, a następnie odwrotnym końcem potrzebować drugi koniec téjże sztabki; i tym sposobem utworzy się sztuczny dość silny magnes, mogący 30 do 50 razy tyle unieść, ile sam waży. Magnes przez takie magnesowanie żelaza, nie traci nic ze swęj siły, bo ję *nie udziela*, tylko obudzając ją, zmusza do działania.

Jeżeli igłę magnesową zawiesimy na nitce, tak, że dowolnie będzie mogła pływać w powietrzu, to po wielu obrotach zatrzyma się, zwrócona jednym końcem ku południowi, drugim ku północy.

Ta zadziwiająca własność magnesu daje się spostrzegać na wszystkich punktach naszej ziemi, w górach i kopalniach, i ona to bezwątpienia zawiera się w łonie samęj ziemi. krzyże żelazne na kościołach obrócone w kierunku igły magnesowęj, a także narzędzia w warsztatach ślusarskich, zamieniają się z czasem w magnes przez magnetyzm ziemi naszej. Własność ta magnesu podała myśl urządzenia kompasu, według którego żeglarz wśród dnia pochmurnego lub ciemnej nocy, mógłby kierować biegiem okrętu, wiedząc na pewno gdzie północ, a tém samém i inne strony.

Wynalazek kompasu przypisują powszechnie uczonemu w Neapolu, Flavio de Milfi w r. 1302. Nie ma jeszcze historycznej pewności, czyli nie Chińczycy są właściwymi wynalazcami kompasu? Według dawnych dowodów piśmiennych, misjonarz Marcus Paulus przywiózł kompas z Chin r. 1260.

Tenże miał twierdzić, że Chińczycy podówczas nie wkładali igły magnesowej na sztyfcik, jak u nas, lecz tylko osadzali ją na kawałku korka, który dostatecznym jest do utrzymania igły pływającej na wodzie. Kierunek który wskazywała, był jej magnetycznym południkiem: To urządzenie przy prostocie swojej, nadzwyczaj jest trafne, gdyż woda ciągle na wszystkie strony równy poziom utrzymuje.

Dziś żeglarz z kompasem śmiało przebywać może obszerny ocean we wszystkich jego kierunkach, z zupełną pewnością, że na tym bez granic prawie obszarze, nie zbłąka się ani na chwilę, nie zboczy z drogi którą płynąć zamierzył. Śmiałym też żeglarzom winniśmy liczne odkrycia dotąd dokonane. Portugalczycy przełynęli ocean Atlantycki, odkryli Azorskie i Kanaryjskie wyspy, zwiedzili zachodnie brzegi Afryki, wynaleźli drogę morską do bogatych Indyj; Kolumb odkrył Amerykę; Magelan odbył podróż na około ziemi, i zawiązał stosunki handlowe z najodleglejszymi częściami ziemi. Wskutek tego otrzymujemy kawę z Zachodnich Indyj, herbatę z Chin i Japonii, bawełnę i ryż z Indyj Wschodnich, cynamon z wyspy Cejlon i wiele innych przedmiotów handlu morskiego, dających nam zdrowie i uprzyjemniających życie.

St. Gargulski.

XII. Opisanie miejsc.

I. Powierzchnia kuli ziemskiej.

Wyszedłszy w pole, widzicie koło siebie okrągłą równinę która napozór się styka z niebem. Tu i owdzie wioska bieleje tam jezioro i strumyk łąki przerzyna; jeden przed wami wznosi się pagórek, czyli, jak wy go nazywacie, góra; nad nią gaik i bliżej ogrody miejskie. Już to cała ziemia? Bynajmniej. Ojciec wam powiadał o różnych miastach, np o mieście Warszawie, a tego miasta w polu nie widać; więc ono gdzieś dalej za tą okrągłą równiną być musi. Idźmy dalej o staję, o dwa, trzy staja — jeszcze nie widać Warszawy, ale wioska zdaleka jakby z ziemi wyrasta, wierzchołki drzew widzicie i kilka dachów, i gniazdo bociana bystre oko dojrzy, ale ani okien, ani drzwi, ani płotów. Czemuż to? Może niżej są położone, jakby

na spadzistym gruncie? Tak się zdaje. Dojdźmy do tej wioski; uważacie, że droga jest prosta i równa, że się idzie po niej jakby po podłodze. Czemuż tedy odrazu nie widać całej wsi od dachu aż do progów? To pytanie nas naprowadzi na ten wniosek, że ziemia w całej tej przestrzeni, choć nieznacznie, wypukłą być musi. Ale to samo każdy podróżujący wszędzie uważa, najchętniej zaś na morzu. Zrazu nic, tylko woda w około okrętu, tak daleko jak oko sięga; nad okrętem czyste niebo. Za chwilę siedzący w koszu masztowym majtek krzyczy: „okręt!“ Wyciągasz szyję, wlepiasz wzrok w tę stronę, którądy okręt ma przybyć; naciągasz oko i nic nie widzisz. Czy się majtkowi marzyło na jawie? Za chwilę jakaś kropka ciemna posuwa się ponad wodami, dalej coś nakształt tyczki wyrasta z wody, poznajesz, że to chorągiewka. Czy wojsko jakie po morzu chodzi? Znów za chwilę, gdy naciężone oko z łez otarłeś, widzisz koło tyczki kilka kręsek ukośnych—to liny, ale cienkie jak szpagat. Teraz druga i trzecia tyczka się wznosi, i teraz płótno się bieli. Poznajesz, że to żagle i maszty okrętowe. Gdzież okręt i ludzie? Jeszcze za wodą. Dopiero za chwilę cały okręt nad pianą morską się okaże, i liny i bandera i tył, działa po bokach, i na koniec załoga, czyli ludzie na okręcie będący. Niepodobna, rzekniesz do siebie, żeby całe morze było jak podłoga, albo lustro równe wprost i wszecz, bo widziałbym odrazu cały gmach okrętowy. Musi być jak ogromny bąbel na podobieństwo tych, co dzieci z mydlin wydymają i puszczają. A tak jest w istocie, ziemia ma powierzchnię kulistą.

Gdyby kto mógł stanąć na cztery tysiące mil od ziemi, to jest, o wiele wyżej niż obłoki, ten na kuli ziemskiej nie dostrzegłby ani drzew, ani miast, ani gór, ani jezior, tylko widziałby ogromną tarczę i na niej kilka wielkich plam. Te plamy są części ziemi: Europa, Azja, Afryka, Australia. A gdyby się owa tarcza w przeciągu jednego dnia obróciła, wtedyby podobny był widok na odwrotną stronę, ale tylko jedna wielka podłożna plama, to jest Ameryka.

2. Łą d.

Stały łąd, jeżeli jest bardzo wielkiego obwodu, nazywa się częścią ziemi, jeżeli mniejszego — wyspą. Wystająca część

ładu, zewsząd prawie wodą otoczona, jest półwysep, a koniec górzystego pasma zowią nosem czyli przylądkiem. Rafy są skały mniejsze, wystające z wody; mialczyzna — miejsce, gdzie morze ma kilka stóp głębokości, a zatem okrętów nie uniesie.

Rzadko kiedy na stałym lądzie widzimy równiny doskonałe; ziemia mniej więcej wznosi się nad poziomą równiną, tworząc wzgórza, pagórki, góry i pasma gór. Pasma gór porzeżywane bywa rozmaitemi dolinami, wąwozami i przejściami, które, od grzbietnej linii zacząwszy, spuszcza się po bokach, jak żebra, i źródłom i strumykom bieg wskazują i nadają. Linia grzbietna dzieli wszystkie wody, co z gór spadają, na dwie części, które w odwrotnym od siebie kierunku spływają. Największa góra jest (Montblanc) Biała Góra w Alpach Szwajcarskich, a na całej ziemi najwyższa jest w Azji pod nazwą Dawaladżir, wznosząca się w górach Himalajskich aż do 26,000 stóp nad morzem.

Podług wzniesienia się nad powierzchnią morską, dzielą się kraje na niziny, wzniesione płaszczyny i górzyste kraje. Niziny najwięcej do 500 stóp nad morzem się wznoszą, niektóre są równe z morzem, nawet niższe od niego. Północne strony ziemi największe mają niziny po części błotami okryte, ale i puszcza piaszczysta Sahara, zdaje się, iż była dawniej dnem morskim, tak jest równa i nisko położona. Rozciąga się ona do 200 mil i prawie tyle wszcz.

Tu i owdzie porozsypywane zielenieją się wśród piasków kępy, jakby wyspy na morzu, nazwane oazy. Zwykle w tych miejscach znajduje się źródło, które żywi drzewa i trawę, i stacyją bywa dla podróżujących kupców, pielgrzymów i dla koczujących krajowców. Jednemu człowiekowi niepodobna jest przebyć puszczy. Zbiera się zatem w najdogodniejszej porze liczne kupeców i innych podróżnych towarzystwo, karawaną zwane, opatruje się w namioty, żywność, towary i t. p. Napędzają wodą swoje burdziuki, czyli worki skórzane i wszystkie wkładają na wielbłądy.

W czasie podróży widać tylko jasne niebo i niezmiernie piasków i głazów obszary; a powietrze, afrykańskim skwarem rozpalone, napędza się kurzem i piaskiem powstającym z całej puszczy. Oddech się tamuje, utrudza, wiatr tumanami kurzu powietrze ómi jakby mgłą, a często unosząc

wielkie piasków słupy i pędząc je z szybkością wichru po równinie, usypuje znaczne pagórki piasku, skoro zwalniając w swym pędzie, już nie jest dosyć silny, aby unosił te zaspę piaskowe. Biada podróżnym, gdy się do nich zbliżają straszne olbrzymy ruchome, ani człowiek, ani koń, ani wielbłąd nie zdążą uciec przed taką pogonią. Czasami całe karawany, tym sposobem zasypane, po kilku latach znaleziono. Wiatry zwały z nich piaski, i dawny szlak pokryty jest bielejącymi się kośćmi i zeszlęmi trupami. Podobnie niejedni giną w puszczech od wiatru nazwanego Samum, który gorącym kurzem napędza powietrze, iż oddychając niemi, człowiek i zwierzę bez życia pada. Przeczuwają to wielbłądy i na ziemię się kładą, nurzając w piasku nozdrza swoje, póki Samum nie minie.

L. Rogalski.

3. Góry Tatry.

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskim powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, uczucia, na całą istotę człowieka. Zdaje się, że przyroda rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzieindziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłym zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiedy uchylał się, a wówczas powitała nas z boku jakaś rozkoszna dolina, jakaś góra naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka, rzeczulka grająca wiecznym szumem, głuchym jak z przepaści. Minęliśmy Niebieską Dolinę, polany Głudową i Klinkówkę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi.

Naraz ujrzelśmy się na polanie, zwaną Łysą, przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna. Dokoła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami ocienione, wyżej ciemne — płaczącem się kozodrzewem, a jeszcze wyżej — nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwie nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przypruszoną śniegiem, stał tu jak odzwierciedlenie.

Pojrzałem dokoła! Setne wąwozy rozbiegały w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie; obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzyć w tobie, olbrzymi grodzie przez samego Twórcę zbudowany!

Od Łysiej polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż po pod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilku laty było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jednym z wód zwanych Cieplicami, że w czasie najcięższej zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątej zatrzymaliśmy się dla posiłku. Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności, trudno sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda górską trawą dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce, gdzieśmy popasali, była to mała równinka; za Białką, na uboczu góry, leżała polana Białowoda; na południe szła droga ku morskiemu Oku; od zachodu mieliśmy dolinę Roztok z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z pięciu stawów i wpada do Białki, tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce; dolina wązka i głęboka na kilkaset sążni, jej boki spadziste aż do samego potoku, łoże podnoszące się za każdym krokiem, ścieżka, z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy spostrzegli, że się znajdujemy na wysokości, na jakiej dotąd nie byłem, przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kozodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej.

Około pół godziny drapaliśmy się pod górę, wydającą się pagórkami kilkunastu kroków, przy ogromie mas dokoła siedzących; cała jej powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęsto krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy weszli, pokazano nam w niezmierniej wysokości dwie dzikie kozy. Gołemu oku wydawały się one

na tle nagich głazów, jak dwie czerwone plamki; dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy, że się jedna pasła a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowanie na to zwierzę; w tém np. miejscu, któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jej uboczu; jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie; kamień, nie zatrzymany niczem dla nadzwyczajnej gór spadzistości, stacza się aż do dołu i płoszy kozy, tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców.

Patrząc na te góry ledwo wierzyć można, żeby je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła, strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności górali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy, pojedynczo. Strzelec, zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry; upatruje stanowisko, zazwyczaj w jakimś miejscu niedostępnym, przyczajają się w skałach i czeka zwierzyny. Wiadomy miłośnik i obyczajów zwierza, najczęściej prędko go ujrzy. Zdarza się, że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści pod jego nogami, wtedy kładzie się na kamienie, połową ciała wychylony nad przepaść, i w tej postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrejsze a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobnym miejscu mgła zaskoczy, a mgły, zwłaszcza na Krywaniu, są tak gęste, że człowiek wśród nich nóg własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności: bo nie pozostaje tylko siedzieć w miejscu i czekać, aż się mgła usunie.

S. G.

4. Morskie-Okno w Karpatach.

Około szóstej stanęliśmy nad Morskim Oknem. To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnej drogi (nie tej, którą myślimy wzięli), jest jednym z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a nie jeden opisuje. Morskie Okno ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody, zamknięta w jeziorze okrągłym, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów; brzegi

sa tam rozległe, a człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dojrzeć nie można; samo jezioro mniejszém wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dokoła otaczają. W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojącej tam łodzi (rodzaj promu) i w pięć wiosł silnie pędziliśmy; wpół godziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; później strzelaliśmy kulami, ale te, przy wszystkich swoich podskokach, nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego Oka jest niezmierna. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi, bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego Oka jest wir wielki. Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, do kocięj podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu jakaś ryba nieznaną im porywała owce, a szczególnie czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niej ognia, skoro się pokazała, i odtąd już jej nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego Oka jest rzeczywiście więcej niż szklanna; przypomina to, co wiemy o przezroczystości wody północnych stron Oceanu: na dnie kilkunastosążniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnymi widzenia, odznacza się okolica Morskiego Oka. Pierwszym jest jezioro zwane Czarny Staw. Leży ono we wschodniej stronie Morskiego Oka, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu wyższém, mniej więcej o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego Oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego Oka.

Od południa znowu stoi góra skalista, Mnich zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo siedzącego zakonnika z odrzuconym kapturem, a dłuższe wpatwienie się daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Nie wiele wód zewnętrznych zasila Morskie-Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego-Stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem. zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody tworzącej Białkę, każe się domyślać obfitego jej przypływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy, obchodzi dokoła jeziora, i w chwili, kiedy głuźnie w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tém większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rozkoszną tę okolicę. Słoneczna łuna błakała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego-Oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjeźdźnym i pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górami, wsiedliśmy na konie, czekające nas przy Morskiem-Oku i wróciliśmy do Leśniczowstwa tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przeprowadziła.

S. G.

5. Obraz puszczy.

Nie znacie tych puszczy wielkich, jakie ja z lat młodych zapamiętam! Jechałeś dwa i trzy dni ciągle, zanim się wydobyłeś z tych kniei pełnych grubego zwierza, cienia i chłodu, wśród spiekoty letniej. Jakież to był czarowny widok, gdy po zachodzie słońka, księżyc niezakryty chmurą przyświecał! Jakież to fantastyczne obrazy widziałeś, patrząc na olbrzymi cień ogromnych lip, dębów, sosen, jodeł rozłożystych, jaworów i klonów! A gdy zaszedł chmurą, ponury cień nocy otaczał cię wokoło. Wtedy mimowoli nadlatywały ci i roiły się w głowie owe straszne powieści o okrutnych rozbójnikach niesytych złota, a krwi pragnących. I wyglądałeś z trwogą tajemną, czy rychło zpoza pnia olbrzymiego dębu albo sosny, nie ukaże się przerażającej postaci zbrojca, co wywijając maczugą ciężką, obdarłszy ze wszystkiego, coś posiadał, nie zagraża twemu życiu! Ale wśród dnia jasnego inna tych puszczy była postać. Ze skwaru letniego wchodziłeś pod zielone sklepienie olbrzymich konarów, to liściastych kilkowiecznych dębów, rosochatych klonów, jaworów,

gestych lip, płaczących brzoź, to drżącój osiczyny, lub smukłych modrzewi, jodliny i owój domowój sosny. Pierś twa oddychała inném powietrzem: balsamiczna woń rozkoszna, nie paląca żarem, ale chłodząca miłym chłodem, orzeźwiała za każdym oddechem, i biegłeś dalej w tę cudną ustron, co dawała ci nowe życie, co chroniła przed skwarem słonecznym, pod którym pola i niwy były jak step puste. Bo tam żaden ptak nie rozweselił twojego słuchu; nawet przyrosły do miedzy skowronek, pod ziemną grudką skulony, z otwartym dzióbkiem, szukał ochrony przed upałem nieznosnym. A tu w puszczy cień rozkoszny, pełno gwaru i śpiewu. Kos poświstuje, żoła z dzięciołem skaczą po pniach i konarach olbrzymów leśnych, kując w korę, łączą swe głosy; pokrzyk żorawi na wyżarach, świergotanie drobnego ptastwa łączyły się z lekkim szmerem liści, z łomotem łamanych gałęzi w przebiegu sarn, jeleni, niedźwiedzi, dzików i zgłodniałych wilków.

Biegłeś dalej pod coraz cienistsze sklepienia. Puszcza, jeżeli rzedniała, uraczyła cię widowiskiem obszernego jeziora, to łąk bujnych lub błot napoły wyschłych, stolicy czapli, żorawi, kaczek, bekasów i reszty błotnego ptastwa. Z jeziora i z tych błot wyrzywały się tysiącami stada spłoszone, i chmurą zaciemniały słońce, co tu więcej przyświecało, a pokrzykiem zwiastowały swój ciąg gesty, jak chmury.

A dalej wchodziłeś w tajniki puszczy, owe ustronia prawdziwie odwiecznych lasów, gdzie promień słońca od wieków nie mógł się przedrzeć nawet jednym promykiem. Dziwny a cudny to widok! Niebotyczne dęby, potężne sosny z modrzewiem, wybujałe lipy, jawory, klony i olchy, podawały sobie wzajem liściaste i iglaste a zielone wiecznie konary, i tam wysoko, zaledwie dojrzane okiem, opasywały wieńcem swoim ulubioną ustron leśną, strzegąc zimą i latem, aby tej ustroni światło słoneczne nie ogorzało, nie błysnęło nigdy, bo tylko dniowa przymroczone jasność słabo rozwiśnia przedmioty; to też, gdy tu stąpisz, musisz długo wzrok natężyć, zanim przyzwyczaisz go do tej dziwnej ciemni, a szczególny rozwijającej urok dokoła.

Inna tu zieloność, inna tu trawa i mech inny; a chłód tak zimny, przejmujący, jakbyś wchodził w pieczary Ojcowskie albo Olsztyńską jaskinię.

Są to prawdziwie dziewicze ostępy puszczy: tu jeszcze cios siekiery od wieków nie naznaczył żadnego drzewa, tu przemyślny węglarz, ani smolarz, nie okopcił je dymem, tu strzał chciwego myśliwca słabym zaledwie odbije się echem i skona u podnóża tej ustroni, a granie gończych i trąbki łowieckiej zaledwie czasem zoddali rosa na swoich kryształowych kroplach przyniesie, jakby gwar cichy, zmieszany

Cóż to za spokój majestatyczny, jakież chłód lodowy, jakież swoboda oddechu, jakież rozkosz samotności! Napawasz się tym cudownym widokiem, a oczarowany, zdumiony, uroczco czujesz całą pełność, całą poezją życia, jego rozkosz, choć sam jesteś, choć myśli zebrać nie możesz. O! tu każdy musi być poetą, wobec tej ciszy, tego milczenia, które czasem przerywa w górze nad twoją głową szum wierzchołków pochylanych wiatrem i drżących liści! Sam wobec Boga korzysz się przed Jego wielkością, potęgą, w obec obrazu wspańskiego, co go ani okiem nie tak rychło obejmiesz, ani stanie ci dosyć podziwu ku wielbieniu ogromu. Tam nie wiesz, czy stąpić dalej, czy stać w miejscu i przeglądać szczegóły ostępu, coraz więcej budzące zachwytu. Burza zdala nadpływa, daleki grzmot zapowiada ją, a prześwistująca dniowa jasność w ostępie ciemnieje coraz i nagle wokoło noc czarna zapada. Po nad twą głową szum straszny objawia ci siłę wichury, co uderza całą pierśią o wierzchołki olbrzymów leśnych, strzegących ustron wokoło.

Lunęła ulewa, poznajesz ją tylko po szczególnym rozgłosie, bo tu żadna kropla nie pada. Grzmot, jakby stu dział, wtoruje ciągle poświstowi burzy i pluskowi ulewy. Nagle w tej ciemnicy zaczęły migać gdzieś niegdzie ogniki drobne, jak robaczki świecące, błyskawice, co przebić nie mogły zielonego a gęstego namiotu, rozbitego ręką Boga.

A czegoś zadrżał? W górze nie łoskot to grzmotu, to huk piorunu, co przygłuszył i wycie wichru i wszystkie rozgłosy dziwne. Łomot straszliwy, trzask jakby pękających i silną dłonią łamanych, druzgotanych gałęzi; huk okropny, aż zadrżała ziemia pod twemi nogami, aż zatrzęsły się w posadach swoich wszystkie wokoło drzewa, i zaraz płomienisty potok oświeca widnie całą ciemnicę. Spływa on po pniu ogromnego dębu, pruje na nim odwieczną mszystą korę, i jak ognisty wodospad, od wierzchołka do korzeni światłem rażą-

cém, silniejszém, jak promień słońca ogarnia, rozświeca, a po chwili gaśnie. To grom, co uderzył w najwyższego olbrzyma leśnego: on ugiął na chwilę kark dumny, ale zaraz potrzęsął głową, a odrzucił zgruchotane konary; i jęknął zachwiany nieco, patrząc na głęboką bródę w ciele swoim, co mu piorun na długie lata ognistym lemieszem wyorał.

Na barkach wichrowych niesiona płynie dalej burza, okolona wieńcem błyskawic, poprzedzona grzmotem, a co chwila jaśniejąca płomienistym piorunem. Stoisz zdumiały, przerażony; nic nie widzisz, bo ten jaskrawy płomień gromu, co rozkrawał korę dębu, olśnił cię potokiem światła, do którego oczy ludzkie nie nawykły. Słepota chwilowa czarnymi kołami wzrok zaciemnia. Straszna noc wokoło otacza. Huczny grzmot, co nad głową głosi burzę, bicie piorunów w oddali; błyski silne, to zdaje się lekki szmer tylko w porównaniu tego, coś widział i słyszał. Widziałeś o trzydzieści kroków w całej wspaniałości potok ognisty piorunu, co jak wąż klębam światła uściśnął dąb olbrzymi, słyszałeś łoskot, którego na żadnym polu bitwy powtórzenia ucho twoje nie zachwyci; widziałeś siłę tego gromu i zapas z potężnym dzie-dzicem puszczy.

Przewiała burza, a rozbujane wierzchołki szumią jeszcze podą wnemu, i drżą liście jakby z przestrachu.

Zwolna twój wzrok zaczyna rozpoznawać przedmioty; znowu widzi ostęp zaciemniony, prześwitujący gdzie niegdzie dzienną jasnością, i żadnej zmiany nie widzisz, prócz rozrzuconych gałęzi przy pniu rażonego dębu piorunem, i lecących jeszcze z góry zielonych liści. Wychodzisz z ciemnej ustroni: jakież spustoszenie przyniosła burza tej lesistej kniei! Jeziora wezbrały, błota wysuszone znikły, bo je potoki zalewają ciągle; wichura dużo nakładła pokosem starodrzewu, suche ścieżki zmienione w bystre strumienie. Z cisy grobowej przechodzisz w gwar leśny, szum potoków, śpiew ptaków, co się suszą pod promieniem słońca. I zaczarowany, jakby we śnie, przypominasz sobie ten cudowny ostęp, gdzie taka cichość, taka uchrona przed burzą, gdzie drzewa sztydzą z potęgi gromów.

Takie ostępy dziewicze znalazłeś nierzadko w puszczech za mój pamięci, gdzie gonili konno resztki kłusujących łosi,

gdzie polowaliśmy na dziki, wilki i przerzedzone już niedźwiedzie.

Cóż to były za czasy szczęśliwe, co za życie rozkoszne! Jakież ucztę smakowite i wyborne w kniei, usiadłszy w okół ogniska, patrząc na zatknięte na drewnianym rożnie pieczenie sarnie, dziece, lub dzikie ptastwo do hojnej wieczery. Zielony, liściasty dach był doskonałym namiotem, mech i liście, wykwiśniętym łóżem, woda ze strugi smakowitym węgrzynem; a płomień ogniska, nieraz dymnego, zastąpił marmurowe kominki lub kaflane piece, kłoda sosny i dębu wybornie służyła za wygodny fotel. A co za gwar wesoły, jaka ochocza pogawędka, jaka sercowa radość... O! bo wtedy anioł młodości klaskał w białe dłonie z uśmiechem szczęścia, a zasypywał oczy garściami woniejących kwiatów, aby nie patrzyły w przyszłość, nie zawsze radośną, lecz czasami smutną, bolesną i łzawą!

K. Wł. Wójcicki.

6. Odkopalisko Pompei.

W tych dniach oglądałem w okolicach Neapolu rzecz jedną z najciekawszych dla badacza przeszłości — miasto rzymskie przez ośmnaście blisko wieków zagrzebane, które, że tak powiem, powstało z martwych i, wychodząc na powierzchnię ziemi, odkryło nam wiele tajników publicznego i domowego życia u starożytnych narodów.

Pompeja, zasypiana popiołem i żużlami w czasie strasznego wybuchu Wezuwiusza, w 79 roku naszej ery, była prowincjonalnym miasteczkiem. Naprawdę więc chciałbyś w niej szukać takich olbrzymich monumentów, jakich szczątki mniej więcej uszkodzone zostały w Romulusowym grodzie, metropolii pogańskiego świata. Ale za to masz tu przed oczyma wyraźny, dotykany i całkowity obraz rzymskiego *municipium* z pierwszego wieku po Chrystusie.

Wszystko pozostało na miejscu i wszystko (prócz dachów) zachowało się pod całunem z popiołów, lepiej niż mumija egipska w balsamicznym powijaku. Patrzaj! oto stoją świątynie, łuki tryumfalne, trybunały, koszary, cyrk i teatru; oto ciągną się wzdłuż prostych ulic domy zamożnych i liczniejsze domki ubogich, — łazienki, fabryki, karczmy i sklepy! Oto place

ozdobne i fontanny, mur obwodowy z basztami do obrony, a zarazem za północną bramą dwa długie rzędy rzeźbionych grobowców dawny cmentarz miasta, które samo stało się cmentarzem! Na bruku z płaskich kamieni widać jeszcze w kilku miejscach wyżłobiony ślad kół wozowych; po rogach ulic czytasz afisze przed dwudziestu wiekami czerwoną farbą kreślone i donoszące o mieszkaniach do najęcia albo o widowisku teatralnym. Gdzieindziej cieśla i oberżysta polecają się publiczności; tam znów ściana pokryta niezgrabnymi rysunkami swawolnych uliczników

Pośród tych wszystkich pamiątek, brak tylko dawniej ludności. A jednak, choć wokoło pusto i cicho, jesteś pod wpływem tak żywych wrażeń, iż zdaje ci się, że na skrócie pierwszego zaułku spotkasz ludzi ubranych w fałdowane togi, śpieszących na *forum*!

W chwili katastrofy 79 roku, mieszkańcy Pompei, z małymi wyjątkami, mieli czas unieść życie. Najwięcej szkieletów znaleziono w koszarach. Karność wojskowa wstrzymywała zapewne żołnierzy od ucieczki. Po niektórych domach prywatnych odkryte kościotrupy, obładowane były precyzami i pieniędźmi. Widać, że to były szczątki tych, którzy po pierwszej chwili przestanku, wróciwszy z drogi dla zabrania rzeczy najkosztowniejszych, padli ofiarą niewczesnej chciwości, a może i poświęcenia dla dobra rodziny, idącej w świat bez przytułku i chleba!

Dopiero w środku zeszłego stulecia, okoliczni wieśniacy kopiąc doły do sadzenia drzew nad rzeczką Sarno, natrafili przypadkiem na mury Pompei, tak już zapomnianej (mimo listu Pliniusza młodszego), że nawet nie wiedziano dokładnie o miejscu, na którym niegdyś stała. Rząd zakupił grunta i rozpoczął poszukiwania, które uwieńczone zostały najpomysłniejszym skutkiem. Albowiem oprócz archeologicznych i pięknych zabytków sztuki greckiej i rzymskiej w malowidłach, mozaikach i rzeźbach — wydobyto koleją z tego niekniętego składu starożytności mnóstwo skarbów w złocie, srebrze i bronzie. Robota trwa dotychczas, ale niestety! tak żółwim postępuje krokiem, że od stu lat zaledwie odkopano piątą część miasta, składającą się z dwudziestu kilku ulic. Jeżeli rząd neapolitański tym samym trybem ciągnąć będzie dalej poszukiwania, to chyba ósme pokolenie po nas żyjące

zobaczy całą Pompeję. Kto działa powoli, tego głowa nie zaboli (*chi va piano va sano*), mówi przysłowie — i służy za wymówkę lenistwu i opieszałości narodowej.

Po pierwszém wrażeniu, jakie obudza w tobie ten nowy i niezwykle widok zmartwychwstałej przeszłości, najwięcej cię zadziwia wszędy niezaprzeczony ślad dobrego bytu mieszkańców i powszechnego zamiłowania w sztukach pięknych, których dzieła liczą się u nas do rzędu rzeczy zbytkowych, a które w pogańskiej społeczności były (jak się tu przekonujemy) niezbędnym przedmiotem i że tak powiem, chlebem powszednim.

Pompei, było to wprawdzie handlowe (Pompeion, znaczy po grecku: skład towarów), ale małe miasteczko; a przecież w najmniejszym domku podłogi są wykładane mozaiką lub różnokolorowym marmurem; mury zewnętrzne malowane czerwoną lub żółtą farbą, a wszystkie ściany wewnątrz pokryte w mniej więcej piękne obrazy *alfresco*, z których nawet pośledniejsze figurować by mogły w naszych salonach.

Znalezione w Pompei sprzęty domowe, nawet najpospolitsze, jak np. narzędzia kuchenne, mają kształt gustowny, naznaczony piętnem sztuki. Widno, że u starożytnych ludów nawet mosiężnicy i kowale byli artystami, bo na siekierach spotykasz wytworne płaskorzeźby; dziurki durszlaków tworzą prześliczne girlandy, a rączki u patelni, nożów i łyżek kończą się wyrzeźbioną głową ludzką, zwierzęcą lub ptasią. Cóż dopiero powiedzieć o wielkich urnach i dzbanach z bronzu, o trójnogach i kandelabrach, odkrytych w domach bogatych, a które dziś są głównymi ozdobami muzeum burbońskiego w Neapolu! Po tylu wiekach ciągłej pracy na drodze postępu, cywilizacja nasza nic wyższego pod względem formy i pomysłu nie wydała. Codzień więc przekonujemy się, iż rzeźba, już dwadzieścia wieków temu, wypowiedziała ostatnie swoje słowo.

U dawnych Rzymian, życie publiczne górowało nad życiem prywatnym. *Civis romanus* bawił pod rodzinnym dachem tylko nocą, lub w godzinach obiadowych — resztę czasu przepędzał na forum, w świątyniach, w teatrach lub w łaźni. To też w Pompei domy mieszkalne są szczupłe, a budynki publiczne zawielkiego, zdaje się rozmiaru, na obszerność osady i ilość mieszkańców

W najwspanialszej części miasta stoi Forum. Jest to wielki podłużny czworobok, otoczony podwójnymi rzędami kolumn, między którymi (jak wskazują piedestale) stały posągi i popiersia zasłużonych obywateli miejscowych. Ta kolumnada pokryta dachem tworzyła długi portyk do przechadzania się.

Tu radzono w sprawach publicznych, tu była giełda, i znaczniejsze ulice wychodziły na plac ten. Słowem, był to główny punkt zbiegowiska, centrum, obok którego grupowały się wszystkie gmachy niezbędne do publicznego i religijnego życia.

W okół pompejańskiego forum, wznoszą się świątynie: Jowisza, Merkurego, Wenery, Izydy, Fortuny, i najokazalsza z nich świątynia Augusta czyli Panteon; nieco dalej trybunał, więzienie i łaźnia publiczna.

Na kończynach przeciwnej części miasta (tę, która jeszcze nie tknięta rydlem i nad którą ciągną się winne ogrody), odszukując wałowych murów, natrafiono i odkopano cyrk do igrzysk (tę samą formę, co Kolizeum rzymskie), dwa teatry i koszary, wszystko najdoskonalej zachowane. Jak już mówiłem, domy prywatne Pompei (na których progiach widzisz wyryte gościnne napisy *salve i vale*) są szczupłe i na jeden model stawiane. Każdy składa się z dwóch części, od przodu, wokoło kwadratowego podwórka (atrium), mieszkanie dla mężczyzn; od tyłu, wzdłuż czterech boków, innego podwórka ozdobnego w kolumny (peristilium), schronienie kobiet; po za domem ogród (viridarium), z fontanną i statuiami. Pokoje sypialne (cubiculae), salon (exeda), gabinet do pracy (tablinum), jadalnia (triclinium), a nawet kaplica, gdzie stały posągi bogów (sacrarium), są bardzo małe i rzadko opatrzone oknami, światło dzienne wchodziło do nich przez drzwi.

Znaczniejszym domom Pompei ponadawano nazwy znalezionych tamże pamiątek. I tak, jeden zwie się domem Fauna, dla tego, że w nim odkryto piękny brązowy posąg tego opiekuna gajów. Od mozaiki, która przedstawia aktorów w maskach i koturnach, zdających się robić próbę dramatu przed poważnym starcem, nazwano cały budynek domem poety tragicznego; dom chirurga — od znalezionych tam

lancetów i innych narzędzi; dom tancerek — od ślicznych fresków, przedstawiających wizerunki kobiet w najpowabniejszych płasach; dom labiryntu — od mozaiki, na której Tezeusz zabija Minotaura; dom strzelca — od malowanych na ścianach scen polowania i t. d.

Posągi, płaskorzeźby, znakomitsze mozaiki i malowidła, ozdoby kobiece i inne przedmioty ze złota, srebra, brązu i żelaza; amfory, lampy, garnki i tym podobne narzędzia gliniane, i ciekawości starożytne wszelkiego rodzaju, odkryte przy odgrzebywaniu — przewieziono stąd do Neapolu i umieszczono w muzeum królewskim. W Pompei pozostały tylko puste mury, późniejsze mozaiki i ogromna ilość fresków po ścianach.

7. Odkrycie Ameryki przez Krysztófa Kolumba.

Podniecany szczęśliwymi wyprawami Portugalczyków zapal do odkryć, obudził w Genuńczyku Krysztofie Kolumbie wielką myśl odkrycia nowej, zachodniej drogi do bogatych Indyj. Niepewne podania odległej starożytności, bajeczne powieści o cudownych, lecz nieznanym krajach działały twórczo na fantazyję tego znamienitego w dziejach świata męża, i parły jego badawczego ducha ku ich odkryciu a pokonaniu stawianych długo wzniosłym jego zamiarom przeszkód. Napróżno ten wielki mąż przekładał plany swój ojczystej Genui, Portugalczykom i Anglikom, wzywając ich pomocy — nazwano go marzycielem i awanturnikiem. Dopiero Izabella Kastylijska, uszczęśliwiona zdobyczą Grenady, powierzyła trzy okręty śmiałemu żeglarzowi, zapewniając mu, w razie uwieńczonej szczęśliwym skutkiem wyprawy, godność wielkiego admirała i wice-króla we wszystkich krajach i wyspach, jakiego odkrył, a nadto dziesiątą część dobytku z nich dla niego i potomstwa jego. Dnia 3 Sierpnia 1492 r. opuściła mała flota Kolumba przystań Palos w Andaluzji, i obok wysp Kanaryjskich popłynęła ku zachodowi. Obawa załogi okrętowej wzrastała z każdym dniem w miarę oddalenia się od brzegów hiszpańskich, i przeszła na koniec w otwarte przeciw wielkiemu sternikowi powstanie. Już groziła mu śmiercią przywiedziona do rozpacz załoga, jeżeli nie zechce powrócić, gdy nagle niespodzianym odkryciem

wyspy Guanahami (nazwanéj odtąd San-Salvador) uradowana, u nóg swego wielkiego przewodnika szukała przebaczenia. Znaleźli tam Hiszpanie żyzną krainę zajętą przez ludzi dzikich (nagich), miedzianej barwy ciała, którzy, nie przeczuwając nic złego, spoglądali spokojnie na zajęcie wyspy przez nowych przybyszów w imieniu króla hiszpańskiego, i co mieli najlepszego, chętnie podawali wzamian za próżne błyskotki i bawidła; ale nie znaleziono tam, ani na odkrytych niebawem dwóch większych wyspach Kuba i Hayti (Hispaniola i San-Domingo), oczekiwanych złota, pereł i drogich kamieni, w takiej jak spodziewano obfitości. Kolumb założył na wyspie Hayti osadę i powrócił do Hiszpanii, przynosząc zadziwionej Europie wiadomość o nowym świecie, nazwanym w błędnem mniemaniu Indyjami Zachodnimi.

Papież nadał Hiszpanom, uroczystym aktem darowizny, wszystkie kraje, jakieby o 370 mil od Azorów na zachodzie odkryli.

Następnie podjął Kolumb jeszcze trzy podróże do Nowego-Swiata, odkrył kilka wysp (Jamajka i inne), a w końcu północno-wschodnie pobraża Ameryki Południowej. Wszelako odkryta przezeń nowa część ziemi nie nosi jego miana, ale po Ameriku Vespucii z Florencyi, który ją pierwszy opisał, nazwano ją Ameryką. Kolumb zaś doznał losu, który zwykle geniuszom towarzyszy. Gdyby twórca wielkiego dzieła nie znalazł nagrody w własnym przekonaniu, wdzięczność świata nie pobudziłaby go nigdy do przeprowadzenia własnego pomysłu. Osadnicy na wyspie Hispanioli popadli między sobą w niezgody, tudzież w zatargi z ciemieżonymi i katowanymi przez nich krajowcami. Kolumb nadbiegł dla przywrócenia porządku, ale chcąc winnych ukarać, oskarżony był przez nich i spotwarzony na dworze hiszpańskim, gdzie, jako cudzoziemiec, mnogich liczył nieprzyjaciół. Ferdynand nie tyle już życzliwy wielkiemu mężowi, ile Izabella, wysłał dla rozpoznania téj sprawy urzędnika złośliwego, króro śledztwo swe rozpoczął od złożenia Kolumba z godności namiestnika, i okutego w kajdany do Hiszpanii odesłał. Cała Europa oburzyła się na wiadomość o tém okrucieństwie; zdjęto wprawdzie żelaza z wielkiego sternika, ale nikt nie pomyślał o dotrzymaniu mu poczynionych obietnic. Zawistni Hiszpanie ścigali go i braci jego; a gdy ostatnia je-

go wyprawa, z powodu burzy i nieprzyjacielskich kroków buntowniczej zgrai osadników hiszpańskich, niepomysłny koniec wzięła, złożono go z wielkiego urzędowania; poczem w mieście Valladolida, bolejąc nad niewdzięcznością świata, niebawem życia dokonał. Zwłoki jego przewieziono później na wyspę Kubę wraz z więzami, w których go do Hiszpanii odesłano, a które temu wielkiemu mężowi, na własne jego żądanie, syn jego Diego włożył do grobu.

8. Wilanów.

Piękny z położenia, głośny z dzieł sztuki i pamiątek historycznych Wilanów, lichą był wioską Milanowem zwaną. W księgach metrycznych Mazow pod tyt. Varsavia czytamy: iż Jan, książę na Wiznie i Zakroczymiu, wynagradzając usługi walecznego żołnierza Stanisława de Strzelczykowo, nadaje mu 1377 r. wsie Milanowo i Ranczaje. Darowiznę tę potwierdził ks. Bolesław, a Milanów stał się gniazdem rodziny Milanowskich. Jan III upodobałszy sobie blizkie włości téj okolice, biegiem Wisły ożywione położenie, nabył ją 1677 r. z przyległościami: Powsinem małym i Zawadami od Milanowskich za 35,000 ówczesnych złotych. Jan III główniejsze względem założenia pałacu i ogrodu wydał rozporządzenia, sprowadzeni zaś z Włoch biegli w budownictwie, rzeźbiarstwie, snycerstwie mistrze, jeli się do dzieła. Niemało także przyłożyła się do niego pomoc ręczna zabranych w poprzednich wojnach, a mianowicie w bitwie Chocimskiej jeńców tureckich. Odtąd stawszy się miejsce to ulubionym króla po trudach panowania wypoczynkiem, codzien światniejszą zaczęło przybierać postać. W krótkim przeciągu czasu ujrzano tam, gdzie dawniej piaszczysta zalegała wydma, wzniesiony okazały pałac, wewnątrz i zewnątrz zaalpejską jaśniejący sztuką; ujrzano i wszelkiemi ozdobami lepszego smaku zachwycający ogród, w którym niejedno drzewo, ręką bohatera sadzone, drogą obrońcy chrześcijaństwa dochowuje nam pamiątkę. Wtedy to dawne włości nazwisko Milanów, na włoskie Villanuova, spolszone zaś na Wilanów zamienione zostało. Nad główném wnijsciem do pałacu położony napis: „Quod vetus urbs, coluit, nunc nova villa tenet“, ściągą się do nadobnych sztuk w dawnym Rzymie czczonych, a obecnie przez artystów włoskich nad brzeg Wi-

sły przeniesionych. Dla zaokrąglenia nowej posiadłości, dokupił król Jan niektóre części na Służewie, Wolicy i Powsinie większym. Dzień 17 czerwca 1696 r. okrył Polskę żałobą, w tym bowiem dniu między godziną 8 a 9 wieczorem zakończył tu życie wspomniony monarcha. Majętność Wilanowska dostała się najmłodszemu z jego synów Konstantemu, który wraz z bratem swoim Aleksandrem przyjmował tu, 12 stycznia 1698 r. z wielką okazałością Augusta II po koronacji z Krakowa do Warszawy pośpieszającego. Od królewicza Konstantego nabyła klucz Wilanów 1724 r. Helena z Lubomirskich Sieniawska, wdowa po Adanie Het. W. K. Kaszt. Krak., następnie odziedziczyła jej córka, małżonka Augusta Czartoryskiego Wdy Rusk., córka zaś ich Izabella wydana za Lubomirskiego Marsz. W K. otrzymała w posagu dobra Wilanowskie. Na błoniach ciągnących się ku Czerniakowu odprawił się 1732 r. sławny tak zwany kampament. August II urządzając wojenne widowiska, przemieszkował w Wilanowskim pałacu, poczem przeniósł się pod Czerniaków do budynku kształtnie wśród namiotów żołnierskich przyrządzonego. Obroty wojenne trwały od 18 sierpnia do 3 listopada.

Tymoteusz Lipiński.

9. Carskie Sioło.

Carskie sioło, miasteczko z 1,000 mieszkańców o 22 wiorst od Petersburga odległe, leży na południe tej stolicy, niedaleko pagórka zwanego Dudorowskim. Pierwszy Piotr Wielki wznosił tu kilka budynków dla żony i dla siebie, założywszy też ogród, lecz cała stąd wynikła osada zwała się tylko zwierzyńcem cesarskim, póki w 1716 roku nie wybudowano tu kościoła. Wtenczas nowe miasteczko Carskiem Siołem nazywać się poczęło. Liceum, gdzie odbierał wychowanie Puszkina, korpus kadetów, obserwatorium wzniesione na pobliskim wzgórzu, którego zbudowanie wiele Rząd kosztowało, a utrzymanie i dzisiaj wielkich nakładów wymaga: czynią już to miejsce godniejszem uwagi. Ale największą jego zaletą i ozdobą jest pałac letni cesarski wzniesiony przez cesarżową Elżbietę w 1744 roku na miejscu murowanej budowy, którą niegdyś Katarzyna I, chcąc przyjemnie zadziwić męża, w jego nieobecności postawić tu kazała. Gmach ten wspaniały, przez Kata-

rynę II kosztownie ozdobiony, był ulubionem miejscem pobytu tej monarchini. Główna budowa bez pobocznych skrzydeł ma 780 stóp długości i 70 okien z frontu. Ozdoby powierzchni niegdyś z rozkazu cesarżowej złożone, gdy przez ostrość klimatu i pożar w 1820 r. straciły dawną swą świetność, teraz tylko na żółto pomalowane zostały. Szczególniej uderza oko przepych wewnętrznych ozdób pałacu. Jeden niewielki salon wysadzony jest cały przeszlicznym bursztynem, który Fryderyk Wilhelm I ofiarował był w darze cesarżowej Annie; inne komnaty wyłożone achatem, jaspisem, perłową macią i innemi drogimi kamieniami.

Sławna jest zwłaszcza dwupiętrowa galeryja ze strony ogrodu, po obu bokach ogromnemi zwierciadlanemi szybami zamknięta. Wyższe piętro opasane jest w około marmurową kolumnadą, zastawione popiersiami, skąd piękny otwiera się widok na ogród i jezioro. Godna jest także widzenia pułkowa kaplica i obszerny park, którego założenie na upornym gruncie kosztowało wiele zachodu. Z licznych pomników, wzniesionych po większej części dla zasłużonych generałów przez Katarzynę II wspomniemy tu tylko piękny łuk tryumfalny, postawiony na drodze do Pawłowska, przez błogosławionę pamięci cesarza Aleksandra I, z napisem w rosyjskim i francuzkim języku: „Moim ukochanym towarzyszom broni“. Carskie Sioło pamiętne jest także w dziejach krajowego przemysłu, jako miejsce, skąd najpierw (9 października 1836) wprowadzono żelazną kolę do Pawłowska, o cztery wiorsty odległości, w późniejszym zaś czasie urządzono dwie inne do Peterhofu i Petersburga.

10. Wybuch Wezuwiusza.

Zwróćmy uwagę na te miejsca, które będąc tłem wiecznego ognia, trawiącego pożaru i topiącego kruszce gorąca, niedostępnemi są dla badającego człowieka. Niezmierzone, żarem napełnione pieczary podziemne, są początkiem wulkanów, czyli gór ogniem buchających. Wulkany zazwyczaj mają kształt kręglasty, i na szczycie otwór lejkowaty, który jest jakby paszczą długiego gardła, miotającego kłęby dymu, ognie, skały, kamienie i t. d. Rozmaite zjawiska, towarzyszące wybuchowi wulkanów, w następnym naoczno świad-

ka opisie wyjaśnię; poprzednio zaś kilka słów nadmienić wypada o wulkanie Wezuwiuszu. Jestto góra 3500' wysoka, położona dwie mile od miasta Neapolu we Włoszech. Nie mając związku z poblizkiem Apeninów pasmem, sama jedna się wznosi wśród równiny Żyzne pola, pagórki winem zasadzone, ogrody i sady wkoło ją otaczają; gęste lasy przeryniają owe niwy i wszędzie porozrzucone widzisz wioski, zamki i miasta.

Najbujniejsza roślinność pokazuje się na zachodniej ku morzu obróconej stronie Zachodni góry spadek lasem zarosły: pusto zaś i głucho jest na wschodnim spadku; głązy i kamienie w tej stronie wszystko pokryły. Będąc świadkiem pamiętnego wybuchu w r. 1794, pewien Anglik taki tego zdarzenia daje opis. Bawiłem właśnie w Neapolu. Dnia 12 lipca o północy uczułem, leżąc w łóżku, znaczne trzęsienie ziemi, które się powtórzyło w ciągu kilku minut. Około 4 z rana ziemia mocno zadrżała. Przypadam do okna i widzę nad miastem grubą chmurę. Cały dzień i całą noc następującą trzęsienia się wznawiały. Dom, w którym mieszkałem, był na trakcie ku Wezuwiuszowi; wyraźnie słyszałem łoskot, jakby grzmot podziemny, wychodzący z pod góry i rozbiegający się ztamtąd ku miastu. W dniu następnym drżenie ziemi stało się okropniejszem niż dotąd. Pręty u żelaznego łóżka mego dźwięcząc zabrzmiały, okienice gwałtownie się pootwierały, a dom cały drżał; okropny łoskot, grzmiąc i wyjąc rozbiegał się pod ziemią, powietrze siarką cuchnące oddech utrudzało. Ustawiczne błyskawice przeszywały powietrze, i zdawało się iż tą razą Wezuwiusz nadzwyczajnym zagraża wybuchem. Jakoż po kilku chwilach przeraził mnie huk, jakby ze stu dział razem wystrzelił. Wrzawa, krzyki, gwar i turkot nagle się wzmogły. Wszystkie ulice ludem napelnione; wszędzie słyhać tę okropną nowinę, że wulkan cały ogniem i płomieniem gore, a morze się wzdyma i podnosi. Tłumy mieszkańców pobiegły na wzgórze zamku Elmo, inne się gromadziły po rynkach i obszer-nych ulicach miasta, które wtenczas odbijały blask ognia, zajmującego całe niebo, i tak były oświecone i jasne, jak od słońca wśród dnia pogodnego. Jeszcze w pokoju będąc i przypatrując się czarodziejskiej scenie, dowiaduję się, iż wszyscy mieszkańcy z domu chwiejącego się powychodzili:

tedy i ja widząc niebezpieczeństwo, opuściwszy dom, udałem się do największego w mieście rynku; i tu tłumy wrzawa, konie, powozy, natłok wielki i powietrze tak duszne i parne, że wkrótce stamtąd przedarłem się do grobli portowych. Przychodzę, wszystkie puste, jakby wymiółł. Powszechnie obawiano się, żeby nagle morza wezbranie grobli i bulwarów portowych nie zalało i będących tam ludzi o śmierć nie przypawiło. Nie obawiając się tego, usiadłem blisko morza na kamieniu, wlepiając ciekawe oko w tę stronę, gdzie prze-razające i wspaniałe zjawisko najcudniejsze wystawiało widoki. Około godziny 11 otworzyło się kilka paszcz ogni-nych, w równej prawie odległości od szczytu góry i posta-wy. Z nich to szerokie pasy gorejące, wolno spływały strumieniem ku morzu. Jaskrawe światło tych strumieni, złożonych z roztopionej lawy, odbijało się w powierzchni spokojnego morza i tak raziło, iż oko moje blasku tego długo zniesć nie mogło, chyba pod zasłoną chustki. Wszystkie te strumienie lawy połączyły się w jedną rzekę, która w obs- szerném korycie blisko milę wzdłuż góry płynęła. Otwory boczne i główny otwór na szczycie góry, razem płynęły i ogniem buchały, miotając wielkie kamienie do niezmierniej wysokości. O północy bardziej jeszcze gorzał i huczał wulkan ogromny. Ciągłe przez dwie godziny ciężko grzmiało we wnętrzościach góry. Natenczas morskie wody, lubo spokoj- ne jeszcze, jednak po kilkakroć wzdłuż portu widziałem we- zbrane, ale znów opadające. Całe niebo było ciemne, wy- jawszy nad górą, gdzie jasność tak wielka panowała, iż wszystkie przedmioty w najdrobniejszych szczegółach można było rozeznąć. O pierwszej godzinie lud miejski trwogą zdjęty, uroczystą odbywał processyję, błagając Boga o od- wrócenie grożącego zniszczenia, o wybawienie od ognia i morskiego wylewu, którego się coraz więcej obawiać zaczę- to. O trzeciej godzinie wybuch ognisty niesłychanej gwał- towności nabywał. Paszcza najwyższa wciąż błyskami strze- lała na wszystkie strony, wciąż gromem huczała, a to z po- wodu, iż znaczna część wierzchołka góry zrywając się, w przepaść ognistą spadła i gardło jęj zawałiła. Ogromne bryły ziemi i skały, ułomy głazów i rozpalone jak węgle ur- wiska i kamienie napowrót w powietrze wyrzucone, z trza- skiem i łoskotem spadały, i z góry straszliwie i szybko się

na równiny staczały, wiele niszcząc i roztrzaskując w pobliżu miasteczek: Somma i Oliano. Zarazem i lawa płynąca z góry tak się weszbrała, iż występując z koryta swego na pół ćwierci mili szerokim progiem, jak wielka rzeka spadała, a w biegu swoim kościoły, klasztory, folwarki, drzewa, mury, trawiącym żarem niszczyła, mocą pędu i ciężkością swoją wywracała, gniotła albo porywając unosiła, lub też w popiół zamieniała. Spustoszywszy znaczny pas uprawnej ziemi, lawa w gruzy i perzynę obróciła całe miasto Torre del Greco, zamieszkane przez 18,000 ludu, ozdobne mnóstwem pałaców i gmachów pysznych. Stąd dalej płynąc bez przerwy doszła do morza i okropnie sycząc jak wąż ognisty, wpływając daleko w morze, zgasła, ostygła i gładem stanawszy półwysp w morze wystający utworzyła.

Już tedy i morze się zburzyło i wałem uderzało o mury portowe. Około godziny czwartej wulkan rozjuszony cokolwiek zwolniał w swoim wybuchu, a lawy zdawało się coraz ubywać. Jasność nad górą coraz malała, i błyskawice przy chwilowej ciemności bez ustanku wężykiem strzelały na każdą stronę, znikając oku, skoro na nowo blaskiem lawy wybuchającej przyémione zostały. O piątej zrana gromy podziemne znów zawyły, a w tym momencie gęste kłęby popiołu, słupami wylatując z paszczy, całą górę ciemnością okryły. Trwoga wszystkich serca ścisnęła, spodziewano się losu miast Pompei i Herkulanum, które 79 lat po Narodzeniu Chrystusa popiołem zasypane zostały i do naszych czasów przez 18 wieków pod ziemią nietknięte, jakby snem śmierci spoczywały. Pan Bóg nie chciał zagłady Neapolu. Wszystkie chmury popiołów nie na miasto lecz w morze spadały. Jeden z tych słupów ogniem burym oświecony nademną przelatując, tak mnie przeraził, że ze strachu stanowisko swoje opuścił. Około siódmego przybywszy do domu, zastałem okno otwarte, a na posadzce, warstwę popiołu na 3 cale grubą. Nadaremnie po południu usiłowałem dostać się łodem do zburzonego miasta Torre del Greco. W dniu następnym zgodziłem łódkę, przepłynąłem zatokę i wysiadłem tam, gdzie było najbliżej do miasta. Wybrzeże smutny wystawiało widok. Mieszkańcy mało co unieść przed zniszczeniem zdołali. Z podziwieniem patrzałem na ogromne warstwy lawy, wśród miasta się wznoszącej i zalewającej ulice.

Wiele ryb nieżywych nad brzegiem morza spostrzegłem, które pewno od gorąca wpadającej lawy zostały zaduszone.

XIII. Życiorysy.

I. Bekfark.

Bekfark (inaczej piszą Bekwark), do ozdoby dworu Zygmunta Starego króla Polskiego należał ten sławny muzyk na lutni. Byłto osobiwszy talent w swoim zawodzie; dostąpił też zaszczytu niemałego, bo imię jego w przysłowiaach krajowych dwa z górą wieki przetrwało.—„Nie każdy weźmie po Bekfarku lutnię.“—On lutnią rozweselał smętne godziny Zygmunta Starego, a *Bona* zwała go swoim Amfionem. Z lutnią też w rękę umarł. Wśród dnia gorącego, w południowej dobie, w swojej komnacie przygrywał na lutni i śpiewał. Nagle głos jego ustał, nie skończył zaczętej pieśni, bo zmarły słowa w zsiadłych ustach, a lutnia jego pierwszy raz niesforne wydawszy tony, z martwych wypadła rękę. Tak skończył ten wielki muzyk, podziw współczesnych, śmiercią zaiste łabędzia, bo w konaniu uczucia serca wierną powierzywszy lutni, zmarł śpiewając. Jan Kochanowski pamiątkę jego we „Fraszkach“ zachował.

2. Jan Kochanowski.

Jan Kochanowski, Wojski Sandomierski herbu korwin, urodził się w wiosce ojczystej Siczynie r. 1532. Ojca miał Piotra Sędziego Ziemskiego Sandomierskiego, matkę zaś Annę z Białaszowa Odrowążównę, niewiaśc wielce cnotliwą i osobiwszemi zaszczyconą przymiotami. Straciwszy przez śmierć ojca w dzieciennym jeszcze wieku, został pod matki opieką, wspólnie z bracią, których miał pięciu. Początki nauk w własnym kraju wzięwszy, z wielką chęcią wydoskonalenia się w nich, udał się wprzód do Niemiec, a potem do Paryża. Tam przez lat siedem do filozofii, języków i innych nauk usilnie przykładął się. Najwięcej jednak czasu trawił na rymotworstwie, do którego osobiwszą miał ochotę. Stamtąd przeniósł

się do Włoch, gdzie zwiedziwszy różne Akademije, w Rzymie i Padwie przez kilka lat przemieszkował. Wielka pod ten czas była tam liczba uczonych ludzi, z którymi poufale przestając, znaczny w naukach pożytek odnosił. Osobliwszą jednak zaszczycał się przyjaźnią Robertella i Manucyusza, obu mądrymi księgami wsławionych w Europie mężów. Znalazł tam i swoich ziomków, ludzi wielce w nauce doskonałych, Jana Zamojskiego, Jędrzeja Patrycyusza, Stanisława Fogelwerka i Łukasza Górnickiego, z którymi w krótkim czasie do najściślejszej przyszedł poufałości.

Powrót jego do kraju sława uprzedziła. Filip Padniewski, biskup pod ten czas krakowski, Kanclerz Wielki Koronny, słysząc o wielkich jego za granicą pochwałach, zaraz go wziął do siebie. Wszystkie naówczas tak prywatne, jako publiczne sprawy łacińskim językiem u dworu traktowano. Osobliwsza Kochanowskiego w tym języku biegłość to sprawiła, iż go Padniewski zalecił Zygmuntowi Augustowi, i urząd sekretarza królewskiego wkrótce wyjednał. Na tym stopniu osadzony, prędko do tej doskonałości przyszedł, iż go nietylko do zjazdów stanu rycerskiego, ale też i do postronnych Panów w różnych poselstwach wysyłało.

Poznawając coraz bardziej piękne serca i umysłu przymioty Padniewski, zaczął go namawiać do stanu duchownego, czyniąc mu w tym stanie prędkiego wywyższenia nadzieję: lecz Kochanowski, który mierność nad wszelkie godności przenosił, dalekim od tego pokazał się. Znał on doskonale, jak wielkiej życia skromności kapłańska dostojność wymaga: przetoż nie czując się być do niej zdolnym, wolał uniknąć tych obowiązków, do których wypełnienia siły swoje niedostarczające być sądził.

Po Padniewskim nastąpił Myszkowski. Ten jako bardziej jeszcze szacował Kochanowskiego, tak mocniej na niego w tej mierze nastawał, nie tylko bowiem probostwa mu Poznańskiego znacznie intratnego ustąpił, ale też i inne duchowne prebendy u króla dla niego wyjednał. Przyjął je wprawdzie Kochanowski, bardziej w tém dobroczyńcy swego, niż swojej woli dogadzając, na to jednak żadną miarą nie chciał się nakłonić, aby święcenia kapłańskie chciał przyjąć.

Nie bawiąc potem zdjęty chęcią życia w swoim biskupstwie spokojnego, Myszkowski oddalił się od dworu. Kocha-

nowski też stęskniwszy sobie życie dworskie, i równie spokojności pragnąc, umyślił prywatne w swym domu życie prowadzić. Utrzymywał go król przy sobie różnemi sposobami: naznaczył mu rocznej ze swojego skarbu płacy, pod tamte wieki dość znacznej zł. 1200, ofiarował mu wiele znacznych prelatów: nadto postarał się, iż go Siecichowskim opatem obrano, ale on, nieporuszony w swoim przedsięwzięciu, i z tych które już miał dochodów duchownych wyzuwszy się, powrócił do wsi swojej Czarnolesia. Tam niedługo mieszkawszy, Annę Podłodowską, urodzeniem i pięknymi obyczajami zaszczyconą panią, pojął za żonę.

Dowiedziawszy się o tém Kochanowskiego postępkach Jan Zamojski, nie mógł znieść na sobie, aby człowiek tak wielki miał w prywatnym kątku zagrześć swoje rzadkie przymioty: przetoż wyrobił dla niego u króla kasztelaniją połaniecką i przywilej mu na nią odesłał. Podziękował obudwom Kochanowski za łaskę, ale honoru nie przyjął, mieniąc iż przestając na miernych dochodach, nie chce do domu swego wpuścić dumnego i wiele potrzebującego Kasztelana, który przez zbytki swoje prędkoby to wszystko przemarnował, co zebrał Kochanowski.

Tem się on w rzeczy od przyjęcia ofiarowanej godności dowcipnie wymawiał: ale prawdziwa przyczyna ta była, że spokojność życia nad wszystko przenosił. Co i stąd się pokazuje, iż gdy wkrótce potem Wojstwo Sandomierskie przyjął, tę dawał przyczynę, iż urząd Wojskiego uwalniając go od wszelkich wypraw i ciężarów wojennych, pozwalał mu w domu spokojnie siedzieć.

Upewniwszy więc sobie od wszelkich przeszkód wolne życie, cały się w rymotwórstwie zanurzył. Prócz tej sposobności, którą z natury miał do niego, tak się w języku polskim wydoskonalił, iż ani przedtém, ani potem równego mu w tej mierze nie mieliśmy. Pierwszy on utorowawszy sam sobie drogę, żadnemu dotąd nieznaną, pokazał to światu, iż i naszemu językowi nie zbywa na tej żywości i wdziękach, któremi się inne popisują. Jakoż szczęśliwa owa w każdej rzeczy opisanu jasność, i miła prostota z gładkością złączona, ten skutek sprawuje, iż taż sama rzecz, choć kilka razy w nim przeczytana, zawsze się podoba. Nie mniejszą i łacińskie jego wiersze, których dość wiele nam zostawił, mają zaletę. Jeszcze za życia jego cudzoziemscy autorowie to mu przyznawali, iż za-

dnego owych czasów nie było poety, któryby go przewyższał. To jednak wyznać potrzeba, iż styl jego, którego w prozie używał, nie zda się nam do naśladowania, ponieważ wiele fragmentów łacińskich mieszał z polszczyzną.

W takim rodzaju życia sobie ulubionego przez długi czas trwając, miał sześć córek i syna. Wszyscy go wielce szacowali, najbardziej sąsiedzi. Najwięksi panowie zaszczycali go swoją przyjaźnią, za którą nieśmiertelną w jego wierszach pamięć sobie zjednali. Gdy w Lublinie przed królem Stefanem miał stawać w sprawie Podlodowskiego, z niezmiernym wszystkich żalem, apopleksyją ruszony, zszedł z tego świata mając lat wieku swojego 52. Pochowany w Zwoleniu w ojczyństym Kochanowskich grobie.

Fr. Bohomolec.

3. S k a r g a.

Skarga (Piotr), sławny mowca i pisarz duchowny polski z czasów panowania Stefana Batorego i Zygmunta Wazy, urodził się w roku 1536 w Mazowszu, w mieście Grodziec, czyli Grodek, z rodziców szlacheckich i z rodziny noszącej dawniej imię Pawęzkich, ale które imię od czasu panowania Janusza ks. mazowieckiego, na Skargę było przemienione. Odbił Piotr Skarga pierwsze swe nauki w akademii krakowskiej, dla której niewygasała do zgonu wdzięczność zachował. Z Krakowa wysłany był do Warszawy dla zarządzenia szkołą tameczną. Tam go poznał Andrzej Tenczyński kasztelan krakowski, i powierzył mu dozór syna swego Jana, jadącego do Wiednia na nauki. Z namowy Tarła, arcy-biskupa lwowskiego, któremu się z wymowy podobał, oddał się Skarga stanowi duchownemu, został kapłanem i kaznodzieją roku 1569, udał się do Rzymu dla słuchania teologii, ale bardziej jeszcze dla powziętego już postanowienia, wstąpienia do zakonu Jezuitów, już od trzydziestu lat w Rzymie istniejącego, a od 5 lat tylko w Polsce. Przyjęty został do Jezuitów od Franciszka Borgia, jenerała zakonu. Po dwóch latach doświadczenia został Penitencyaryuszem na Watykanie, a r. 1571 do ojczyzny powrócił.

Dwa lata później powołany został do Wilna, gdzie Protasiewicz, biskup tameczny, chciał go mieć nadwornym teologiem u siebie.

Wziętość Skargi rosła od roku do roku. U króla Zygmunta w wielkim był poszanowaniu. Cały senat uważał go za swego nauczyciela. Od papieża Klemensa VIII tytułem dobrego ojca był uczczony.

Skarga czynnym był w wymyślaniu wsparcia i pomocy dla potrzebnych. Ustanowił w Krakowie bractwo miłosierdzia, nadto w Krakowie i Warszawie bractwo świętego Łazarza, a wyzebraną na ten koniec u bogatych panów jałmużną szpitale przy nich wystawił i utrzymanie ich nadal upewnił. Chwalebny też jego zakład na wsparcie biednych, pod imieniem: Mons pietatis, sam jeden jużby mógł uświetnić pamięć Piotra Skargi. Skołatany wieloraką pracą, już od lat 10 upraszał u króla i u jenerała swego zakonu, aby go już wysłużonego, od pracy kaznodziejskiej uwolnili, i pozwolili udać mu się na osobność. Roku 1612, otrzymawszy nakoniec żądane pozwolenie, ostatnie miał kazanie na Wielkanoc w Warszawie, w którym zegnał się z królem i dworem, i wszystkich do łez poruszył. Zjechawszy do Krakowa do swego klasztoru, już tylko żył trzy miesiące, codziennie na siłach upadając, przyczem jeszcze jedno kazanie o cierpliwości pisać był zaczął, ale go już nie skończył. Umarł w tymże roku 1612, kończąc rok życia siedmdziesiąty siódmy. Zwłoki jego pochowano w starym kościele Jezuitskim Ś. Piotra w Krakowie, z wizerunkiem na mie-dzi rytym.

Pisma Skargi licznie jedne po drugich za życia jego wychodziły, i kilkakrotnie jeszcze po jego śmierci przedrukowane zostały. Zbiory kazań jego niedzielnych, sejmowych i przygodnych, wyszły na jaw po pierwszy raz w Krakowie między latami 1597 i 1618. Około r. 1604 wydał: Dzieje kościelne, wyciągnięte z dzieła Baroniusza i żywoty świętych. Pisał też Skarga kilka dzieł łacińskich, ale daleko większa część jego pism jest w polskim języku oddana. Z dawnych naszych pisarzy żaden tyle się nie przyłożył do zbogacenia języka polskiego. Jemu winniśmy wiele słów i sposobów mówienia trafnych, wyrazistych i prawdziwie polskich. Prócz zalety językowej w kazaniach Skargi i innych jego pismach niemało jeszcze tam znajdują wszyscy światła.

4. Ignacy Krasicki.

Krasicki przyszedł na świat 1734 r., w jednej z najpiękniejszych okolic kraju naszego, w dzisiejszej Galicyi, w ziemi Sanockiej, dawniejszem województwie Ruskiem, w Dubiecku. Miasteczko to należało oddawna do rodziny Krasickich; miało zameczek drewniany nad Sanem, i w nim urodził się nasz poeta. Zmieniła się od owego czasu postać drewnianego zameczka, lecz pozostały stare piękne lipy, pomiędzy którymi biegał, i piękny widok na San, na lasy i skały.

Rodzice jego, kasztelanowie Chełmscy, jak zwykle wszyscy dobrzy rodzice, chcieli mu dać najlepsze wychowanie. Oddali go do szkół lwowskich. Tam zaczął czytać dzieła klasyczne, nauczające jużto w obcych językach, jużto w swoim własnym. Chociaż od najpierwszej młodości skłonność do poezji objawiała się w Krasickim, i choć w szkołach jeszcze będąc, bardzo zręczne wierszyki nieraz napisał, czuł jednak dobrze, że można wiersze pisać, a nic nie umieć, i że składaniem rymów, bez istotnych wyższych nauk, nie można być dla ziomeków pożytecznym.

A że on być nim pragnął gorąco, pracował więc bezustannie. W czasie wolnym od zajęć oddawał się niewinnym i przyzwoitym z rówieśnikami rozrywkom. Nadzwyczaj go też lubili, bo wesołość, dowcip, a razem miłe i grzeczne ze wszystkimi obójście, jednały mu serca wszystkich.

Dawniejszemi czasy zdarzało się, że rodzice, przez pobożność, pragnęli widzieć dziecię swe w stanie duchownym. Zdawało się im, że ksiądz, lub zakonnik, ściąga błogosławieństwo niebios na rodzinę całą i, żeby stan ten nie wydawał się przykrym, lub niespodziewanym przymusem, od młodocianego już wieku wpajali w dziecko, że przeznaczeniem jego jest stan duchowny. Tak było z naszym poetą. Wiedział on od młodości, że go czeka zawód duchowny, pracował więc gorliwie we wszystkich gałęziach nauk. We Włoszech dokąd go wysłano, skoro we Lwowie skończył nauki, rozwinął się bystry umysł i dobry smak Krasickiego. Wróciwszy do kraju, zwrócił na siebie przychylną uwagę wszelkich towarzystw, w których się ukazał, i wkrótce takie obudził zaufanie, iż kapituła lwowska, w której został prałatem, przeznaczyła go do prezydowania przy try-

bunale, naówczas zwanym Małopolskim, to jest, w dzisiejszem rozumieniu, jakby na prezesa sądów w Małopolsce. Podobna posada stała się dlań nader pożyteczną, przez nią zjednał sobie powszechną cześć, jako urzędnik nieskazitelnej prawości, a przytém poznał wszystkie wady ustaw ówczesnych i nieudolność prawników. W chęci więc korzystnego ich podźwignięcia ze stanu moralnego upadku, wydał dzieło pod tytułem: *Doświadczyński*, w którym wytknął nadużycia, jakie się w wydziale sprawiedliwości popełniały.

Stanisław Poniatowski protegował wszystkich ludzi uczonych, a tym bardziej Krasickiego, dawnego ze Szkół lwowskich kolegę, przy tém człowieka, przewyższającego wszystkich współczesnych. Dał mu kanoniję Warmińską, a wkrótce potem, acz młody wiekiem, ale dojrzały rozumem i zasługą Krasicki, po zgonie biskupa Grabowskiego, za staraniem króla, został biskupem Warmii. I tu zjednał sobie powszechną cześć i uwielbienie, tak dalece, że sławny Fryderyk, król Pruski, starał się o jego życzliwość. Wtedyto najwięcej pisał, dzieła zaś jego były powszechnie czytane. Wiersze, zaledwie wyszłe z pod pióra, licznie odwiedzający znajomi biskupa porywali, a że były świeże, niedrukowane jeszcze, nazywali je nowalijkami.

Ten prawdziwie rozumny i szlachetny mąż, zwany księciem poetów, był pełen skromności i grzeczności. Dostojeństwa, hołdy składane przez rodaków, wielkie względy królów, nie w nim nie zdołało obudzić dumy i próżności; przeciwnie, czując się jakby ich niegodnym, starał się, o ile w mocy jego było, odpłacić za nie wszelkiego rodzaju usługami, pożytecznymi dla ziomek. Czy to jaki spór graniczny, czy jaka inna przyczyna powaśniła szlachtę, on gotów był, nie szczędząc trudów, jechać i swoim taktem i wyrozumiałością pełną słodyczy, tyle starał się wpłynąć, iż zawsze zgodą skończył najzaciętsze spory. Zdaje się, iż za jedyny cel życia miał chęć stania się użytecznym dla spółbraci, których prawdziwie ewangeliczną kochał miłością, gdyż głównie dbał o ich dobro moralne, o poprawę błędów, w jakie przez złe nałogi i brak oświaty wpadali. Pracował nie tylko jako duchowny, nie szczędząc łagodnych napomnień, ale razem jako zręczny, pełen dowcipu pisarz, który żadnych wad nie przebaczał i z bezstronną sprawiedliwością je karcił, jak to widzimy w tak powszechnie znanych *Satyrach* i *Bajkach*,

w których wszędzie tyle zdrowych rad, tyle czystej moralności czytelnik spotyka.

Łatwość wierszowania, wesoły lekki dowcip, którym moralne przestrogi ubarwiał, czyniły jego bajki, satyry i humorystyczne poemata: *Monachomachiję* i *Myszejdę*, nadzwyczaj zajmującymi i zabawnymi. Jak wiadomo, prace Krasickiego nie tylko lżejszego były rodzaju; napisał oprócz tego wiele rzeczy poważnych, naukowych, dla kraju niezmiernie pożytecznych. Tu należą. *Pan Podstoli*, *Historyja* i *Zbiór wiadomości*.

Zacny ten mąż, obok przymiotów rozumu, łączył wszystkie zalety serca: najlepszy syn, kochający brat, moralny religijny i niezmordowany w pracy do takiego stopnia, że jeszcze na kilka dni przed śmiercią mimo, że już był mocno chory, zajmował się pisaniem. Ani wiek, ani cierpienia moralne nie przępiały bystrości jego umysłu, i prace jego ostatnie nie ustępują pierwszym. Z ciężkim żalem rodziny i ziomków, umarł Krasicki roku 1801 w Berlinie i tamże został pierwotnie pochowany, w kościele świętej Jadwigi. Dopiero za staraniem Teofila Wolickiego, arcybiskupa Gnieźnieńskiego, przewieziono zwłoki księcia-biskupa do Gniezna, 26 Marca 1829 roku.

Hipolit Skimborowicz.

5. Żywot i prace Klementyny Tańskiej.

(z dziełka „Czytanie postępowe” p. a. „Wieczorów pod lipą”).

Pan Bóg, przysyłając nas na ten świat ku nauce i wysłudze, naznacza nam pewien szczególny cel, który dla nas staje się powołaniem. Szczęśliwy, kto swoje powołanie odgadnie i należycie je spełni. Do tej liczby wybranych możemy policzyć Klementynę Tańską. Od młodych lat poczuła ona w sobie talent pisarski i zdolność wychowywania dzieci i dopełniła powołania swego z największym pożytkiem dla kraju, bo dzisiaj prawie całe pokolenie dobrych obywateli i matek winno jej swoje ukształcenie (r. 1845).

Urodziła się dnia 23 Listopada 1798 roku, właśnie z końcem ośmnastego wieku, który tyle zepsucia naniósł do Polski. Ojciec jej, człowiek uczony, obywatel i urzędnik gorliwy, po stracie rodziców, urzędu i majątku, usunął się od świata publicznego, i osiadł w zaciszy wiejskiej. W skromnym domku pod słomianą strzechą, przyszła na świat Klementyna i tym lepiej.

Przyzwyczajona za młodu do ubóstwa, nawykła zarazem do pracy, rządności i umiarkowania. Tu, pod okiem cnotliwych i starannych o jej dobro osób, rozwijały się jej uczucia i piękne przymioty łagodności, miłości ku bliźnim i pokory. Szczęśliwy, kto pierwsze lata spędzi na wsi, tam dusza nasza dotyka się Boga bliżej w dziełach Jego, obejmujących nas zewsząd. Na wsi czujemy ciągłą potrzebę opieki i błogosławieństwa Boga; w mieście przeciwnie, człowiek zdaje się sam sobie wystarczać. W mieście i zieloność jak sztuczny kobierzec, drzewo wymuszone, nędzne i okryte kurzem. W mieście choć i zwierzę, to na uwięzi; choć bydło, to w zaprzęgu; choć ptak, to w klatce. Wszystko tam sztuczne, ciasne i prawie nie bożkie. Żałujemy serdecznie tych dzieci, które się muszą wychowywać na bruku wielkich miast. Wiele najmilszych i najwznioślejszych wrażeń zostanie im zupełnie obcych, albo też później nie poruszają serca.

Wszelako i pobyt w wielkiem mieście potrzebny jest do rozwinięcia rozumu człowieka i nabycia wielu pożytecznych nauk. Klementyna, która miała być nauczycielką dla drugich i tę szkołę przejść musiała, choć nie dla nabycia zewnętrznej ogłady i wykwintnych obyczajów, gdyż tego nie potrzebowała, albowiem każda osoba skromna, niewinna, pobożna, już tym samym jest dobrze wychowana i pięknie ułożona. Wszedłszy w wyższe towarzystwo, gdzie zwykle panuje obłuda, udanie i przesada, umiała tego uniknąć, a tylko wciągała w siebie, co było prawdziwie pożytecznem i godnem. Tak się kształć doszła do ośmnastego roku życia swego. Uczyła się najwięcej z francuzkich książek, bo takie było dawniej wychowanie u nas, że więcej dbano o obcy niżli ojczysty język. Szczęśliwy jednak dla niej przypadek zdarzył, że spotkała człowieka z duszą chrześcijańską i polską, który jej nowy świat otworzył. Był to wieszcz narodowy znany z cnot swoich i nauki, Kazimierz Brodziński. Klementyna odczytawszy jego wiersz smętny i palący, pod napisem: *Żal za polskim językiem*, uczuła w sobie żądzę obeznania się z językiem i dziełami polskimi. Od razu więc wzięła się do czytania książek Jana Kochanowskiego, Skargi, Reja, Górnickiego, Krasickiego, Trębeckiego, Woronicza i innych znakomitych pisarzy i niebawem do tej doskonałości przyszła, że mogła je oceniać i piękne o nich myśli swoje wylewać na papier.

Czuając niedostatek książek naukowych i obyczajowych dla dzieci, zaczęła sama pisać w tym zawodzie. Zdawałoby się, że to mała rzecz uczyć dzieci i pisać dla nich, a tymczasem jest to jedna z prac najważniejszych a podobno najtrudniejszych. Celowała w tem Klementyna. Praktycznie zajmując się młodemi krewnemi, nabyła téj trudnej sztuki rozwijania stopniowo zdolności dziecinnych. Słusznie powiedziano, że ten dopiero prawdziwie uczy, kto swój mądrości równie dziecku jak nieukowi udzielić potrafi. *Wiązanie dla Helenki, Rozrywki dla dzieci*, Powieści z *Historii Świętej*, są to tytuły książek, które napisała, i za które dzieci polskie winny jój największą wdzięczność.

Zajmując się dziećmi, musiała pomyśleć także o matkach. Trzeba bowiem wiedzieć, że aby w narodzie kwitnęły cnoty, pobożność, dobre obyczaje i przykłady, niewiasta powinna być dobrze wychowaną, czyli dopełniać obowiązków obywatelki, matki i żony; przeciwnie, gdzie niewiasta jest zepsuta i bezbożna, rodzą się bezbożne syny, za czém i upadek narodu nastąpić musi. I ojczyzna nasza tylko przez zepsucie i bezbożność jój synów, rozsypała się w gruzy jak dom, który podwalin gruntownych nie ma. Tańska pojmowała głęboko te rzeczy, i starała się zapobiedz większym jeszcze nieszczęściom, zwracając myśl swą do matek, którym chciała wlać uczucia religii i powinności chrześcijańskich. W tym celu ułożyła książkę pod napisem *Pamiętka po dobrej matce*, i drugą pod tytułem *Amelija matka*. Widać, że trafiła w potrzebę czasu, że właśnie matki łaknęły tego pokarmu, kiedy pomienioną książkę *Pamiętkę*, ośm razy przedrukowano. Nie spodziewała się wtenczas, że córki polskie, biorąc jój dzieło do ręki, wspominać ją będą, jako dobrą i wspólną ich wszystkich matkę; nie spodziewała się podobnie, w ilu córkach polskich *Żywoty polskich niewiast*, przez nią napisane, obudzą wyższe duchowe życie i do wzniosłych poświęceń zapalą. Nie spodziewała się, ale pragnęła — pragnęła czysto, gorąco i dla tego Bóg jój pracom pobłogosławił. Wiele innych, równie pięknych jak pożytecznych dzieł napisała w swém życiu. Dziecko, doszedłszy lat, w których może już ocenić myśli piękne i wysokie, uczuć trafność obrazów, zając się opowiadaniem szczegółów historii narodowej, powinno wszelkimi sposobami starać się o nabycie książki Klementyny Tańskiej, a przeczytawszy ją,

dopiero uczuje wewnętrzną radość i nagrodę za poprzednie przykładanie się do nauk.

Tak wysokie cnoty Klementyny, jak jój talent i naukę, umiał rząd polski ocenić. W Warszawie skoro tylko założoną została *Szkoła nauczycielek*, zaraz wezwano Tańską, aby wykładała w téj szkole naukę obyczajową; a jeszcze większy dano jój dowód zaufania, gdy ją zrobiono nadzorczynią wszystkich szkół żeńskich w Warszawie. Tak ważne jój zatrudnienie, obok imienia znanego w literaturze, uczyniły dom Klementyny ogniskiem najświetlejszych osób stolicy, a zarazem szkołą dla młodzieży wychodzącej na świat. Życie towarzyskie, wieczne zgromadzenia, zabawy, nawet uczty, wiele mogą się przykładać do rozpowszechnienia światła i ukształcenia obyczajów, jeżeli niemi myśl wyższa kieruje. W rozmowie krótkiej i jasnej człowiek udziela odkrycia i postrzeżenia, nieraz długimi laty prac, poszukiwań i natężenia umysłu nabyte; nareszcie w rozmowie łagodzą się przesadzone wyobrażenia, zuchwałe sądy, a natomiast nabywa się zdań gruntowniejszych. Tańska zgromadzając w stolicy takie towarzystwa naukowe, i sama drugim udzielała swojej nauki, i wynosiła z nich niepoślednią korzyść.

W r. 1829 połączyła się ślubem małżeńskim z Karolem Hoffmanem, mężem znanym z prac naukowych, i znalazła w nim domowego, światłego, a bezstronnego doradcę. Okoliczności spowodowały ją do opuszczenia zawodu literackiego i nauczycielskiego. Wyjechała za granicę, i tam przeniosła cnoty swoje domowe i publiczne. Dla wszystkich zawsze uprzejma, gościnna, przytém pobożna, cichym czynem raczej niż głośnym słowem, jak na niewiastę przystoi, zyskała serca wszystkich. Zdrowie Klementyny zawsze słabe, chyliło się do upadku. Nie ustawała przecież w pracy. Kiedy pióra trzymać nie mogła, jeszcze czytała; kiedy i czytać trudno było, dyktowała. Podróż do Włoch i Rzymu odbyta, zamiast ją wzmocnić na zdrowiu, do reszty osłabiła ciało. Nagle i niepostrzeżenie zgasła w dniu 21 Września 1845 roku, jak gdyby i zgon chciała mieć cichy, i śmiercią samą nie chciała być głośna.

6. Życie mojej matki.

(z pism ks. biskupa Hołowińskiego).

Matka moja urodziła się w Międzyrzecu Koreckim, i otrzymała na chrzcie imię Dominiki. Rodzice jój nie byli ani bo-

gaci, ani ubodzy, mieli sześć córek i jednego syna. Ze wszystkich córek, Dominika dla swój żywości, zostawała w największej niełasce: stąd co dzień strofowania i kary słuszne i niesłuszne sypały się gradem na biedną Dominikę. W szesnastym roku życia uwolniła się od tego, gdy ojciec mój w dożgonne z nią wstąpił śluby. Z początku nie mogła się ona włożyć do gospodarstwa, lecz niezadługo stała się bardzo rządzoną i pracowitą gospodynią. Rok za rokiem pomnażała się familija w domu moich rodziców. Ojciec czując się coraz słabszym i sprzykrzywszy sobie stan służebny, był bowiem ekonomem, a mając maleńki fundusik, rzucił się do handlu drzewem, za poradą swego brata Ludwika. Przeniósł się przeto do wsi Dynesowicze, niedaleko od Czarnoślepo, dla tego handlu, na którym choć sam się nie znał, ale ślepo ufał bratu. Matka od razu spostrzegła zły koniec tego mniemanego handlu; przeto starała się aby odwrócić męża od przedsięwzięcia, albo skłonić do większego wglądania w postęпки brata. Lecz napróżno. Co dzień też szło gorzej a gorzej, aż wreszcie ojciec poznał się na nieszczęrości brata, ale zapóźno: bo cały już fundusz stracił. Z tego powodu osiadł na bruku we wsi Wiacowe, gdzie cały rok ciężko ze zmartwienia chorował, aż wreszcie 1810 roku smutnego dokonał życia. Nieszczęśliwa matka, sama jedna, bez żadnej opieki, była rzucona na ten świat szeroki, mając tylko w towarzystwie biedne sieroty, które jedynie z jej rąk utrzymywania i wsparcia dla siebie wyglądały.

Nie było czasu oddawać się długim żalom, lecz należało myśleć o dzieciach. Opuściła tedy naprzód strony Owrućkie, gdzie nikogo nie miała z krewnych, a przeniosła się w strony Ostroga i Korca, kędy jej familii było gniazdo. Ale i tu kłopot. Któż bowiem przyjmie wdowę z ośmiu sierotami drobnymi? Ledwo jeden Mikołaj, brat najstarszy, mógł się pomieścić w palestrze Ostrogskiej. Trzeba tedy było działwę między ludzi rozdzielić. Był to czas dla niej najboleśniejszy i najcięższy.

Tak miłosierdziu ludzi powierzwszy starsze dzieci, osiadła sama z dzieckiem przy piersiach, ze mną kilkoletnim i najstarszą córką Teklą, przy rodzonej siostrze, która we wsi Sadkach miała kilka chat w dożywociu. Trudne to było położenie; ciotka bowiem nie była zbyt bogatą. Tymczasem, jak na dobitkę, spalił się jej dom i wszystkim trzeba było znowu szukać schro-

nienia. Tekla znalazła służbę w obcym domu, ja wraz z siostrą Krystyną dostaliśmy się niby na opiekę, a w rzeczy samej na służbę bez płaty do ciotecznej siostry mej matki. Lecz na nasze szczęście nie długośmy u niej bawili: gdy bowiem raz matka nasza oburzyła się na sposób, w jaki z nami się obchodzono, wygnała nas złośliwa kobieta. Wziąwszy mnie tedy matka, gorzko płacząc, szła szukać schronienia. Ludzie obcy, ale bardzo poczciwi, przyjęli nas z największym współczuciem.

Zaczęliśmy tymczasem podraść. Nowy kłopot dla biednej matki; postanowiła nas bowiem oddać do szkoły. Modliła się często we łzach do Boga, żeby ją natchnął myślą, jakby mogła swój zamiar przywieść do skutku. Wysłuchał ją wreszcie Bóg, bo jej podał myśl, żeby się przeniosła do Międzyrzecza, gdzie były szkoły, i gdzieby, trzymając na stancyi chłopców chodzących do szkoły, pracą mogła dzieci wyżywić i wychować. Ale strapiona nie miała pieniędzy, żeby mieszkanie nająć. Wtedy córka Tekla przyniosła jej 200 w służbie oszczędzonych złotych i została przy niej do pomocy.

Początek był bardzo trudny, nie znając nikogo, nie mogła sobie dać rady. Lecz wnet i pomyślniejsze zaczęły się czasy: dobra matka mogła już znów zebrać rozproszone działki. Za łaską Boga synowie, osobiwie starsi, najpiękniej się uczyli; i co to była za pociecha dla niej, kiedy przy końcu roku na publiczném zgromadzeniu dawano Antoniemu i Janowi nagrody.

Ale nagle wielki smutek spotkał niebogą wdowę. Szesnastoletnia córka Eleonora, zaręczona już z poczciwym i zamożnym dość młodzianem, umarła. Ileż stąd strapienia! Synowie jeden po drugim kończyli szkoły i szli na akademię do Wilna. Pozostała tylko sama z Teklą i chyba wtenczas radość była, kiedy które dziecko przyjechało. Był to prawdziwy gwałt wykrzyków radości!

Wkrótce Bóg postanowił ciężko doświadczyć ubogą wdowę: zabrał jej dwóch synów i córkę Teklę, prawą jej rękę. Okropnie było w ubogim domku! Najstarszy syn Mikołaj umarł w Kijowie, najmłodszy Gabryel na polu bitwy, za nimi poszedł do Boga czysty duch Tekli. Ledwo wyrosły w górę piękne latorośle, a zaraz uschły. Jakaż to boleść dla matki!

Wreszcie pozostałym synom lepiej zaczęło się powodzić: sprowadzili do siebie matkę, już ją sami utrzymywali, o wszystkie jej wygody się starali. Cieszyła się cnotliwa staruszka, cie-

szyli się i synowie. Ale inaczej Bóg zrządził, zesłał bowiem na nią chorobę piersiową, by ją jeszcze doświadczyć jednem cierpieniem, by jeszcze więcej sobie na niebo zasłużyła. Cały rok najokropniej cierpiała, lekarze nic pomódz nie mogli. Widziała śmierć przed sobą, zdała się przeto na wolę Boga i mówiła: „Dosyć żyłam z wami, muszę pójść do męża i do drugich dzieci moich, a potem połączymy się wszyscy.“ W ostatniej chwili życia, przy wielkich cierpieniach, błogosławiła wszystkie swe dzieci nieobecne, a Jana, będącego przy niej, już zimnemi rękoma do siebie tuliła; potem zatopiła się w modlitwie do Boga i wymówiwszy wyraźnie: „Panie! oddaję w ręce Twoje ducha mego“ skończyła żywot ciężki, pracowity i cnotliwy.

Synowie położyli na grobie jej kamień z napisem: „Najlepszęj matce wdzięczni synowie.“

7. Stanisław Jachowicz.

Stanisław Jachowicz urodził się 17 Kwietnia 1796 roku, we wsi Dzikowie, położonej w Galicyi, w obwodzie Rzeszowskim. Początkowe nauki pobierał w Rzeszowie, następnie w gimnazjum w Stanisławowie, a w roku 1815 zaczął uczęszczać na wydział filozoficzny w uniwersytecie lwowskim. Mimo to, że w szkołach galicyjskich wszystkie nauki wykładano tylko w niemieckim i łacińskim językach, Jachowicz nie zaniedbał kształcić się i w ojczystej swjej mowie, a obdarzony z natury pisarskim talentem, już przed rokiem 1818 prace swe w pismach peryjodycznych zaczął umieszczać.

Po ukończeniu uniwersytetu, przybył do Warszawy, i do kancelaryi Prokuratury przyjetym został; obok tego, zaczął dawać lekcye języka polskiego i literatury polskiej, a następnie całkiem się oddał zawodowi nauczycielskiemu, i na tém mozolnem polu, do ostatniej prawie chwili życia, z niezmierną wytrwałością pracował.

W roku 1824 wydał w Płocku pierwszy zbiorek swoich powiastek i bajeczek dla dzieci, pod tytułem: *Bajki i powiastki Stanisława Jachowicza*. Bajeczki te od razu przypadły do serca wszystkim, bo wypłynęły z serca, po ojcowsku i chrześcijańsku miłującego dziatki, pragnącego zaszczepić w nich zamiłowanie cnoty, uchronić od wad, młodemu wiekowi właściwych.

Bajeczki Jachowicza, jak stado drobnych jaskółek, rozleciały się po całym kraju: świegotały je wszystkie dzieci, czytały wszystkie matki—i z dniem téż każdym rosła sława ich autora, zwiększało się małych jego czytelników grono. A bajeczek wciąż przybywało: to wesołych i śmiesznych, to rzewnych i tklivych; to o Stasiu mazgaju, o upartym Rudolfku, to znów o pocziwym chłopczyku, o biędnej sierocie, a wszystkie one — naturalne, niby już nam zdawna znajome, a prosto idące do młodego serca. Z jednego tomiku bajek zrobiło się później cztery, a prócz tego wyszły jeszcze: *Czytania Józki, Kalendarzyk dla dzieci, Powiastki dla Eryczka, Rozmowy matki z Józką, Śpiewy dla dzieci* i t. d. Prócz tego napisał jeszcze Jachowicz: *Powieści dla rzemieślników i Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej*; gdyż pragnął i téj młodej braci przynieść duchowy posiłek, umocnić na drodze życia, przyjaznem i serdecznem słowem do zamięłowania cnoty i pracy zachęcić. Żadnej bowiem między dziećmi nie czynił różnicy, a kochał zarówno wszystkie: czy to w dostatnim urodzone stanie, czy w ubóstwie, czy to siedzące w pięknym salonie, czy przy warsztacie, lub w wiejskiej chacie, a to dla tego, abyście i wy tak samo kochały wszystkich braci waszych, ceniły ich nie według sukni, lub majątku, bo to jest rzeczą ślepego trafu, ale według ich serca, według cnoty, bo ta tylko jest prawdziwem odznaczeniem; ta tylko — chlubnym dla człowieka tytułem, rzeczywistą jego zasługą.

Nie tylko jednak, jako pisarz i wyborny nauczyciel, zasłużył sobie Jachowicz na powszechny szacunek, ale i jako opiekun sierot. Serce jego, które tak kochało małe dzieci, tym silniej czuć musiało niedolę owych biędnych istot, co rzucone, po stracie rodziców swoich, na wolę losu, od Boga tylko mogły się spodziewać pomocy. Im to ojcowską pomoc niósł Jachowicz; był ich troskliwym opiekunem, gorliwym nauczycielem, czuwał nad ich młodzieńczemi laty, czuwał i później, gdy już sami na chleb swój pracować mogli. Za jego staraniem stanął ów piękny gmach na Nowym Świecie, przeznaczony dla biędnych sierot, na który sam 80 tysięcy złotych zebrał.

Życie tak użyteczne, tak poświęcone dla dobra bliźnich, zjednało Jachowiczowi miłość i szacunek wszystkich. Gdy w r. 1856 pojechał do Ciechocinka, aby stargane w pracy poratować zdrowie, wszystkie dzieci, tam znajdujące się, wyszły uroczyście na jego spotkanie, kwiatami uwieńczyły starego przy-

jaciela swojego, za niego szczerze modły zanosił do Boga. Nie tylko dziatwa jednak okazać mu pragnęła swą wdzięczność: następnego roku, L. Pietrusiński uczynił odezwę do wszystkich dawnych uczniów, uczennic i przyjaciół, w celu zebrania *Wieńca*. Najznakomitsi autorowie, najzasłużeńsi ludzie pośpieszyli przyjąć udział w wydaniu tego pisma, mającego być uwieńczeniem tyloletniej pracy Jachowicza. Ze wszystkich stron nadsyłano artykuły — i cztery zeszyty wyszły już na widok publiczny, świadcząc o ogólnej dla Jachowicza wdzięczności, gdy Pan powołał go do siebie. Dnia 24 Grudnia 1857 roku, Stanisław Jachowicz zasnął snem wiecznym, owym snem, co go nasz Jan Kochanowski nieprzespanym nazwał.

Edward Siwiński.

8. Sokrates.

(r. 400 przed Chr.).

Najoczywistszym dowodem zepsucia obyczajów w Atenach, jest śmierć Sokratesa, który dla wzorowego i nieskażonego życia, dla swój mądrości i głębokiej nauki, godzien był najwyższego uwielbienia. Ojciec jego był snycerzem; młody Sokrates trudnił się także z początku tém rzemiosłem. Śmierć ojca uczyniła go wolnym w wyborze stanu, a szlachetna przyjaźń Krytona, majątnego Ateńczyka, który umiał ocenić wyższe zdolności i cnoty Sokratesa, podała mu dobroczynną rękę i wróciła młodzieńca do wrodzonej skłonności. Tym sposobem dźwignięty z niedostatku, opatrzony najslawniejszymi nauczycielami, kunszt tworzenia posągów zamienił na sztukę kształcenia serca. Nie raz w głębokiem pogrążony dumanie, kilka godzin stał nieporuszony na jednym miejscu, rozmyślając o przeznaczeniu człowieka, o jego doczesnej i przyszłej szczęśliwości i innych tym podobnych ważnych pytaniach. Niepozorna powierzchowność, szacowna w ubiorze prostota, dziwnie odbijała od zbytków i przepychu, w którym zniewieścili jego ziomkowie na wyścigi się przesadzali. Sokrates zahartowany na ciepło i zimno, okryty lichym płaszczem, latem i zimą chodził boso, jadał proste potrawy, za napój czystej używał wody, którą sobie najczęściej sam ze studni wyciągał; a gdy był spragniony, nie napił się wprzód, aż kilka wiader napowrót w studnię wylał. Dla tego też nawet w czasie zarazy, która okropnie srożyła się w Ate-

nach, czerstwem zawsze cieszył się zdrowiem. Zasada jego było: im kto mniej potrzebuje, tym jest doskonalszy i bardziej do bóstwa się zbliża. Raz uskarżał się przed nim pewien znakomity Ateńczyk, iż życie w Atenach tak jest kosztowne i na dowód wymienił cenę purpury, przedniego wina i innych drogich towarów. Sokrates wziął go z sobą do różnych składów żywności, i przekonali się obaj, że mąka i oliwa były dość tanie; poczem weszli do zwyczajnego kupieckiego sklepu: tu nad spodziewanie dowiedzieli się, że pospolite materje za bezcen sprzedawano. Inny użalał się przed nim na trudy pieszej podróży, którą był właśnie odbył. „A niewolnik twój czy zdążył za tobą?“ zapytał Sokrates. „Czemuż nie miał zdążyć?“ Może nawet niósł co? „Spory tłumok.“ Zapewne też mocno strudzony? „I gdzie tam! wszak już posłany za nowym interesem!“ Otóż, rzekł Sokrates, ty przewyższasz twego niewolnika darami fortuny, a on ciebie darami przyrodzenia. Ty jesteś wolny i bogaty, lecz słaby i zniewieściały; on jest niewolnikiem, ale zdrowy i silny. Powiedz sam, kto z was szczęśliwszy? — Przyjaciół wstrzeźliwości gardził przesadą, która częstokroć bywa matką obłudy; dla tego rzekł do Antistenesa, ucznia swego, gdy ten jeszcze mistrza w pogardzie dóbr doczesnych przewyższyc usiłował i w podartym płaszczu chodził: „Przyjacielu, z każdej dziury twego płaszcza wygląda próżność.“ Tak proste wiodąc życie, był zawsze humoru wesołego: nic nie zdołało zmącić spokojności jego duszy. Dowiedziawszy się pewnego razu, że ktoś źle o nim mówił, bynajmniej się tém nie zmartwił i uśmiechnąwszy się, rzekł: może mnie i obić w mój nieprzytomności. Inną razą pozdrowił grzecznie pewnego znakomitego obywatela, który mu wcale nie podziękował; lecz napuszony jak paw, dumnie koło niego przeszedł i jeszcze go potrącił. Rozgniewało to grubiaństwo uczniów, towarzyszących mistrzowi, ale on rzekł spokojnie: czy chcecie, żebym i ja był takim jak on grubijaninem? czyż wypada osła, który mnie udepnął, pozywać do sądu? Największym doświadczeniem cierpliwości była jego żona Xantypa. Gdym ją pojmował, mówił do Antistenesa, znałem to dobrze, iż nie masz nikogo, z kimbym żyć nie mógł, jeżeli z nią żyć potrafię. Pewnego dnia rozgniewana jak zwyczajnie, wpada z wielką furią na niego i łaje. Sokrates nie uważał na to wcale i siedział sobie spokojnie. Ale gdy gniew swarliwej żony coraz bardziej się wzmacniał, wstał z miejsca i chciał wyjść. Ta

niezmacona jego spokojność tak ją do reszty zniecierpliwiała, że porwawszy naczynie z wodą, wylała na niego. Oblany małżonek rzekł z uśmiechem. po takim grzmocie można się było spodziewać ulewy.

Miłość nauk nie tłumiała w nim gorliwości obywatela. Skoro ojczyzna potrzebowała obrony, rzucił ustron i ulubione nauki i wziął się z innymi do broni. „Nie dość jest mówić o obowiązkach, trzeba umieć samemu je pełnić,” Sokrates trzy lata przepędził w obozie w czasie zaciętej walki ze Spartą. Widziano go z tą samą gorliwością dającego przykład odwagi i cierpliwości w trudach obozowych, z jaką dawał wzór cnoty, gdy jej nauczał na łonie słodkiego pokoju. Po skończonej wyprawie, upatrując więcej chwały w krzewieniu oświaty, niż w zbieraniu rycerskich wawrzynów, powrócił na łono przyjaciół, spokojności i nauk. Głównym jego zatrudnieniem było kształcenie młodzieży, której jeszcze niezepsute serce zdolnym było do przyjęcia cnoty. Miał zaś tę zasadę: „pierwój serce, niż umysł doskonalić.” Ubolewał nad tem, że ludzie zaciekaają się w zbadanie ciał niebieskich, nie pomnąc na to, co się dzieje na ziemi; że chcą poznać innych, nie poznawszy wprzód samych siebie. Pierwszym więc jego prawidłem był ów sławny delficki napis: znaj siebie samego; a celem jego nauki: doskonalić się w cnocie. Nie miał on u siebie formalnej szkoły, lecz nauczał wszędzie, na każdym miejscu: na rynku, na przechadzce, przy stole, w obozie; słowem, gdzie się tylko koło niego ciekawi zebrali słuchacze, żadnej za swą naukę nie przyjmując nagrody. Uczniowie jego słuchali go z ciekawością; porzucali nie raz zabawy, aby słyszeć ulubionego mistrza. Euklides, nadzwyczajnie ciekawy młodzieniec, przychodził często do Sokratesa z Megary, miasta 4 mile od Aten oddalonego. A gdy Ateńczykowie z nienawiści przeciwko Megareńczykom pod karą śmierci zakazali im bywać u siebie, Euklides przebrany w szaty niewieście z narażeniem własnego życia na niebezpieczeństwo, wkładał się do miasta, aby tylko być uczestnikiem rozmów Sokratesowych. Młody Eschines życzył sobie także zostać uczniem Sokratesa, ale będąc ubogim, nie śmiał zbliżyć się do niego. „Czemu stonisz ode mnie?” zapytał go Sokrates, gdy go raz spotkał na ulicy. „Bo nic nie mam, cobym ci dać mógł.” Cóżto, odpowiedział Sokrates, takżeto mało cenisz siebie samego? Oddaj mi siebie! A tak Eschines od tego czasu został jego uczniem. Pe-

wnego razu spotkał w ciasnym przejściu Xenophonta, przystojnego młodzieńca, którego Sokrates życzył sobie mieć swoim uczniem. Założył mu swoją laską przejście, a gdy młodzieniec stanął: „powiedz mi proszę, spytał Sokrates, gdzie można dostać maki?” Na rynku. „A oliwy?” Tamże. „Ale powiedz mi także, gdzie się udziela nauka, aby być dobrym i mądrym?” Młodzieniec nie umiał odpowiedzieć. „To pójdz ze mną,” rzekł Sokrates, a pokażę ci!” i od tego czasu Xenophon został najgorliwszym jego uczniem i poufałym przyjacielem. Sława Sokratesa była tak wielka, że go nawet wyrocznia w Delfach za najmędrszego z ludzi uznała. Sokrates nie zapuszczał się nigdy w uczone rozprawy, których niewprawni jeszcze w rozumowaniu uczniowie częstokroć należycie pojąć nie zdołają; lecz wdawszy się z jednym lub kilku przytomnymi o jakimkolwiek przedmiocie w potoczną rozmowę, tak zręcznie zastosowane do pojęcia i do zgłębienia rzeczy umiał zadawać pytania, aż nareszcie prawdę jasną jak słońce z nich wydobył. Ten rozbiorowy sposób tłumaczenia się przybrał od niego nazwisko „Sokratycznej metody.” Taki sposób połączony z pewną ironią, najstraszniejszą był bronią przeciwko zarozumiałości fałszywych mędrców, czczących rozprawiaczy, sofistami zwanych, którzy udatną wielomównością i pozornym blaskiem krasomówstwa mamili gmin łatwowierny, jakoby rozległe posiadali wiadomości i wszystko w świecie wiedzieli. Sokrates przybierał zwykle przy tak zawołanych mędrcach postać prostaka, jakoby ich mowy pojąć nie mógł, chwycił pospolicie ich ostatnie twierdzenia i zaczął je swym trybem przez pytania, na które odpowiadać musieli, rozbierać, aż ich nareszcie swą ścisłą dyalektyką czyli rozumowaniem do tego punktu doprowadził, iż sami fałsz swego twierdzenia uznać musieli. To upokorzenie rozjątrzyło tym bardziej te klasę ludzi chciwych i podłych, nie mogących wytrzymać blasku prawdziwej mądrości i bezinteresownej cnoty prawego mędrca. Spiknęli się więc na jego zgubę i zaczęli go najprzód oczerniać i publicznie wyszydzać. Ale gdy i to nic nie pomogło, bo sława jego coraz większym blaskiem jaśniała, oskarżyli go przed sądem. Anitus kapłan Cerery, stanął na czele potwarców, a podły Melitus był godnym jego rzecznikiem. Tak ów miłośnik i nauczyciel cnoty, ów najgorliwszy wyznawca prawego bóstwa, był pozwany do sądu jako niedowiarek i kaziciel obyczajów. Sokrates wtenczas już sędziwy, 70 lat liczący sta-

rzec, uważał za rzecz niegodną siebie odpowiadać na tak nikczemne zarzuty. Z największą więc spokojnością, odwołując się do całego swego publicznego życia, okazał im, iż jedynym jego powołaniem było przykładać się do szczęścia swych współobywateli, czyniąc ich lepszymi i cnotliwyszymi; że więc przez wzgląd swego dla ziomków poświęcenia, powinienby raczniej być uczczony nagrodą. Słowa te wyrzeczone były z taką godnością, iż Sokrates zdawał się być sędzią, a sędziowie obżałowanymi. Nic więc dziwnego, że jeszcze bardziej przeciw niemu niegodny sąd rozjątrzyły, który się spodziewał, że Sokrates zniży się do próśb i błagać będzie o życie. Odesłano go zatem do więzienia. Lysias, jeden z jego przyjaciół, przyniósł mu tutaj kunsztownie ułożoną obronę, aby ją przed sądem odczytał. Sokrates pochwalił wprawdzie mowę, ale ją odrzucił, jako niezgodną z jego prostym i otwartym postępowaniem. A gdy go ktoś zapytał, dla czego sam swoją nie zajmuje się obroną? „Jakto, odpowie, alboż mnie nie widzicie nią zajętego całe moje życie? A to jakim sposobem? „Rozważając zawsze, co jest sprawiedliwego, a co niesprawiedliwego; czyniąc pierwsze a unikając drugiego.“

Sokrates z największą spokojnością słuchał wyroku śmierci, lecz uczniowie od łez wstrzymać się nie mogli. Otoczyli więc sędziów, błagali z płaczem ich litości, ofiarowali im znaczne summy pieniędzy za wypuszczenie mistrza; ale wszystko nadaremnie. Sokrates odezwał się, że przebacza sędziom, którzy go potępili i cieszył się, że się wkrótce połączy z cieniami wielkich mężów przeszłości. Okuto go w kajdany i byłby musiał natychmiast spełnić kielich trucizny, gdyby właśnie wtenczas okręt Teseusza nie był odpłynął do Delos dla odbycia uroczystej processyi; w czasie tej uroczystości zawieszano wykonywanie wyroków kryminalnych, a okręt dla przeciwnych wiatrów dopiero za 30 dni wrócił. Ostatnie te chwile przepędził Sokrates z uczniami, którzy go na moment nie odstępowali i dowiódł spokojnością umysłu, że nieustraszoną odwagę, którą w obliczu sędziów okazał, nie była przesadą, ale mocą nieugiętego charakteru. Troskliwi uczniowie o ocalenie drogiego im życia, zdołali prośbami i darami nakłonić dozorcę więzienia, żeby mu ułatwił ucieczkę i przyszli uradowani donieść o tem Sokratesowi. Lecz on po dziękowawszy im za przywiązanie, odrzucił ten projekt i nauczał ich, że *prawu i wierzygodności koniecznie posłusznym być*

trzeba. „Ach rzekł ze łkaniem przyjaciel jego Apollodorus, ale ty umierasz niewinny!“ *Czyżbyś chciał, odpowie Sokrates, abym winnym umierał?* W dzień jego śmierci zebrali się z rana uczniowie w więzieniu. Po chwili wszedł dozorca, zdjął z Sokratesa kajdany, i oznajmił mu, że dziś przed zachodem słońca, truciznę wypić musi. Przybyła i żona jego, aby się z nim pożegnać, miała na ręku najmłodsze dziecko i rzewnie płakała. Wszyscy tym widokiem do żywego byli wzruszeni. Sokrates po krótkim lecz serdecznym pożegnaniu, prosił jednego z przytomnych, aby żonę jego do domu odprowadził, iżby mu ostatnich chwil życia swym żalem nie utrudzała. Potem obrócił się do uczniów, rozmawiał z nimi o życiu i śmierci, o nieśmiertelności duszy, o przyszłej doskonalszej szczęśliwości. Tymczasem słońce zbliżało się ku zachodowi: dozorca wszedł do więzienia, trzymając w ręku pełny kielich. Powiedźże mi, rzekł do niego Sokrates, co mam czynić? Będiesz, odpowiedział tenże, przechadzał się po spełnieniu kielicha, aż słabość uczujesz, natenczas się położysz. Z wesołą twarzą wziął Sokrates kielich, a poleciwszy się bogom, spełnił kielich od razu. Wtenczas uczniowie jego od łez wstrzymać się nie mogąc, rzewnie płakać zaczęli. „Uspokójcie się przecie, odezwał się Sokrates, wszakże dla tego oddaliłem od siebie kobiety.“ Poczem przechadzał się, a po niejakić chwili położył się z największą spokojnością. Trucizna prędko działać poczęła, nogi jego już były zimne, a członki obumierały. Nagle otworzył raz jeszcze zamykające się powieki i rzekł słabym już głosem: Przyjaciele, winienem Eskulapowi koguta, ofiarujcie go za mnie. Jeden z nich nachylił się do niego, pytając, czyby nie miał jeszcze co do zlecenia; lecz nie odebrał żadnej odpowiedzi, bo Sokrates już nie żył. Tak umarł niewinny Sokrates r. 399 przed Chrystusem. Dopiero po jego zgonie postrzegli się Ateńczycy w błędzie. Całe miasto pogrążone było w grubiej żałobie, nakazano publiczne ofiary bogom dla odwrócenia ich gniewu; wystawiono mu posąg i prawie bożką cześć wyrządzano. Jego zaś nieprzyjaciół i potwarców jednych śmiercią, drugich wygnaniem ukarano. Imiona ich okryli współcześni złorzeczeniem, potomność wzgardą. Duch Sokratesa ożył w jego uczniach, którzy nauki jego, jako najdroższą po swym mistrzu puszczynę spisali, i późniejsi przesłali potomności.

9. Aleksander Wielki.

Aleksander Wielki, syn króla Filipa i Olimpijady, urodził się 356 r. 6 sierpnia, którego to dnia zgorzała sławna świątynia Dyany w Efezie. Że zaś tego samego dnia ojciec jego miasto Potydeę zdobył, przez Parmenijona Illiryjczyków zwyciężył i wiadomość odebrał, że jego konie na igrzyskach olimpijskich zwycięztwo odniosły, tak był tym natłokiem szczęścia przestraszonym, iż prosił bogów o niepomyślny jaki przypadek. Widząc w dziecięciu najpiękniejszych zdolności zarody, wcześniej postarał się o najbieglejszych nauczycieli, między innymi wezwał do swego dworu Arystotelesa, dziękując niebu najwięcej za to, że mu dało syna, za czasów tak wielkiego filozofa, mogącego godnie zająć się jego wychowaniem.

Wcześniej okazywał Aleksander nienasyconą żądzę chwały, pragnął wszystkie nauki posiadać i nad całym światem panować; a ilekroć dowiedział się o nowym jakimś zwycięstwie przez ojca odniesionem, frasował się wielce i mawiał ze łzami w oczach: mój ojciec wszystko zdobędzie i dla mnie nic do zdziałania nie zostawi. Lubił przysłuchiwać się powieściom o wielkich czynach dawnych bohaterów, najbardziej zaś upodobał sobie Homera. Achilles, ów niezrównany bohater w Iliadzie, stał się jego wzorem, którego doścignąć pragnął. Szacowne to dzieło wozził z sobą w kosztownej szkatułce, kładąc je w nocy pod poduszkę, aby je mógł czytać, skoro się tylko obudzi. Jakoż wkrótce przeszedł swych rówieśników w roztropności i zręczności, a gdy go się spytano, czy nie zechce wystąpić na igrzyskach olimpijskich, rzekł: czemu nie, gdyby tylko królowie o palmę pierwszeństwa ze mną się dobijali. Pewnego razu przyprowadzono ojcu jego dzielnego lecz oraz dzielnego konia Bucefala za niesłychaną cenę talentów (przeszło 10000 tal.). Najlepsi jeźdźcy nie potrafili dosiąść tego konia, i już Filip chciał go odesłać. Szkoda tak pięknego rumaka, zawołał zasmucony Aleksander, proszę cię mój ojczy, pozwól mi go dosiąść. I pewnym krokiem przystąpił do niego, ujął za cugle i obrócił łbem ku słońcu, dostrzegł był bowiem, że własny cień tak owego dzikiego konia przestrasza. Poczem pogłaskawszy go, wskoczył na Bucefala. Ten puścił się z nim lotem strzały, tak, że Filip i wszyscy przytomni lękali się o życie mło-

dego księcia, który trzymając się krzepko, zaczął nim to w prawo to w lewo ujeżdżać. Wszyscy zdumieli się na ten niespodziany widok, a uradowany Filip, uściskawszy syna z radości, rzekł: mój synu! Macedonija dla ciebie zamała; szukaj sobie lepszego królestwa.

Perskich posłów, których dzieckiem jeszcze będąc w nieprzytomności ojca przyjmując, wypytywał się o wielkość miast, odległość miejsc, o bite drogi, obyczaje i t. d., tak dalece swą roztropnością zadziwił, iż ci obawiając się jego oręża, chciwie się dowiadawali, jaką to siłą młody ów książę kiedyś dowodzić będzie.

Mając lat 18, walczył w bitwie pod Chaeroneą i do zwycięstwa najwięcej się przyłożył.

W dwudziestym roku życia po śmierci ojca, objął rządy Macedonii, zagrożonej zewsząd wojną sąsiadów. Ateńczykowie szydząc, nazwali go raz dzieckiem, drugi raz niedoświadczonym młodzieńcem, którego nie ma przyczyny obawiać się. „Pod murami Aten pokażę im, rzekł Aleksander, iż jestem mężem,“ i wyruszył na nich z wojskiem. Sama wieść o jego pochodzie, przywróciła w Atenach spokojność i posłuszeństwo. Co usłyszawszy, zwrócił się nagle Aleksander; podbił mimo zaciętego oporu północne i zachodnie narody. Aleksander udał się do Koryntu, gdzie go, podobnie jak dawniej ojca, naczelnym wodzem Greków na wyprawę perską obrano.

Tu w Koryncie żył wtenczas sławny grecki filozof Dyogenes, który naukę Sokratesa, iż człowiek tém jest szczęśliwszy, im mniej potrzebuje, aż do ostateczności posunął. Nosił długą brodę, dziurawy płaszcz, sakwy na plecach i mieszkał w beczce. Miał prócz tego kubek do picia, który atoli odrzucił, gdy ujrzał raz dziecko wodę dłonią czerpiące. Aleksander, otoczony świetnym tłumem dworzan, zapragnął oglądać Dyogenesa i udał się do niego. Ten siedział właśnie na ziemi przed swoją beczką, grzejąc się na słońcu. Aleksander pozdrowił go uprzejmie, wdał się z nim w rozmowę i wreszcie zapytał go się, jakiejby od niego życzył sobie łaski? Oto cię proszę, odrzekł Dyogenes, żebyś mi słońca nie zasłaniał. Odpowiedź ta wzbudziła szyderski śmiech przytomnych dworzan, ale Aleksander rzekł: Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Dyogenesem.

Idąc za powszechnym zwyczajem, udał się Aleksander do wyroczeni delfickiej, lecz właśnie trafił na dzień, w którym się

nie godziło badać. Niecierpliwy wojownik, gdy opierającą się wieszczkę gwałtem ciągnął do świątyni, ta zawołała: „Ach! synu, któż ci się oprzeł! „Dość mi na tém, rzekł Aleksander, przestaje na tej wyroczni.

W 23 roku wieku swego, 334 przed Chr., ruszył Aleksander na czele zebranego wojska Greków i Macedończyków, które więcej nad 30 tysięcy piechoty i 5 tysięcy konnych nie wynosiło, przeciw Persom. Cały jego skarb składał się z 70 talentów, i żywności nie więcej nad jeden miesiąc. Względny na swych namiestników, wszystko co miał, między nich rozdał, a gdy kolej przyszła na jednego z nich, a ten go zapytał: „panie, cóż sobie zostawisz? „nadzieję“, odrzekł Aleksander, „i ja tę część biorę dla siebie,“ odpowiedział ów namiestnik i daru przyjąć nie chciał. Zostawiwszy Antypatra namiestnikiem w Macedonii, aby trzymał na wodzy nieprzyjazne mu narody, a mianowicie Spartanów, którzy od uczestnictwa tej wyprawy wrzabniali się, przebył cieśninę Helespontu pod Sestus, i skoczył pierwszy na ląd w Azji.

Na zwaliskach Troi uczcił grób Achillesa uroczystymi obchody i tego mu zazdrościł, iż za żywota miał prawdziwego przyjaciela, po śmierci zaś godnego siebie chwalcę (Homera). Hefestyon, przyjaciel Aleksandra, uwieńczył grobowiec Patrokla kwiatami. Z tamtej strony rzeki Graniku, czekało na niego liczne wojsko perskie, chcąc mu bronić przejścia. Aleksander zwołał radę wojenną. Doświadczony wódz Parmenion nie radził śpieszyć się z przeprawą, ile że już zmierzchać się poczynąło, lecz Aleksander rzekł z uśmiechem: „A cóżby na to powiedział Helespont, któryśmy przebyli, gdyby się dowiedział, żeśmy się Graniku zlekli.“ Skoczył więc pierwszy w rzekę, a za nim jezdni, mając każdy za sobą na koniu jednego z pieszych. Rzęsiste pociski i strzały raziły płynących Macedończyków, ale przykład monarchy dodawał im serca.

Musieli walczyć z rzeką dość bystrą i pięć się na brzeg niedostępny, który daleko liczniejszemu wojskiem był osadzony. Przeparł to wszystko Aleksander, i gdy stanął na brzegu, ścierając się wręcz z nieprzyjacielem, wstrzymywał cały impet na sobie, nim reszta żołnierzy przepławić się zdołała; ale o mało życiem tej śmiałości nie przypłacił. Dwaj perscy wodzowie poznawszy go wśród bitwy po świetnej zbroi i błyszczącym hełmie, razem na niego uderzyli, i chociaż się Aleksander mężnie

bronił, jeden z nich taki mu cios z boku zadał, iż przysł szyszak napół. Już powtórnie zamierzał się, gdy w tym momencie nadbiegł Klitus mężny Macedończyk i rękę mu wraz z podniesionym mieczem jednym zamachem z tyłu odciął, a tymczasem Aleksander owego drugiego przeciwnika trupem położył. Pierzchły wojska perskie, sama tylko zaciężna, którą mieli z Greków, pozostała na placu piechota. Ta cofnęła się na blizki pagórek, chcąc traktować z Aleksandrem; ale popędliwy zwycięzca nie słuchając wysłanych pośredników, skoczył pierwszy na ich szyki; lecz tu mężniejszy niż u Persów znalazł opór: wszyscy prawie, którzy go otaczali, poległ i sam własnego konia postradał.

Zdobywszy Syryję i Palestynę, wkroczył do Egiptu. Popłynął Nilem do ujścia, gdzie nad zachodnią odnogą tej rzeki, upatrzawszy nader dogodne miejsce, założył miasto od swego imienia nazwane Aleksandryją. Później w roku 331 zwycięstwo pod Arbelą odniesione, położyło koniec państwu perskiemu.

Właśnie gdy Aleksander stał na szczycie potęgi, śmierć go zaskoczyła w 33 roku życia, a 323 przed nar. Chr. Gdy konającego pytali dowódcy, komu zostawia swe państwo? „Najgodniejszemu,“ odpowiedział.

10. Jakub Kuk.

Jakub Kuk (Cook) urodził się d. 3 Listopada 1728 roku, w hrabstwie Jorku, w Anglii. Ojciec jego był ubogim rolnikiem, i miał dziewięćoro dzieci; nie mógł więc łożyć na wychowanie syna. Młody Kuk w trzynastym roku życia oddany został na naukę do żeglarza, trudniącego się przewożeniem węgli kamiennych do Londynu, i przez siedm lat służył na statku węglarskim. Czas ten, przebyty na morzu, był wyborną szkołą dla przyszłego kapitana marynarki, przytém zaszczeplił w duszy młodzieńca wielkie zamiłowanie do żeglugi.

Po oddaleniu się od swego pryncypała, Kuk przez długi czas nadaremnie starał się o miejsce; wreszcie przyjęto go na statek za kucharza okrętowego. Skoro otrzymał stopień pomocnika sternika, przekonał się, że żeglarz bez matematyki obejść się nie może; wziął się więc z wielkim zapałem do tej nauki. Ponieważ nie miał żadnego utrzymania, tylko trochę pieniędzy,

zaoszczędzonych z poprzedniej służby, musiał więc przez czas nauki żyć z największą oszczędnością.

Wyuczywszy się matematyki, przyjął miejsce sternika na statku kupieckim i odbył podróż do Norwegii. Następnie dostał się do służby królewskiej, gdzie go mianowano majstrem okrętowym. Na tém stanowisku Kuk niejednokrotnie miał sposobność, przez pilność, punktualność, męstwo i wytrwałość, zyskać względy przełożonych. Wówczas powierzono mu dowództwo małego statku, który miał nazwę Merkury, z rozkazem, ażeby razem z flotą wojenną angielską udał się do Północnej Ameryki, gdzie się toczyła zacята wojna z Francuzami. Zaraz na początku tej wojny, admirał floty angielskiej rozkazał Kukowi, ażeby rozpoznał głębokość rzeki św. Wawrzyńca. Podczas tej pracy czołna francuskie otoczyły nagle czołno Kuka; jednakże, pomimo gradu kul, odwaga i zimna krew tego dzielnego marynarza ocaliły go z niebezpieczeństwa. Wywiązał się doskonale z polecenia, a w nagrodę za to mianowany został dowódcą statku Nortumberland, na którym wiele jeszcze innych przysług wyświadczył marynarce podczas tej wojny. Wkrótce potem, posunięty na stopień porucznika marynarki królewskiej, otrzymał polecenie dokładnego zdjęcia planu brzegów wyspy Niu-faundlend, co wybornie skuteczniejszy, zasłużył sobie na zaufanie admiralicyi, t. j. władzy naczelną sił morskich.

Wkrótce nadarzyła się Kukowi sposobność okazania w całym świecie swoich wiadomości żeglarskich. Wiadomo każdemu, że oprócz ziemi naszej, jest wiele innych planet, obiegających słońce. Uważanie ich obiegu służy do wyjaśnienia wielu zagadnień naukowych. Zdarza się co pewien przeciąg lat, że planeta Wenus, znajdująca się bliżej słońca, niż ziemia, przechodzi pomiędzy ziemią i słońcem na równą linię, tak, iż na tarczy słonecznej wyraźnie widać przesuwającą się tę planetę, jakoby ciemną kulę. Przejście to jest bardzo ważne dla nauki, mianowicie — służy do ścisłego obliczania odległości ziemi od słońca, i dla tego astronomowie przyglądają mu się z wielką pilnością, a spostrzeżenia swoje zapisują troskliwie. Właśnie w r. 1769 miało nastąpić takie przejście planety Wenus przez tarczę słoneczną. Towarzystwo uczonych w Anglii podało prośbę do króla, aby wysłał okręt na morze Południowe, skąd najlepiej obserwację czynić było można. Rząd pośpieszył uczynić zadość prośbie uczonych, urządził wyprawę i powierzył dowództwo

jéj Kukowi, który dał się już poznać dostatecznie ze swych zdolności. Kuk do tej wyprawy wybrał statek Endiwur (Endeavour).

Endiwur, mając na pokładzie wielu uczonych mężów, między innymi Gryna (Green), wypłynął z Anglii d. 26 Sierpnia 1768 r. i dotknawszy brzegów brazylijskich, skierował się ku przylądkowi Hoorn. Po trudnem i pełnem niebezpieczeństw przebyciu cieśniny Le Maine, dostał się na ocean Spokojny, a nakoniec przybył do gromady wysp Taiti, które wówczas nazywano wyspami Towarzyskimi, albo Otahitą, Wyspa ta przeznaczona była do obserwacji astronomicznych. Kuk, rozgościwszy się w Taiti, umiał sobie zjednać przychylność mieszkańców, wydał surowe przepisy dla swoich podwładnych, zakazał wszelkich nadużyć, a tym sposobem wyprawa doznawała pomocy krajowców i bywała zaopatrywana w żywność obficie.

Po szczęśliwém dokonaniu obserwacji astronomicznych, Kuk puścił się na zwiedzenie południowej części oceanu Spokojnego, w celu sprawdzenia dawnych i porobienia nowych odkryć. W podróży tej, objął w posiadanie korony angielskiej wiele wysp i popłynął ku południowi, w celu wyszukania wielkiego lądu południowego; spodziewał się bowiem, że go tam znajdzie niezawodnie. Po drodze opłynął dokoła Nową Zelandyję, odkrył cieśninę, rozdzielającą dwie jéj wyspy, następnie skierował się ku Nowej Holandyi, przebył cieśninę Toressa, oddzielającą ląd od Nowej Gwinei, i po trzech blisko latach nieobecności, wrócił około przylądka Dobrej Nadziei, do ojczyzny.

Rząd, poznawszy w tej wyprawie nieporównane zdolności Kuka i jego biegłość w żegludze, nie dał mu długo odpoczywać. Zaraz następnego roku wysłano go na morze Południowe, aby czynił dalsze odkrycia, głównie zaś aby się starał popłynąć jak najdalej na południe, i jeżeli można, odszukał ląd południowy, mający się na biegunie południowym znajdować. Tym razem powierzono mu dwa okręty, zaproszono kilku uczonych, aby towarzyszyli wyprawie — i zaopatrzono statki we wszystkie zapasy, jakich tak długa podróż wymagała.

Kuk opuścił Anglię w d. 15 Lipca 1772 r. i popłynął około przylądka Dobrej Nadziei, wprost ku biegunowi południowemu. W tamtych okolicach pory roku przypadają przewrotnie, a mianowicie, gdy na półkuli północnej którą my zamieszkujemy, jest lato, wtedy na południowej jest zima; kiedy

u nas zaczyna się jesień, tam bywa początek wiosny i przeciwnie. To też Kuk, płynąc w początkach Grudnia ku biegunowi południowemu, znajdował się w samym środku tamtejszego lata. Pomimo to, w d. 10 Grudnia spostrzeżono góry lodowe, a im bardziej zapuszczano się na południe, tym większe pokazywały się masy lodów. Ponieważ okrętom zagrażało z tego powodu niebezpieczeństwo, przeto kapitan rozkazał skierować ku północy, aby się dostać w cieplejsze okolice; popłynął ku Nowej Zelandyi i na tej wyspie parę miesięcy zabawił. Chociaż zbliżała się zima, jednak niezmordowany kapitan nie chciał jej trawić w bezczynności. puścił się więc powtórnie ku południowi, aby przejrzeć morza, leżące w pasie umiarkowanym, to jest w okolicach, gdzie morze nie zamarza i gdzie nie ma pływających gór lodowych. Ta podróż zimowa nie przyniosła jednak nowych odkryć, ani wielu korzyści. Po długim krążeniu w różnych kierunkach po morzu Południowym, Kuk wrócił do Nowej Zelandyi, a następnie puścił się z powrotem do Europy, opływając Amerykę południową około przylądka Hoorn, i wylądował w Anglii, w mieście Portsmaus, przepędziwszy w drodze lat 3 i dni 18.

W podróży tej Kuk, lubo nie dopiął zamierzonego celu, to jest nie odkrył stałego lądu południowego, nabrał przekonania, że jeżeli taki w istocie istnieje, to leży bardzo daleko na południe, i, z przyczyny ogromnych lodów, otaczających go wicznie, niepodobieństwem jest dopłynąć do niego.

Trzecia podróż około świata, tego sławnego żeglarza, rozpoczęła się w dniu 12 Lipca 1776 r. Pomiedzy uczonemi geografami toczyły się podówczas spory, czy można dostać się na ocean Spokojny, opływając północną Amerykę? czy istnieje ta morska droga, którą nazwano „przejściem północno-zachodniem”? Z odkrycia tego obiecywano sobie wielkie korzyści, a rząd angielski naznaczył 20,000 funtów szterlingów (przeszło 800,000 złotych) temu, kto by je odkrył. Kuk ofiarował się z chęcią dowodzenia okrętem, który miano wysłać na wysledzenie tego przejścia. Rzecz naturalna, że skwapliwie przyjęto jego ofiarę i oddano mu pod dowództwo dwa okręty, należycie wyekwipowane, a uczeni, jak zwykle, towarzyszyli śmiałemu żeglarzowi.

Kuk, przypłynąwszy szczęśliwie do przylądka Dobrej Nadziei, nabrał bydła rogatego, aby je przewieźć na wyspy oce-

anu Południowego i tam rozmnożyć te użyteczne zwierzęta. Zwiedził wyspy Kerguelen i zawinął wreszcie do Nowej Zelandyi. Następnie popłynął ku wyspom Pomotu i odwiedził Taiti, a nie bawiąc nigdzie długo, pośpieszył ku północy, dla spełnienia powierzonego mu zadania.

Jednego dnia dostrzeżono trzy nowe, a dotąd nieznane jeszcze wyspy. Okręty zbliżyły się ku największej i kapitan wylądował na nią. Znać Europejczycy pokazali się tam po raz pierwszy, gdyż wyspiarze z nadzwyczajną ciekawością przypatrywali się przybyłcom, a przed Kukiem padali na twarz, jakby przed bóstwem. Byli oni silnie zbudowani i nadzwyczaj zręczni. Przystępniejsi i oświeceńsi od innych wyspiarzy oceanu Spokojnego, wnet z Europejczykami weszli w dobre stosunki. Wyspy te były rozległe i mocno zaludnione. Kuk nazwał je Sandwicz, na cześć swego protektora, naczelnego lorda admiralicyi.

Z wysp Sandwicz popłynął kapitan ku północy, dla szukania przejścia. Okręty przebyły cieśninę Berynga, dzielącą Azyję od Ameryki, ale z przyczyny ogromnych lodów, pomimo wszelkich usiłowań, nie zdołały posunąć się dalej. Tymczasem zbliżała się zima; Sierpień miał się ku schyłkowi. Kuk postanowił wrócić do wysp Sandwicz, przezimować tam, a następnego roku wypłynąć wcześnię, dla dokonania zamierzonego odkrycia. Przez zimę jednak nie tracił czasu na próżno. Przybywszy do wysp Sandwicz, okrążał je kolejno i, rysując brzegi, skreślił dokładną mapę tego archipelagu. Żywności było do zbytku; nasolono mnóstwo mięsa. Krajowcy okazywali się nadzwyczaj przyjazni i nikomu nie przyszło na myśl, aby wyprawa ta smutno się miała zakończyć. Po niejakiem czasie pojawiły się drobne kradzieże. Kuk nie wiele na nie zważał; ośmieleni tem krajowcy poczęli coraz bardziej kraść. Za jednym dzikim, który skradł obcęgi, pobięł oficer i kilku majtków, lecz zostali rozbrojeni i pobici przez wyspiarzy. Nakoniec skradziono wielkie czółno okrętowe. Niepodobieństwem było puścić tej kradzieży bezkarnie. Kuk więc, wzięwszy oddział żołnierzy uzbrojonych, wysiadł na ląd i udał się do mieszkania króla, aby go zaprowadzić na okręt i póty trzymać, póki nie zwróci mu czółna. Groźne gromady dzikich otoczyły ze wszystkich stron Anglików, jednakże nie odważyły się ich napadać. Za przybyciem atoli na brzeg, żony króla zaczęły

rzewnie płakać i zaklinać go, aby się nie oddawał w ręce cudzoziemców. Ale Anglicy uprowadzali go przemocą. Wtedy krajowcy zaczęli grozić i potrząsać włóczniami. Jeden z naczelników podniósł broń i chciał uderzyć kapitana; wtedy Kuk strzelił do niego, ale śrót nie przebił zbroi, uplecionej z łyka. Dziki ośmielony nieskutecznością strzału, dał znak swoim podwładnym; wyspiarze zasypali Anglików gradem kamieni. Czterech majtków legło trupem, a Kuk został raniony w głowę. Pomimo to uchodził jeszcze do brzegu; lecz rozjuszeni dzicy, nie zważając na ogień żołnierzy, na rany i śmierć, wściekle rzucili się na Anglików, a jeden ugodził Kuka nożem w plecy. Mimo wołania, majtkowie nie mogli przynieść pomocy swemu kapitanowi, który legł, zamordowany nożami i maczugami wyspiarzy.

Tak zginął ten sławny żeglarz, w d. 14 Lutego 1779 roku. Ciało jego, porąbane w kawały, podzielone było między naczelników krajowych. Anglicy przecież potrafili część zwłok wydostać i spuścili je z wielką uroczystością w głębiny wód morskich.

Kuk był mężem niezmordowanym, wytrwałym, wielkiego męstwa, wzrostu wysokiego blisko 6 stóp, barczysty, zbudowany silnie — włosów ciemnych, rysów twarzy poważnych i wyrazistych. Był on pierwszym Europejczykiem, który zbadał morze południowe — i wiele odkryć geograficznych w tej stronie świata zawdzięcza mu nauka. Nie mało też oddał posług innym umiejętnościom, a mianowicie astronomii, botanice, zoologii i mineralogii, t. j. naukom o gwiazdach, roślinach, zwierzętach i rzeczach kopalnych.

Wład. Lud. Anczyc. 1865.

XIV. Historyja naturalna.

I. Człowiek.

Człowiek jest stworzeniem którym Bóg uwieńczył dzieło rąk swoich. Mając te same co i zwierzęta potrzeby, różni się od nich duszą nieśmiertelną, rozumem i mową. Gdy mu jest miłe ciepło, a zimno przykre, gdy głód czując stara się o po-

żywienie, gdy snu potrzebuje dla spocznienia, widzi, że te jego potrzeby wspólne są zwierzętom; ale gdy myśli, gdy się zastanawia i gdy się nieśmiertelnego życia spodziewa, widzi istotę swoją wywyższoną nad wszystkie stworzenia i przybliżoną do natury tych duchów, któremi Wszechmocny swój niebieski majestat otoczył.

Małeńka mucha, skoro się wylęgnie, umie latać i umie pożywienie swoje wynaleźć. Kurczęta zaraz po wylęgnięciu biegają i znają te ziarna, które im natura za pokarm przeznaczyła. Tymczasem człowiek przychodzi na świat w stanie zupełnego niedołęztwa, nie umie starać się o pokarm i nie byłby zdolny najmniejszego niebezpieczeństwa uniknąć. Muszą go pielęgnować dojrzały ludzie, dopóki nie nabędzie sił zupełnych i nie udoskonali rozumu swojego. To nas przekonywa, że do towarzyskiego życia stworzeni jesteśmy, i że w każdej czynności jedni drugich winniśmy wspierać.

Pierwszy człowiek stworzony został w takim kraju, w którym mu dobroczynna ziemia bez przymusu wszystko wydawała, a ciągle łagodne powietrze nie wzywało do obowiązku starania się o ciepłą odzież i pomieszkane bezpieczne. Nie zaraz przeto ludzie zaczęli tworzyć wsie i miasta; tak prowadzić życie, jak my je dzisiaj prowadzimy. Dopiero gdy przeszli w zimne okolice ziemi, potrzeba skłaniała ich do poddania się większym trudom, i przemysłowi ich szybszy popęd nadała. Równie jak dzieci ograniczonych wiadomości swoich niepewni z początku, rozszerzali je potem coraz nowemi spostrzeżeniami, a co zrazu potrzeba tylko na nich wymagała, to później sztuki i zbytku przedmiotem się stało.

Najpierwsi ludzie w Azji mieszkający, byli wszyscy twardzi i śmiałej to jest tacy, jakimi są dzisiaj Arabowie, Turcy, Persowie, Chińczycy. Ci, którzy Europę załudnili stali się z czasem tak białymi, jak my jesteśmy. Ci, którzy przeszli do Afryki, stali się zupełnie czarnymi, jak to na murzynach widzimy. Amerykanie są podobni do murzynów, czarność ich jednak nie jest tak mocna, jak u Afrykanów, bo wpada nieco w czerwonosć, co miedziastym kolorem zwiemy.

W najpóźniej odkrytej części świata mieszkają ludzie, zielonawy czyli oliwkowy kolor cery mający.

Właściwie jednak tylko człowiek pomiędzy zwierzętami ma zupełnie prostą postawę ciała, i jak już dawniej poganie

wnosili, gdy wszystkie zwierzęta mają głowę pochyla ku ziemi. człowieka oblicze wzniesione jest ku niebu, jakby w tym celu, ażeby nigdy nie tracił z pamięci téj myśli, że tam jest źródło najwyższej mądrości, z którego i on początek swój odebrał.

Lubo jedni ludzie są wyższego drudzy niższego wzrostu, różnica ta jednak nie jest bardzo znaczna, a średnia miara człowieka zwykle 5 stóp dochodzi. Jednakże niektórych krajów mieszkańcy mocno od téj miary odstępują. I tak narody lodowatych, blisko bieguna północnego położonych krajów, są bardzo niskiego wzrostu, bo ledwie trzech stóp dochodzą, a przeciwnie mieszkańcy południowego brzegu Ameryki z kraju Patagonów bywają stopą od nas wyżsi. Tamtych możnaby nazwać karłami, tych olbrzymami.

Nim się przekonano, że ogromne żebra i inne kości, które po wielu krajach z gór i skał wykopują, są kośćmi wielkich gatunków zwierząt, uważano je powszechnie za kości olbrzymów, czyli niezmiernie wysokich ludzi, którzy całych sosen za laski do podpierania się używali. Podobnie utrzymywano o karłach, zmyślono całe narody z niezmiernie małych ludzi złożone (Krasnoludy, Pigmejczycy), i powiadano, że do tych narodów corocznie zlatują się żorawie i z nimi bój staczają. Ale tak dziecinny powieściom wtenczas tylko wierzone, gdy mało kto był w stanie zatrudnić się dokładnem poznawaniem rzeczy.

2. O zwierzętach w ogólności

Jakożkolwiek rozmaite są kształty i budowa zwierząt, to jednak jest im wspólne, że wszystkie, wyjąwszy może wymoczki, pokarm swój gębą biorą. Pokarm ten nieskończenie jest rozmaity i prawie zawsze z organicznych istot się składa. Przykre czucie głodu nagli je do przyjmowania pokarmu, a większa część, dla utrzymania bytności swojej, przez dobrowolne ruchy szukać go musi.

Pokarm ten gębą przyjęty, przetrawiony, i ze krwią złączony mocą organizacyi każdego zwierzęcia, w ciało jego się zamienia. Krew większej części zwierząt jest czerwona, innych, jak owadu, robactwa, rozmaitej farby bywać zwykła. Krew zwierząt ssących i ptaków, w stanie zupełnego ich zdrowia,

trzyma się około 32 stopni ciepłomierza Réaumura; a takowe zwierzęta ciepłokrwistemi są nazwane. W rybach zaś, płazach, owadach, robakach, ciepło krwi niewiele się różni od stopnia ciepła wody lub powietrza, w którym się znajdują; a takowe zwierzęta zimnokrwistemi się zowią.

Krew zwierząt, czy to jest czerwona, czy innéj jakiej farby, ciepła czy zimna, zawsze świeżem do utrzymania ruchu nieodbicie potrzebnem powietrzem odżywiana być musi: a to dzieje się przez oddech, który zwierzęta albo przez płuca, jak ssące i ptaki; albo przez skrzele, jak ryby; albo przez pobożne otwory, jak robaki odbywają.

Same tylko płucami oddychające zwierzęta głos wydawać mogą; a między niemi sam człowiek, prócz głosu, posiada jeszcze sposób mówienia.

Narzędzia dobrowolnych ruchów są muszkuły, w czerwonekrwistych zwierzętach mięsem zwane. Są jednak muszkuły, nad którymi wola żadnej władzy nie ma, a takim jest serce, które póki zwierz w życiu i zdrowiu zostaje, w ustawicznym jest ruchu.

Oba muszkułów gatunki, pomocy nerwów do działania potrzebują. Główną czynnością nerwów jest, przenosić do duszy, za pomocą zmysłów, zewnętrzne na ciało zwierzęce uczynione wrażenia. Nerwy więc są pośredniemi ścisłych związków między duszą a ciałem ogniwami i narzędziami.

Pięć pospolicie liczy się zmysłów zwierzęcych: widzenie, słyszenie, powonienie, dotykanie, smakowanie.

Muszkuły i nerwy ciągłym sprawowaniem ruchów, lub przyjmowaniem obcych wrażeń zmordowane, potrzebują spoczynku dla nabrania sił nowych, które we śnie znajdują. Człowiekowi i większej części zwierząt, przyrodzenie na ten koniec noc przeznaczyło; wiele jest jednak takich, mianowicie drapieżnych, tudzież ryb, robaków, owadów, które w dzień usypiają, w nocy zaś wszystkie swe odbywają czynności. Stąd zwierzęta takowe u naturalistów nocnemi są nazwane.

Oprócz zwyczajnego snu i spoczynku, wiele jest jeszcze zwierząt, które znaczną część roku w głębokiem uśpieniu spędzają. Zwierzęta takowe przed nadejściem zimy kryją się w wygodnych i bezpiecznych miejscach, i twardym snem uśpione przez całą zimę zostają. Uśpienie to, ile wiadomo, wszystkim płazom, i wielu owadom jest wspólne.

Rozum, sam tylko człowiek dostał od Twórcy, zwierzęta zaś mają instynkt. Ten mus wrodzony, niedobrowolny, żadną nauką ani przykładem nie nabyty, pełnienia wszelkich czynności do utrzymania zwierzęcia potrzebnych, nazywamy instynktem. Skutki instynktu dają się widzieć, przynajmniej w niektórych zwierzętach, tak dziwne i rzadkie, że je niekiedy za skutki rozumu poczytywano. Że jednak ważne te czynności nie są rozmysłowem ich działaniem, tysiączne i codzienne pokazują postrzeżenia.

Ze wszystkich jednak instynktu zwierzęcego gatunków, najdziwniejszy jest ten, który naturalisci rzemieślniczym czyli kunsztowym nazywają. Za pomocą tego to instynktu zwierzęta ciepłokrwiste i owady, bez żadnej poprzedzającej nauki, bez żadnych widzianych i rozważanych wzorów, najsztywniejsze i najdelikatniejsze mieszkania, gniazda, tkanki, sieci i t. d. dla bezpieczeństwa własnego potomstwa, dla łowu zdobyczy, kształcić i robić zwykły.

Człowiek najmniej ma wrodzonego instynktu do żadnego prawie dzieła prosto od natury nie usposobiony, wszystkiego zwolna uczyć się musi. Ale niedostatek ten wrodzonego instynktu użyciem rozumu niewymownie sobie nagradza i tém wszystkie przewyższa zwierzęta. Rozum, ta to kombinacja wszystkich sił duszy i kierowanie ich ku pewnym celom różni istotnie człowieka od zwierząt. Cała mieszkalna ziemia jest jego siedliskiem; wszystkie prawie organiczne istoty są jego pokarmem. Ależ ta sama różność klimatów, w których mieszkać, ten różny na różnych miejscach pokarm, którego szukać, też rozmaite wygody, które upatrywać musi, prostym i jednostajnym instynktem obchodzić się mu nie pozwalają. Ręka Twórcy dała mu więc rozum do wszelkich zdarzeń stosowny, którego używając wszystkie swe potrzeby zaspokajać może. Ta władza wznosi człowieka nad wszystkie zwierzęce stworzenia, i daje mu nad nimi panowanie, tak, iż usmięrza i przyswaja nierównie silniejsze od siebie drapieżne i dzikie zwierzęta, przytłumia najgwałtowniejsze ich popędy, siły ich owszem i wrodzone instynkta na własną obraca posługę.

3. K o Ń.

Koń ugłaskany najpiękniejszą jest zdobyczą, którą przemysł i rozum ludzki na zwierzętach mógł uczynić. Silny, od-

ważny, lecz razem powolny i łagodny, nietylko przyjmuje pojętnie dawaną sobie naukę, ale nawet przywiązuje się do człowieka i staje uczestnikiem wielu ważnych czynów. Prawda, że też około żadnego tyłu nie podejmuje się trudów i starań, ile około ułożenia konia do różnych posług, któremi użyteczny być może. Są oddzielne dla niego szkoły, gdzie przemysł ludzki doświadczeniem kierowany, sposobi to zwierzę do różnych potrzeb swoich, nowych mu ruchów i sił dodaje. Szkoły takie zowią się ujeżdżalniąmi a bardzo często z niemieckiego rajtszulami. Inne są znowu, ale już prawdziwe szkoły, w których człowiek uczy się poznawać przyrodzenie konia, aby w przypadkach chorób i kalectwa skutecznie mógł ratować tak pożyteczne stworzenie. Lekarze chorób końskich nazywają się konowalami czyli weterynarzami, a nauka o chorobach końskich weterynaryją. Koń jest zwierz bardzo silny, wiele może dźwigać, jeszcze więcej ciągnąć, a zręczność jego biegu ledwo do wiary podobną bywa. Prawie wszystkie koczujące azjatyckie hordy jadają mięso końskie. Niektóre z mleka kłaczczą robią kumys, bardzo tęgi napój. W Europie tych użytków z niego nie ciągną; po zdechnięciu używają skóry, sierci, włosów z ogona i grzywy na rozmaite wyroby. Zbyt wiele korzyści odnoszą z jego pomocy w jeździe, żeby dla mięsa zabijać go miano *) Chód koniastosownie do prędkości swojej, różnemi oznaczony jest nazwiskami powolny, zowie się stępem; żwawszy, kłosem; jeszcze śpieszniejszy, galopem; a najprędszy cwałem. Maść czyli kolor sierci także odmienne, koniom tylko właściwe bierze nazwiska; zasada się na mięszaninie białego, czarnego i rdzawego koloru, według nich zowią konia białym, siwym, dereszem, myszatym, cisawym, bułanym, izabelowatym, różowym, gniadym, kasztanowatym, żelaznym, wronym, karym, tarantowatym, srokatym i t. d.

Co do wzrostu i kształtu, wielka także między końmi zachodzi różnica; czasem widzimy je tak skarlonemi, że ledwie dorównywają wielkości sarny, są to tak zwane kucyki; inne znowu dorastają wielbłąda. Jedne zalecają się składnością i lek-

*) W ostatnich czasach poczęto w Europie robić kumys i końskiego mięsa na pokarm używać.

kością jelenia, drugie ociężałością i niezgrabnością przypominają wołu. U jednych bywa głowa mała, kształtna, bystre oczy, ku przodowi nadstawione uszy; u innych głowa rozrosła; wzrok głupowaty, wielkie uszy a nozdrza wąskie i stulone. U wielu sierć jest drobna, gładka, lecz bywają także często i kosmate o sierci długiej, jedwabistej. Zbytnią małością wzrostu odznaczają się szczególnie konie z wysp szkockich, korsykańskie i żmudzkie, mierzynami zwane. W Sardynii też, gdzie prawie wszystkie zwierzęta są nadzwyczaj małe, gdzie woły i krowy ledwo wielkości starszych u nas cieląt dorastają, konie równają się większym chartom, ale są kształtne, mają wiele życia, ognia; szczególnie się przywiązują do człowieka i sypiają jak psy pod łóżkiem swego pana. Przeciwnie nadzwyczajną roślnością zadziwiają konie piwowarskie w Anglii i kłusaki holenderskie.

Stosownie do ręczności biegu i pojętności, dzielą się konie na różne pokolenia czyli rasy. Główną i pierwszą jest rasa arabska; konie z tej rasy nie są wprawdzie najpiękniejsze co do postawy, ale szybkością w biegu, wytrwaniem w długich podróżach, odwagą i roztropnością w niebezpieczeństwach, wszystkie inne przechodzą. Dwojakie jednak konie są w Arabii: jedne pospolite, drugie szlachetnego rodu, których pochodzenie od dwóch tysięcy lat ma być w księgach umyślnie na to przeznaczonych zapisywane. Te ostatnie kilka dni bez pokarmu wytrwać mogą, prace niesłychane wytrzymują, na nieprzyjaciela śmiało nacierają, jeźdźca swego strzegą i bronią; gdy zaś przypadkiem spadnie, w najprędzszym galopie zatrzymują się, a jeżeli wstać nie może, wierzganiem i zębami napastników jego kaleczą. Dla tych to przymiotów Arabowie bardzo wysoko je cenią, wygod i ochędóstwa pilnie strzegą, pod jednym ze sobą stawiają namiotem, nie biją nigdy, tylko w potrzebie najpieszczotliwszymi wyrazami bieg ich przyspieszają; twierdzą nawet, że to pokolenie ze stad salomonowych pochodzi jeszcze. Z pokoleń europejskich odznaczają się: do upręży przy pojazdach, konie neapolitańskie; do obrotów wojennych dzielnością i mężstwem, celują konie hiszpańskie; do ręczności biegu jednak największą sławę po arabskich zaraz mają konie angielskie. W Anglii też, a teraz i w innych stronach Europy odbywają się najznakomitsze wyścigi, na których właściciele i widzowie zwykli o szybkość ubiegających się do mety koni,

znaczne bardzo czynić zakłady. Konie polskie mają także wiele zalet i pięknego są kształtu, ale ich rasa prawdziwa coraz rzadszą się staje.

Obłaskawienie konia w Europie już tak jest dawne i powszechne, że ledwo w stanie półdzikim znany jest w niektórych okolicach państwa rossyjskiego, gdzie na rozległych stepach buja sobie w licznych stadach, czyli tabunach. Stada prawdziwie dzikich, jak mówią koni, znajdują się w różnych częściach Azji, Afryki i Ameryki. Każdemu stadu przewodniczy jeden, który mu drogę obiera, na miejscu zatrzymuje, lub dalej prowadzi według swego upodobania. On pierwszy naraża się na wszelkie niebezpieczeństwa w walce z innym stadem, lub w obronie od napaści wilków i ludzi. Niezmiernie też jest czujnym i czynnym, obiega często swe stado do koła; a postrzegłszy, że który koń wystąpił z szeregu lub w tyle pozostał, uderza go barkami i do powrotu przymusza. Dla tego cały orszak idzie tak prawie regularnie, jak szykowa jazda. Wszystkie pasą się oddziałami, które nigdy z sobą się nie łączą, ani też siebie nie odstępują; a gdy jaki zwierz drapieżny zagraża, wnet się skupiają, zębami gryzą, nogami straszliwie biją i tratują; woła jednakże, jeżeli czas mają ucieczką się ratować. Każdy przywódca stada winien swoje pierwszeństwo własnej śmiałości. Zwykle cztery lub pięć tak czuwa nad swoim oddziałem; lecz gdy zesłabieje lub stanie się nieczynnym, wyskakuje wówczas ze stada inny, pewny swjej siły i przywoździ gotowy żrebiec, i śmieie nań uderza. Jeżeli się starszy pokonać nie da, zostaje nadal przy swym pierwszeństwie, lecz jeżeli się podda, cofa się wówczas do zgrai stada, a zwycięzca staje na czele i stadu przewodniczy

Gabryela Żmichowska.

4. S ł o Ń.

Nie tylko wielkością słoń przewyższa inne zwierzęta, jego siła, odwaga, przywiązanie, pamięć, a bardziej jeszcze wdzięczność, umiarkowanie i posłuszeństwo, czynią go godnym pierwszeństwa pomiędzy wszystkimi istotami, które Stwórca poddał mocy człowieka. W stanie dzikim nigdy nie jest drapieżnym, krew żadnego nie ma dla niego powabu,

a siły swojej używa tylko w obronie siebie, lub w innych słońi potrzebie.

Rzadko go samotnym spostrzedz można, lubi żyć gromadnie. Zachwycający jest widok przechodzącej gromady słońi każdy ma naznaczone miejsce, najstarszy przodkuje, drugi z kolei wieku postępuje na końcu, w środku idą młode i słabe, oraz matki unoszące trąbami dzieci. Tego porządku jednak pilnują tylko wtenczas, kiedy idą paść się na uprawnych polach; w lasach i na ustroniu są wolniejsze, nie obawiając się napaści ludzkiej, jednakże zawsze trzymają się blisko siebie, aby w razie napadu łatwiejszą nieść sobie pomoc mogły. Zdarza się czasem, że się który zabłąka, takiego ścigają myśliwi; bo kiedy znajdują się w gromadzie, nierozsądkiem byłoby je zaczepiać. Wprost rzucają się na nieprzyjaciela, biada temu, kto by się w ten czas posunąć ku nim ośmielił, przebijają go kłami, albo porwawszy trąbę, rzucają nim jak kamieniem o ziemię i podepczą nogami.

Starożytni uważali słońia, jako cud natury, i mieli dla niego pewien rodzaj poszanowania. Ludy, wierzące w metempsychozę, dziś jeszcze mniemają, że postać tak wspaniałą musi koniecznie ożywiać dusza króla, albo jakiego wielkiego człowieka. W Siam, Laos i Pegu, słońiom białym oddają cześć, jako ceniom żyjącym cesarzów indyjskich. Każdy ma pałac, dwór składający się z licznej służby; w złotych naczyniach podają mu wyborne potrawy, stroją wspaniale i uwalniają od wszelkiej pracy i posłuszeństwa.

Chwywanie słońi wiele podaje trudności; muszą całą przestrzeń, w której się on znajduje, otoczyć palisadami, albo napędzać go w wielkie doły umyślnie na ten cel kopane. Schwyty i połączony ze słońiami przyswojonemi, łatwo się daje ugłaskać pieszczotami, groźbą lub postrachem razów, i staje się najłagodniejszym i najposłuszniejszym ze wszystkich zwierząt.

Bardzo przywiązuje się do hodującego go człowieka, szuka sposobów okazania mu wdzięczności swojej tysiącami pieszczotami i zgadywaniem chęci jego. Krótki przeciąg czasu wystarcza mu do zrozumienia znaków i zmian głosu pana; a czy to on rozkazuje, czy się gniewa, czy oświadcza radość swoją, zawsze go słoń zrozumie i wykona wolę jego; ale to zawsze dzieje się z pewnym zastanowieniem, bo zwie-

rzę to, którego charakter zdaje się zgadzać z powagą postaci, równie jest rozważne przy okazaniu roztropności swojej, jak i przy zwykłych poruszeniach ciała. Po kilku tygodniach pracy nad nim, nie tylko zgina kolana dla dogodności pragnących wsiąść na niego, ale głaszcze trąbą ulubionych sobie i kłania się wskazanym osobom. Lubi ozdoby i widoczną okazuje radość, kiedy go pokrywają błyszczącym nakryciem, albo go w złożone zdobią zaprzęgi.

Pracuje chętnie, wielkie ciężary bez opierania się ciągnie, ale traci chęć zupełnie, jeśli go ukarzą niesłusznie, albo nie okażą mu dosyć zadowolenia za podjęte trudy.

Szczególną jest u słońia małość oczu w porównaniu z objętością całego ciała, ale nieforemność tę nagradza sownicie patetyczny i czuły ich wyraz, malujący dokładnie słodycz, przychylnosć, uwagę, roztropność i przenikliwość. Słuch i węch ma wyborny. Rozkoszuje się dźwiękiem muzyki i nadzwyczaj lubi wszelkie wonie.

Łatwo nauczyć go można wybijania taktu, poruszania się z nim zgodnie i łączenia niejakich dźwięków do trąb i bębna odgłosów. Kwiat pomarańczowy najbardziej lubi, a jeżeli mu się zdarzy spotkać pomarańczowe drzewo, ogłaca go trąbą z całej zieloności i zjada owoce, kwiaty, liście, a młode drzewka nawet zupełnie pożera.

Siedlisko dotykalgogo czucia u słońia jest tylko w trąbie; zadziwiająca ta trąba jest tēm dla niego, czēm ręka dla człowieka, a zbudowana w taki sposób, że zwierzę może dowolnie przedłużać ją, skurczać, giąć i obracać na wszystkie strony. Na końcu trąby znajduje się wypukłość przedłużająca się zwierzchu w kształcie palca, jēj słoń używa z niezrównaną zręcznością do podnoszenia z ziemi najdrobniejszej monety, do zrywania po jednym kwiatku z krzaczka; do rozwiązywania węzłów, zamykania i otwierania drzwi zamkami opatrzonych, a nawet do kreślenia kształtnych głosek narzędziem wielkości pióra zwyczajnego.

Im bardziej zastanawiamy się nad trąbą słońia i całą jēj zręcznością, tēm łatwiej przyznać musimy, że z wszystkich narzędzi, jakeimi Stwórca opatrzył najulubieńsze stworzenia swoje, ona jest najdokładniejszēm i największego podziwienia godnēm dziełem.

Kiedy posiadacz słonia chce go zmusić do wykonania jakiego trudnego dzieła, do którego zwierzę zupełny wstręt okazuje, natenczas przyrzeka mu dać araku, albo ulubionych jego potraw lub napojów, a słoń podwaja usiłowania; ale biada temu, ktoby igraszkę z przyrzeczeń robił,—nie minie go sroga zemsta czującego krzywdę zwierzęcia.

W Dekan zdarzył się następujący wypadek: słoń zawiedziony przez swego pana, silném uderzeniem odebrał mu życie. Zona nieszczęśliwego, przytomna temu, w uniesieniu żalu rzuca mu dwoje pozostałych dzieci pod nogi i woła: Kiedyś mi zabił męża, to i mnie i dzieciom odbierz życie! Ale słoń zatrzymuje się na te słowa nagle, i łagodząc się, jakby uczuwał jęć cierpienie, obejmuje starszego chłopczyka trąbą, na grzbiet go swój zakłada, uznaje go panem swoim i odtąd jemu tylko posłuszny, innego znać nie chce.

Ależ ten słoń tak popędliwy w zemście, pamięta świadczone sobie przysługi i wdzięcznym za nie być umie.

W Pondiszery był żołnierz, który przez szczególną do jednego słonia przychyłność, nosił mu często miarkę araku; żołnierz ten, razu jednego upojony winem, chcąc uniknąć kary więzienia, położył się pod tymże słoniem i zasnął wygodnie. Warta, szukająca winnego, odkryła jego schronienie, ale żadną miarą wydobyć go nie mogła, tak silny opór słoń trąbą swoją jęć stawiał! Żołnierz w głębokim śnie całą noc tak przebył. Ze świtem budzi się wytrzeźwiony i z przestraszeniem spostrzega, gdzie się znajduje; ale zwierzę zrozumiałwszy przerażenie nieszczęśliwego żołnierza, uspakaja go głaskaniem trąby i wyjść pozwala bez najmniejszego szwanku.

Raz w Indyjach zraniono młodego słonika; chirurg chciał go opatrzyć, ale uparte zwierzę, broniąc się z całej siły, nie chciało na to pozwolić. Przytomna temu matka słonika, zrozumiałwszy, że synowi jęć pożyteczną będzie chwilowa przykrość, uchwyciła go trąbą i trzymała dopóty, dopóki chirurg należycie rany nie opatrzył.

Przed kilkoma laty *) przyjechał do Warszawy cudzoziemiec, mający z sobą słonia, którego za pieniądze pokazywał; Warszawianie odwiedzali go tłumnie, ale zdarzyło się,

*) 1828.

że w jakiś czas po jego przybyciu człowiek, przynoszący mu zwykle pożywienie, zachorował mocno; słoń poczuł wkrótce nieobecność jego, zaczął tęsknić i nie chciał od nikogo przyjmować pokarmu. Próżno zmieniano dozoruje go osoby, próżno podawano mu łakotki, które najwięcej lubił, odrzucał wszystko, a w kilka dni z głodu opanowało go szaleństwo, w którym życie zakończył. Skórę jego wypchaną widzieć można w warszawskim zoologicznym gabinecie.

Uczeni dowodzą, że słoń kilka wieków żyć może. Aleksander najpierwszy sprowadził go do Europy. Żyje pospolicie we wszystkich krajach południowych Afryki i Azji w Cejlanie, Mongolii, Siamie, Peru i wszystkich częściach Indyi. Używają go do wojny i wszystkich ciężkich robót. Zwyczajnie bez zmęczenia do dwunastu mil drogi odbywa dziennie, w potrzebie naglej może do dwudziestu czterech mil przebiec w tymże przeciągu czasu.

Słonie są bardzo drogie, sprzedawano je od tysiąca pagodów złotych do piętnastu tysięcy rupij, to jest od dwudziestu tysięcy złotych do siedmdziesięciu tysięcy. Utrzymanie słonia także dużo kosztuje; temu, którego król portugalski przysłał Ludwikowi XIV, dawano dziennie dwadzieścia cztery funty chleba, trzy garnce wina i dwa wiadra polewki, do której wchodziło jeszcze kilka funtów chleba albo ryżu, nie licząc w to dawanego przez odwiedzających pożywienia.

5. Łapanie niedźwiedzi.

Niedźwiedź lubi słodkie owoce, a najbardziej miód. Z tego powodu obmyślono kilka dowcipnych sposobów, jakby łapać tego łakotnisia. Jeden z tych sposobów jest następujący. Trzeba naprzód znaleźć drzewo, w którym miód mają pszczoły, i potem ślad zrobić miodem do tego drzewa; przy otworze zaś do ula zawiesić trzeba na sznurze ciężki pniak, zatykający ten otwór zupełnie. Niedźwiedź poczuwszy miód, biegnie i czempredziej spina się na drzewo, lecz na nieszczęście swoje otwór znajduje zamknięty. Wkrótce spostrzega, że pniak się rusza, więc rozzłoszczony tą przeszkodą popycha go silnie, aby go odsunąć. Pniak odlatuje wprawdzie, lecz zaraz spada nazad i uderza w pysk niedźwiedzia,

który tym więcej rozjątrzony, jeszcze go silniej odpycha. Po takich kilku uderzeniach niedźwiedź odurzony spada na ostre pale, które pod drzewem na niego przyrządzili myśliwi.

Jeszcze dowcipniejszy jest inny sposób łapania niedźwiedzi, którego używają w górach uralskich.

Tamtejsi mieszkańcy wieszają wysoko na gałęzi deskę na czterech sznurach równolegle do poziomemu i wiążą ją do łańcucha cienkim sznurkiem skręconym z kory. Niedźwiedź wszedłszy na drzewo, siada wygodnie na desce, aby zająć miód; a ponieważ sznurek zatyka mu otwór do ulubionej potrawy, więc przerywa go łapą i w tej chwili siedzi na desce w powietrzu, odcięty od drzewa. Wtedy skacze nieboraczek z rozpaczy na ostre pale pod deską na około ponabijane, albo oczekuje spokojnie przybycia myśliwych, którzy wtenczas mają z nim bardzo łatwą sprawę.

Zwyczajnie zaś łapie się niedźwiedzia w głęboki dół po wierzchu lekko gałęziami pokryty, na których stawia się na ponętę garnek miodu. Niedźwiedź ma doskonały węch, a więc poczuwszy miód zdala, zaraz idzie do niego i wpada w dół, z którego wyjść nie może.

Chcąc go żywcem złapać, stawiają myśliwi na gałęziach ponętę w skrzyni, w którą łakomy niedźwiedź wchodzi i z nią razem wpada w dół. Można go także żywcem złapać, upoiwszy go wódką, jeżeli się jej należy do drzewa i zmiesza razem z miodem.

W Sybirze zastawiają na niego kulki przymocowane do ciężkiego pniaka. Jeżeli mu się kulka około łapy lub około szyi zasunie, chciałby uciekać, lecz ponieważ nie może, więc niesie pniak nad przepaść i rzuca. W tym leci sam za pniakiem, a rozgniewawszy się jeszcze bardziej, rzuca go powtórnie, aż pada potłuczony okropnie.

W Kamczatce jeszcze inaczej na niego polują. Na wąskiej drodze, którą ten zwierz zwykle chodzi, kładą mieszkańcy deskę, w której są wbite żelazne w tył wygięte haki. Niedźwiedź podług zwyczaju przechodząc tą drogą, przebija sobie nogę, a chcąc się uwolnić, przebija sobie i drugą, i wtedy nie może się z miejsca ruszyć. Niektóre śmiaki idą w zapasy z najsilniejszym niedźwiedziem. Do takiej niebezpie-

cznej walki biorą nóż i mocne żelazo na obu końcach zaostrome, przywiązane na rzemieniu, który sobie okręcają około lewej ręki po łokieć, trzymając w niej żelazo, a w prawej ręce nóż. Niedźwiedź ujrawszy przeciwnika, stawia zaraz na tylnych łapach, otwiera paszczę, w którą mu myśliwy szybko wkłada rękę z kończastym żelazem, a drugą przebija go nożem.

Burego niedźwiedzia można bardzo łatwo oswoić, zwłaszcza za młodu. Chcąc go wprowadzić do tańca, zamyka go się w klatkę, której dno jest wysadzone blachą. Ta blacha rozpalą się; niedźwiedź nie mogąc stać, bo go blacha piecze, staje na tylnych łapach i skacze, przyczem bębni mu i grają na piszczalce. Przez to tak się przyzwyczai, że natychmiast tańczy, skoro tylko usłyszy bęben i piszczalkę.

6. Ż u b r.

Miedzy zwierzętami, które bliższe już były zupełnej zgłady, przez zbytne ze strony człowieka prześladowanie i wzrastający brak odpowiednich miejsc na zamieszkanie, jest jedno, dla którego jedynym na całej ziemi schronieniem jest gubernija Grodzieńska, a nawet mały tylko jej zakątek, zwany Białowieską puszcza. W tym lesie, jakiemu u nas pod względem gęstości i dzikości nie ma równego, żyją dotąd żubry, albo tury, i to tak nielicznie, że liczba ich corocznie ściśle może być obrachowana, i że, dla zapobieżenia ich zupełnemu wytępieniu, bardzo surowe kary za zabicie którego z nich są oznaczone.

Żubr, albo tur, na pierwszy rzut oka dużo ma podobieństwa do naszego zwyczajnego wołu — i niegdyś też sądzono, że jest dzikim krewniakiem tego, tak użytecznego, domowego zwierzęcia. Ale zdanie to było mylne, i nauka wskazuje pewne znaki, które go za oddzielny zupełnie gatunek uważać każą; a znaki te, już z samego powierzchownego rozpatrzenia się, dość wyraźnie ocenić się dają.

Żubr (bos urus) ma rogi czarne, miernie długie, okrągłe naprzód podane, końcami w górę zwrócone — czoło szerokie, wypukłe, kędzierzawe, piżmem woniejące — podgardle zaokrąglone, bez obwisłej skóry, jaką widzimy u bydląt do-

mowego; na podgardlu i mostku u młodych włos długi, nakształt brody; szyja krótka; głowa nisko osadzona; na karku grzywa krótka, w górę stercząca; tułów na przodzie wysoki, silny, w tyle zeszczuplony; grzbiet z przodu łukowato wzniesiony, ku tyłowi spadzisty; ogon od połowy mocno kiściasty; szerść na ciele w zimie gęsta, wełniana, miernie długa, ślizga, brunatna—w lecie krótka, gładka, czarno połyskująca; broda, kiść ogonowa i kopyta zawsze czarne; oczy duże, wypukłe, ze źrenicą pionową podłużną, w środku zwężoną, co dowodzi, że żubr widzi zarówno w dzień, jak w nocy.

Piękne dwa okazy tego zwierzęcia możecie widzieć w Warszawskim gabinecie zoologicznym; są to dwie sztuki ubite, za wyraźnym pozwoleniem rządu, w dniach 15 i 16 Lutego 1830 roku, dla pomieszczenia w tym gabinecie. Polowanie to opisał w urzędowym raporcie członek b. Warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk, Feliks Paweł Jarocki, gdzie zamieścił zarazem obszerny opis puszczy Białowieżkiej, tego ostatniego schronienia żubrów.

W tym gęstym lesie, położonym w gubernii Grodzieńskiej, powiecie Prużańskim, w odległości ośmiu mil od Brześcia Litewskiego, obejmującym około 17 mil kwadratowych powierzchni, hoduje się, pod pilną strażą, zaledwie kilkaset sztuk żubrów. Dawniej musiało być ich pełno we wszystkich lasach Polski i Litwy, bo w starych kronikach i powieściach często spotykamy opisy polowania na te zwierzęta, których dzikość, siła, piękna skóra i rogi, były nie małą zachętą dla naszych dzielnych ojców do wyprawiania na nie łowów, przedstawiających i urok niebezpieczeństwa i powab pięknej zdobyczy.

Początki założenia Wilna, świetnej przez tyle wieków stolicy Litwy, łączą się z wspomnieniem tych półrycerskich łowów. Książę Gedymin, jeden z bohaterów i mądrych władców pogańskiej jeszcze Litwy, polując w miejscu, gdzie dziś wznoszą się starożytne kościoły i gmachy Wilna, po całodziennych utrudzających łowach, ubił własną ręką niepospolitą wielkości tura (tak bowiem żubr nazywał się u Litwinów), którego rogi tak były wielkie i piękne, że z nich zrobiono później księciu piękne godowe puhary. W tém samém miejscu, gdzie mu się udało położyć trupem tego króla lasów, książę kazał rozbić swój namiot i, po tru-

dach polowania i obfitej zapewne uczcie, udał się na spoczynek. Nic dziwnego, że książę, co z łukiem na ramionach a ciężkim oszczepem w dłoni, całe życie, to w utarczkach z wojowniczymi sąsiadami, to w gonitwach za łosiem, turem, lub niedźwiedziem, przepędzał—co nie na miękkich puchach w złoconym salonie, ale na skórze niedźwiedziej, wśród ścian dzikiego lasu, a pod sklepieniem gwiazdzistego nieba, noc po owém polowaniu przebywał—nie marzył też o pustotach. A miał sen jednak, i to tak ważny, że go, przebudziwszy się, kazał sobie swojemu mądrymu doradcy tłumaczyć. Śniło się bowiem księciu, że widział niesłychanej wielkości wilka, w którego wnętrzu, sto innych mniejszych wilków okropnym głosem wyło i naszczekiwało. Uderzył księcia ten sen, tak szczególny, a gdy go najwyższemu kapłanowi, co go na Litwie Krywe-Kryweito zwano, opowiedział, mądry ten starzec, korzystając ze sposobności, wytłumaczył mu, że to widzenie znaczy, iż powinien w tém miejscu, gdzie tak pomyślnie polowanie odbył i sen miał tak szczególny, zbudować miasto, które stanie się na wsze strony rozgłośnóm, jak te owe małe wilki, odżywające się we wnętrznościach wielkiego, wyraźnie przepowiadają. Podołało się Gedyminowi i wytłumaczenie snu i położenie miejsca, które, pod każdym względem, bardzo się na założenie znacznego miasta zalecało, a że był mężem w postanowieńniu rozważnym, ale w czynie nie leniwym, wnet więc zabrał się do dzieła—i Wilno zaczęło się pod jego okiem wznosić i coraz szerzej rozrastać, aż wkrótce stało się grodem, godnym być tego księcia stolicą.

Innego rodzaju polowanie na tury, czyli żubry, i inną zwierzynę, w którą niegdyś obfitowała Białowieżka puszcza, zachowało się, przez ustne podanie, w pamięci miejscowego ludu i w napisie na obelisku, postawionym z białego piaskowego kamienia na prawym brzegu rzeki Narewki, na wzgórzu, w środku wsi Białowieży, przy tak zwanym Królowym moście. Napis na tym pomniku świadczy, że, w dniu 27 Września 1752 roku, August III, król polski, elektor saski, z królową i królewiczami Ksawerym i Karolem, odbyli tu polowanie i zabili 42 żubrów i 13 łosi. Dalej wypisane są nazwiska gości i urzędników łowieckich, którzy mieli udział w tém polowaniu, a między licznym szeregiem tych

nazwisk, ledwie kilka znajduje się polskich, reszta wszystko Niemcy. Były to ostatnie, tak wspaniałe, a raczej bezużytecznie wyteplające zwierzynę, łowy w tej puszczy. Stanisław August Poniatowski polował wprawdzie kilka razy w tych lasach, ale jego łowy były gospodarniejsze i ograniczały się na ubiciu kilku sztuk.

Od wielu lat już, żeby resztek tego pięknego gatunku zwierząt nie płoszyć, i dopomódz do ich rozmnożenia się, nie tylko w samej Białowiezkiej puszczy, a nawet w sąsiednich jej prywatnych lasach, wzbronione są wszelkie hałaśliwe łowy — i co rok też liczba, dozorowanej przez miejscową straż leśną, zwierzyny, znacznie się powiększa, i wkrótce możeby można upowszechnić żubry i po wielu innych okolicach, gdyby nie zbyt nieogłędne wycinanie lasów, które nie tylko dla żubrów, ale nawet dla lisów i drobnej zwierzyny, nie będą dostatecznego przedstawiały schronienia. Smutna to rzecz, moje dzieci, kiedy kto w swoim domu tak gospodarzy, że, bez pomiarkowania używając tego, czém go Bóg obdarzył, nie myśli o tém, żeby i na przyszłość coś pozostawić.

J. B. Wagner.

7. Wędrówki ptaków.

Życie ptaków pełne jest dla nas nauki. każda stronnica wskazuje nam mądrość, dobroć, potęgę Stworzyciela i wzywa serce do ufności i miłości.

Też same ptaki nie mieszkają stale w tych samych miejscach, lecz zmieniają kraj według pór roku. Na wiosnę przybywają do nas zastępy jaskółek, latem — przepiórek. Wszystkie te ptaki znikają, skoro jesień nadejdzie i zbliży się zima. Wesołe wojsko zajmie leże zimowe w cieplejszych klimatach; tam znajdą magazyny obficie opatrzone — wielki ich liwerant udał się tam naprzód.

Wprawdzie wszystkiego brakuje naszym pielgrzymom, drogi nawet nie znają. Wszakże mniejsza o to ani odległość miejsc, ani szerokość mórz, ani ciemność nocy, nic ich nie przestrasza i nie zatrzymuje. Ufając w Tego, który im rozkazuje, pewne są, iż znajdą drogę, a na tej drodze miejsca odpoczynku i pożywienia, i nie mylą się.

Kiedy więc zbliża się chwila podróży, zaczynają robić potrzebne przygotowania. Każdy rodzaj ma swój sposób wędrówki; jak w wojsku, każdy gatunek broni ma właściwe sobie obroty i ćwiczenia. Otóż niektóre puszczają się naprzód pojedynczo, inne z familią, inne znowu w nielicznym towarzystwie.

Wkrótce poruszają się główne zastępy, liczne hufce, które składają wojsko, umówiły się już, że mają się następnie zebrać na jakiejś odosobnionej równinie, lub na dzwonnicy jakiej samotnej wioski. Tam są kaczki dzikie, tu są jaskółki.

Na dane hasło, pierwsze, to jest kaczki, szykują się popolicie w długą kolumnę, jak litera I, lub we dwie linie złożone nakszałt przewróconej Λ . Kaczka będąca na samym przodzie, przerywa powietrze i ułatwia drogę lecącym za nią. Wszakże przez pewny czas tylko pełni ten obowiązek; z przodu przechodzi potem w tył dla odpoczynku, a miejsce jej zabiera inna. Jaskółki zaś, które są lżejsze, składają zbitą masę, zaciemniającą nawet niekiedy powietrze. Niektóre z nich zatrzymują się w Europie, kryją się w sitowiu i błotach; tam w śnie letargicznym czekają na powrót wiosny. Ludzie, których rzetelność nie może ulegać wątpliwości, zapewniają, że wydobywali je z wody, w stanie pozorniej śmierci, w porze, kiedy wszystkie już odleciały były, i że przywracali je do życia przez powolne ogrzewanie.

Ostrożność, jakiej używają zawczasu przez grube namaszczenie piórek tłuszczem swoim, i zwijanie się w kłębek, tak, że głowa jest pod spodem zabezpiecza je od wilgoci. To ściągają się do jaskółek nadrzecznych. Co do jaskółek bowiem gnieźdzących się w kominach i oknach, te wędrują w jesieni do ciepłych krajów. Widzieć je można, jak licznymi gromadami udają się na brzegi morza Śródziemnego i tam na jakimś miejscu wyniosłym zbierają się w nieprzeliczone hufce. Następnie, zaczekawszy na przyjazną chwilę, puszczają się w drogę i przebywają morze. Kiedy wiatry przeciwnie opierają się ich podróży, natenczas widzieć je można siadające na linach okrętowych. Twierdzą wreszcie, że w miesiącu październiku jaskółki nasze zaczynają pokazywać się w Senegalu, gdzie przepędzają zimę i zmieniają pióra.

Za powrotem wiosny, każda z nich pokwapi się do swego miasta, wsi chatki, starego okna, gdzie zostawiła całe swe przywiązanie, ponieważ tu znalazła była gościnność w roku poprzedzającym.

Wędrówka ptaków nastrocza niekiedy sceny rozrzucające. Czytamy w jednym z dzienników paryskich.

„Dzisiaj od godziny siódmej do dziesiątej rano, tłumy ludu cisnęły się koło starego metropolitalnego kościoła miasta Paryża, a jednak dzwony, nieruchome i milczące nie zapowiadały żadnej uroczystości, ale odbywała się nad portykiem scena nader ciekawa dla miłośników ornitologii — zdarzenie, mogące rzucić niejaki światło na obyczaje ptaków wędrowniczych.

„Tysiące jaskółek latało pod galeryją królewską, siadały na odnowionych słupach, podnosiły się w powietrze i siadały znowu. Stary gmach bez wątpienia wybrany był za miejsce zebrania puszczających się w drogę. Widzowie dziwili się ich opóźnianiu się, gdy w tém spostrzeżono jedną jaskółkę zawieszoną o jakąś ozdobę statuetki.

„Rozrzucające przedstawiały widowisko tysiące tych ptaszków, które okazywały niespokojność krzykiem i trzepotaniem skrzydeł. Wszystkie latały około uwiezionej, wszystkie dziobkami usiłowały skruszyć zatrzymującą ją przeszkodę. Wreszcie, po dwóch godzinach pracy, trudów, okrutnej niespokojności, ostatnie uderzenie dzioba złamało nieszczęsną przeszkodę. Tysiące skromnych okrzyków radości znalazło echo w oklaskach zgromadzonego ludu, i biedna jaskółka skaleczona bez wątpienia wskutek tak nieszczęsnego zaczepienia się, podtrzymywana, zachęcona przez siostry, odleciała z niemi w dalekie strony“

Otóż wszystkie już odleciały. Pożegnajmy się już z ich miłym towarzystwem, pożegnajmy się i z ich muzyką lubą. Pozostał nam tylko samotny wróbel, niewinny czyżyk i kilka innych. Nieboraki, w cóż się one obrócą podczas długiej naszej zimy? Któż je ogrzeje, któż je nakarmi? Zapomniałżeś o nich, Ojcie wszytkiego co oddycha! Nie, nie! Znajdzie się dla nich kilka ciepłych promieni słońca, będzie i jodła gałęzista, i słomiana strzecha, dla nich jałowiec pozostanie okryty owocem, dla nich jagody róż dzikich zmiękną na mrozie, a mali ci pustelnicy mieć będą i stół i przytułek. Tak więc,

o macierzyńska Opatrzności, nikogo nie pozbawiasz swojej troskliwej opieki!

Bóg jest wszytkiem dla ptaków. Te, które puszczają się na wędrówkę, nie mają zaiste ani kart geograficznych, ani igły magnesowej, ani spichrzów urządzonych przy drodze, ani przewodników, ani rozumu; mimo to jednak stają u celu swojej podróży, obfitując we wszytko. Te, które tu zostają, mają także z dobroci Jego pomieszkanie, ciepło i pożywienie. Ach, jeżeli Bóg tak się opiekuje owemi drobnemi ptaszkami, których, według słów samego Zbawiciela, wartość jest tak małą, czegoż nie mamy się spodziewać po Jego ojcowskiej dobroci, my, dla których nie tylko ptaki, ale i świat cały stworzony został?

8. Pszczoła.

Któż nie zna tego stworzenia, kto nie kosztował słodkiego owocu pracy tego owadu, tak drobnego, tak niepokaźnego, a który przecież niezmordowaną gorliwością, zamiłowaniem porządku, wysoką umiejętnością budownictwa, wreszcie poświęceniem się dla ogólnego dobra, nietylko że nas zadziwia, ale nauczające daje przykłady. Poznajmy się z pszczółką bliżej

Pszczoła domowa czyli miodna w stanie dzikim żyje w lasach, zawsze gromadą czyli rojem, obiera sobie na mieszkanie grube, wyprućniałe sosny, dęby, topole, lipy, czasem nawet rozpadliny w skale, murze, lub jamy w ziemi. Tu stawia budowlę, na jakie jej miejsce pozwala, urządza je wewnątrz, opatrjuje we wszelkie dogodności, i zaczyna pracować nad wyrobbieniem słodkiej żywności, nietylko dla siebie i swego rodzeństwa, ale dla zwierząt i ludzi.

Ze zwierząt, oprócz leniwych trzmieli i szerszeni, podkra-
dających się często do pszczolnego ula, najchciwszym miodu jest niedźwiedź. Niezgrabny bartnik, nie zważając na boleśnie kolące żądła, któremi pszczoły bronią swęj własności, wspina się po gałęziach, szarpie szeroką łapą sztucznie ułożone plastry, i nieraz mnóstwo przytém robotnic zabija. Człowiek, widząc to, zastawia mu czasem zdradliwy przyrząd z desek i sznurów złożony, w którym wplątawszy się niedźwiedź pada ofiarą łakomstwa swego; lecz człowiek, równie chciwy a lepiej wyrachowany, dla siebie tylko słodkie zapasy ochrania, i w sto-

sownej porze ostrożniej, zręczniejsz, a może ściślej od niedźwiedzia, miodek z barci wybiera. Pszczoły nie zrażają się tém jednak, po każdym wypróżnieniu ula zabierają się na nowo do pracy, niepomne, czy to dla siebie, czy dla drugih pracować będą.

W każdym ulu trzy są gatunki pszczoł matka czyli królowa, większa od innych, szanowana widocznie od wszystkich, od niej bowiem zależy byt całego ula, gdyż ona rzeczywiście daje życie pszczołkom i pielęgnuje je w stanie młodości, w czém dzielnie pomagają jej pszczoły robocze.

Pszczoł roboczych dziełem jest zbudowanie wewnętrzne ula, utrzymanie w nim porządku, staranie o młodszych siostrach, słowem, wszystkie roboty do pomysłności ogólnej potrzebne.

Ponieważ zaś wszędzie i zawsze znajdują się tacy, co kosztem cudzej pracy żyć lubią, i między pszczołami znajduje się trzeci gatunek, zwany trutniami, który nie pomagając w pracy, pasie się obficie miodem i żyje swobodnie bez trosk i zachodów. To jednakże dzieje się tylko w lecie; kiedy kwiatów dostatek aż do zbytku dostarcza materyjałów, pszczołki robocze mniej dbają, że im ktoś wypróżnia spiżarnię; ale skoro zima we drzwi chatki zapuka, kiedy wypada sobie żywność na kilka miesięcy zabezpieczyć, wtedy skrzętne gosposie pozbywają się próżniaków, wypędzają je z ula, a opierających się zagryzają nawet niekiedy, nie narażając się przytém na niebezpieczeństwo, gdyż trutnie żadeł nie mają.

Pszczoły robocze opatrzone są wszelkimi narzędziami, mogącemi im ułatwić zatrudnienia: na zewnętrznej stronie nóg tylnych mają koszyczki, czyli dołeczki delikatnemi włoskami otoczone, na stopach zaś szczoteczki, służące do obmiatania z kwiatów i z siebie pyłku kwiatowego; ponieważ zaś obowiązkiem ich jest, oprócz własnej obrony, czuwać nad bezpieczeństwem całego pszczolego społeczeństwa i bronić jego własności, przeto uzbrojone są żądłem, by się niém zastawić mogły przeciw zwierzętom i ludziom. Żądło to na końcu jest zadzierzyste, skoro je zatem pszczoła daleko zapuści, nie łatwo je wydostać z ciała, prędkiej się ono z całą osadą od głowy oddzieli, a wtedy pszczoła zapalczywość swoją życiem przypłaca.

Cały rój czyli gromada pszczoł w jednym ulu zawarta, zostaje pod władzą i rozkazami matki, jeżeli jej nie ma, rozwiązuje się cała społeczność, ustają prace, robotnice przestają wychodzić w pole, błakają się po ulu, brzęcząc smutnie, dopóki człowiek nie opatrzy ich inną matką, lub póki się takowa z zniesionych przez poprzedzającą jaj, nie wylęgnie. Inaczej cały rój ginie; pszczoły bez matki, pracować ani rządzić się nie mogą, rozbiegają się lub umierają w ulu.

Czy to w ulu, czy gdziekolwiek indziej obiorą sobie mieszkanie, pszczoły zaczynają budowę jego, postępując z góry na dół, wystający lub nierówny punkt w górze ula służy im za kamień węgielny czyli za podstawę; przylepiają u góry kawałem wosku i do niego czepiają komórki jedną za drugą. Każda pszczoła pracuje osobno nad swoją celką, lepi zwolna i wznosi jej boki, z początku wygląda to niekształtnie i niegładko, ale wystawiwszy ściany komórki, pszczoła wchodzi we środek, wykręca się na wszystkie strony, rozpycha, poprawia, gładzi i nadaje najforemniejszy kształt sześcioboczny; komórki zaś te tak są ułożone w plastrach, iż piramidalne dno jednej zachodzi swym końcem między dna trzech komórek z drugiej stony przytykających. Dowiedli matematycy, iż rozum ludzki nie mógłby wymyślić korzystniejszego rozkładu dla oszczędzenia miejsca, czasu i materyjału.

Takie komórki są dla pszczoł roboczych i trutniów, dla matki zaś zupełnie odmienne. Dla niej pszczołki nie żałują ani czasu, ani materyjału. Nadają komorze kształt wydrążonego żołędzia i lepia ściany tak obszerne i mocne, że na nią tyle wychodzi wosku, ile na sto zwyczajnych komórek. Plastr, mający sześć cali szerokości a jedną stopę długości, zawiera około 4,000 komórek, a przy pogodzie i obfitości kwiatów w sąsiedztwie, zwyczajny rój zbudować go może w przeciągu jednej doby.

Plastry wiszą zawsze równolegle, tak jeden od drugiego oddalony, aby przechodzące po nich pszczoły wygodnie mijać się mogły; gdzie można, w tyle lub po bokach, przymocowane są do ścian ula, aby zaś oszczędzić sobie drogi w przebieganiu całych plastrów, w niektórych miejscach przewiercają pszczoły otwory

Każda komórka przeznaczoną jest na kolebkę młodej pszczołki lub spiżarnię, w której składają czysty miód i py-

łek kwiatowy, miodem zarobiony, zwany chlebem pszczolim, dla tego, że im w pierwszych chwilach życia za posiłek służy.

Pszczoły szczególnie przywiązane są do porządku i spokojności, dla tego starają się o to, by nie mieszkąć w zbyt licznej liczbie; jeżeli jeszcze w jednym ulu znajdzie się dwie lub więcej matek, a stąd wstaną niesnaski, cały rój dzieli się na partyje, z tych jedna z nową matką pozostaje w ulu, inne zaś z matkami opuszczają dawne mieszkanie, i gdzieindziej starają się o robotę i siedlisko.

Rozdzielenie to zowie się *rojeniem*. Rojenie odbywa się szumnie i wesoło. Najprzód brzęcząc ochotczo pszczoły wylatują pojedynczo przez otwór, potem coraz więcej uwija się ich przed wyjściem; to wchodzi, to wychodzi z ula, kręcą się niespokojnie, jakby oczekując czego; nakoniec, jak gdyby odebrały hasło do pochodu, najadłszy się ile tylko można na drogę, wysypują się tłumnie wszelkimi otworami, unoszą się w powietrzu, dopóki wszystkie, które się na przesiedlenie zgodziły, nie opuszczą ula. Wtedy ruszają wesoło i, uleciawszy kilkanaście kroków, siadają kłębem na płocie, drzewie lub ziemi, dla naradzenia się w którą lecieć stronę, ale wtenczas czatujący już pszczolarz zabiera je w koszyk i w nowym ulu osadza, inaczej odleciałyby bez powrotu.

Osiadłszy w nowym mieszkaniu, nie tracą ani chwili na próżno i natychmiast biorą się do pracy. Oglądają wszystkie ściany, kąty i otwory, wynoszą nieczystości lub je ukrywają zasklepem, czyli wonną balsamiczną masą z pączków topoli zebraną, tymże samym pokostem obciągają ściany, zalepiają niepotrzebne otwory i zbyt wielkie zmniejszają. Inne tymczasem zakładają fundamenta i wznoszą budowlę, przyrządzają komórki, napełniają je zapasami, a spojrzawszy wewnątrz ich szczupłego mieszkania, trudno pojąć, jak te małe istotki umieją korzystać z czasu, jak wspólnie dopomagają sobie.

Ledwie wschodzące słońce oświeci ziemię i zajrzy do okienka, już pszczołki śpieszą co żywo, każda dąży w wiadomą sobie stronę po zbiory; nie czekając aż zupełnie rośną oboschnie, zwiedzają źródła swoich dostatków, zaglądają w kwiatki, rozstrzępiają ich liście, wysysają miód i szybko przelatują na inny, albo też naładowawszy co można pyłku w koszyki u nóżek, i całe się w nim utarzawszy, by od razu zabrać jak

najwięcej, wracają obciążone do ula. Tam przy wnijsciu wybiegają naprzeciw nim pozostałe towarzyszeki, zdejmują z nich ciężar i niosą gdzie potrzeba, nie raz nawet w drodze już ulżywają im brzemienia, a wszedłszy do ula, karmią głodne i zmęczone. Nigdy dwie pszczołki nie pokłócą się o zbiory, jeżeli lecąc około kwiatku widzi jedna, że tam już druga plon zbiera, nie siądzie obok niej, ale leci dalej. Taż sama zgoda i wewnątrz, jedne składają miody, inne budują celki, inne jeszcze hoduują gąsienniczki, z których wkrótce siostry im się wylądz mają; inne nakoniec posługują matce, otaczają ją dokoła z uszanowaniem, główkami się do niej obracając, i towarzyszą jej wszędzie, gdzie się tylko wyruszy.

Pilne i zamożne robotnice znają dobrze, że chciwi na ich skarby nieprzyjaciele czatują bez ustanku, dla tego, jakby w obrońnym mieście, pszczoły odbywają kolejno straż przy wszystkich otworach ula, poglądają bacznie, co się dzieje zewnątrz, i bronią każdemu przystępu, gdy zaś same napastnikom podołać nie mogą, wzywają pomocy, a wnet przybywają posiłki i dzielnie odpierają najście. Nie patrzą one ani na siłę, ani na liczbę nieprzyjaciół, niech tylko człowiek albo zwierz ukaże się z zamiarem szkodenia przed ulem, pierwsza z stojących na straży uderza nań odważnie, raniąc prosto w twarz a nawet pod oczy, jeżeli napastnik odstraszonej odejdzie, pszczołka zakręciwszy się powróci na swoje miejsce i pilnować będzie, czy się czasem gdzie nie zasadził. Jeżeli się jedna zanadto zapędzi i nie prędko powraca, śpieszą wnet inne na pomoc, wspierają w walce lub mszczą się za nią. Matka również nigdy nie przyjmie obojętnie tego, co jej dzieci obchodzić może; zapukać tylko w ul, a natychmiast biegnie ona, jakby chcąc się przekonać, skąd niepokój pochodzi? Pszczoły straż jej składające wybiegają otworem na wierzch, okrążają ul dokoła dla przekonania się, kto je napastuje i drażni, lub czy nie ma rzeczywistego niebezpieczeństwa?

Ale też jeżeli jedna drugą żywo broni i ujmuje się za nią, to wszystkie gotowe są poświęcić się za matkę, zasłaniają one własnym ciałem, a jeżeli czasem w zimie zabraknie w ulu miodu, wolą wszystkie wymrzeć z głodu, byle ostatnią kroplę dla matki zostawić. W przypadku śmierci matki smutny w całej rodzinie ukazuje się widok: nie ma wesołego szmeru, czynnego ruchu, ciche tylko i pojedyncze odzywają się głosy;

pszczoły siedzą cicho skupione, jakby martwe, lub łażą po ulu błędnie i obojętnie, nie drażnią się nawet przytomnością ludzi lub zwierząt, jakby były w przekonaniu, że nie mają nic tak kosztownego, coby bronić należało.

Tak więc we wszystkich krokach pracowitej gromadki nie znać śladu miłości własnej, widoków osobistych, wszystko zmierza do ogólnego dobra, wszystko się zasadza na miłości familijnej. Jakiż to przykład dla ludzi! Jak często zawstydziliby nas mógł małeńki skrzydlaty owadek!

Za nadejściem zimy, pszczoły skupiają się u wierzchu ula między plastrami, i niepracują już, ale mniej niż zwykle jedząc, przykrą tę porę przebywają. Nie drętwieją one jednak jak inne owady, owszem, im bardziej dokucza im zimno, tém więcej biją skrzydełkami dla zagrzania się, tém głośniejszym brzękiem oczyszczają ściśnione powietrze.

O! bogdajbyśmy biorąc pszczołki na wzór do naśladowania, starali się nawyknać do pracy, zgody, miłości dla bliźnich i tylu szacownych przymiotów, któremi je szczodra obdarzyła natura, a które my ludzie pracą tylko i usilnością nabycć możemy.

9. Głowonóg.

(Przyjaciół Dzieci z r. 1837).

Zanim przystąpimy do bliższego opisu tego potwora, mającego według swęj nazwy godną tylko uwagi głowę i nogi, powtórzmy w treści wypadek z nim opisany przez Wiktora Hugo, w dziele *Pracownicy morza*.

Niejaki Gilliat nadmorski mieszkanić, podjął się ocalić maszynę parową statku rozbitego burzą i wciśniętego między dwie skały sterczące wśród morza. Przedsięwzięcie to przechodziło siły pojedynczego człowieka, a blizki ruiny statek mógł tylko jednego robotnika znieść na swoich wątłych resztkach. Czas naglił w dokonaniu roboty; Gilliat téż udawszy się na swęj krypie do skał wspomnionych, pracował tam dnie całe i noce nieledwie bez wypoczynku. Oprócz wszelkich niewygód pobytu na skale wśród morza, zabrakło mu żywności; po takową nie mogąc powrócić do domu w obawie straty czasu, żywił się krabami wyrzuconemi przez morze na skałę. Ten rodzaj skorupiaka nie stanowi pokarmu dosyć pożywne-

go; a gdy i takowego brakło, Gilliat odkrył w skale szczelinę, przez którą dostać się było można do jęj wnętrza.

Tam to widział on przepływające w morzu różne żyjątka, a wśród nich podziwiał jakąś osobliwych kształtów jakoby szmatę, przewlekającą się koło ścian skał.

Był to głowonóg, znany mu z opowiadania, o którym krążyły przerażające wieści. Przedstawiano go sobie jako niekształtną bryłę mającą być głową, i od nięj rozchodzące się w znacznej liczbie nogi, jakoby węże zetknięte do jednego punktu. Każda noga przez swą długość miała być opatrzoną wielką liczbą ssawek, otwierających się w potrzebie z własnością naszych baniek.

Ofiara pochwycona przez nogi głowonoga, bywała wysysaną ze krwi, i ginęła w najokropniejszych męczarniach.

Tak przedstawiał sobie Gilliat głowonoga, gdy nagle potwór ten przyczepiony do ściany pieczary, owinął go w pasie jedną z nóg swoich i silnie w miejscu przytrzymał. Przy bladém świetle wnętrza pieczary, spostrzegł niekształtny łeb jego, błyszczący dwoma ślepiami. Jedna noga za drugą odczepiała się od ściany, obwijając, ścisłała go w około nóg, bioder i lewęj ręki, a każda część ciała tak pochwycona, została jakoby w żelazne kleszcze ujętą. Poruszyć jęj niepodobna, i nadto działanie baniek nieodczepionych żadną siłą, poczęło swą czynność ssącą na ciele nieszczęśliwego pracownika. Jednocześnie prawie głowa potwora przenosi się na pierś Gilliat'a, i ostatnia noga sięga po prawą jego rękę, uzbrojoną w nóż przyniesiony tu do otwierania krabów.

Chwila następuje stanowcza. Jeśli przerzynać się będzie galaretowate ciało głowonoga, to nie uczyni mu się żadnej szkody: głowa jedynie skupia w sobie całe jego życie.

Gilliat wiedząc o tém, zręcznym obrotem noża, odcina głowę potwora, i tym sposobem ocala się od nieochybnej śmierci.

Opis wspomnionęj walki, obudził żywe zajęcie publiczności głownogiem, a uczeni ze szczególną troskliwością poczęli opisywać to zwierzę w nowych wydaniach prac swoich w przedmiocie historii naturalnej kreślonych. Z tych źródeł takie pewne dane dać możemy o tym potworze.

Wyobraźmy sobie worek łykowaty, gesty, natury lepkiej, kształtu jajkowego lub walcowatego, z wielką okrągłą głową, opatrzoną dużemi płaskimi oczyma i dziobem rogowym twardym i ostrym: dokoła dziobu rozchodzi się ośm lub dziesięć silnych ramion, z których dwa są znacznej długości. Bliżkość ta głowy z nogami, każe zapominać o reszcie ciała, i daje nazwę *głownoga*. Dwoje dużych oczu koloru ognisto-czerwonego, błyszczy nieruchomo u tego potwora. wewnątrz ciała ma on ssawkę napęloną czarnym, a niekiedy ciemnofioletowym płynem. W razie napadu nieprzyjaciela, wyrzuca on ze siebie ów płyn, zamąca nim wodę i uchodzi. Ciało jego grzbietu daje się na proch ucierać i zwane jest *kością sepi*, dostarczającą w malarstwie farbę *sepijną*.

Głownóg należy do mięczaków morskich, przedstawiających cztery grupy, kształtu powyżej opisanego.

1. *Sepije*, opatrzone bańkami tylko na końcu ośmiu nóg.
2. *Osmionogi*, mające dwa rzędy baniek, idących wzdłuż ramion.

3. *Eledony*, pozbawione baniek.

Wielkość workowatego kształtu ciała głownogów, poczyną się mniej więcej od 2 stóp, a długość ramion od 20 cali, i dochodzi do olbrzymich rozmiarów. skąd powstaje nowa grupa zwana.

4. *Olbrzym głownóg*, kształtu i własności wszystkich trzech wyżej wspomnianych gatunków, ale rozmiarów olbrzymich. On to napada nawet statki, a schwyciwszy człowieka, unosi go do szczelin skał podmorskich.

W ogóle głownogi żywią się rybami, krabami i wszelkiego rodzaju skorupiakami, wypróżniają się otworem umieszczonym w okolicy gardziela. Ssawkami przylegającemi silnie do ciała swój ofiary, ściągają one krew lub soki, a nadto dziobem szarpiają jej ciało: ssawek miewają do 900.

Głownogi niosą jaja zwane przez rybaków *morskimi gronami*, z powodu kształtu gron rozgałęzionych. Zwierzęta te przebywają w oceanie Atlantyckim i morzu Śródziemnym, w stanie rozjątrzenia zmieniają barwę jak kameleony. Łowione przez rybaków neapolitańskich, służą na pokarm; a mięso ich galaretowe, jak w ogóle mięczaków, jest smaczne lubo niestrawne.

St. Gargulski.

10. Korzyści z ryb.

Jakże wielkie z ryb ludzie odnoszą korzyści! Co rok floty, kierowane przez śmiałych żeglarzy, rozciągają się po wszystkich morzach, wraz z ptakami wodnemi. Okryty mgłami Grenlandyi i Szpicbergu majtek zatrzymuje w przechodzie gromady ryb wędrownych, napęlnia niemi swe sieci, i obciążony bogatą zdobyczą oceanu, chwytając na haki rekiny i wieloryby, wraca pośród burz do blizkich portów. Rybołówstwo ośmieliło pierwszego żeglarza; na podobieństwo ryb najlepsze pobudowano okręty. Skąd wsczał się najprzód blask i potęga Tyru, Sydonu, Rodu, Kartaginy w starożytności, Wenecyi, Genui, Holandyi, Anglii w późniejszych wiekach? Kto ukształcił tych odważnych żeglarzy i często-kroć z nędznych rybaków porobił bohaterów? Za pomocą to najprzód kilku łodzi i sieci, ludy te wzrosły, zmocniły się i powiększyły. Handel rybami pomnożył te nadbrzeżne narody i zrobił je panami morza. Wkrótce potem ujrzał ocean tych śmiałych Argonautów, przerzynających obszerne jego powierzchnie, bez obawy skał, otwierających sobie drogę do Nowego świata i wywracających potężne państwa. Jakże mała jest chwała wielu mężnych obok Krzysztofa Kolumba, Wasko de Gama, Magellana, Kuka (Cook) i nieszczęśliwego Laperuza (Laperouse)! Ileż użytecznym był tylu narodom i swojej ojczyźnie ten biedny rybak holenderski Wilhelm Benkelzoon, który najpierwszy nauczył solić i wędzić śledzie, aby je po całej rozsyłać ziemi.

Ocean jest niezmiernym stawem, codziennie dostarczającym mnóstwa pokarmów, co roznoszą obfitość i wesele do chatki ubogiego, równie jak na wspaniałe stoły królów. Morze posyła na wszystkie brzegi, a nawet aż do rzek, za pomocą wiatrów i bałwanów, niezliczone tłumy śledzi, stokfiszy, łososi, jesiotrów i innych. Te dawne potwory głębin, wprowadzone przez handel aż na krańce lądów, przychodzą do ludzi, aby udział mieli w wielkich bankietach przyrodzenia. Rolnik przy swém ognisku przypatruje się z podziwieniem i karmi z całą rodziną temi starożytnymi mieszkańcami wód, co uniknęły żarłoczości wielorybów. Takto wszędzie okazują się starania i mądrość téj Opatrzności odwiecznej, co całym rządzi światem!

II. Ś l e d ż.

Ryba ta wszędzie powszechna i na najbogatszych równie jak najuboższych stołach zużywana, od dawnych czasów wprawdzie znajoma była, lecz znacznym, jak dziś jest handlu materyjałem, odtąd dopiero się stała, gdy ją przez solenie od zgnilizny zachowywać poczęto. *Wilhelm Benkelzoon von Bierfliet* r 1416, pierwszy śledzie solić począł; a przemysłem swym nieskończenie wiele przysłużył się rodzajowi ludzkiemu. Solenie to śledzi, w początkach zapewne niedoskonałe, z czasem dopiero przyszło do tego stopnia doskonałości, jaki dziś w Holandyi i innych miejscach widzimy, a bez którego śledź, ryba z przyrodzenia miękka i tłusta, świeżo tylko jedzonym, a tém samém nadbrzeżnym tylko mieszkańcom pożytecznym byćby musiał.

Śledź mieszka w północnym oceanie, i połączonych z nim, jakoto Bałtyckiem i Atlantyckiem morzach. Zwyczajnem jego siedliskiem są największe głębiny, które już wiosną, już latem, już w jesieni opuszcza, a na miałyżyny do zatok i ujść rzecznych wchodzi, gdzie ikrę swą składać może. Jest wprawdzie mniemanie, iż śledzie w samym tylko lodowatém morzu mieszkają, i że stamtąd w pewnych czasach długie po północnem półsfierzu świata odbywają wędrówki. Późniejsze jednak postrzeżenia nauczyły, że śledzie z wielu innymi rybami to mają wspólne, iż w głębinach ciągle się kryją, a do składania ikry na miałyżyny się udają, a to według różności klimatu i ich wieku, nie o jednym ściśle czasie, lecz w różnych i odległych nawet od siebie porach roku dziać się zwykło. Tak w morzu Bałtyckiem i na brzegach Norweskich z wiosny zaraz pokazuje się śledź mały, latem dopiero większy, w jesieni znowu mały; podobnaż kolój na brzegach Szkockich widzieć się daje. Stąd Holenderscy rybacy na majaki próżne i pełne dzielić zwykli. Majaki są te, które latem ikrę składają: próżne te, które na wiosnę ikrę złożyły; a pełne te, które ją dopiero w jesieni składają.

Śledź wiele ma bardzo na zgubę swą czuwających nieprzyjaciół; oprócz bowiem ludzi, którzy na niego całemi flotami występują, wiele ich wieloryby, wiele ptaki morskie, wiele inne ryby zjadają, i gdyby nie tak nadzwyczajne jego rozmnażanie się, dawnoby gatunek jego zniszczyć musiał. Żaden gatunek ryby od tylu wieków i tak licznie

niszczony nie jest jak śledź. Według średniego wyrachowania łowi się corocznie na wszystkich morzach przeszło tysiąc milionów śledzi, a drugie tyle zapewne zwierzęta, ptactwo i ryby zjadają, a przecie dotąd nie ma żadnego znaku, aby liczba ich mniejszeć i szczupłeć miała. W Norwegii, blisko Swanoe, w r. 1748 w jednej zatoce tyle śledzi razem złowiono, iż 80 jachtów niemi napełniono. Do naładowania jednego jachtu potrzeba 100 beczek okrętowych, do każdej zaś beczki idzie 1200 śledzi norweskich; a że dla niezmiernej mnogości tyleż się jeszcze ich w téjże zatoce pogniotło i podusiło, więc w jednej zatoce do dziewiętnastu milionów śledzi znajdować się mogło.

Półw śledzi na brzegach norweskich stanowi jedynie źródło bogactw i dochodów kraju tego. Stąd Norwegowie śledzia królem ryb nazywają. Samo miasto Bergen kilka set okrętów śledźmi naładowanych corocznie wysyła. Dodawszy to co z innych miast tego kraju wychodzi, i co się wewnątrz kraju wypotrzuje, liczbę tę śmiało potroić, a całkowity wywóz z Norwegii na 300,000 beczek śmiało liczyć można.

Holendrzy corocznie na półw śledzi do 1200 statków wysyłają. Gdyby 1000 tylko wychodziło statków, to licząc na każdy po 25 łasztów, na łaszt po 25 beczek okrętowych, a na beczkę po 100 śledzi, sami Holendrzy ułowliliby rocznie 625,000,000 sztuk śledzi. Szkocya i Irlandya, nie mniej téż śledzi poławiają. Samo miasto Clyde w Szkocyi 30,000 Jarmuth 40,000 beczek do Francyi wysyłały. Francuzi na własny rachunek przeszło 60,000 beczek corocznie łowią i solą. Cóż dopiero mówić o tych, które się na brzegach Angielskich, Irlandzkich, Brabantskich, które na morzu Bałtyckiem Dania, Szwecya, Prusy i t. d. poławiają?

Statki i sieci do połowu śledzi używane, co do wielkości bardzo są różne. Narody na brzegach tylko śledzie łowiące, mniejszych statków i mniejszych sieci używają, niżeli te, co pośród morza łowić zwykły. Zwyczajne holenderskie statki są od 48 do 60 beczek okrętowych; a każdy ma przy sobie trzy lub cztery tak zwane *Jägry*, które im żywność podwożą, i złowione śledzie prędko do portów prowadzą. Sieci holenderskie według krajowych ustaw mają mieć 500 do 600 sążni długości. Pospolicie robią je z grubego perskiego jedwabiu, a te do trzech lat wytrzymują, gdy kono-

pne rok tylko jeden trwać mogą, dymem się okopcają, aby biała farba śledzi nie płoszyła. Beczki próżne część górną od nurzania się utrzymują, a kamienie część dolną na dno nurzają. Zarzucają się wieczorem, zrana windami się na statki dobywają. Sieci te przez noc tak się śledziami napęlniają, iż jednem pociągiem niekiedy 10 do 11 łasztów się otrzymuje.

12. K w i a t y

Lilija z białą koroną, pięknym i kształtnie otwierającym się kielichem, rozkwitająca przy słonecznym promieniu, krople najczystszej rosy zawierająca w swém łonie, czyż nie jest obrazem duszy jeszcze młodej i nieskażonej z uszczęśliwieniem oddającej się wrażeniom życia, a jednak starannie zachowującej dawane jej nauki mądrości.

Wiadomo, że fiołek skromności jest godłem, czyż to nie jest właściwie? Kwiatek ten ukrywa się pod gałęziami krzewów, pod gęstemi trawami, pod siateczkami mchów. Nie odgadniono go nigdy, gdyby miły zapach nie zdradził jego bytności. Można go deptać, nie widząc wcale, i roznieść nawet, i biedny fiołek zginie, oddając powietrzu ostatnie wonne swoje technienie. Czyż nie tak człowiek prawdziwie wspaniałomyślny ukrywa się, aby dobrze czynił? Czy nie tak rzeczywisty talent usuwa się w ustronie i osłania skromną powierzchownością? Czy nie tak każda istota sercem obdarzona szlachetnem, mści się za doznane urazy wspaniałem czyny?

Widzimy wzdłuż łąki krzaczki niezapominajek (*Vergiesmeinnicht*). Drobnym niebieskim kwiatem kąpie swe nóżki w strumieniu, podnosząc wesołą główkę ku przechodzącym i zdaje się mówić: „Pamiętaj o mnie.“ I tak to serce wierne doznanyim wrażeniom, serce ciągle jedną myślą zajęte, widzi wszystko co je otacza, co się około niego dzieje, jak się wszystko odmienia, a nie mogąc należeć do tego ustawicznego ruchu, prosi jednak o przyjazne wejrzenie i woła: „nie zapominaj o mnie.“

Spójrz na barwinek z kwiatkiem skromnym lecz pięknym, łodygą zawsze zieloną i listkami leczącymi, nie jestże to obraz przyjaźni, nieulegającej wpływom klimatu ani pór roku, która się zawsze okazuje młoda i krzepka, zawsze gotowa żal uśmierzać i blizny leczyć.

Wiciokrzew *) do wzrostu potrzebuje wsparcia, okręca swe cieniuchne gałązki i śliczne liście około silniejszego krzaka! lecz za to kształci ładny wieniec na głowie swego dobroczyńcy i napawa go swą wonią. Jestto wizerunek człowieka, odpłacającego wyświadczone mu dobrodziejstwa, przywiązaniem i wdzięcznością.

Kto zna czułości (scensitive). Zielone drobniutkie i lekkie listki jego, końcem palca dotknięte, usuwają się boleśnie i kurczą. Są dusze z przyrodzenia tak czułe i drażliwe, które zbliżenie obcej osoby przestrasza, które najlżejsze dotknięcie zranić może. Nie należy dotykać czułości jego liścia. Równie nie godzi się lekceważyć delikatności tych osób, które nieroztropny wyraz lub nierozważne uniesienie radości może obrazić. Zapewne ci się niejednokrotnie zdarzyło, miły czytelniku, widzieć rosnącą różę około płaczącej wierzby. Jedna jest obrazem życia wesołego i niefrasobliwego. druga godłem trosk i smutku, jedna ze światającą jutrenką świeży swój otwiera pączek, druga pochyla ku ziemi długie swe jakby spłakane gałęzie: pierwsza stanowi ozdobę uroczystości, druga jest krzewem grobowym. Lecz róża na swych nadobnych łodygach ma kolące ciernie, znamie boleści często mieszającej się z rozkoszą, a wierzba płacząca przedstawia tylko ożywiający chłód i liście do spoczynku nas wzywające.

13. Sen roślin.

Z licznych szeregu zjawisk życia roślinnego, których by dostarczyć nam mogły najpowszedniejsze ziołka, co się po łąkach, polach i ogrodach naszych krzewią, bylebyśmy tylko nad nimi zastanowić się chcieli, nie możemy pominąć w milczeniu jednego, co w państwie roślinnem należąc do powszednich, przywodzi nam na pamięć jedno z imion, najgłośniejszych w dziejach nauki, mającej na celu rośliny. Nieśmiertelny Linneusz, dostawszy nasienie pewnej rośliny, pochodzącej z południowej Francji, zajął się jej pielęgnowaniem domowem w Upsali, gdzie północnego klimatu pod odkrytym niebem wytrzymać by nie mogła. Wdzięczna roślina, założone około niej starania, wynagrodziła naturalistę szwedz-

*) Przewiercień Kluka, powój wonny lub jerychońska róża.

kiego, wydając jednego poranku dwa oczekiwane przezeń kwiatki, których szczegółowe zbadanie uszczęśliwiony miłośnik przyrodzenia do wieczora odłożył. Gdy ten nadszedł, pośpiesza do swęj roślinki, lecz z wielkim żalem, kwiatków już nie znajduje. Sądząc, iż jakaś niebaczną ręką pozbawiła go ich, w nadziei powetowania bolesnej straty, pod szczególniejszą opiekę bierze swą roślinkę, a ta, niespodziewanie w dniu następnym znowu dwoma zajaśniała kwiatkami, które Linneusz za nowe uważał i które wieczorem znowu znikły. Przezorny badacz, nie dopuszczając już w tym razie ponowienia się przypadku zaczął się domyslać, iż tu coś nadzwyczajnego dzieć się musi, a więc, szukając przyczyny, nie bez zdumienia postrzegł, że z wierzchu kwiatowej gałązki znajdowały się dwa listki bezogonkowe, (które, dla ich położenia, zwykle przysadkami zowią), i że one właśnie, zbliżywszy się ku sobie i jak najdokładniej otuliwszy kwiatek, całkowicie go ukryły. Musi to być sen rośliny, pomyślał sobie badacz, a więc nie może on być wyłączną własnością, tęj tylko roślinie służącą. Wziawszy przeto do rąk latarkę, przebiega Linneusz cały ogród botaniczny, wszystkie jego szklarnie, i z nie małą radością postrzega, iż ogólna postawa bardzo wielu gatunków znacznie się odmieniła. Odgadnąć nie trudno, iż na tych jednych nie przestał odwiedzinach i że je wielokrotnie ponawiał, chcąc dokładnie oznaczyć zmianę w położeniu listków, które oczom naszego mędrca najdokładniej przedstawiały obraz słodkiego spoczynku, obraz snu prawdziwego. Widok, tak dlań nowy, zachwycił czulego i religijnego Linneusza; cisza nocna powiększała jeszcze siłę odbieranych wrażeń.. i mocniej zadrżało serce, łzy z oczu popłynęły, bo duch jego jeden z nowych poznał dziwów. Lecz chcąc sobie wyobrazić to szczęście, tę rozkosz, jaką obudza każde choćby najmniejsze tego rodzaju odkrycie, trzeba być szczerym zwolennikiem nauki, a co większa, trzeba czuć powaby pięknej natury, nadewszystko zaś umieć myślać wznosić się do jedyne go jęj sprawcy. A więc jak czujące zwierzęta, dziennęm czuwaniem znurzone, w śnie dobroczynnym czerpią nowe siły do nowego czucia, tak tęż podobnie i żyjące rośliny, odpowiedniego wypoczynku szukają w swoim śnie roślinnym, co je pokrzepia na ich roślinne czuwanie.

Antoni Żyszkiewicz.

POEZYJA.

I. POEZYJE LIRYCZNE.

I. Modlitwa dzieci.

Boże w Twoje imię święte
Zaczynamy prace dzienne,
Bo, w ten sposób rozpoczętę,
Plony dadzą nam zbawienne.

Czy zabawa, czy nauka,
Niech zaczyna się od Ciebie,
Bo kto Twego wsparcia szuka,
W każdej dozna go potrzebie.

Gdy się modlą dobre dziatki,
Ty ich prośbom czynisz zadość,

I dla ojca i dla matki
Zesłać raczysz zdrowie, radość.

Wszakże Chrystus, co świat zbawił
Przez najświętszą krwi ofiarę,
Gdy prawdziwą głosił wiarę,
Dobrym dziatkom błogosławił.

Pobłogosław i nam, Panie,
Pozwól w cnotach się ustalić,
Byśmy mogli w każdym stanie
Bliźnich wspierać, Ciebie chwalić.

2. O dobrodziejstwach Boga.

Czego chcesz, od nas Panie, za Tve hojne dary,
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościoł Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie!

Złota tęż, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje,—
Wdzięcznëm Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tys Pan wszystkiego świata. Tys niebo zbudował,
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Wypisy Polskie.

Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potém do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twój łaski nocna rosa na mdle zioła padnie,
A zagorzałe zboże deszcz ożywia snadnie,
Z twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swój żywności,
A Ty każdego żywisz z Twój szczodrośliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie,
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na téj nizkiej ziemi,
Jeno niech zawsze będziemy pod skrzydłami Twemi.

J. Kochanowski.

3. O c n o c i e.

przez Jana Kochanowskiego.

Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko,
Miej na poślednie koła pilne oko:
Bo to niestała pani z przyrodzenia,
Często więc rada sprawy swe odmienia.

Nie dufaj w złoto i w żadne pokłady,
Każdej godziny obawiaj się zdrady.
Fortuna co da, to znowu wiać może,
A u niej żadna dawność nie pomoże.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twój się fortunie nie tobie kłaniają;
Skoro ta zniknie, tyl każdy podawa,
Jako cień, kiedy słońca mu nie stawia.

Lecz jako sama oczy zasłoniła,
Tak swém pochlebstwem ludzi omaniała:

Że drugi wyżej nosa głęę nosi,
A wszystkich inszych oczyma przenosi.

Ty pomnij, że twój skarb jest w szczęścia mocy,
A tak się staraj o takie pomocy,
By zawsze z tobą co twego zostało,
Choćby się szczęściu tego nie zachciało.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciół srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkiém innem panuje przygoda.

4. Psalm VIII. Wielkość Boga.

przez Jana Kochanowskiego.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miecie 1) strzały swoje,
Wszędy jest zacne święte imię twoje:
A sławy niebo ogarnąć nie może,
Twój wieczny Boże!

Niech zli, jako chcą, ciebie mierzą 2) sobie,
Z ust niemowlątek rośnie chwała tobie,
Ku większej hańbie, i ku potępieniu
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, twoich rąk robota
Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota:
Ty co raz nowém światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.

A człowiek co jest? że ty nie stworzony,
Wszystkiego twórcą i Pan niezmierzony,

1) Miota.

2) Nienawidzą, w odrzecie mają.

Raczyszli pomnieć, czym jest syn człowieczy
Godzien twój pieczy?

Takeś go uczcił i przyochędożył,
Żeś go z Anioły tylko nie położył:
Postawiłeś go Panem nad zacnymi
Czyny swoimi.

Daleś w moc jego wszystkie bydła polne,
Daleś i leśne zwierzęta swawolne:
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

5. TRENY JANA KOCHANOWSKIEGO.

Ż a I VI.

Kiedy ból srogi już ją dokonywał,
Rumieniec w bladziej twarzy dogorywał,
A ona jeszcze nad mych łez potokiem
Litości pełnym spozierała okiem:

Kiedy ów zamróz po jój białém ciele
Szedł, wyciskając zimny zdrój na czole,
A wzrok szukając próżnej już pomocy,
Mdał, i okropnej poddawał się nocy:

Kiedy siniejąc usta się ścisnęły,
Chciała coś wyrzec, słowa zapadały:
Ręką mię tylko za rękę ścisnęła,
I z głębi serca żałośnie westchnęła!

I w tym skonał... padłem i zemdlałem,
Czemuż, o nieba, razem nie skonałem?
Po co duch znowu do ciała powrócił,
Które był właśnie w swoim czasie rzucił?

Bogowie srodzy równie jak wspaniali!
Życiem mnie jeszcze na to darowali;

Abym znalazł lepiej, jak wielem utracił,
A tę ich łaskę wiecznemi łzy płacił.

Ż a I VIII.

Jak ów ptak wierny, ptak osierocony,
Nieszczęsny, smutny leci w obce strony,
Tam, gdzie bór dziki, i gdzie gałęź sucha,
Z jednej na drugą przepadając, grucha,
I wiecznie jęczy. Tak i ja za tobą,
Za mojem światłem, duszy mój ozdobą!

Błędny, strapiiony, sam nie wiedząc kędy,
Troskliwy jednak postępuję wszędy;
A serce roniąc i gubiąc myśl biędną,
Za tobą tylko uganiam się jedną:
Samęj cię żądam, i szukając płacząc;
Lecz nie znajduję i już nie obaczę,
Niestety! tyś mię na zawsze rzuciła,
Moja pociecho, Eurydyko miła!

O gdyby jeszcze podług mój niedoli
Bóg mię dozwolił użyć własnej woli;
Nie kamieniem ja, ani drzewem jakim,
Nie marnym kwiatem, ani błędnym ptakiem;
Ale stałbym się łzami tylko, łzami!
Bym się gorzkiemi zaléwał zdrojami
Na zawsze: boś mię na zawsze rzuciła,
Moja pociecho, Eurydyko miła!

Zazdroszczę owęj płaczącej Niobie,
Szczęśliwa! ległszy w skamieniałym grobie,
Leje łzy wieczne; a z najgłębszej rany
Tryska ich strumień, żalem wyciskany:
Roztapiając się miłość jój troskliwa,
Ślodycz przechodniom z goryczy dobywa.

Tak i ja teraz, takbym się rozplynał!
Nie ginąc nigdy, niechajbym tak zginał;
Podałbym pamięć w najpóźniejsze wieki,
Żem cię utracił! Przychodzień daleki

Gdyby się skłonił do żywego źródła,
 Jękby mu doniósł przy czystym napoju:
 Że to łączy męża, któregoś rzuciła,
 Moja pociecho, Eurydyko miła!

6. Wierszyk ucznia

przy rozpoczęciu roku szkolnego.

Już minęły chwile wolne,	Błogosław rodziców drogich,
Czas pośpieszyć w mury szkolne;	Bym w nagrodę starań mnogich
Wprzód jednak Stwórco w Niebie,	Przez mą usilność jedyną,
Pozwól, niech zacznę od Ciebie!	Stał się ich szczęścia przyczyną.

Wezwaniem Twego Imienia	Błogosław nauczycieli,
Niech zacznę me zatrudnienia;	Spraw, by z nas pociechę mieli:
Ty udzielaj szczeręj chęci,	A w nagrodę pracy płonnej
Pojętności i pamięci.	Czucie wdzięczności dozgonnej.

Błogosław władze rządowej,	Lecz rodziców, professorów
Co z ojcowskim poświęceniem	Któż nagrodzi dostatecznie?
Nadają nam życie nowe,	Ty jeden Władco wszech tworów,
Przyzwolitęm oświeceniem.	Ty im więc błogosław w iecznie.

7. Sieję proso na zagonie.

Sieję proso na zagonie, czyż je będę żąć?
 Przecież z wiarą rzucam w ziemię ziarno, bądź co bądź,
 Może w miejsce bujnych plonów, da mi szczerę pole,
 Same habry i ostrożki, lub marne kąkole;
 Lub co gorsza, może jeno póluny i głóg
 W nagrodę za trud podjęty przeznacza mi Bóg?
 Lecz je, w ziemię pochylony, cicho i w pokorze
 Moje proso na zagonie sieję w imię Boże!

Może wichur z burzą zwieje mých zasiewów ślad,
 Może wzeszle słońce splucze, lub wybije grad,
 Może gdy tchną latem z nieba słoneczne upały,
 W marny popiół i perzynę, zmieniają plon mój cały,
 Może nocą, gdy powieje z łona ziemi chłód,
 W niwecz pójdzie znój oracza i podjęty trud;

Lecz nie bacząc jakie straty przyszłość zrządzić może,
 Moje proso na zagonie sieję w imię Boże!

Jakże nie siać, gdy mi zagon, łąką użyczył Bóg,
 Kiedy boleść pruć żywot, by żelazny plug;
 Gdy zawodów długie pasmo i ciężkie niedole
 Do przyjęcia ziarna z wolna sposobiły rolę;
 Jakże nie siać, gdy tajemny wciąż mi szepcze głos,
 By nie bacząc czy je skrzepi chłód niebieskich ros,
 Czy mu załsnia o poranku na błękitie zorze,
 Czyste ziarno na zagonie, składać w imię Boże!

Ja też sieję moje proso, sieję bądź co bądź,
 I nie pytam, czy plon bujny przyjdzie sierpem żąć?
 I nie lękam się mokołu, ni trudu, ni pracy,
 Ale sieję, jak śpiwają w polu rankiem ptacy:
 Z pełną wiarą i nadzieją, że zbudzony wczas
 Dźwięk ich pieśni pójdzie w niebo z ranną rosą wraz.
 O, Bóg dobry, szczerem chęciom siewcy dopomoże:
 Ja też proso na zagonie sieję w imię Boże!

S. z Ż. Pruszkowa.

8. Piosneczka gajowego.

Sobie żyjem, sami,
 Puszcza nas osłania:
 Nam tu las z wiatrami
 Jak państwu się kłania.

Miesiączku nie gaśnij!
 Rosa połyskuje,
 Świecą myśli jaśniej
 Żywiej serce czuje.

W białych pańskich dworach
 Muzykantów granie;
 Milsze w czarnych borach
 Kukułek kukanie.

Idź kto chcesz do dworów,
 Dworskim ciesz się stanem;
 Ja sobie wśród borów
 Jestem strzelcem panem!

W białych pańskich dworach
 Słudzy z pochodniami;
 Nam tu w czarnych borach
 Wszedł miesiąc gwiazdami.

Hukam, biegam, śpiewam,
 Ja wolny, gajowy!
 Z echem się odzywam,
 Na bory, dąbrowy!

9. Pieśń kominiarczyka.

Chociem brzydki, chociem czarny,
 Alem chłopak grzeczny;
 Nie dbam wcale o wdziek marny,
 Dość, żem pożyteczny.
 Cobyto na świecie było,
 Żeby nas nie stało?
 Dla tój myśli wszystko miło,
 Ruszam w komin śmiało.
 Zawsze mnie ta myśl ożywia,
 Ma świat korzyść ze mnie;
 Jak to serce uszczęśliwia!
 Jakże to przyjemnie!
 Nie gardźcie mną lube dziatki,
 Że ubiór nie ładny.
 Nie straszcie mną dobre matki,
 To zwyczaj szkaradny.
 Za cóż ja wam tak niemiły,
 Za cóż tak obrzydłem?
 Kogo zbrodnie oszpeciły,
 Ten tylko straszydłem.
 Kto pracuje w pocie czoła,
 Zawsze godzien chwały:
 Cała wartość czleka w cnocie,
 W pracy zaszczyt cały.

10. Dumka hetmana Kosińskiego

Hop, hop, cwałem koniu wrony
 Leć do pułków, do mój żony
 Dłużej chwilką, jeszcze tylko,
 Do Stawiszcz mi służ.
 Od Piatyhor, Pawałoczy,
 Bieży tłumnie lud ochoczy:
 Nalewajki lotne czajki
 Płyną Dniestrem już.
 Wnet pośpieszą rejestrowi
 Ku odsieczu Czechryniowi,

Przy odgłosie Dum, po rosie
 Przypuścimy szturm.
 Zadrży ziemia pod kopyty,
 Proch pomiecie słupem wzbity.
 Urach! głosy pod niebiosy
 Wzlecą z brzękiem surm.
 Ho! ho! darmo, nigdy w stepie
 Zdrad tatarskich nie prześlępie,
 Jak się biją, gdzie się kryją,
 Znam ja Murza hord.
 Umiem znagła wpaść na karki
 Rąbać szablą, grzmić z janczarki,
 W lewo, w prawo,
 Szybko żwawo
 Nieś ogień i mord.
 Widać, widać już Stawiszczce,
 Wiatr w chorągiew miasta świszczce,
 Daszka szyki. Brzmią okrzyki,
 Biją dzwony z wież,
 Dniowa gwiazda chmurna, blade,
 Za Krzywiecki las zapada:
 Wrony koniu! po tém błoniu
 Prędzěj, prędzěj bież.

II. Matka obywatelka.

p. Fr. Książnina.

Śpij moje złoto! — śpiewała
 Kołysząc matka swe dziecię —
 Śpij moja nadziejo cała,
 Moje ty życie!
 Usnęło — słabe nieboże!
 Dosyc się, dosyc splotało —
 Po płaczu lepiej téż może
 Będzie mi spało.
 Dziecie! o ileż to biedy
 Mateczyna znieść musi głowa,
 Nim się pociechy swój kiedy
 Z ciebie dochowa!
 Ileż ja z czasem odbiorę

Milěj mi za to wdzięczności,
Gdy w tobie uznam podpore
 Mojěj starości.
 Kiedy sercem i głową
 Nie dasz przodkować nikomu,
 Przydając coraz cześć nową!
 Dla twego domu.
Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twěj cnoty czynem
A sława będzie mi śpiewać
 Żeś moim synem!
 Któż wie, co jeszcze być może!
 Ach! sztylet serce przenika
 Poczwara jakaś, o! Boże,
 Staje mi dzika.
Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważać,
I na postępki wszelaki
 Niecnoty zarzyć.
 Hańba rodziny i zbrodzień,
 Może krew braci rozleje
 Ach! serca mego niegodzien...
 Cała truchleję.
Tażby nagroda i ta mi
Pociecha z ciebie być miała!
— Rzekła i oczy swe łzami
 Gorzko zalała.

12. Pieśń ubogiej dziewczynki.

(p. St Jachowicza)

W słomą krytėj nizkiej chatce,
Przy ubogiej mieszkam matce
Chodźcie do nas! zobaczycie,
Jakie to tu miłe życie.

Kołowrotek się obraca,
Ubóstwo nam słodzi praca,
A szczęśliwi i weseli
Pracujemy do niedzieli.

A w niedzielę u matulki
Bieluchne jak śnieg koszulki;
Postroi nas jak laleczki —
Ach! dobrze nam u mateczki!

Błyśnie ranek — dzwonek woła,
Więc idziemy do kościoła;
Usta wdzięczne, choć nieśmiałe,
Wyśpiewują Bogu chwałę.

Obiadek lepszy w niedzielę,
Zjemy smaczno, choć niewiele;
Dobrze o tém pamiętamy,
Że od Boga wszystko mamy.

II. POEZYJE DYDAKTYCZNE.

Bajki (czyli Apologi i Allegoryje.)

a) BAJKI KRASICKIEGO.

1. Dwa żółwie.

Nie żałując sił własnych i ciężkiej fatygi,
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi.
Nim połowę do mety drogi ubieżeli,
Spektatorowie poszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka: „Lepiej się pogodzić,
Pierwój, niżeli biegać, nauczcie się chodzić.“

2. Ptaszki w klatce.

Czegoż płaczesz? staremu mówił czyżyk młody
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody! —
Tyś w nią zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę;
Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płaczę.

3. Furman i motyl.

Ugrzązł wóz, ani ruszyć już nie mógł w błocie,
Ustał furman, ustały konie w robocie.

Motyl, który na wozie siedział wtenczas prawie,
Sądząc, że był ciężarem w takowej przeprawie,
Pomyślał sobie: litość nie jest złym nałogiem,
Zleciał i rzekł do chłopca: „Jedźże z Panem Bogiem.

4. Pszczółka i gołąbek.

Wpadła w strumyk pszczółka mała,
Skrzydółkami trzepotała,
Już w nich siłę utraciła,
O w jakimże strachu była!
Gołąbeczek śnieżno-pióry,
Na ratunek bliźnich skory,
Spuszcza listek... pszczółka rada,
Na zieloną łódkę siada,
Skrzydła siłę odzyskały,
I uleciał owad mały.
Nikt o swém nieszczęściu nie wie:
Jakoś w krótkce gołąbek siadł sobie na drzewie,
Spokojny! szczęśliwy!
Aż tu myśliwy
Wymierza strzelbę, chce go zgładzić z świata;
Pszczółka przylata,
Utnie go żądłem w rękę, strzał ptaszynę mija;
Ocalona swobodnie w powietrze się wzbija.
*Tak zawsze dobroczynność wdzięcznością się płaci,
Nieśmy pomoc w nieszczęściu dla naszych współbraci.*

5. Lis i bocian.

Pytał się lis bociana: „Powiedz mi, mój bracie
Bo to wy już oddawna po świecie bujacie,
Cóżście przecie ważnego widzieli,
Gdyście od nas odlecieli?“
Tu nasz bocian wędrowny, uniesion zapałem,
„Ach! co ja — rzecz bagnisk i kałuż widziałem!
Tam to, tam to dopiero wyborne przysmaczki:
Jakie żabki pulchniutkie, jak pulchne robaczki!“
Co też widział ważnego nasz młodzik w Paryżu?
Niezrównane pulpety i przysmaczki z ryżu.

6. Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły Wiódł łotrowskie życie —
Więc, ażeby pokutę zacząć należycie,
Zrzekł się mięsa. Jarzyną żyjąc przez dni kilka,
Znalazł na polowaniu znajomego wilka.
Trzeba pomódz bliźniemu; za pracę usługną
Zjadł kawał mięsa; gardzić nie można jałmużną.
Nazajutrz spotkał jagnię samopas idący,
Chciał upomnieć, nastraszyć: zabił je niechcący.
Nazajutrz widząc cielę, że z krową nie chodzi,
Zabił je: takich grzechów cierpieć się nie godzi.
Ujrawszy, jak się wół pasł z krowami pospołu:
Niech się dłużej nie męczy... zjadł starego wołu.
I tak, cierpiąc przykładnie z dóbr świata wyrzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

7. Kulawy i ślepy.

Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo;
Ale że to ślepemu nieznośnóm się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
Wziął kij w rękę: „ten,“ (rzecze) „z szwanku nas wybawi.“
Idą; a wtém kulawy krzyknie: „umknij w lewo!“
Ślepy wprost... i choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.
Idą dalej; kulawy przestrzega od wody;
Ślepy w bród, sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.
Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
I ślepy i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył.

8. Jabłoń i chłopczyk.

Wszedł chłopczyk do ogrodu, stanął przy jabłoni
I tak przemawia do niej:
„Moja ty jabłoneczko, drzewko ukochane!
O, jakież ty masz śliczne jabłuszka rumiane!
Patrząc na twoje szczęście, serce się rozplywa.“

Na to jabłoń odpowie: „Tak, jestem szczęśliwa;
Alem ja nie od razu taką jak dziś była.”
Naprzód mnie ręka bozka ziarnkiem utworzyła;
Byłam bardzo maleńka, kiedym wyszła z ziemi,
Ledwie mnie kto mógł dojrzeć z listkami mojemu,
Rosłam szybko, wesoło przy bozkiej pomocy,
W dzień świeciło mi słońce, rosę miałam w nocy
Kiedy deszczyk polewał pola i ogrody,
I mnie się też dostało. Abyś uszła szkody,
Z czasem przychylna ręka podporę mi dała.
Skorom po kilku latach siły już nabrała,
Wiosna z wonnych kwiateczków uwiła wianuszek,
A dziś mi Bóg łaskawy dał tyle jabłuszek.
Tak jak się ze mną dzieje, tak się z wami dzieje:
W maleńkich pokładają rodzice nadzieję;
Pan Bóg czuwa nad niemi, przełożeni strzegą;
A kiedy dojrzalego wieku już dobiegą, —
Trudów, starań, zabiegów owoce przynoszą,
Pożytkiem są dla kraju, rodziców rozkoszą.

9. Bryła lodu i kryształ

Bryła lodu, zrodzona z kałuży bagnistej,
Gniwała się na kryształ, że był przezroczysty.
Modli się więc do słońca. Słońce zajaśniało:
Lśknęła się bryła, ale jej coraz ubywało.
I tak, chcąc los polepszyć, niewczesnym kłopotem,
Stajała, wsiąkła w bagno i stała się błotem.

10. Tulipan i fijołek.

Tulipan okazały patrzył na to krzywo,
Że fijołek w przyjaźni zostawał z pokrzywą;
Nadszedł pan do ogrodu tegoż właśnie rana,
Widząc, że zeszedł, zerwał tulipana,
A gdy się do bukietu i fijołek zdarzył,
Chciał go zerwać, ale się pokrzywą oparzył.
Patrzył na to tulipan, mądry po niewczasie,
I poznał, że przyjaciel, choć nierówny, zda się.

II. Człowiek i zdrowie.

W jedną drogę szli razem i człowiek i zdrowie.
Na początku biegł człowiek. Towarzysz mu powie:
„Nie śpiesz się bo ustanieś” Biegł jeszcze tym bardziej.
Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
Szło za nim ale zwolna. Przyszli na pół drogi,
Aż człowiek, że z początku nadwerżył nogi,
Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
Przybliżyło się zdrowie, i odtąd szli razem.
Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza,
„Prowadź mię, iść nie mogę”, rzekł do towarzysza.
„Było mnie z razu słuchać”, natenczas mu rzekło;
Chciał człowiek odpowiedzieć, lecz zdrowie uciekło.

12. Dziecię i zegar.

Uderza godzina. — I cóż ten głos znaczy?
Pytało się dziecko, a matka tłumaczy:
„Dziś jeszcze twój umysł zrozumieć nie zdoła,
Jak całość stanowią te kółka i koła,
Jak człowiek cudownie potrafił czas zmierzyć,
Jak zdziałał, że dzwonek wie, kiedy uderzyć;
Lecz będziesz rósł, dziecię, a zegar powoli
Bieć będzie godziny. Nieznacznie czas minie;
Bóg matce szczęśliwie doczekać pozwoli,
Jak się twój umysł rozwinie.
Znowu zegar bieć będzie — on i ten czas zmierzy;
A wtedy, jak dzisiaj, gdy zegar uderzy,
Wyjaśni ci matka co to wszystko znaczy,
Ty pojdziesz, zrozumiesz, co matka tłumaczy.
Dziś tylko pamiętaj, kochana dziecino,
Że chwile nie wrócą, skoro raz przemina.
Choćby długo czekać, choćby żyć najdłużej,
Tęj samej godziny zegar nie powtórzy;
Bo każda jest inna, choć niby ta sama.
Jeżeli nie pojdziesz, wierz, co mówi mama.
Z wybiciem godziny czas drogi ucieka,
A potem Bóg spyta każdego człowieka,

Jak przeżył wiek cały, jak wszystkich sił użył,
Jak z czasu korzystał i na co zasłużył.

b) BAJKI STANISŁAWA JACHOWICZA.

I. G r u s z k a.

Dziatki! dziateczki! — rzekł siwy staruszek,
Nadstawcie czapeczek, nasypię wam gruszek.
Aż miło się patrzeć, śliczna to drzewina!
Ona mi młodości chwile przypomina;
Wiecie, skąd się wzięła? powiem wam dziateczki,
Słuchajcie!... Nieprawdaż smakują gruszczeni?
Tu, gdzie domek stoi, a przy nim to drzewo,
Było pusto, dziko, na prawo, na lewo.
Mój Boże! — mówiłem do mego sąsiada;
Niejeden bogate zagrody posiada;
Ja wiele nie pragnę, a nie mam i tego,
Ot ze sto talarów majątku całego,
I dosyćby było. A sąsiad powiedział:
„Mógłbyś mieć i więcej, gdybyś o tem wiedział,
Że tutaj, gdzie stoisz, są w ziemi talary;
Pamiętam, Bartłomiej powiedział nam stary“
Pomyślałem sobie nieźleby to było.
W nocy, gdy się wszystko na wsi uciszyło,
Przychodzę z motyką, kopię co mam siły;
Ale się talarki na wierzch nie dobyły
Idę do sąsiada. — „Drwiliście sąsiedzie!
Że wam Bóg pomaga, dobrze wam się wiedzie,
To sobie już żarty z ubogich stroicie;
Jak się też sąsiedzie Boga nie boicie!“
„Nie dziw, — rzecze sąsiad, gdy zarzut zrozumiał,
Żeś tam nic nie znalazł, boś szukać nie umiał.
Więc jeszcze starego słuchaj, mój kochany;
Daruję ci płonkę, wsadź w dół wykopany,
A po kilku latach będą i talary.
Bo nas tak nauczył ów Bartłomiej stary“
Usłuchałem, wsadziłem; dziś z łaski sąsiada,
Wasz dziadek i chatę i gruszę posiada.

Wszak były talary, nieprawdaż dziateczki?
I jeszcze dla wnuków mam smaczne gruszczeni.
Niech każdy w swém sercu tę prawdę zachowa.
Najlepsze bogactwo praca, rada zdrowa.

2. Krzesiwko, krzemień i hubka.

„Ja to światło rozniecam“ rzecze raz krzesiwo.
Na to krzemień: „Jako żywo!
Ze mnie światło bierze życie“
Hubka odpowie: „oba się mylicie,
Znikłaby w chwili wasza iskra mała,
Gdybym ja jej nie wstrzymała“
Na to rzekł człowiek pokiwawszy głową:
„Wszystkiem jesteście razem, a niczém cząstkowo;
Niczém krzemień bez hubki, hubka bez krzesiwa,
Wspólną waszą pomocą światło się rozsiewa“

3. Wiewiórka i orzeszek.

Jeszcze w zielonej skórce,
Dostał się orzech wiewiórce,
Ledwie go dotknie drobnymi ząbkami:
„Jakże mię, rzecze, moja matka mami!
„Nie raz mi to powiadała,
„Że orzeszek potrawa arcy-doskonała.
„Dziękuję za nią!“ Wtém rzuci orzechem.
Podjęła go małpa z uśmiechem,
Bierze w łapki, rozłupywa,
Słodkie ziarnko wydobywa;
I gdy go zajada sama,
Rzecze wiewiórce: „Dobrze mówi mama;
Dobry orzeszek, trzeba rozgryźć wprzód,
Musi ten pracować, kto chce mieć wygody

4. R y b a k.

Był rybak ubogi, miał dziełek gromadkę,
Zabrakło mu chleba, przygotował siatkę,
Siadł w łódkę ubogą, pędzi po głębinie;
Już chatka z dziećmi z oczu jego ginie,

I niebo i morze tylko przed nim było;
 Aż tu się chmurami niebo osłoniło,
 I burza powstała, piętrzyły się wały,
 I łódką, jak piłką, do góry rzucały
 Strach przejął, zawołał: „O Boże!
 Dla czegoż się z troską rzuciłem na morzel
 Troska nie osłoni.... Fala w łódź uderzy,
 Z Bogiem płynąć było.... On fale uśmierzy,
 On wichry ucisza, On burze łagodzi!“
 I myśl ta modlitwą do nieba dochodzi,
 I burza ustaje, on spokojnie płynie,
 I w Bogu nadzieję pokłada jedynie,
 Wiara go ratuje. Niesie ryb dostatek,
 Przybywa szczęśliwie do kochanych dzieł,
 I odtąd jak z płatka wszystko się wywija,
 Bóg mu pomoc niesie, szczęście trwale sprzyja.
 Dziwią się sąsiedzi, pytają rybaka:
 „Co się to ma znaczyć, skąd to zmiana taka?“
 On na to odpowie: „Po morzu pływałem,
 Troskę tylko ziemską towarzyszem miałem,
 I źle mi się działo; myśl mi przyszła błoga,
 Wezwałem na pomoc miłosierdzia Boga;
 I dzisiaj Bóg ze mną. Czyliż was to dziwi?
 Weźcie go na pomoc, będziecie szczęśliwi!“

5. Skowronek i słowik.

Skowronek się z piosnką ku niebu unosi,
 A słowik nisko w krzaku chwałę Boga głosi.

SŁOWIK.

Skowronku kochany, skowroneczku miły!
 Twoje mnie dźwięczne śpiewy ze snu przebudziły,
 Twój śliczny, czysty głosik brzmi, jak z wieży dzwonek,
 Wszystkich do chwały bożej pobudza skowronek.
 Kiedy ciebie usłyszę, serce się raduje,
 Za twoim i mój głosik ku niebu wzlatuje.
 O, jak że ja cię lubię, skowronku miły!
 Twe śpiewy jakież w sercu uczucia wzbudziły!

SKOWRONEK.

O, i ja ciebie lubię, słowiku kochany!
 Kiedy zachód czerwoną wstęgą opasany,
 I czarna noc się zbliża, ty, miły śpiewaku,
 Czarującym głosikiem wyśpiewujesz w krzaku.
 Kiedy ja już w gniazdeczku z dziatkami moimi,
 Spokojnie nad darami rozmyślam bożemi,
 Brzmi twoja cudna piosnka, cieniem osłonięta,
 Wszystkie wkoło stworzenia dreszcz przejmują święta,
 Ja znowu ciche z dziećmi ślę modły do nieba!
 O, mój luby słowiku, kochać cię potrzeba!

SŁOWIK.

Ach, jakże ta pochwała miła sercu memu!
 Uwielbiamy więc Stwórcę, każdy po swojemu,
 Bez zawiści, zazdrości śpiewajmy Mu chwałę,
 Tak ludzie, tak stworzenie niech go wielbi całe!

c) Bajki innych autorów.

I. Gęś i osieł

Choćbyś miał siłę, równą lwu samemu,
 Lub największemu z niedźwiedzi
 Gdy na rozumie Bóg cię upośledzi,
 Ulegniesz nawet słabszemu.

Na kępie, kędy chłód i w dni gorące,
 Gdzie bujna topól srebrnym liściem trzęsie,
 Porozrzucane po niezmiernej łące,
 Pasły się gęsie.

Zdaje się dla nas rzecz niepojęta,
 By trawa była do jedzenia zdatna,
 Jednakże wszystkie zwierzęta
 Twierdzą, że jest delikatna.
 Jedna więc z gęsi zieloną murawę
 Jadła jak gdyby najlepszą potrawę;

Osiel, wiedziony tymże apetytem,
 Gardząc respektem damom należytym,
 Zaczął gryźć trawę między małym wrzosem,
 Tuż gęsi naszej pod nosem.
 Rozgniewała się gęś strasznym sposobem,
 Wszczęły się żywe klótnie i zatargi;
 Gdy to napróżno, czerwonym swym dziobem
 Szczypnęła osła w koniec grubiej wargi.
 Lecz zwierzę, cierpiąc ból srogi,
 Tyle rozumu nie miało,
 Że się przednimi trzeba bronić nogi,
 Zawsze tylnymi wierzgało,
 To jest nie w stronę, kędy ból przenikał,
 Ale w tę stronę, gdzie go nikt nie tykał.
 I stąd wypadło, że pomimo mocy,
 W końcu walki i gonitwy,
 Za nadejściem ciemnej nocy
 Przy gęsi został plac bitwy.

J. Ursyn Niemcewicz.

2. Sknera.

Sknera sługi wypędziwszy, swém sknerstwem bez miary,
 Został się sam przy skrzyni, przy bramie pies stary;
 Wierny, bo na łańcuchu; zażarty, bo głodny,
 Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny;
 Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
 A pies już nie dostawał ni chleba, ni kości,
 Wychudł, nareszcie skonał jednego wieczora,
 A w nim razem i sługa i straży podpora.
 Wtedy to nasz pan kutwa tając śmierć brytana,
 Właził wieczór do budy i szczekał do rana:
 Lecz, choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
 Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka;
 A gdy sknera aż chrypnie, tak wyje i szczeka,
 Złodziej z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

3. Chciwość osła.

Osielkowi w żłoby dano,	Chwyci owies, żał mu siana;
W jeden owies, w drugi siano;	Chwyci siano, owsa szkoda,
Uchem strzyże, głową kręci —	I tak stoi aż do rana,
I to pachnie, i to nęci,	A od rana do wieczora,
Od którego teraz zacnie,	Aż nareszcie przyszła pora,
Aby sobie podjeść smacznie,	Że oślina pośród jadła
Trudny wybór, trudna zgoda.	Z głodu padła.

Al. Fredro.

4. Myszka, kot i kogut.

Coby to była za szkoda,
 O mało nie zginęła jedna myszka młoda;
 Szczera, prosta, niewinna: przypadek ją zbawił:
 To, co ona swój matce, ja wam będę prawił:
 Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,
 Dopadłam jednej zielonej równiny,
 Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi;
 Patrząc... aliści dwoje zwierząt siedzi:
 Jeden z nich z milczeniem przystojném
 Łagodny i uniżony;
 Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym,
 W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony.
 Ogon zadarł do góry,
 Lśniącemi błyskotał pióry,
 Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
 Jakby kto powykrawał;
 Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,
 Albo na powietrze dźwigał.
 Ja, lubo z łaski bożkiej dosyć jestem śmiała,
 Ażem mu srodze nakłęła;
 Bo mnie ze strachu drżączka wzięła.
 Jak się wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała,
 Uciekłam tedy do jamy.
 Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
 Co kożuszek z ogonkiem ma, tak jak my mamy;
 Minka nie nadęta,
 I choć ma bystre ślepięta,

Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał.
Jak nasze, taką samą robotą ma uszka,
Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał
Szłam go poiskać; lecz mi zabronił ten drugi

Tój przyjacielskiej usługi,
Kiedy nagłego narobił loskotu.
Krzyknąwszy na mnie z fukiem: kto to tu? kto to tu?
—Stój, rzecze matka, córko moja luba!

Aż mrowie przechodzi po mnie.
Wieszli, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?
Kot, bestyja, narodu naszego zaguba,
Ten drugi był to kogut, groźba jego pusta;
I przyjdą może te czasy,
Że z jego ciała jeść będziemy frykasy,
A zaś kot może nas zchrusta.
Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
I tę zdrową maksymę w swęj pamięci zapisz:
Nie sądź nikogo po minie,
Bo się w sądzie poszkapisz.

St. Trębecki.

5. Lew i mysz.

Onego czasu lew drzymał,
Umilkła puszcza i wiatr się zatrzymał,
Rozigrały się wśród spokojnej ciszy,
Jedna za drugą biegające myszy,

Aż tu pęd jedną uniesie
Na króla zwierząt; ocknie się,
I płochą skoczkę porywa,
Myszka moja ledwo żywa
Zguby swęj czeka ze drżeniem;

Ale on rzeczą nie sądząc wspaniałą,
Mścić się nad drobnem stworzeniem,
Wypuścił całą.

W kilka dni potém, idąc po nocy,
Sam w ustawione sidła zapadnie:
Z tych się nie mogąc wydobyć snadnie,
Rykiem jął żądać pomocy
Aż tu mysz owa przyleci:

Nie bój się królu, powiada,
Ja cię wywikłam z tych sieci.
Usłudze takiej tu wdzięczność jęj rada:
Te, w których stopy monarsze uwięzły,
Zdradne przegryzła węzły
Tak lwa całego puszczy oddała
Jedna mysz mała.

Kniażnin.

6. Orzeł i orlęta.

Raz uczył latać orzeł swe pisklęta
Na niebotycznej wylęgnione skale,
I gdy z początku orlęta
Naukę brały niedbale,
Rzekł: Dzieci moje! zważcie stanowisko
Waszego gniazda, jakże jest wysokie!
A potem na dół pojrzyjcie tam nisko,
Ze wszech stron jary głębokie.
Albo wam lecieć do nieba,
Albo na dół upaść trzeba
Koniecznie z tój stromęj skały
Po takiej orla przemowie
Orlęta ducha nabrały
I z całej siły, z całej, co się zowie,
Skrzydłami robiąc bez zwłoki,
Wzniosły swój polot za ojcem w obłoki.
I ty dziecino! już z młodu
Idź za tych orlą przykładem;
Weź cnotę za cel swojego zawodu,
Idąc do góry za ojcem, za dziadem.

Szym. Zajęczkowski.

7. Kmiotek i wiewiórka.

Pewny kmiotek w zimnej porze
Rabiać na coś drzewo w borze,
Znalazł miejsce, gdzie wiewiórka
Miała skarb i w mrozy przechów;

Domem jój była w pniu dziurka,
Skarbem dwa garnce orzechów,
Radość się w kmiotku roznieca;
Topór w drzewo, torba z pleca.
Już orzechy brzęczą w rękę,
Aż na blizkim siedząc sęku,
Rzekła doń gospoia z trwogą:
— „Mój ty królu! mój klejnocie!
Ulituj się nad niebogą!
To zebrałam w czoła pocie,
Co chcesz wydrzyć, byś jak fraszkę
Dał swym dziatkom na igraszkę.
Im to dobra nie przysporzy,
A mnie biedną — niezadługo
Z twój przyczyny głód umorzy:
Weź połowę, zostaw drugą!
Nic nie wezmę, ni orzeszka,
Dobry kmiotek odpowiada:
Kto sam doznał co jest biéda,
Czuć litości nie omieszka.

Józef Masalski.

III. POEZYJE EPICZNE.

a) Obrazki i powiastki.

I. Porównanie człowieka z mocniejszymi od niego zwierzętami w pierwszych dniach stworzenia.

przez Stanisława Trembeckiego.

Kiedy w młodości świata niezmierne szczodroty
Matka rzeczy na żywe sypała istoty,
Innym moc i oręż rozdała w posagi,
Człowiek z trochą światelka stał wpośród nich nagi.
Zdawało się, że wkrótce zginie postać nasza.
Lew ją kłębem, słoń ogonem, wół rogiem zastrasza:
Słabszy zwierz, ale który wziął roztropność w podział,
Zjadł wołu, siadł na słoniu, lwia skórą się odział.

2. Obrazki z poematu p. t. „Pan Tadeusz.”

przez Adama Mickiewicza.

a) ŚNIADANIE U PANA SĘDZIEGO.

Różne tam były dla dam i mężczyzn potrawy
Tu roznoszono tace, z całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane;
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane
I z porcelany saskiej złote filiżanki;
Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.
Takię kawę, jak w Polsce, nie ma w żadnym kraju:
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta;
Nazywa się kawiarka. Ta sprowadza z miasta,
Lub z wicin bierze, ziarna w najlepszym gatunku, —
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach mokki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nie trudno o nią, bo kawiarka z rana,
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki, oddzielny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.
Panie starsze, już wcześniej wstawszy, piły kawę;
Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego, piwa,
W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.
Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:
Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym.
Wkońcu wniesiono zrazy na ostatnie danie,
Takie bywało w domu sędziego śniadanie.

b) POLOWANIE NA ZAJĄCE.

I.

„Wyczcha.” Tuż z pod koni
Czmychnął szarak; już Kusy, już go Sokół goni.
Psy wzięto na obławę, wiedząc, że z powrotem

Na polu łatwo można napotkać się z kotem.
 Bez smyczy szły przy koniach... gdy kota spostrzegły,
 Wprzód, nim strzelcy poszczuli, już za nim pobiegły
 Rejent téż i Assesor chcieli końmi natrzeć,
 Lecz Wojski wstrzymał, krzyząc: „Wara! stać i patrzeć!
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca nie dozwolę;
 Stąd widzimy wszyscy dobrze: zając idzie w pole.“
 W istocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnię,
 Rwał w pole, słuchy wytknął, jak dwa różki sarnie;
 Sam szarzał się nad rolą długi wyciągnięty;
 Skoki pod nim sterczały, jakby cztery prety;
 Rzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
 Po wierzchu, jak jaskółka, wodę całująca.
 Pyl za nim, psy za pyłem; zdaleka się zdało,
 Że zając, pył i charty jedno tworzą ciało,
 Jakby jakaś przez pole suwała się żmija.
 Kot, jak głowa; pył z tyłu, jakby modra szyja,
 A psami, jak podwójnym ogonem wywija.

Rejent, Assesor patrzą, otworzyli usta,
 Dech wstrzymali; wtém Rejent pobladał, jak chusta,
 Zbladł i Assesor; widzą... fatalnie się dzieje:
 Owa żmija im dalej, tym bardziej dłużej;
 Już rwie się w pół, już znika owa szyja pyłu,
 Głowa już blisko lasu, ogony gdzieś z tyłu!
 Głowa niknie, raz jeszcze jakby kto kutasem
 Mignął, w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.
 Biędne psy, ogłupiałe, biegały pod gajem,
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;
 Wreszcie wracają, zwolna skaczą przez zagony,
 Spuścili uszy, tulą do brzucha ogony—
 I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wzniesć oczu,
 I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

II.

Kot, wykradłszy się z łozy, prześmignął po łące
 I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące.
 Tam siedzi; wystraszyć go łącno z rozsądnika
 I uszczuć, postawiwszy charty na przesmyku.
 Bieży Assesor, ciągnąc za obróż Sokoła,
 Pośpiesza za nim Rejent i Kusęgo woła.

Wojski obu z chartami przy płocie ustawił,
 A sam się placką muszą do sadu wyprawił;
 Depcząc, świszcząc i klaszcząc, bardzo zwierza trwoży.
 Szczwacze, trzymając każdy charta na obroży,
 Ukazują palcami, skąd zając wyruszy;
 Cmokają zcicha; charty nadstawiły uszy,
 Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie,
 Jak dwie strzały, złożone na jednej cięciwie.
 Wtém Wojski krzyknął: „wyczcha!“ zając smyk z za płotu,
 Na łąkę; charty za nim i wnet bez obrotu
 Sokół i Kusy razem spadli na szaraka
 Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka
 I zęby mu, jak szpony, zatopili w grzbiecie.
 Kot jęknął raz, jak nowo-narodzone dziecko,
 Żalosię; biegną szczwacze; już leży bez ducha,
 A charty mu szersć białą targają z pod brzucha.

3. Siérot a.

Cieężko żyć biędnej sierocie,
 Bo wiele cierpieć potrzeba
 I służyć o krwawym pocie
 Na gorzki kawałek chleba.
 Oj! ciężko biędnej siérotcie!

Józia bez rodziców jedna
 Została, mając rok piąty,
 I odtąd siérot a biędna
 Wycierała cudze kąty.
 O! nie daj Boże nikomu
 Na łasce żyć w obcym domu!

Choć ją zdobiła uroda
 I dusza bogata w cnotę,
 Ale któż rękę jęj poda,
 Kto zważać chce na siérotę?
 Czy radość śmiech jęj wywoła,
 Czy łzę wyciśnie tęsknota,
 Żle wszystko, bo kiedyż zdoła
 Ludziom dogodzić siérot a?

Tak pięknie na bożym świecie,
 Rodzice tak pieszczą dziatki,
 A ją bez ojca i matki,
 Nędza jak gniecie, tak gniecie.
 Dla innych wszystko się śmieje,
 I szczęściem kwitną nadzieje —
 Jęj pusto i głucho w świecie
 I zimne dokoła twarze,
 A tylko w życia obszarze
 Łzy i cierpienia — jęj kwiecie,
 O! ciężko, ciężko siérotcie!

Gdy świat odpychał od siebie,
 W strzelistej modlitwy locie
 Szukała pociechy w niebie,
 Bo Bóg jest ojcem siérotcie;
 Jedyne szczęście jęj było
 I jedna chwilka jęj błoga —
 Nad lubęj matki mogiłą
 Modlić się we łzach do Boga.

Ignacy Hołowiński.

4. Sztuki piękne.

W martwych kształtach życie wzbudzić,
Ująć namiętne uczucie,
Myśl zatrzymać, oko złudzić,
Znaleźć obraz w wieszczu nucie,
Rozwinać świata koleje
I natury odkraść skarby,
Na jaw dobyć znikłe dzieje. —
To świat malarzy i farby!

Wznieść duszę w wyższe dziedziny,
Przygasle wskrzesić pamiątki,
Przypomnieć szczęścia godziny,
Wzruszyć tajne serc zakątki,
Wzburzyć żądze i uśmierzyć,
Nieść zapal w wojenne szyki,
Łzę wycisnąć, w cud uwierzyć, —
To władza bożkiej muzyki!

Lecz spojrzeć w przyszłość tajemną.
Uzacnić człowieka serce,
Rozjaśnić błędów noc ciemną,
I na genjuszu iskierce
Przebić chmury, spojrzeć w nieba,
I nad słońca, nad planety
Wznieść tron Bogu, — na to trzeba
Uczuć i natchnień poety!

Gustaw Zieliński.

5. Pożar w stepie.

Wnet na trzech punktach stal iskry ciska...
Iskry w garść suchej trawy ujęte,
Podmuchał wiatru silnie rozdęte,
Trzy, śród przestrzeni tworzą ogniska,
Co tak pełzają promieniami mdłemi,
Jakby trzy gwiazdy legły na ziemi.
Ogień się rzuca na zeschłe zioła,
Wiatr go rozdyma, miota, roztrąca...
I już się palą trzy wielkie koła,
Jak gdyby z niebios spadły trzy słońca.

Z tych kół ognistych, przez podmuch świeży,
Żar się wylewa w jasnych potokach;
A każdy potok w step czarny bieży,
W liniach, zygzakach, węzłach, przeskokach.
Już wichrem gnane w przestwór daleki,
Z trzaskiem i z szykiem płyną trzy rzeki,
Płyną... wzbierają fale płomieni,
Niebo się krwawą łuną czerwieni.

Ogień z wściekłością ciągle rosnącą,
Coraz się szerszym korytem leje,
Bucha... iskrami sypie... szaleje...
I już trzy rzeki z boków się łączą,
I straszny pożar w lewo i w prawo,
Płomienną, długą toczy się lawą.
Zbudzony światłem z pobliskich krzaków
By dzień powitać, leci rój ptaków...
Leci... na skrzydłach waży się, śpiewa...
I milknie — w paszczy otchłani wrzając...
Paszcza wciąż zieje — a krzaki, drzewa,
Gdy je obejmie oddech pałacy,
Pływają w ogniu i, jak gwiazdami,
Chwilę złotemi trzęsą liśćmi...
Przeszło... i drzewa w popiół się sypią...
A jako fale wzburzone kipią;
Tak hucząc leci powódź płomieni,
Niebo się coraz krwawiej czerwieni...

6. Paweł i Gaweł.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu
Paweł na górze a Gaweł na dole;
Paweł spokojny nie wadził nikomu;
Gaweł najdziksze wymyślał swawole;
Ciągłe polował po swoim pokoju.
To pies, to zając między stoły, stołki,
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał i trąbił, i krzyczał do znoju.
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:

Zmłuj się Waćpan, poluj ciszej nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą:
A na to Gawel: Wolność Tomku

W swoim domku.

Cóż było mówić? Paweł ani pisał,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gawel jeszcze smaczno chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie.
Zerwał się z łóżka, pędzi na górę,
Sztuk! puk! zamknięto — spogląda przez dziurę
I widzi — cóż tam? cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie!
Co Waćpan robisz? — Ryby sobie łowię
Ależ, Mospanie, mnie kapie po głowie.
A Paweł na to: Wolność Tomku
W swoim domku.

Z téjto powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

Al. Fredro.

7. Pojedynek.

przez tegoż.

Na dziedzińcu przy kurniku
Krzyknął kogut kukuryku,
Kukuryku! krzyknął drugi,
I dalej w czuby.
Biją skrzydła jak kańczugi,
Dziobią dzioby,
Dra pazury
Aż do skóry
Już krew kapie, piérze leci!
Z kwoczką nadszedł kogut trzeci
A wtém indor dmuchnął hola!
Stała się jego wola.
O co idzie, o co chodzi,
Indor was pogodzi.

Na to oba, każdy sobie:
Przedrzeźniał się méj osobie.
Moi panowie!
Indor odpowie:
Niepotrzebnie się czubiło,
Przedrzeźniania tu nie było;
Obadwa z jednéj zapaliście nuty,
Boście obadwa koguty.
Kiedy głupstwo jeden powie,
Głupstwo drugi mu odpowie;
Potém płacą życiem, zdrowiem.
Co rzec na to? Wiem—nie powiem.

8. Duch siórot

Idzie sobie pacholę
Przez zagony, przez pole.
Wielki wicher, ulewa,
A to idzie i śpiewa.
Wyszedł z gaju gajowy,
I rzecze temi słowy:
Taka biéda na dworze,
A ty śpiewasz niebożę?
— Oj długom ja płakała,
Gdy mnie nędza wygnała,
Gdy ja biedna siórota
Drżąc stałam u płota.
Aż raz w nocy niedzielnej,
Przy dzwonnicy kościelnej,
Śnieg użyczył pościeli,
Duszę wzięli anieli.

Jedna zimna mogiła
Moją biédę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował,
On mnie płakał, żałował;
On mnie ubrał w sukienki,
Do tej zimnej trumienki.
Teraz nic mi nie trzeba,
Idę sobie do nieba.
O! sieroto, o! dziecię,
Nic ci nie żal na świecie?
— Żal mi jeno téj łaki,
Gdzie fijołki i dzwonki.
Żal mi słońca w zachodzie,
Kiedy świeci na wodzie,
I fujarki wierzbowej,
Z nad zielonéj dąbrowy
T. Lenartowicz.

b) Ballady i baśnie.

I. Powrót taty.

„Pójdźcie, o! dziatki; pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klękajcie obrazem
Pobożnie zmówcie paciórek.

Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze“

Słyszac to, dziatki biegną wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potem: „W imię Ojca,
Syna i Ducha Świętego,
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego“

Potem Ojcie nasz i Zdrowaś i Wierzę,
I Dziesięcioro, koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litaniją do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem,
„Najświętsza Matko“, przyśpiewują dziatki,
„Zmiluj się, zmiluj nad tatę“

Wtém słysząc turkot wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie.
Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
„Tato, ach! tato nasz jedzie!“

Obaczył kupiec, Izy radości leje,
Z wozu na ziemię wylata,
„Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do taty?“

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rożynki w koszyku“,
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi;
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie!“ kupiec na sługi zawoła,
„Ja z dziećmi pójdę ku miastu“.
Idzie.... aż zbójcy obkoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszczy na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wznosił dłonie.

„Ach! bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodej małżonki wdowę“.

Nie słucha zgraja... ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi
Piędzy krzyczy i buławą sięga;
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtém: „stójcie! stójcie!“ krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi.
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie“, rzekł, „dalej, bez trwogi“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszy bym pałkę strzaskał na twój głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.“

Dziatek sprawiły, że uchodzisz cało;
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem:

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga,
Słucham.... z początku porwał mnie śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham.... ojczyste przyszły na myśl strony,
Bulawa wypadła z ręki;
Ach! ja mam żonę! i u mojej żony
Jest taki synek maleńki.

Kupcze, jedź w miasto, ja do lasu muszę;
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie — i za moją duszę
Zmówcie téż czasem paciółek“.

Adam Mickiewicz.

2. Pacholę.

Książę *), wiadomo, że kochał się w łowach.
Raz, kiedy ptastwo z sokoły polował,
Sokół, którego nad wszystkie miłował,
Jakimś trafem zginął mu w parowach.
Gnięwa się książę, a straszny gniew pana;
Świszczą, wołają smutni sokolnicy,
I z siół pobliskich gromada zebrana
Szuka, lecz próżno. W całej okolicy
Płaczą kmiotkowie; wiedzą, że nie minie
Ciężka ich pomsta, skoro sokół zginie;
Bo jeśli przyjdzie księciu ptaka stracić,
To żal mu drogo potrzeba opłacić.

Gdy tak szukają, chłopiec lat dziesięciu
Przybiegł i przyniósł sokoła książęciu,
Mówiąc, że w blizkim jarze przy strumieniu,
Nagle sam sokół siadł mu na ramieniu.
Rozśmiał się książę, musnął go pod brodę
I rzekł: „Pachole! jaką chcesz nagrodę?“
Zmieszał się chłopiec; przydurni, co stali
W okół niego, w ucho mu szeptali:
„Bieź, czołem uderz, proś o pańską rękę;
Proś, niech ci pieniądz rzuci na sukienkę“.
Lecz chłopiec, bawiąc się sokoła pierzem,
Rzekł: „Daj mi konia, abym był rycerzem“

*(Ziemowit Płocki.

„Cha, cha, cha“, krzykną przydurni. „znać zucha!“
A drudzy mruczą: „Oh! jabym kmieciucha
Osmagać kazał za ten język płochy
Patrzcie go! chamu nie chce się do sochy!“
Książę, przez groźne wokoło spojrzenie,
Zamknął im usta i przerwał milczenie.
„Zaprawdę chłopiec nie od rzeczy prawil
„Gdzie masz rodziców?“ — „Jam sierota panie“
„Bóg o sierotach kazał mieć staranie
I bez opieki ciebie nie zostawi.
Piotrze z Gulczewa, wziął na dwór pacholę
I niech ma pieczę o moim sokole“.
Kazał, spełniono. Cały dwór się dziwi,
Lecz któż się woli żelaznej sprzeciwi?

Chłopiec w usługach rósł, męźniał u dworu,
Ujeżdżał konie, oręza się imał,
W sztuce szermierskiej innym przodek trzymał,
I do dworskiego nawykał poloru;
Książę go wielce upodobał sobie,
I zrobił giermkim przy swojej osobie.

Gustaw Zieliński.

3. Święty Izydor.

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnej-Góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyży wydobywał,
A lud, wierny swojej wierze,
Za pocziwy grosz nabywał.

I miał jeden obraz śliczny;
Każdy o treść jego badał;
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on mu tak rozpowiadał:

„O! nie wiecie wy, ludkowie,
Jak, za dawniej tam pamięci,
Byli wpośród was wodzowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam, gdzie tacy, jak my, ludzie,
Wśród dalekie z tą Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył lzydor, Oracz zwany.

Pracowitym był on chłopkiem;
Tak, jak wy, się męczył, nużył,
Przecież, mnogich cnót dorobkiem,
Myta niebios się dosłużył.

Raz pan dziki bez sumienia
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzął wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytą
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża klął w pokorze,
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętej schylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał;
Korzył myśli, czyścił duszę
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko
I południe się przybliża.

Złął się, jakby z snu ocucił,
I zapłakał w swej niedoli;
Gdy wtém wkoło okiem rzucił:
Jakaś jasność, woń po roli.

Patrzy... widzi zadumiały,
Niepojęte cuda... dziwy...
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie;
Nie ma bicia rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołym,
Pług tak lekko płynie w ziemi...
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zléwa się wdzięcznemi.

Gdy wtém anioł promienisty
Nagle w górę wzłata, leci;
A jak tęcza, pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta,
Ginąc, takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
Temu pomoc Bóg przynosi.“

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tém samym miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem mnóstwo zlało ludu.

Od poranka do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa.“

Franciszek Morawski.

4. Dziad i Baba.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje:
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Taką starą jak oni;
Jedno miała okienko,
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiła
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

— „Razem! to być nie może,
Ktoś choć chwilą wprzód skona.“
— „Byle nie ty, nieboże!“
— „Byle tylko nie ona.“

— „Wprzód umrę,“ woła baba,
„Jestem starsza od ciebie,

Co chwila bardziej słaba;
Zapłaczesz na pogrzebie.“

— „Ja wprzód, moja miła,
Ja kaszlę bez ustanku —
I zimna mnie mogiła
Przykryje lada ranku.“

„Mnie wprzód.“ — „Mnie kochanie!“
— „Mnie, mówię“ — „Dośćce tego,
Dla ciebie płacz zostanie.“
— „A tobie nie? dla czego?”

I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę chcieli porzucić.

Aż do drzwi, puk! powoli.
„Kto tam? — „Otwórzcie, proszę,
Posłuszna waszej woli,
Śmierć jestem, zgon przynoszę.“

— Idź babo, drzwi otworzyć.“
— „Ot to, idź sam! ja słaba,
Ja się pójde położyć,“
Odpowiedziała baba.

— Fil śmierć na ślocie stoi
I czeka tam nieboga!“
— Idź, otwórz z łaski swojej.“
— Ty otwórz, moja droga.“

Baba za piecem zcicha
Kryjówki sobie szuka,
Dziad pod ławę się wpycha,
A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tam stała,

Lecz, znudzona nareszcie,
Kominem wleźć musiała,
Józef Ignacy Kraszewski.

5. J a ł m u ż n a.

przez G.

Noc była ciemna, wieja, ślizgawica,
Szedł jakiś młodzian porządnie ubrany;
Wtém jakby na złość, gdzie wązka ulica,
Stoi staruszek okryty łachmany
I żebrze. „Wstydz się, czyż to żebrać pora
„Któżto jałmużny prosi wśród wieczora?“
— „Panie! po licu mojem spójrz wybladłem,
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.“
— „Ej! daj mi pokój, nie nie mam, nie mogę,
Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.
Idzie i myśli: oj! znam was, filuci,
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci:
Wziął lichą odzież, by tém litość wzbudzić,
I lezie gwałtem, żeby co wyłudzić.
Lecz potem myśli: można w gniewie zbłądzić;
Nietrzeba nigdy źle o bliźnim sądzić;
A może biedny, może ma i dzieci...
Zajdę, gdzie w bramie téj ogień się świeci,
Dam mu co. Zaszedł—lecz coś szuka długo;
Nie mam nic drobnych, dam mu razą drugą.
Słabość jest, zbytnią uwieść się szczodrotą:
Nie takto łatwo nabywa się złoto.
Idzie, znów myśli, choćbym dał dukata,
Niewielka dla mnie to byłaby strata,
Wszak mam ich kilka, a bez méj pomocy
Może staruszek i zemrze téj nocy,
Lecz gdzież się wracać, spóźnię się na wiska...
Ale biedaka tego głód przyciska.
Wróć się.—Wrócił. Ledwo dał trzy kroki,
Ucichło, księżyc błysnął przez obłoki.
Bieży młodzieniec, dziwi się téj zmianie,
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie,
Dał mu dukata. „Ten, co rządzi w niebie,
Oby dla ciebie był też litościwy,

Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie.“
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.
Zdziwiony młodzian patrzy dokoła,
Lecz nic nie widać wpośród nocnej ciszy
„Któż jesteś, starcze!“ przelękły zawoła,
W tém jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
„Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie:
Oddam ci w sądu straszliwej godzinie.
Uważać każdy twój krok dobroczynny
Do mnie należy; lecz jest anioł inny:
Zbiera, co trwonisz, rozrzucasz daremnie;
Pomnij, by więcej nie zebrał odemnie.“

6. Z a c h ó d s ł o Ń c a.

(Z Maryi Malczewskiego).

Słońce już wówczas łuk swój zbierając szeroki
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
A złotem drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie;
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome rozsiewa promienie,
I w krótkim pożegnaniu, nim w głąb' się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie;
Jeszcze w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem.
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wзира przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej przyjaźni, co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurze swe czyste łono w tajniki natury.
Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,
Mniej silnie, ale szerzej niż we dnie świeciło,
Całe zaczerwienione jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze,
Na spoczynek powraca: już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru, i już promyk mglisty
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa:
I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu.

Słońce na nim czerwone jak pożar na dachu.
 Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary
 Błysnęło jako świeca przez okiennic szpary,
 I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
 W zbożach, i grabiska suwane po łące,
 Ucichły i stanęły.
 W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru
 I z łąk i z pastwisk wracało do dworu.
 Tu owiec trzoda becząc w ulicę się tłoczy
 I wznosi chmurę pyłu; dalej zwolna kroczy
 Stado cielic tyrolskich z mosiężnymi dzwonki.
 Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki:
 Wszystko bieży ku studni, której ramię z drzewa
 Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

7. Powrót na wieś.

Otóż mój dom ubogi! też lepiące ściany,
 Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
 I nizka strzecha moja!... Wszystko tak jak było,
 Tylko się ku starości więcej pochyliło!
 Szczęśliwy kto na małym udziale przebywa,
 Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa,
 Z swój obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
 Z domu napój i wierną przy boku drużynę,
 Obym ja był tak dawniej myślał, oszukany!
 I w ukrytym gdzieś końcie żył raczej nieznany:
 Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
 I tylko mnie sąsiadem dobrym nazywano!
 Bym się żywił z krwawego rąk swoich wyrobku,
 Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!

Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
 Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody,
 I widząc na swe oczy, jak drudzy tonęli,
 Jam sobie myślał: „Oni płynąć nie umieli.“

Com zyskał na wysokie pańskie pnać się progi?
 Gdzie po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,

Nic się lepszego z moim nie zrobiło stanem,
 Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem!

Kiedy mnie ojciec stary żegnał przy swym zgonie:
 „Idź mówił, synu na świat, w jakiej będziesz stronie,
 Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci:
 Zostawiam cię ubogim, prawda cię zbogaci.“
 Słucham cię, ojciec mój, goszcząc między pany;
 Takem pisał lub mówił, jak był przekonany
 Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
 A jeślim kogo chwalił nigdy bez przyczyny.
 Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
 Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
 Nie przeto święta cnota porzucić cię trzeba,
 Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba;
 Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec,
 Bo i z prawdą pięknie jest, i tak kazał ojciec.
 Trzeba wyznać, jak było, że mi coś dawano;
 Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
 Żebym wieczny niewolnik dzielił wady czyje,
 Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;
 A wreszcie mi nadzieją szafowano szczerze:
 Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.
 Nadziejol! czyż ja ciebie w złotój chciałem mieć szacie,
 Żeby oczy pospólstwo obracało na cię?
 Żebym słynał majątkiem? drugimi pomiatał?
 Nie o tom ja pod drzwiami fortuny kołatał.
 Jedna wioska do śmierci jeden dom wygodny,
 Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny,
 Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu;
 Swym pługiem zaoranego pilnował zagonu:
 Spokojny będąc na tém, co stan mierny niesie;
 Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.

W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy:
 Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy:
 Nad książkami, które ja, co głębie odjąłem,
 Może zbytęcznym na mnie nakładem ściągnąłem
 Cóż mi książki oddały? Jak niewierna niwa,
 Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa;

Po wieku mego wiosny niewróconej szkodzie,
Nachylony ku ziemi, zostałem o głodzie.

Za lat Symonidesów albo Kochanowskich,
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożyteczném ogółowi służył.
Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mnie przywiązał nałóg uporczywy,
I co mi będzie lepiej w ubóstwie usługne,
Zamienię na motyki i żelaza płuźne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe;
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.

Maryjo! siostró moja! jakżeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Czego stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem,
Nędza was jak popadła, tak statecznie gniecie;
I tyś także jak widzę, prawdą szła na światcie,
Oplakana rodzinio! Wy myślicie ślepi:
„On był między panami, i nam będzie lepiej.“
Byłem i byłym pewnie panom na coś zdatny,
To wiem; a tego nie wiem za com nieopłatny
Stało się! nie mam swojej, kopmy cudzą grzędę,
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niej przebędę.

Franciszek Karpiński.

8. O drzewach cudzoziemskich i krajowych.

Wyjątek z poematu „P a n T a d e u s z.“

(przez Adama Mickiewicza).

Pan Tadeusz kręcił się nudząc niepomału
Długą rozmową w której nie mógł brać udziału;
Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,

I wyliczać z kolei wszystkich drzew rodzaje:
Pomarańcze, cyprysy, oliwki migdały,
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,
Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,
Nakoniec nie mógł dłużej od gniewu się wstrzymać.
Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia
I patrząc w las ojczysty, rzekł pelen natchnienia:
„Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie,
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie,
I na południu w owęj pięknej włoskiej ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszymi?
Czy aloes z długimi jak konduktor pałki?
Czy cytryna karlica z złocistemi gałki?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy!
Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy,
Czyż nie piękniejsza nasza pocziwa brzezina,
Która jako wieśniaczka kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!
Czemuż pan hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
Nie maluje drzew naszych pośród których siedzi?
Prawdziwie, będą z pana żartować sąsiedzi,
Że mieszkając na żyznej litewskiej równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie.“
„Przyjacielu, rzekł hrabia — piękne przyrodzenie
Jest formą, tłem, materiją, a duszą natchnienie,
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
Niedość jest przyrodzenia, niedosyć zapалу,
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
Nie wszystko co jest piękném wymalować da się!
Dowiesz się o tém wszystkiém z książek w swoim czasie.
Co się tycze malarstwa: do obrazu trzeba
Punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba,
Nieba włoskiego! stąd też w kunszcie pejzażów,
Włochy były, są, będą ojczyzną malarzów.
Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle,

Ale pejzażysty (bo są dwaj Brejgele)
I oprócz Ruisdalla, na całej północy
Gdzie był pejzażysta który pierwszej mocy?
Niebios, niebios potrzeba!

9. Dwór szlachecki.

(z poematu jak wyżej).

Śród pól przed laty, nad brzegiem ruczaju.
Na pagórku niewielkim we brzozowym gaju
Stał dwór szlachecki, z drzewa lecz podmurowany:
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bledsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom niewielki mieszkalny, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użytku, co pod strzechą zmieścić się nie może,
Widać że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów,
Orzących wcześniej łany ogromne ugoru
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek,
Że w tym domku dostatek mieszka i porządek.
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

10. Pacierze.

Piękną się niebo śmiało pogodą,
Lekko tchnął powiew wieczora,
Gdy raz sędziwy kapłan nad wodą,
Cichego jechał jeziora.
Wzniósłszy wzrok w niebo kapłan pobożny
Świętami zważał myślami:
Jak ten być musi dobry, wielmożny,
Kto niebo zasiał gwiazdami;

Kto wiedzie słońca ogniste biegi
I błądy księżyc kolejają;

Kto nalał morza w głębokie brzegi,
Z których się wyrzucić nie śmieją.
Czyją się sprawą ziemia zieleni,
Dzień świeci, ciemnieją noce;
Kto kwiatki wiosnie, kto dał jesieni
Ziarna i słodkie owoce.

Za czyjém „stań się“ wszystko się stało,
Czyjem się tchnieniem świat stworzył.
Tak dumał kapłan, i myśl zdumiała
Przed wszechmocnością ukorzył.
A gdy po chwili na szklaną wodę
Znowu ciekawe śle oczy;
Postrzegł wieśniaka, a ten przez kłodę
To skoczy, to znów przeskoczy,

„To tobie Boże,“ — za każdym skokiem, —
„A to mnie Boże,“ — wyrzecz.
Zdziwiony kapłan takim widokiem,
„Co czynisz spyta, człowiecze?“
— „Modłę się.“ — „Jak to! kapłan zawoła,
To ty nie umiesz pacierza?
Alboż to u was nie ma kościoła,
Alboż to niema pasterza?“

— „Nie wiem — z dzieciństwa śród tego lasu
Sam jeden żyję — a w drogę
Nigdy nie chodzę, bo nie ma czasu,
A chwale Boga jak mogę.
Czy zbieram kłosa czy ziarno sieję,
Czy grabię siano do stogu,
Czy słońce świeci, czy słońce leje,
Za wszystko dziękuję Bogu.“

Zdziwiony kapłan takiej prostocie,
Jął mu wykładać pacierze;
Uczył Ojciec nasz, Zdrowaś i Wierzę,
Mówił o Bogu i cnocie.
A gdy już mniemał naukę świętą,
Że mu w pamięci zostawił;

Powtórzył jeszcze, pobłogosławił,
I kończył drogę zaczęta.
Wtém nagle słyszy wołanie w dali;

Lecz cóż to razi go trwogą?
Spojrzy, o cud! po wzdętą falę
Wieśniak suchą bieży nogą.
„Poczekaj ojcze, poczekaj! woła,
Powtórz mi swoje paciérze.
Coś mi wprzód mówił, nie pomnę zgoła,
Choć chciałbym umieć je szczerze.“ —

Lecz kapłan widząc dziwne dowody,
Jak go w swą łasce Bóg chowa,
Rzecz mu: „Synu! módl się, jak wprzód,
Serce Bóg ceni, nie słowa;
Przed jego tronem pierwszeństwo biorą:
Pokora, cnota i praca.“
Rzekł, a szczęśliwy znów przez jezioro
Bezpiecznie wieśniak powraca.

II. Leszek Biały r. 1227.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym;
Tak szerzy skargi płaczliwe,
Na swe losy nieszczęśliwe:
„Ty się śmiesz dzieć lube
Bo nie znasz twojej niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę:
Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota,
A jam wdowa, tyś sierota.
Zrodzony, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winą
Wszystkoś na świecie postradał,
Tułasz się biedna dziecino:

Ja cię przytulę do łona,
Lecz skądże inna obrona?“
„Powściągnij łyzy tve królowo,
Zawołał Goworek stary,
Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary:
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadną nań trwoga nie padnie.“

Pod czułem starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały;
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków,
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
Oddał Goworka, korona
Nazad ci będzie wrócona.

Królowa w modrzewim dworze
W skromnej siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze;
Nie miała złota na szacie:
Przy niej poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony

Gdy milczą, Goworek stary,
Tak ich zdumienie przerywa:
„Przyjm książkę ludu ofiary,
Panuj, kiedy lud cię wzywa;
Niech kraj na tém nie szkodzi,
Że mnie zawiść prześladowe.

Ja stary, władzy nie chciały,
Do skromnej ojców zagrody
Wrócę wygnaniec szczęśliwy;
Ty długie uśmierz niezgody:
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym

Jeśli za to, żem pracował
 Los mi usłyszeć zostawi,
 Że tego, com ja wychował,
 Naród polski błogosławi;
 Nie umrę w cieniu mej strzechy
 Bez słodkiej serca pociechy.“
 Tu gdy płakała królowa,
 Gdy we łzach wszyscy przytomni,
 Księżę odpowie w te słowa:
 „Leszek nigdy nie zapomni,
 Co winien sobie, krajowi,
 I co winien Goworkowi.
 Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
 Gdym się tulał opuszczony;
 Dla mnie wygnańcem umierał,
 Nie chcę państwa, ni korony:
 Nad blask, co berło udziela,
 Wyżej cenię przyjaciela.“

Nagrodziły nieba hojnie
 Tę szlachetność, tyle męztwa:
 Leszek zwycięzca na wojnie,
 Odzyskał wydarte księztwa:
 Stary Goworek przy zgonie
 Oglądał Leszka na tronie.

c) Legendy.

I. Legenda wstępna.

W czasach grabieży i niepokoju
 Był człowiek, co przez lat wiele
 Zebrany pieniądz o krwawym znoju
 Przechował w garnku w popiele.
 Lecz się nie zwierzył w naglém skonaniu
 Ani przed żoną, lub dzieckiem;
 I długo, długo tak, w zaniedbaniu,
 Ten garnek stał pod przypiekiem.
 Jednego razu wszedł do tej chaty
 Biedny zgłodniały podróżny,

Ledwie okryty podłemi szmaty—
 I kornie prosił jałmużny

Choć gospodyni wśród rodziny
 Przy jadłe była za stołem,
 Lecz bez litości, jakby na drwiny,
 Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
 Przyjąwszy datek z ochotą,
 Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
 Bo znalazł w popiele złoto.

Ignacy Hołowiński.

2. Prorok i chłopczyk.

(L e g e n d a).

Szedł staruszek ociemniały,
Bięda go powszechnie zwano,
 Jak proroka uwielbiano.
 Prowadził go chłopczyk mały,
 A gdy przyszedł, słowa Pana
 Głosił z zapalem młodziana.
 Raz lekkomyślny chłopczyzna
 Wprowadził go wśród kamieni
 I rzekł: „Ludzie zgromadzeni
 Czekają na twoją mowę.“
 Starzec naukę zaczyna,
 Wybiera z Pisma ośnowę,
 Rozwija ją należycie,
 Naucza i napomina,
 Niecnotliwe gromi życie;
 Znowu w serce ufność wlewa
 I dobroć maluje Pana,
 I łza mu po licu spływa,
 Z świętem uczuciem zmieszana.

A gdy już skończył, zmówił paciérz cały,—
 Wokoło głosy: „Amen!“ powiedziały.
 Przeląkł się chłopiec, klęknął, wyznał winę,
 A starzec strwożonego pogłaskał chłopczykę.
 „Synu!—rzecz, —wszak Pismo opowiada Boże:
 Kamieniom usta otworzę,

Gdy ludzie milczyć będą. Bierz naukę z tego
I nie szydź z Słowa Bożego.
Słowo Bożkie żyjące, silnie ostro sieka,
Jako miecz obosieczny Gdy serce człowieka
Skamienieje—w kamieniu serce się obudzi,
Żywić, silniej czuć będzie, niżeli u ludzi.

St. Jachowicz.

3. Źródło św. Gangolfa.

(p. Rozergartena, przekład A. E. Odyńca).

Znużony Gangolf pielgrzymką długą
W piaszczystej Włoch okolicy,
W skwarne południe nagle nad strugą
Szumiącej stanął krynicy.
A gdy spragniony, chłodnym napojem
Orzeźwił siły mdlejące,
Wnęt na kolana padłszy nad źródłem,
Bogu niósł dzięki gorące.
Wtem nadszedł dziedzic i rzekł: — „za złoto
Chętnie ci sprzedać źródło mogę.“
Pielgrzym zapłacił wartość z ochotą,
I w dalszą puścił się drogę.
I do burgundzkiej wracał krainy
Uweselony z nabycia,
Gdzie łączy przyjaciół, gdzie łączy rodziny
Mierzą czas jego przybycia.
A ledwie luba żona u progu
Z uśmiechem wita go miłym.
Rzekł: — „Ciesz się żono, podziękuj Bogu,
We Włoszech źródło kupiłem.“
— „Na cóż się przyda? cóż nam pomoże
Źródło w tak odległej krainie?
O nierozważny! sądziłeś może,
Iż on za tobą popłynie?“
— „Niewiasto“ Gangolf przerwał surowo,
„Niech się gniew płochy uśmierzy!
Toż ci nieznane Chrystusa słowo?
Czy Mu twe serce nie wierzy?
On rzekł: zaprawdę mówię wam, który
Ze szczerem we mnie ufaniem

Rozkaże górcom: „pójdźcie“ wnet góry
Powstaną i pójdą za nim.“
Jam obietnicy Bożkiej zawierzył,
Bóg szczerą wiarą nie myli.
To rzekł i laską w ziemię uderzył,
I oto! w téjże wnet chwili
Z ziemi obfite wytrysną źródła
Na podziw złąkłej małżonce,
I chłodne kwiatom niosąc napoje,
Z szelestem biegą po łące.
Wieki minęły, a jeszcze płynie
Krynica czysta i chłodna,
Ale we włoskiej krainie
Źródło hojny wysechał aż do dna.

4. S e n.

W niepomyślnych czasach dalekiej przeszłości,
W mieście świetnym czyni swemi,
Słynna dostatki i w kwiecie młodości
Żyła wdowa w polskiej ziemi.
Błogosławiły nieba jej prostocie,
Jedynaka syna miała,
A przecież w skromnej, świętej ojców cnocie
Tkliwa go matka chowała.
Już lat dziesięciu dorastał chłopczyna
Całego miasta ozdoba,
Gdy się wtem łąkami zlała twarz matczyną.
Dom czarna skryła żałoba.
Snu okropnego dręczyły ją mary:
„Nim pięćdziesiąt dni minie,
Pan twój niewiasto chce doświadczyć wiary.
Twe dziecko od gromu zginie!“
Zrywa się w trwodze matka nieszcześliwa,
Przed Bożkie spieszy ołtarze:
Łaski, litości, z górnych niebios wzywa,
Wszystko im niosąc w ofiarze.
Potem granitne każe zwałąć głazy:
Już rąk w nich kuje tysiące,

I słyhać zewsząd silne młotów razy,
Dłut, toporów, chrzęsty grzmiące.

Po dniach czterdziestu gmach potężny stawa
Cały z granitu ukuty;
Wszakże nie znikła matczyzna obawa,
Jój umysł żalem zatruty.

Bo już nadchodzi dzień okropnej trwogi,
Bierze nieszczęsna swe dziecię,
Jęcząc, w kamienne z niem pośpiesza progi,
W skaliste chroni ukrycie.

Lecz ledwo znikła, chłopczyna tajemną
Wybiega z gmachu drożyną,
W dali za sobą rzucił otchłań ciemną
Nad cichą stawa doliną.

I tu pod niebem na twarz pada golem,
I dłoń wznosi doń modlącą,
Niebo fal czarném zamgliło się kołem
Nawałą szumi gorącą.

I coraz więcej zaciemnia się wkoło,
Błyskawic syczy żądłami,
Aż poczerniałe, sine gromem czoło
Ulewy buchają falami.

Leży plon zboża gradem deszczu zbity,
Gniewna dęby trzaska fala,
Gdy piorun w gmachu uderza granity
I cały w gruzy rozwała.

Z rozpaczny matka struchlała
Skruszona niebios potęgą,
Gdy w polu wdali widzi osłupiała,
Synka z świętą w dłoni księgą.

Bieży szczęśliwa, lube dziecię ściska,
Pada, dłoń do Boga wznosi,
I z łzą pokory, co z jój oka tryska,
Przebaczenia winy prosi!

Niezdarte okiem śmiertelnika duszy
Ciemne niebios są zrządzenia.
Szczęśliwy, kogo grom losów nie skruszy,
Śmiało czeka przebaczenia,
Kto wierny prawom świętej swojej wiary,
Jad zgryzot chętnie pije z nieszczęść czary.

5. Kruk fundator ołtarza.

(z podania dziejowego przez Winc. Pola).

...Żyję już lat tyle,

I wiele dziwnych rzeczy było w świecie;
Nie jeden widział kruka na Mogile,
Ale o kruku z Mogiły nie wiecie!...
Jest tam Mogiła blisko od Krakowa,
Księży Cystersów opactwo to dawne
I działa się tam rzeczy bardzo sławne,
Które dla świata ta kronika chowa.

Roku Pańskiego 1621

Pod tym to rokiem stoi zapisane,
Jak na kronikę zabawne zdarzenie,
I swego czasu widać było w cenie,
Kiedy w annałach klasztoru podane.
Jak to na świecie, tak też i w klasztorze,
Różne chowają się stworzenia Boże.
Otóż tu piszą, co się rzadko zdarza,
Że kruk był kiedyś fundator ołtarza.“
— Jak to? kruk? pytam, al to być nie może.
— „Tak jest w istocie. I oto tu stoi,
Że księża kruka chowali w klasztorze:
Ale kruk krukiem, zawsze swoje broi.
Otóż gdy zmądrzał, i już się ośmielił,
I gadać umiał, latał do Krakowa,
I bardzo ludzi po mieście weselił,
Bo dziwnie sprytnie mówił wszystkie słowa.
Mów Zdrowaś Maryja! furtyan go naucza:
Ale kruk krukiem, i natura krucza
Ciągnie i kruka i wilka do lasu..
Otóż tak było i onego czasu.
Kruk po Krakowie i latał i gadał,
Lecz, jak mówiono, i ludzi okradał;

I choć na bruku z pauprami się bratał,
Po cenne rzeczy aż przez okna wlatiał.
I wiele było posądku i szkody
Po całym mieście. I gdy kruk już leci,
Wielka to radość bywała dla dzieci;
Lecz się po domach lękano przygody,
Bo siła rzeczy poginęła w mieście
I kiedy kruka z Mogiły zobaczą,
Jak na roroga wszystkie sługi kraczą:
„Kruk, kruk z Mogiły!” — I zginął kruk wreszcie.
I lat znów wiele po kuku ubiegło,
I wielu ludziom już się w grobie legło,
Którym kruk niegdyś pokradł był drogoście,
Gdy miastem latał w nieproszone goście.
Aż się przypadkiem skarb znalazł na wieży,
Co go różnemi czasy kruk poznosił...
Zeszli się księża — patrzą, a tu leży
Złoto i srebro i drogie klejnoty
Więc i nie małe były stąd kłopoty,
Coby z tém zrobić! — I przeor uprosił
Aż sąd duchowny o wyrok w téj sprawie:
A gdy nie było przejrzano w ustawie,
Jakby wyjść gładko z takiego wypadku;
Gdy nikt przed sądem nie stanął przy świadku,
Sąd o tym skarbie tak w końcu stanowi,
Że go na własność oddał klasztorowi.
I jest w Mogile ozdobnie wzniesiony,
Na cześć wielkiego patrona korony,
Ołtarz — a przy nim, co się rzadko zdarza,
Jest ów kruk złodziej gładko wyrobiony,
Jako fundator u wierzchu ołtarza.“
Kiedy ksiądz Dziekan kronikę odczytał:
„Czy nie zabawne?” ze śmiechem zapytał.
— Bardzo zabawne i nikt nie zaprzeczy
Więc niech to idzie do klasztornych rzeczy.

Koniec Wypisów Części Średniej.

